



Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny Nr 28–31



ISSN 2080-024X

październik 2016 rok

dodatek specjalny do miesięcznika „Wieści znad Orzyca” Nr 10 (114)
www.tpkz.pl www.naszkrasnosielc.tpkz.pl

Wprowadzenie

Szanowny Czytelniku!

Gdy stawiamy pierwsze kroczki
- upadamy boleśnie
Gdy mówimy pierwsze słowa
- śmieją się z nas
Gdy podejmujemy pierwsze decyzje
- ponosimy ich bolesne konsekwencje
Gdy szukamy przyjaciół
- nazbyt często trafiamy na wrogów
Gdy oczekujemy miłości
- ślepi jesteśmy na rzeczywistość
Gdy szukamy szacunku
- szczęście, jeśli doświadczamy milczenia
Gdy pragniemy zbawienia
- niepewność zatrzuwa serce

Och, gdyby Dobry Anioł Stróż czuwał przy nas, szepcząc do ucha, co czuć, co czynić, czego doświadczać... gdyby...

Ale czy takim Aniołem nie jest pamięć pokoleń, darowana nam słowem i pismem!?! – Zaprawdę jest! Trzeba tylko ją chcieć usłyszeć... z przekazu pokoleń minionych.

Życzący niezwykłej podróży w czasie, w imieniu wszystkich autorów

*Sławomir Rutkowski
Redaktor Wydania*

Niniejsze wydanie drukiem Krasnosielckich Zeszytów Historycznych sfinansowane zostało ze środków własnych TPZK przy wsparciu finansowym Powiatu Makowskiego w ramach realizacji przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej zadania publicznego pod tytułem „Opracowanie i druk czterech numerów Krasnosielckich Zeszytów Historycznych w 2016 roku”.

Ks. Stefan Morko w świetle kościelnych archiwów s. 3

Karczma w Drażdżewie uwieczniona na fotografii s. 18

Wielkie odkrycie w Drażdżewie Małym s. 22

Z dziejów Krasnosielca i okolic (1836–1869) s. 23

Jubileusz 600-lecia parafii Krasnosielc 1386–1986 s. 28

Romeo i Julia w Zawadach s. 33

Piekarnia państwa Koziołek w Krasnosielcu s. 34

List miłosny z Krasnosielca s. 39

Kiedy zbudowano ... dzwonnice w Jednorozcu? s. 40

Działalność Stowarzyszenia... „Jutrzenka” 1906-1978 s. 44

Z dziejów jednorozeckiej spółdzielczości ... s. 48

Twarze makowskiej bezpieki... s. 51

Z Raków... na Ziemi Odzyskane... s. 53

Tajemnice Góry Krzyżewskiej s. 58

Krzyżewscy herbu Grzymała... s. 60

Umowa z ... Senatem Wolnego Miasta Gdańska s. 63

Stacja pocztowa w Sieluniu w XIX w.... s. 66

Pobyt Marii Skłodowskiej-Curie w Szczukach s. 72

Bracia Warnerowie... s. 77

Z Hollywood do Krasnosielca... s. 94

Wonsalowie ... znad Orzyca... s. 97





Zestaw biżuterii sprzed 2500 lat, odnaleziony w Drażdżewie Małym. Zdjęcia dzięki uprzejmości Małgorzaty Balcerzak – archeolog ostrołęckiej delegatury Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków. Źródło: <http://gminakrasnosielc.pl/>



Naszyjnik uszkowy z Drażdżewa Małego. Źródło zdjęcia: www.exploatorzy.pl.



Kolekcja pocisków odnalezionych w 2013 r. na Polskiej Kępie. Poniżej Archeolodzy ze Stowarzyszenia Eksploratory.pl segregują znaleziska z Polskiej Kępy. Źródło zdjęcia: www.exploatorzy.pl





Ks. Stefan Morko w świetle kościelnych archiwaliów

Maria Weronika KMOCH

*W całej swej pracy na Niwie Pańskiej starałem się zawsze stosować w życiu zlecenie Św. Pawła Apostoła:
„Wszystkim dla wszystkich stawaj się, abyś wszystkich pozyskał.”.
Zaś za dewizę życia kapłańskiego postawiłem sobie słowa św. Łukasza Ewangelisty:
„Opowiadać Ewangelię ubogim - posłał mnie Pan”
Czy mi się to udało? Osądzi Bóg.
Feci quod potui, faciant meliora potentes.*

ks. Stefan Morko

O księdzu Stefanie Władysławie Morko (1904–1974) napisano już wiele, szczególnie w „Krasnosielskim Zeszyt Historycznym”¹, ale nie tylko². Jednak podczas kwerendy

¹ L. Brzeziński, *O księdzu Stefanie Morko jeszcze słów kilka*, „Krasnosielski Zeszyt Historyczny” [dalej: KZH], 17 (2014), s. 50; D. Budelewski, *Życie społeczno-gospodarcze i polityczne gminy Krasnosielc w okresie międzywojennym*, KZH, 22 (2015), s. 8; M.M. Gołota, M.S. Pajewska, *Z „pamiętnika” Ks. Stefana Morki*, KZH, 5 (2011), s. 14–15; M. Kaczyńska, *Takim był ksiądz proboszcz Stefan Morko*, KZH, 5 (2011), s. 16; T. Kruk, *Jubileusz 100-lecia parafii pw. św. Izydora w Drążdżewie 1911–2011, cz. 1*, KZH, 6 (2011), s. 2–28; tenże, *Jubileusz 100-lecia parafii pw. św. Izydora w Drążdżewie 1911–2011, cz. 2*, KZH, 8 (2011), s. 2–40; tenże, *Ks. Stanisław Grabowski (1911–1993)*, KZH, 11 (2012), s. 2–9; tenże, *Ksiądz Stefan Morko jakiego znałem*, KZH, 5 (2011), s. 2–5; tenże, *Ksiądz Stefan Morko – uzupełnienia*, KZH, 6 (2011), s. 35–36; tenże, *Nie miała łatwego życia. Pamięci Matki w 100-lecie Jej urodzin*, KZH, 19–21 (2014), s. 20–23, 26; tenże, *Ochotnicza Straż Pożarna w Drążdżewie (od powstania do roku 1980)*, KZH, 12 (2012), s. 54–58; tenże, *Rys historyczny Parafii pw. św. Izydora w Drążdżewie*, KZH, 2 (2010), s. 20; W. Łukaszewski, *Ksiądz Stefan Morko - oportunistą czy bohater?*, KZH, 5 (2011), s. 18–20; T. Rostkowski, *Dawał ulgę w cierpieniu, czasem nawet drugie życie. Opowieści o ks. Stefanie Morko Teresy Napierkowskiej*, KZH, 5 (2011), s. 17; M. i S. Rutkowski, *Prawdziwe opowieści o Ks. Stefanie Władysławie Morko*, KZH, 5 (2011), s. 6–10; A. Rybacka, *Nasz Przyjaciel Ks. Morko - wspomnienia pani Barbary Krzykowskiej*, KZH, 5 (2011), s. 11–13; T. Suski, *Historia Krasnosielca (zarys)*, KZH, 12 (2012), s. 13–14; A. Zapisek, *Nie napisany pamiętnik z lat 1939–47 z komentarzem*, KZH, 12 (2012), s. 19–21; tenże, *Obrazki z tamtych lat*, KZH, 11 (2012), s. 10.

² W. Filipowicz, *Duchowieństwo diecezji płockiej w latach 1918–1939*, Oberwald-Płock 2003, s. 160; W. Jezusek, *Śp. ks. Stefan Władysław Morko, proboszcz parafii Drążdżewo*, „Miesięcznik Pasterski Płocki”, 60 (1975), 9, s. 355–357; *Morko Stefan Władysław ks.*, [w:] S. Pajka, *Słownik biograficzny Kurpiowszczyzny XX wieku*, Kadzidło 2008, s. 673; *Stefan Władysław Morko 1904–1974*, [w:] M.M. Grzybowski, *Duchowieństwo*



Ks. Stefan Władysław Morko w młodości. Fot. ze zbiorów autorki.

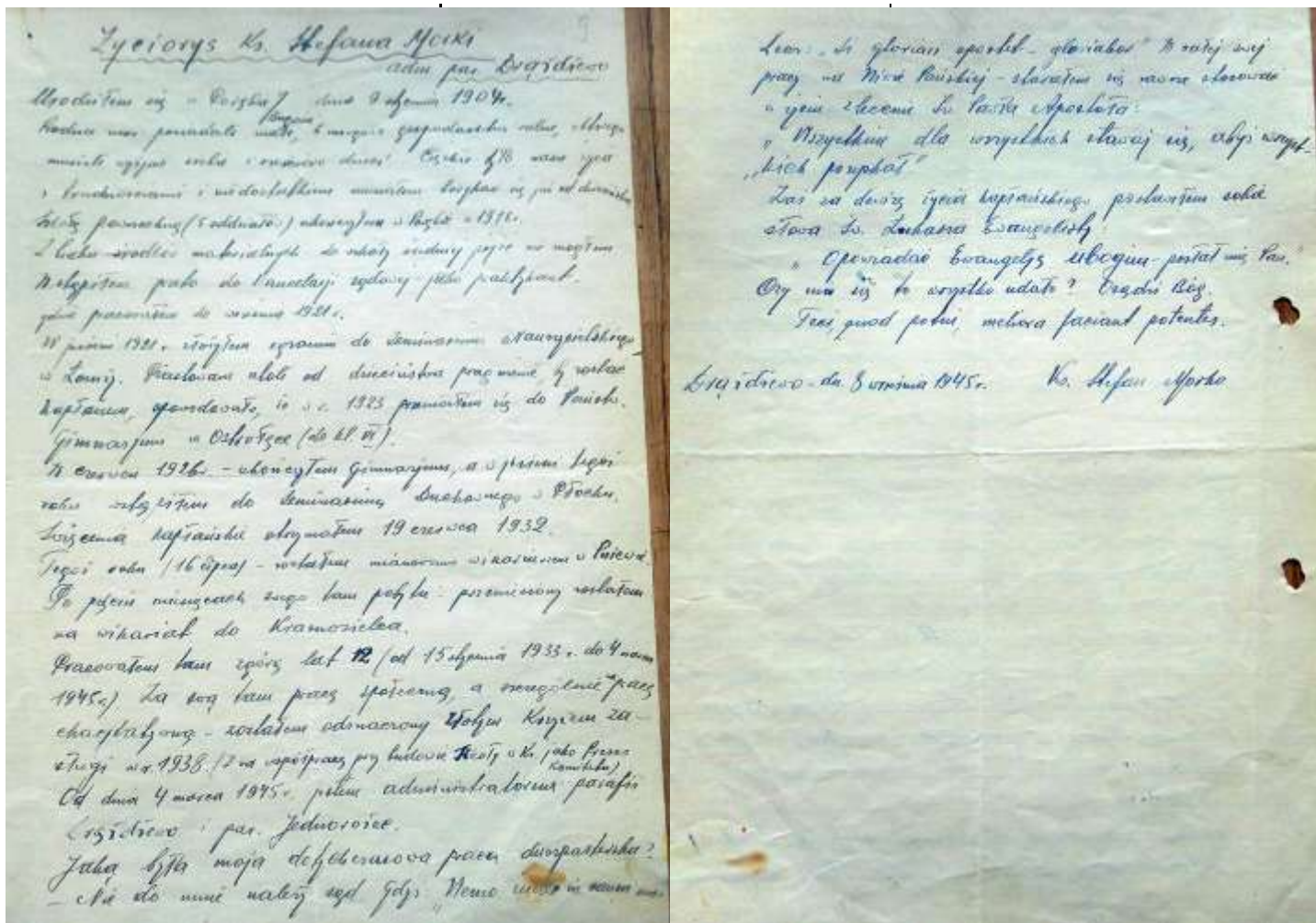
w ramach badań nad historią parafii Jednorzec, jakie prowadzę³, natknęłam się na

diecezji płockiej. Wiek XX, t. 1 cz. 1, Płock 2007, s. 370–371.

³ Artykuł powstał na marginesie prac nad projektem „Stulecie parafii Jednorzec. Przygotowanie monografii naukowej”, realizowanym przez autorkę w ramach

wiele interesujących dokumentów. Mogą one przypomnieć sylwetkę tego kapłana, tak zasłużonego dla trzech parafii naszego regionu (Krasnosielc, Drążdżewo, Jednorzec) oraz

stypendium Starosty Przasnyskiego w roku akademickim 2015/2016. Projekt zakończy się wydaniem książki na temat historii parafii pw. św. Floriana w Jednorzcu.



Życiorys ks. Stefana Morki, spisany przez niego podczas pobytu w Drażdżewie. Źródło: ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215.

pozwolić Czytelnikom poznać lepiej ks. Stefana, a dla tych, którzy Go pamiętali, stanowić impuls do wspomnień i dzielenia się nimi z innymi.

W niniejszym tekście, mającym formę rozbudowanego artykułu biograficznego, pragnę zaprezentować i omówić archiwalia dotyczące ks. S. Morki, znajdujące się w Archiwum Diecezjalnym w Płocku, Archiwum Kurii Biskupiej w Płocku oraz archiwum parafialnym w Jednorozcu. Niektóre dokumenty przytaczam w oryginalnym brzmieniu, inne obszernie omawiam, odsyłając w przypisach do źródeł, unikając ocen i opinii wartościujących. Zebrane razem pozwalają na uzyskanie obrazu kapłana oddanego pracy duszpasterskiej, kochającego Boga, pokornego i pracowitego człowieka oraz życzliwego ludzi sąsiada, nie wolnego jednak od ludzkich błędów i słabości.

Ks. Stefan Władysław Morko urodził się w rodzinie rolników Jana i Anny z d. Sowa w dniu 9 I 1904 r. w Porębie nad Bugiem (gm. Brańszczyk, pow. wyszkowski). O swoim dzieciństwie pisał: *Rodzice moi posiadali małe, 6 morgowe gospodarstwo rolne, z którego musieli wyżywić siebie i sześcioro dzieci. Ciężkie było nasze życie, z trudnościami niedostatkami musiałem borykać się od dzieciństwa*⁴.

Po ukończeniu w 1918 r. pięciu klas miejscowej szkoły powszechnej, z braku środków materialnych koniecznych do podjęcia nauki w szkole średniej, odbył praktykę w kancelarii sądowej. Pracował tam do września 1921 r. Następnie do 1923 r. kształcił się w Łomży w Seminarium Nauczycielskim. *Piastowane atoli od dzieciństwa pragnienie, by zostać kapłanem spowodowało, że w r. 1923 przeniosłem się do Państw. Gimnazjum [i Liceum Króla S. Leszczyńskiego – przyp. M.W.K.] w Ostrołęce (do kl. VI)*⁵ - zanotował. Ukończył je w czerwcu 1926 r. Trzy miesiące później wstąpił do Seminarium Duchownego w Płocku, które ukończył w 1932 r. Święcenia kapłańskie przyjął 19 VI 1932 r. z rąk abpa Antoniego Juliana Nowowiejskiego.

W dniu 16 VII 1932 r. mianowany został wikariuszem w Pniewie. Po pięciu miesiącach został przeniesiony na wikariat do Krasnosielca. O pracy ks. Morki w Krasnosielcu informuje notatka, napisana po jego śmierci, znajdująca się w jego teczce w Archiwum Diecezjalnym w Płocku. Przytaczam jej treść: *Był rok 1932 kiedy nowo wyświęcony ks. Stefan Morko przyszedł do naszej parafii - Krasnosielca. Od pierwszych dni swego pobytu u nas podbił i zdobył serca zarówno starszych, młodzieży jak i dzieci. Zwłaszcza młodzież i dzieci garnęły się do swego prefekta, który miał zawsze miły, serdeczny uśmiech i dowcipne słowa, którymi zabawiał i rozbrajał nawet mrukliwych. Do*

kościola przyciągały parafian Jego piękne kazania, wzięte z życia, które potem w domach często powtarzano. Ks. Morko z natury ruchliwy, był zawsze czynny. Zajął się wychowywaniem religijnym dzieci i młodzieży. Dzieci z każdej niedzieli musiały mieć napisaną w zeszycie skróconą ewangelię i o czym ksiądz mówił do nich na nauce. Młodzież zjednoczył w Katolickim Stowarzyszeniu i z nimi spędzał wiele godzin. Nie raz wystawiali sztuki teatralne o charakterze katolickim, na które ciągnęli ludzie nie tylko z Krasnosielca, ale i okolicznych wiosek. Nigdy nie zostawił bez pomocy i wsparcia biednych, którzy też nie przerywanie nachodzili swego dobroczyńcę i opiekuna. Kiedy po krótkim swoim pobycie, był ranny w katastrofie samochodowej pod Przasnyszem i leżał w szpitalu, cała parafia modliła się szczerze o zdrowie i powrót swojego duszpasterza. Kiedy przyszła wojna, ks. Morko jeszcze bardziej zajął się swoimi parafianami. Chodził do chorych przynosząc im lekarstwa, które łatwiej było mu zdobyć od znajomych aptekarzy. Miał też bliższe kontakty z doktorami i od nich też dowiadywał się gdzie potrzebna jest pomoc zarówno materialna jak i duchowa. Pamiętam taki epizod (jeden z bardzo wielu). Na jednej z dalszych wsi parafii chorowała dziewczynka na tyfus. Rodzice zrozpaczeni nie mieli pieniędzy, by ją zawieźć do lekarza, a tym bardziej do szpitala. Poprosili też księdza, by ją dysponował na śmierć. Ksiądz Morko nie tylko pocieszył i dziecko i rodziców, ale dał potrzebne pieniądze na leczenie. Rodzice zawieźli dziecko

⁴ Archiwum Diecezjalne w Płocku [dalej: ADP], Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, Życiorys ks. S. Morki jego pióra, 8 IX 1945 r., s. 1.

⁵ Tamże.



Zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia ks. S. Morki od dr. Piotra Sajkiewicza. Źródło: ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, Zaświadczenie od dr. P. Sajkiewicza z dn. 26 I 1941 r.

do szpitala. Jaka była potem wielka radość księdza, kiedy po kilku miesiącach, ta sama dziewczynka wyrwana śmierci, przyniosła Mu z wdzięczności koszyk jagód, które sama zbierała. Jagody te były najmiłszą i najbardziej cenną zapłatą – tak potem ze wzruszeniem mówił ks. Morko. Nie tylko uczył kochać bliźnich, ale sam dawał tego przykłady. Był pełen optymizmu co do rychłego zakończenia wojny i innych podtrzymywał na duchu, nie dając zwątpić w miłość Boga do ludzi. Bardzo dużo paczek wysyłał do różnych obozów pracy, dla znajomych i nie znajomych. (...)⁶.

Za pracę społeczną w parafii Krasnosielec, szczególnie charytatywną (ks. Morko był m.in. prezesem komitetu budowy szkoły w Krasnosielcu i Pienicach), został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi w 1938 r.⁷.

W czasie wikariatu w Krasnosielcu ks. Morko pomagał w sąsiedniej parafii Gąsewo Poduchowne (gm. Sypniewo), co spowodowane było częstą chorobą proboszcza, ks. Stanisława Burzyńskiego. Grupa tamtejszych parafian pragnęła przeforsować kandydaturę ks. Morko na administratorstwo parafii, o czym sam kapłan nie wiedział. Po śmierci proboszcza gąsewskiego ks. Morko, przybywszy na plebanię wraz z proboszczem krasnosieleckim, ks. Wacławem Gieryszewskim, zajął się pogrzebem zmarłego. Następnie wysłał do ks. dziekana Józefa Piekuta prośbę o administratorstwo wakującej parafii, motywując ją tym, że w Krasnosielcu jest jednym z aż trzech wikariuszy. Trzy dni później otrzymał odpowiedź, że o sprawie będzie mógł porozmawiać z ks. dziekanem na pogrzebie kapłana z Gąsewa. *W międzyczasie gospodyni po ś.p. ks. B. uskarżała się do nas, że ludzie zaczynają już rabować, co się da, i domagają od niej niektórych rzeczy „na pamiątkę”.* – ks. Morko pisał w liście do dziekana. Ks. Gieryszewski poradził młodemu wikariuszowi pozostać w Gąsewie i ogłosił wiernym, że to ks. Stefan przejmuje tymczasowe obowiązki duszpasterza parafii. Powstało jednak pewne nieporozumienie, ponieważ sołtys Gąsewa, meldując o śmierci

⁶ Tamże, Notatka o ks. S. Morko i jego pracy w Krasnosielcu, nr 16.

⁷ Tamże, Życiorys ks. S. Morko jego pióra, 8 IX 1945 r., s. 1.

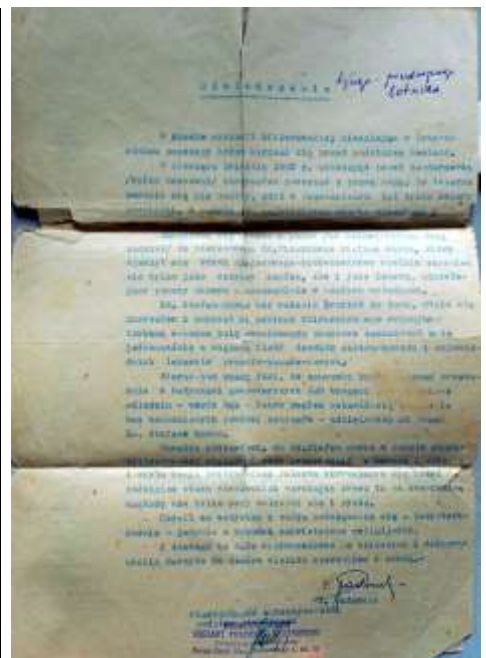
proboszcza w urzędzie w Sypniewie, podał nazwisko ks. Morki jako już wyznaczonego następcy ks. Burzyńskiego. Przybyły do Gąsewa niemiecki burmistrz Sypniewa, dowiedziawszy się o jedynie tymczasowej posłudze ks. Morko, zapewnił o chęci pomocy i zwolnił całą parafię z szarwarku, by wierni mogli wziąć udział w pogrzebie proboszcza. Rozmowa odbyła się za pomocą tłumacza w obecności wielu osób. Jednak dwa dni później parafianie gąsewscy złożyli prośbę o mianowanie ks. Morko proboszczem w Gąsewie. Decyzją Biskupa w 1940 r. administratorem został ks. Czesław Przygódzki⁸. Wśród wiernych powstał ferment, ponieważ byli pewni, że administratorem został wyznaczony ks. Morko. Ten zaś wycofał swoją kandydaturę na administratora parafii Gąsewo, pozostając jedynie wikariuszem w Krasnosielcu⁹.

Wyróżniająca praca ks. Morki oraz braki w stanie osobowym duchowieństwa w trudnym okresie wojennym spowodowały, że władza diecezjalna po raz kolejny wyznaczyła młodego kapłana do nowej parafii. W dniu 20 I 1941 r. ks. bp Antoni Julian Nowowiejski mianował go administratorem parafii Zakroczym (pow. nowodworski)¹⁰. Jednak ks. Morko zrezygnował z objęcia placówki z powodu złego stanu zdrowia. Nieżyt płuc, nerwica serca oraz niedawna grypa tak go osłabiły, że był przekonany, że nie byłby zdolny do samodzielnej pracy w nowym miejscu. W Krasnosielcu natomiast był w stanie przejść odpowiednią i - co ważne - darmową, prowadzoną przez miejscowego lekarza, kurację. Jej konieczność potwierdziła dołączone do listu zaświadczenie lekarskie od dr. Piotra Sajkiewicza, w którym czytamy m.in.: *Ksiądz Morko Stefan rozpoczął u mnie kurację z powodu choroby serca, reumatyzmu i zapalenia okostnej. Nieżyt płuc trwa jak zawsze [wyraz nieczytelny] dalej. Podgorączkowy stan mienia się jeszcze zawsze*

⁸ Przygódzki Czesław ks., [w:] S. Pajka, Słownik biograficzny Kurpiowszczyzny..., s. 847.

⁹ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, Dwa listy ks. Morko, 1940 r.

¹⁰ Tamże, Nominacja na administratora parafii Zakroczym z dn. 20 I 1941 r., nr 965.



Oświadczenie lotnika, którego uratował ks. S. Morko w czasie II wojny światowej. Źródło: ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, Oświadczenie T. Gadomskiego, niedatowane.

z normalnym. Wobec tego ks. Morko musi dokończyć kurację /72 zastrzyki/, co potrwa z przerwami około 3-4 miesięcy. Oprócz tego on potrzebuje spokoju. Dlatego byłoby zgubą dla niego przerwanie rozpoczętej kuracji¹¹.

Leczenie było możliwe także dzięki pomocy miejscowego proboszcza i trosce ks. salezjanina, przebywającego w parafii i zastępującego ks. Morkę¹². Na miejsce administratora w Zakroczymiu ks. Stefan zaproponował ks. Karola Korzyba, proboszcza z Płoniaw¹³.

Decyzją z 30 VII 1943 r. ks. Morko otrzymał nominację na administratora parafii w Drażdzewie jako dotychczasowy pomocnik i zastępca zmarłego na gruźlicę proboszcza, ks. Edmunda Rzewnickiego. Na jego miejsce jako wikariusz krasnosielecki został zaproponowany salezjanin ks. Roman Strzelowski lub inny salezjanin przebywający w pobliżu, zaproszony i upoważniony przez proboszcza w Krasnosielcu. W liście z 5 VIII ks. Morko pisał: *nominacją (...) byłem szczerze zmartwiony. Dlaczego? Kapłan pragnął pozostać w Krasnosielcu do końca wojny z powodu złego stanu zdrowia. Zrezygnował też z objęcia urzędu na rzecz ks. Aleksandra Sadowskiego, rugowanego z parafii Radziki w pow. rypińskim. Pomysł poparł dziekan przasnyski, ks. Józef Piekut¹⁴.*

¹¹ Tamże, Zaświadczenie od dr. P. Sajkiewicza z dn. 26 I 1941 r.

¹² Tamże, List ks. S. Morki z dn. 29 I 1941 r., nr 990.

¹³ Tamże, List ks. S. Morki z dn. 31 I 1941 r., nr 29; Korzyb Karol ks., [w:] S. Pajka, Słownik biograficzny Kurpiowszczyzny..., s. 479.

¹⁴ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List ks. Prałata S. Figielskiego dn. 30 VII 1943 r., nr 115/43; List ks. J. Piekuta z dn. 3 VIII 1943 r., nr 121/43; List ks. S. Morki z dn. 5 VIII 1943 r., nr 125/43.

W czasie II wojny światowej ks. Stefan Morko był związany z ruchem oporu (m.in. organizował pomoc dla więźniów politycznych z obozów koncentracyjnych) i więziony kilkakrotnie przez gestapo (m.in. w okresie 9–14 XI 1939 r. w więzieniu w Makowie Mazowieckim). Dopiero po śmierci kapłana w 1974 r., zgodnie z jego życzeniem, do Kurii Biskupiej w Płocku przekazano dokumenty świadczące o pomocy lekarskiej, udzielanej przez ks. Morko w czasie wojny i tuż po niej. Zapewne ks. Morko bał się, że jeśli informacja o jego kontaktach z ruchem oporu w czasie II wojny światowej wyszłaby na jaw wcześniej, mógłby mieć kłopoty. W pierwszym ze wspomnianych dokumentów lekarz powiatowy dr Sławomir Chęciński pisał: (...) *Nieprawdą jest, jakoby ks. Stefan Morko zajmował się leczeniem wszelkich chorób. Prawdą natomiast jest, że wszystkich /zgłaszających się doń po poradę lekarską/ chorych kieruje on zawsze do lekarza. Jedynie w wypadkach, w których chorobu konieczną była pomoc bezzwłoczna – udzielił jej petentowi bezinteresownie i z całą sumiennością. Uwzględniając okoliczność, że Ks. St. Morko posiada dość duży zasób wiadomości teoretycznych i praktycznych z zakresu medycyny, w rozpoznawaniu chorób - stwierdzić również należy, że udzielane przez Niego porady i pomoce – były dla chorych dobrodziejstwem, chroniąc ich niekiedy od zagrażającego kalectwa, a nawet utraty życia (...)*¹⁵. W drugim piśmie dr Stefan Kłyko, ordynator szpitala w Wyrozębach, zaświadczał, że ks. S. Morko (...) *okazywał pomoc lekarską doraźnie - zawsze odsyłając chorych do lekarza, jeśli wymagało to dalszego leczenia. Pomoc ta zawsze była ze zrozumieniem rzeczy. Pracując swego czasu w Szpitalu Przasnyskim, byłem świadkiem przywiezienia na mój Oddział pewnej rodziny z parafii Księdza Proboszcza Morki z powodu zatrucia, chorzy byli nieprzytomni z wyjątkiem jednej osoby – w stanie niemal beznadziejnym, i tym właśnie chorym Ks. Proboszcz udzielił pierwszej pomocy i odesłał do Przasnysza, wspomniani chorzy zostali uzdrowieni jak się wówczas wyraziłem dzięki P. Bogu, a później Księdzu Proboszczowi - ja byłem już ostatni (...)*¹⁶. Trzecim dokumentem było oświadczenie byłego pilota lotnika Tadeusza Gadomskiego, który mieszkał podczas okupacji w Krasnosielcu. W kwietniu 1942 r. został ranny w nogę. Ścigany przez gestapo, nie mogąc zwrócić się do lekarza powiatowego, który był Niemcem, poprosił o pomoc wikariusza ks. S. Morkę, korzystając z pośrednictwa swej rodziny. Gadomski pisał w oświadczeniu: (...) *Ks. Stefan Morko bez wahania przybył do lasu, gdzie się ukrywałem i dokonał mi zabiegu chirurgicznego wyjmując tkwiącą w nodze kulę rewolwerową przyczym zaopatrzył mnie jednocześnie w większą ilość środków opatrunkowych i odpowiednich lekarstw przeciwzakaźniowych. Biorąc pod uwagę fakt, że zmuszony byłem nocować przeważnie w budynkach gospodarczych lub brogach położonych na odludziu – wśród łak – łatwo mogłem nabawić się zakażenia bez*

¹⁵ Tamże, Zaświadczenie dr S. Chęcińskiego z dn. 10 VII 1949 r.

¹⁶ Tamże, Zaświadczenie dr S. Kłyko z dn. 30 XI 1958 r.

wspomnianych powyżej zabiegów – udzielonych mi przez ks. Stefana Morko. Ponadto stwierdzam, że ks. Stefan Morko w czasie okupacji hitlerowskiej wielokrotnie przychodził z pomocą i mnie i wielu innym współbraciom Polakom ukrywającym się przed pościgiem władz niemieckich narażając przez to na ewentualną zagładę nie tylko swojej wolności ale i życia. Czynił to wszystko z całym poświęceniem się – bezinteresownie – jedynie z pobudek patriotyczno-religijnych. I dlatego to całe społeczeństwo z bliższych i dalszych okolic darzyło Go zawsze wielkim szacunkiem i czcią (...)¹⁷.

W dniu 13 III 1945 r. został mianowany administratorem w Drążdzewie¹⁸. Placówkę objął w dniu 4 marca¹⁹. W dniu 28 X 1947 r. został mianowany proboszczem tej parafii²⁰. Funkcję pełnił do śmierci w 1974 r. Pragnących przypomnieć sobie lub poznać działalność ks. Morko jako duszpasterza parafii Drążdzewo, odsyłam do literatury przedmiotu²¹.

W dniu 26 II 1945 r. ks. Stefan Morko został mianowany administratorem parafii Jednorożec z powodu choroby serca miejscowego proboszcza ks. Stefana Bernatowicza²². Ks. Morko objął placówkę 11 III 1945 r.²³. Posługiwał w Jednorożcu, otaczając należną czcią i opieką chorego proboszcza, który był z tej opieki bardzo zadowolony²⁴. Ks. Bernatowicz zmarł 17 V 1945 r. Ks. Morko urządził zmarłemu proboszczowi piękny pogrzeb, złożył jego zwłoki w wybudowanej pieczarze i wystawił na nim pomnik grobowy – przy pomocy parafian (...)²⁵. Ks. Morko pełnił funkcję administratora parafii Jednorożec do 1953 r. Jako że do tej pory nie pisano szczegółowej o działalności tego kapłana w Jednorożcu, pozwolę sobie przywołać odpowiednie informacje, opierając się na dokumentach z miejscowego archiwum parafialnego, Archiwum Kurii Diecezjalnej Płockiej oraz Archiwum Diecezjalnego

¹⁷ Tamże, Oświadczenie T. Gadomskiego, niedatowane.

¹⁸ T. Kruk, *Jubileusz 100-lecia parafii pw. św. Izydora w Drążdzewie 1911–2011, cz. 1...*, s. 9.

¹⁹ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List ks. S. Morki z dn. 5 III 1945 r., nr 595.

²⁰ Tamże, Nominacja na proboszcza parafii Drążdzewo, 28 X 1947 r., nr 2651.

²¹ T. Kruk, *Jubileusz 100-lecia parafii pw. św. Izydora w Drążdzewie 1911–2011, cz. 1...*, s. 9–14; tenże, *Jubileusz 100-lecia parafii pw. św. Izydora w Drążdzewie 1911–2011, cz. 2...*, s. 20–21; tenże, *Ksiądz Stefan Morko jakiego znałem...*, s. 2–5.

²² ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, Nominacja na administratora parafii Jednorożec, 26 II 1945 r., nr 430; Archiwum parafialne w Jednorożcu [dalej: AP], ks. J. Wójcik, *Kronika Parafii Jednorożec od czasów powstania parafii, do czasów duszpasterstwa, została założona i napisana przez księdza proboszcza Józefa Wójcika w 1964 r.* [dalej: Kronika parafii Jednorożec], s. 23.

²³ AP, Sprawozdanie duszpasterskie za rok 1948, s. 1.

²⁴ Kronika parafii Jednorożec, s. 24.

²⁵ Tamże.

w Płocku.

W czasie II wojny światowej kościół w Jednorożcu poniósł znaczne szkody. Do 16 I 1945 r. kościół był przeznaczony na spichlerz zboża oraz magazyn wojskowy. Zniszczenia wewnątrz stanowiły równowartość 400 zł²⁶. Niemcy uszkodzili dach świątyni. Ks. Stefan Morko wycenił stratę na 300 zł. Zniszczono też okna, zabrano konfesjonały i ławki, które Niemcy (...) *porąbali i palili jako materiał opałowy (...)*²⁷. Dzwony, umieszczone pierwotnie w dzwonnicy, zostały skradzione²⁸. Powiada się, że zostały zawieszane w jednym z kościołów na Ziemiach Odzyskanych, może w Szczycinie. Mogły być też przetopione²⁹.

Po objęciu administratorstwa parafii Jednorożec ks. S. Morko poświęcił się doprowadzeniu do porządku kościoła i przywróceniu mu funkcji sakralnej. Po uporządkowaniu wnętrza oszklono okna i umebłowano kościół. Świątynię wyposażono w szaty liturgiczne i bieliznę kościelną dzięki ofiarności emigrantów z Jednorożca, przebywających w USA. Skontaktował się z nimi ks. Morko. W samym 1947 r. parafia wzbogaciła się o 3 kapy, 5 ornatów, 1 albę, 2 komże oraz kilkanaście korporałów, puryfikaterzy itp.³⁰. Wierni z parafii *sprawili do kościoła kilka pięknych artystycznie wykonanych chorągwi i proporców*³¹. Zachowały się do dzisiaj. Pierwszy z nich to proporzec z wizerunkiem Jezusa i napisem „Najświętsze Serce Jezusa przyjdź królestwo Twoje”, zaś z drugiej strony z wizerunkiem Maryi i napisem „Niepolane Serce Maryi opiekuj się nami. Jednorożec 1950”. Drugi proporzec poświęcony jest Apostołom Piotrowi i Pawłowi. Z jednej strony znajduje się wizerunek św. Pawła i napis „Święty Pawle Apostole módl się za nami. Jednorożec 1950”, z drugiej zaś obraz św. Piotra i napis „Święty Piotrze Apostole módl się za nami”. Oba proporce wykonane zostały techniką oleju na płótnie. Z 1950 r. pochodzi też chorągiew z wizerunkiem św. Filomeny i napisem „Święta Filomeno módl się za nami. Jednorożec” z jednej strony oraz różańcem z monogramem Maryi i datacją z drugiej strony (olej na płótnie)³².

²⁶ Archiwum Kurii Diecezjalnej w Płocku [dalej: AKDP], Teczka Parafia Jednorożec (1945–1992), Sprawozdanie ze stanu parafii w czasie II wojny światowej, s. 2, 4; ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List mieszkańców parafii Jednorożec, wpl. 4 VI 1946 r., nr 1630, s. 1.

²⁷ Kronika parafii Jednorożec, s. 23.

²⁸ AKDP, Teczka Parafia Jednorożec (1945–1992), Straty materialne i moralne parafii Jednorożec, 9 IX 1945 r., s. 1; Sprawozdanie ze stanu parafii w czasie II wojny światowej, s. 3; AP, Protokół tradycyjny, 25 V 1945 r., s. 3, 11.

²⁹ Film ks. M. Mecha z lipca 1991 r.

³⁰ AKDP, Teczka Parafia Jednorożec (1945–1992), Statystyka parafii Jednorożec dek. przasnyskiego za rok 1947, 10 II 1948 r., nr 554.

³¹ Kronika parafialna, s. 24.

³² Film ks. M. Mecha z lipca 1991 r.

Ks. S. Morko zajął się też odbudową plebanii w Jednorożcu, by przygotować mieszkanie dla swego następcy. Poprzedni budynek rozebrano w czasie II wojny światowej, ponieważ mieszkający w nim niemiecki komisarz pragnął zbudować sobie nowe mieszkanie. Plebania zbudowana z drewna sosnowego i otynkowano wewnątrz. Składała się z kuchni i 4 pokoi. W jednym z nich urządzono kancelarię. Dwa pokoje przeznaczone były na mieszkanie dla kościelnego, ale do 1953 r. nie były jeszcze wykończone – brakowało podłóg³³. Kościelny nie mógł mieszkać w domu dla siebie pierwotnie przeznaczonym, ponieważ po II wojnie światowej zbudowany w październiku 1916 r.³⁴ budynek został zniszczony przez pleśń, zaś słomiany dach³⁵ prawie w całości zniszczyły warunki atmosferyczne. W czterech oknach brakowało szyb³⁶. W 1948 r. ks. S. Morko postarał się o pokrycie budynku nowym dachem³⁷. Na niewiele się to zdało, ponieważ w 1953 r., kiedy ks. Morko odchodził z parafii Jednorożec, budynek był w tak złym stanie, że wymagał jak najszybszego remontu³⁸. Nową organistówkę zbudował w 1954 r. ks. J. Wójcik, następca ks. S. Morko na administratorstwie w Jednorożcu³⁹.

W maju 1945 r. w dzwonnicy zawieszono dzwony, sprowadzone bezpośrednio po froncie z Ziemi Odzyskanych, prawdopodobnie z Wielbarka albo okolic. Na dzwonach (mniejszym i większym) znajdują się napisy w jęz. niemieckim, informujące też o dacie odlewu (1928)⁴⁰. Dzwony wiszą na wieży kościelnej do dnia dzisiejszego. Ks. S. Morko postarał się też, żeby na cmentarzu grzebalnym wykonano parkan z kamienia i gliny, który wskutek działania warunków atmosferycznych rozpadł się prawie zupełnie. Z powodu braku cementu ogrodzenie było wyremontowane tylko czasowo⁴¹.

W październiku 1947 r. członkowie Ochotniczej Straży Pożarnej z Jednorożca ufundowali figurę św. Floriana, patrona parafii. Środki pochodziły z funduszy zgromadzonych podczas jasełek, odgrywanych w Jednorożcu, Drążdzewie i Olszewce oraz z zabaw tanecznych (1945–1946). Stała w bliskiej odległości od kościoła, przy głównym skrzyżowaniu dróg Przasnysz-Parciaki oraz Chorzele-Krasnosielc. *Po zakup pomnika św. Floriana wysłano do Częstochowy członka zarządu [OSP Jednorożec - przyp. M.W.K.], p. Edwarda Dybińskiego, który dokonał zakupu*

³³ AP, Protokół tradycyjny, 26 X 1953 r., s. 6.

³⁴ S. Wilga, *Smutna Dola Wioski Jednorożec*, oprac. M.W. Kmoch, KZH, 27 (2016), s. 33.

³⁵ AP, ks. S. Bernatowicz, *Kronika kościelna par. Jednorożec za duszpasterstwa proboszcza teże parafii ks. St. [efana] B. [ernatowicza]*, s. 4.

³⁶ Tamże, Protokół tradycyjny, 25 V 1945 r., s. 10.

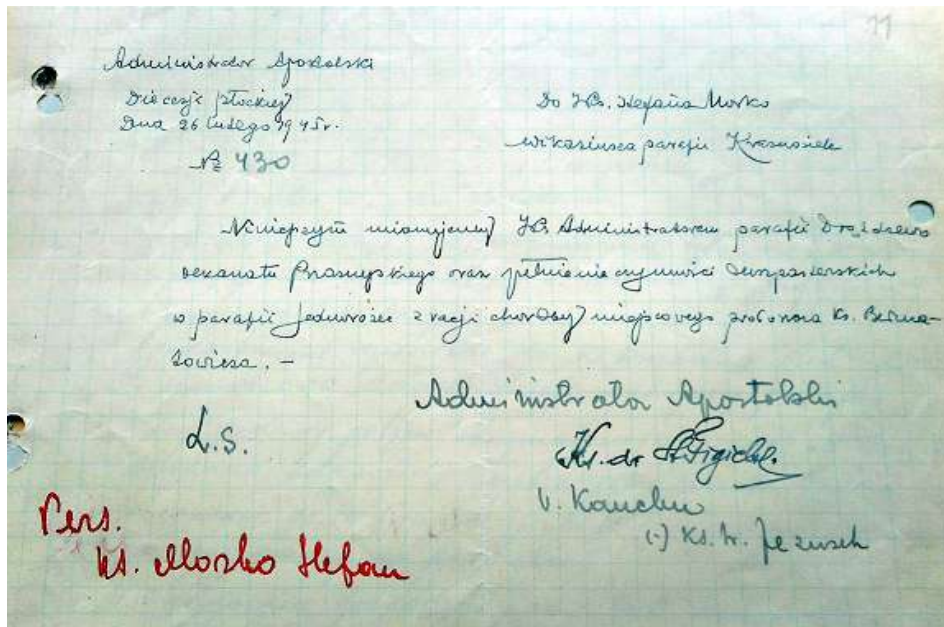
³⁷ Tamże, Sprawozdanie duszpasterskie za rok 1948, s. 1.

³⁸ Tamże, Protokół tradycyjny, 26 X 1953 r., s. 6.

³⁹ AKDP, *Teczka Parafia Jednorożec (1945–1992)*, List ks. J. Wójcika z dn. 26 XI 1954, nr 4261.

⁴⁰ Kronika parafii Jednorożec, s. 23; Film ks. M. Mecha z lipca 1991 r.

⁴¹ Kronika parafii Jednorożec, s. 25.



Nominacja ks. S. Morki na administratora parafii Jednorożec. Źródło: ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, Nominacja na administratora parafii Jednorożec, 26 II 1945 r., nr 430.

i sprowadzenia go pociągiem do stacji Parciaki, skąd furmankami przywieziono dar na wyznaczone miejsce⁴². Postument wykonał w całości murarz Antoni Wilga ze Stegny. Umieszczono na nim pamiątkową tablicę z napisem: „OCHOTNICZA STRAŻ POŻARNA / W JEDNOROŻCU / POD OPIEKĄ / ŚW. FLORIANA / 1947 R.”. Pomnik otaczało metalowe dziesięcioboczne ogrodzenie, mieszczące niewielki ogródek z kwiatami⁴³.

Ks. S. Morko przyjeżdżał do Jednorożca na nabożeństwa w niedziele i święta. Najczęstszym środkiem jego transportu był rower⁴⁴, ale i motocykl⁴⁵. Mszę odprawiał przez trzy niedziele miesiąca o 9:30, zaś czwartej niedzieli o 11:30. W dni powszechnie msze odprawiane były raz w tygodniu⁴⁶. W 1950 r. ks. Morko odprawiał msze w niedziele tylko o 9:30⁴⁷. Z powodu braku stałego kapłana w parafii po II wojnie światowej nie odprawiano nabożeństwa wieczornego (niesporów)⁴⁸. Od 1949 r. o zachodzie słońca organizowano nabożeństwa majowe, czerwcowe i październikowe oraz nabożeństwo do św. Stanisława Kostki⁴⁹. Tylko

⁴² E. Mordwa, *Skrócony opis powstania jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej w Jednorożcu*, s. 4, kserokopia maszynopisu w zbiorach autorki.

⁴³ M.W. Kmoch, *Kapliczki, figury i krzyże przydrożne w gminie Jednorożec*, Jednorożec 2015, s. 139–140.

⁴⁴ Tamże, List ks. S. Morko z dn. 14 VIII 1957 r., nr 3778.

⁴⁵ T. Kruk, *Jubileusz 100-lecia parafii pw. św. Izydora w Drążdzewie 1911–2011*, cz. 2..., s. 21.

⁴⁶ AP, Sprawozdanie duszpasterskie za rok 1948, s. 1; Sprawozdanie duszpasterskie za rok 1949, s. 1.

⁴⁷ Tamże, Sprawozdanie duszpasterskie za rok 1950, s. 1.

⁴⁸ Tamże, Sprawozdanie duszpasterskie za rok 1948, s. 2.

⁴⁹ Tamże, Sprawozdanie duszpasterskie za rok 1949, s. 2; Kwestionariusz wizytacyjny, 20 VI 1949 r., s. 2.

pierwsze w nich odbywały się z udziałem księdza administratora⁵⁰. W czasie Wielkiego Postu o godzinie 15:00 odprawiano Drogę Krzyżową i Gorzkie Żale⁵¹.

Ks. Morko nauczał religii w miejscowej szkole trzy razy w tygodniu w wymiarze 19 godzin⁵². Zajęcia prowadził w trzech najwyższych klasach jesienią⁵³. Przygotowanie do Komunii Św. prowadziła też miejscowa nauczycielka i katecheta⁵⁴. Nauki dla dzieci prowadzone były w wakacje⁵⁵.

Jako kapłan ks. Morko (...) starał się, by ugorne pole dusz parafian zamienić na żyzną glebę – podatną pod posiew Bożego ziarna (...)⁵⁶. W 1948 r. zorganizował uroczyste poświęcenie się mieszkańców Najświętszemu Sercu Jezusa. W styczniu 1949 r. podczas wizyty duszpasterskiej, zwanej kolędą, w każdej rodzinie parafii przy współudziale ks. Morki przeprowadzono intronizację Najświętszego Serca Jezusa⁵⁷. W czasie posługi administratora w Jednorożcu ponownie zaczęły działać kółka różańcowe. Już jesienią 1945 r. wskrzeszono: III Zakon św. Franciszka oraz Bractwo Różańca Św.⁵⁸. W 1949 r. w parafii funkcjonowało 56 „Róż”, skupiających 840 członków⁵⁹. W 1947 r.

⁵⁰ Tamże, Kwestionariusz wizytacyjny, 20 VI 1949 r., s. 8.

⁵¹ Tamże, s. 2.

⁵² ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List ks. S. Morki, wpł. 7 XI 1953 r., nr 3059, s. 1.

⁵³ AP, Kwestionariusz wizytacyjny, 20 VI 1949 r., s. 3.

⁵⁴ Tamże; Sprawozdanie duszpasterskie za rok 1948, s. 3.

⁵⁵ Tamże, Kwestionariusz wizytacyjny, 20 VI 1949 r., s. 3.

⁵⁶ Kronika parafii Jednorożec, s. 26.

⁵⁷ AP, Kwestionariusz wizytacyjny, 20 VI 1949 r., s. 3–4.

⁵⁸ AKDP, *Teczka Parafia Jednorożec (1945–1992)*, Straty materialne i moralne parafii Jednorożec, 9 IX 1945 r., s. 1.

⁵⁹ AP, Kwestionariusz wizytacyjny, 20 VI 1949 r., s. 4.

wznowiono działalność parafialnego koła Caritas. W skład zarządu wchodził: prezes Jan Król, sekretarz Józef Kardaś i skarbnik Stanisław Piotrak. Środki na pomoc zebrano podczas imprez dochodowych. Kwotę 7430 zł wykorzystano na doraźne zapomogi, przekazane 23 osobom (5430 zł) oraz na leki dla 95 chorych osób (2000 zł). Poza tym skupiono się na przekazaniu 35 osobom przysłanej przez polonię amerykańską odzieży. Kolejnych 12 osób uzyskało pomoc z okazji Tygodnia Miłosierdzia. Prenumerowano miesięcznik „Caritas”⁶⁰. Ks. Morko prenumerował w Jednorózcju następujące czasopisma (dane z 1949 r.): „Róża Duchowna” (20 egz.), „Kółko Żywego Różańca” (30 egz.), „Pochodnia Seraficka” (2 egz.), „Rycerz Niepokalanej” (12 egz.), „Caritas” (1 egz.) oraz „Pokłosie Salezjańskie” (5 egz.)⁶¹.

Każdego roku ks. S. Morko urządzał w parafii rekolekcje wielkopostne, prowadzone przez zakonników: pasjonistów z Przasnysza, salezjanów z Jaciążka albo marianów z warszawskich Bielan⁶². Parafianie z Jednorózcza i okolic brali też udział w misjach w Drażdżewie w roku 1948⁶³.

W 1949 r. zanotowano obecność 15 ministrantów. Z powodu braku organów w parafii nie było organisty ani chóru parafialnego⁶⁴. Kościoła nocą pilnowała warta wiejska⁶⁵. Odpusty w Jednorózcju obchodzono: 15 sierpnia w Uroczystość Wniebowzięcia NMP, w dniu św. Pawła Pustelnika (15 stycznia) oraz w dniu św. Floriana, patrona parafii (4 maja).

W okresie administrowania parafią Jednorózcze przez ks. S. Morkę miejscowym kościelnym był Jakub Piotrak (1897–1965). Obowiązki pełnił od 1937 r.⁶⁶. Miał szczególnie dużo pracy ze względu na częstą nieobecność administratora, zajętego pracą w parafii Drażdżewo. W wypełnianiu obowiązków pomagała mu żona Kazimiera (1901–1976). Dbali o kościół, jego otoczenie, budynki plebanijne oraz ogród. W pobliżu rosło parę karłowatych zaniedbanych drzewek owocowych⁶⁷. W budynkach gospodarczych koło plebanii kościelny chował krowę, kury, kaczki i indyki⁶⁸.

Poza tym kościelni zajmowali się uprawą ziemi parafialnej (ok. 6 ha). Była słabej jakości, zaniedbana, w połowie nieobsiana⁶⁹.

⁶⁰ AP, Sprawozdanie za rok 1947 Parafialnego Oddziału „Caritas”, Jednorózcze, s. 1, 3–4; tamże, Sprawozdanie ze stanu parafii w czasie II wojny światowej, s. 6.

⁶¹ Tamże, Kwestionariusz wizytacyjny, 20 VI 1949 r., s. 5.

⁶² Kronika parafii Jednorózcze, s. 26.

⁶³ AP, Sprawozdanie duszpasterskie za rok 1948, s. 2.

⁶⁴ AP, Kwestionariusz wizytacyjny, 20 VI 1949 r., s. 4.

⁶⁵ Tamże, s. 6.

⁶⁶ T. Wojciechowska, *Historia utrwalona na zdjęciach*, „Głos gminy Jednorózcze”, 2 (42)/2016, s. 15.

⁶⁷ AP, Protokół tradycyjny, 26 X 1953 r., s. 6.

⁶⁸ T. Wojciechowska, *Historia utrwalona na zdjęciach*..., s. 15.

⁶⁹ Tamże, Protokół tradycyjny, 25 V 1945 r., s. 11.



Żniwa na tzw. Księdzowym Polu w Jednorózcju na przełomie lat 40. i 50. XX w. Z lewej siedzi ks. Stefan Morko, stoją księża marianie z Warszawy. Po lewej z kosą kościelny Jakub Piotrak. Z prawej harcerze pomagający przy żniwach. Zbiory Agnieszki Szabały z Jednorózcza.

W 1949 r. 2 morgi uprawiał kościelny na własny użytek. Siano wówczas tylko żyto i łubin⁷⁰. Potem uprawiano też ziemniaki. Kościelny zajmował się też parafialną łąką i pastwiskiem. W pracach pomagali parafianie, w czasie żniw też harcerze⁷¹. Między 1945 a 1953 r. część ziemi była dzierżawiona przez kościelny i Bronisława Pogorzelskiego, członka rady parafialnej⁷².

Troskę ks. S. Morki o parafię Jednorózcze mimo trudu pracy w dwóch placówkach docenił już w 1949 r. biskup Tadeusz Paweł Zakrzewski, wizytujący Jednorózcze: (...) *Ujęty byłem serdecznym przyjęciem, w którym brała udział cała parafia z żywym zainteresowaniem, które obserwowali wszyscy przy uroczystościach wizytacyjnych; dowodził szczerą przywiązaną do wiary św. i Kościoła. Również dobry był wynik egzaminu dzieci z religii – i z zadowoleniem widziałem skupienie i porządek, który panował podczas bierzmowania, do którego przystąpiło 1001 osób. Zapoznając się z życiem religijnym i potrzebami duchowymi parafii z przyjemnością stwierdziłem rozwinięte nabożeństwo różańcowe, które ogarnia całą parafię* (...) ⁷³.

Na początku czerwca 1946 r. grupa parafian jednorózczeckich, reprezentowana przez sołtysów wsi i członków Rady Parafialnej, korzystając z tego, że w Świętym Miejscu odbywała się konferencja dekanalna z udziałem ks. bp Tadeusza Pawła Zakrzewskiego, złożyła na Jego ręce podanie z prośbą o skierowanie ks. Morki do Jednorózcza jako stałego proboszcza. Zapisano m.in.: (...) *Od marca 1945 roku, aż do obecnej chwili obowiązki duszpasterskie w naszej parafii spełniał Ks. Stefan Morko proboszcz parafii Drażdżewo. W chwili objęcia przezeń administracji w Jednorózcju – Kościół nasz*

⁷⁰ AP, Kwestionariusz wizytacyjny, 20 VI 1949 r., s. 7.

⁷¹ T. Wojciechowska, *Historia utrwalona na zdjęciach*..., s. 15.

⁷² AKDP, Teczka *Parafia Jednorózcze (1945–1992)*, Pismo ks. J. Wójcika z dn. 5 IV 1972 r., nr 1762.

⁷³ AP, Dekret wizytacji biskupiej parafii Jednorózcze w 1949 r., s. 1.

i całe życie parafialne znajdowały się w oplakany stan. (...) wewnątrz jego było całkowicie zdemolowane. Plebania – zniszczona – Parkan cmentarza grzebalnego – rozebrany. W czasie rucznej administracji Księdza St. Morki wszystko już zostało naprawione i doprowadzone do przedwojennego stanu. Kościół odrestaurowany i całkowicie umeblowany. Parkan cmentarny – odbudowany. Odbudowana też została plebania, gotowa na przyjęcie nowego proboszcza. Życie religijne w parafii – dzięki dwukrotnym stanowym rekolekcjom (w Adwencie i w W. Poście) – niezmiernie się ożywiło.

Ponieważ wszystko to jest zasługą naszego obecnego Ks. Administratora, który swą niezmierną i gorliwą pracą duszpasterską – zjednął sobie serca i uznania wszystkich bez wyjątku – parafian – wobec czego – my parafianie Jednorózczy Serdecznie prosimy Jego Ekselencję Księdza Ordynariusza – by był łaskaw przeznaczyć nam Ks. Morko na stałego proboszcza do Jednorózcza.

*W imieniu wszystkich parafian podpisali Sołtysi i członkowie Rady Parafialnej w Jednorózcju Kardaś Józef, Maćkowski Aleksander, Mordwa Stanisław, Król Stanisław, Deptuła Władysław, Piotrak Stanisław, Pogorzelski Bronisław, Ferenc Franciszek, Tański Franciszek, Bronisław Kulasiński, Tabaka Antoni, Piotrak Piotr*⁷⁴.

Gdy ks. Morko dowiedział się o tym posunięciu, natychmiast napisał do Kurii Diecezjalnej Płockiej: *Aczkolwiek lud tamtejszej parafii jest niezmiernie zacny, szczerze religijny i przywiązany do Kościoła i swych duszpasterzy – to jednak – dla wielu względów – wolabym już pozostać w Drażdżewie, niż przechodzić do Jednorózcza*⁷⁵. Został więc w Drażdżewie, w Jednorózcju nadal był tylko administratorem.

Rok później parafianie jednorózczeccy zwrócili się do biskupa płockiego z ponowną prośbą o wyznaczenie stałego proboszcza, jednak nie

⁷⁴ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, Prośba parafian z Jednorózcza, wpł. 4 VI 1946 r., nr 1630.

⁷⁵ Tamże, List ks. S. Morki, wpł. 11 VI 1946 r., nr 1702.

podali kandydatury ks. Morki. Pisali m.in.: (...) *Ks. Franciszek Kaźmierczak Salezjanin (z Jaciżka) który wielokrotnie przyjeżdżał do naszej parafii z pomocą duszpasterską, naszemu Ks. Administratorowi oświadczył, że chętnieby przyszedł do Jednorozca na probostwo, gdyby Jego Eksceleńcja Ksiądz Biskup Ordynariusz parafię tę mu powierzył. Postaralby się wówczas o zwolnienie go ze Zgromadzenia Księży Salezjanów u swych Władz Duchownych i poprosił Jego Eksceleńcję o przyjęcie go do Diecezji Płockiej (...).* Prośbę poparł ks. S. Morko, podpisując się pod listem parafian z Jednorozca: *Nie mam nic przeciwko temu, by Ksiądz Fr. Kaźmierczak został proboszczem w Jednorozcu. Tymbar dziej, że jest to człowiek bardzo zacny i gorliwy duszpasterz (...)*⁷⁶. Jednak biskup zdecydował o pozostawieniu ks. Stefana na administratorstwie w Jednorozcu.

We wrześniu 1949 r. ks. Morko otrzymał nominację na administratora rodzinnej parafii w Porębie nad Bugiem. Jednak niektórzy z miejscowych parafian nie odnieśli się życzliwie do decyzji biskupiej, kierując w stronę kapłana nie mile komentarze oraz wyrzucając urazy, jakie żywili do jego ojca z czasów, gdy był miejscowym gajowym. Zarzucali też ks. Morce, że siłą chciał objąć placówkę w Porębie. Dlatego kapłan prosił Pasterza diecezji o pozostawienie na placówce w Drążdzewie⁷⁷. Wydarzenia związane z obsadą probostwa w rodzinnej parafii tak osłabiły ks. Morkę, że musiał kilka dni spędzić w szpitalu w Ciechanowie, gdzie leczył dające o sobie znać zapalenie stawów⁷⁸.

Słaby stan zdrowia sprawiał, że ks. Morko musiał często wyjeżdżać na kuracje. Najczęściej udawał się do uzdrowiska w Ciechocinku-Zdroju i do Krynicy Morskiej⁷⁹. Wówczas w parafiach Jednorozec i Drążdzewo posługiwali zakonnicy. Kilukrotnie pomagał o. Michał Stolarczyk, pasjonista z Przasnysza⁸⁰. Np. w 1950 r., gdy ks. Morko wyjechał do Ciechocinka, o. Michał zamieszkał w Jednorozcu 25 lipca, gdzie przebywał do powrotu administratora 4 września⁸¹. Zakonnik wspierał ks. Morkę również wówczas, gdy był już tylko proboszczem w Drążdzewie, m.in. w okresach: 16 VIII–30 IX 1956 r.⁸², 9–30 IX 1957 r.⁸³, następnie 18 VIII–18 IX 1958 r.⁸⁴. Miał też

zastępować proboszcza w czasie jego wyjazdu do Rzymu, który planował w 1965 r.⁸⁵.

Pomoc duszpasterską w Drążdzewie i Jednorozcu pełnili marianie z Warszawy. W 1952 r. po wyjeździe ks. Morki na urlop zdrowotny w sierpniu, obowiązki w Jednorozcu pełnił o. Witold Nieciecki⁸⁶. Po tym, jak zakonnik udał się na rekolekcje, jego obowiązki przejął o. Władysław Hulisz⁸⁷. Marianie zmieniali się co parę tygodni⁸⁸. W wakacje 1952 r. w Jednorozcu mieszkał 1 kapłan i 8 kleryków mariańskich⁸⁹.

Przyjeżdżający na wypoczynek i do pracy pasjoniści przasnyscy w grupie kilkunastu kleryków rezydowali w plebanii. Tam opiekowała się nimi żona kościelnego. „Przy sporządzaniu posiłków pomagała pani Krajewska. Ona też zbierała dobrowolnie

⁸⁵ Tamże, List ks. S. Morki z dn. 20 VIII 1965 r., nr 3920.

⁸⁶ Ks. Witold Nieciecki (1 III 1925–28 VI 2003) – pochodzący ze szlacheckiej wileńskiej rodziny inteligentnej marianin. Do zakonu wstąpił w 1943 r. Święcenia kapłańskie przyjął w 1950 r. w Warszawie. Był przez wiele lat ojcem duchownym kleryków mariańskich oraz całych prowincji mariańskich, prowadził rekolekcje dla kapłanów i osób konsekrowanych. W latach 1951–1957 pełnił obowiązki prefekta kleryków. W latach 1957–1963 był wiceprowincjałem Prowincji Polskiej. W 1964 r. obronił pracę pt. „Główne cechy duchowości Zgromadzenia Księży Marianów w świetle konstytucji mariańskich z 1930 r.”, którą wydano drukiem w Rzymie rok później. W latach 1969–1981 pełnił funkcję prowincjała marianów w Polsce. W latach 1981–1983, rezydując w Rzymie, zajmował się dostosowaniem konstytucji zgromadzenia do uchwał Soboru Watykańskiego II. W latach 1983–1993 był ojcem duchownym w naszym WSD w Lublinie. Od 1993 r. rezydował w domu na Marymoncie, gdzie aktywnie włączał się w duszpasterstwo parafii, głównie spowiadał i uczestniczył w życiu wspólnot neokatechumenalnych. Dał się też poznać jako dobry rekolekcjonista. Wiele publikował. Zmarł w Warszawie, pochowany został na Cmentarzu Wawrzyszewskim w Warszawie. T. Górski, *Witold Nieciecki*, [w:] *Słownik polskich teologów katolickich*, t. 9: 1994–2003, A–Z, red. J. Mandziuk, Warszawa 2006, s. 441; <http://www.padrimaryni.org/pl/curia/departed.php?year=2003> (dostęp 17 VIII 2016 r.).

⁸⁷ Ks. Władysław Hulisz (zm. 19 I 1988 r.), do 1973 r. członek Sądu Biskupiego, w latach 1978–1979 proboszcz parafii w Kiwitach (woj. warmińsko-mazurskie), pochowany w Warszawie na Wawrzyszewie. ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, Pismo wikariusza generalnego z dn. 9 VIII 1952 r., nr 2613; parafiakiwity.pl/kisieza.htm (dostęp 17 VIII 2016 r.); lustratorpolski.wordpress.com/2015/07/19/z-dziejow-parafii-rzymsko-katolickiej-w-raszynie/ (dostęp 17 VIII 2016 r.).

⁸⁸ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, Pismo ks. S. Morki, wpł. 6 VIII 1952, nr 2564.

⁸⁹ AKDP, Teczka Parafia Jednorozec (1945–1992), Pismo ks. S. Morko z dn. 15 VIII 1952, nr 2698.

przekazywaną przez gospodynie żywność np. artykuły mleczarskie, jajka i warzywa.⁹⁰

Gdy ks. S. Morko wyjeżdżał na kurację w czasie roku szkolnego, w pracy nauczyciela w Drążdzewie i Drążdzewie Nowym zastępowała go katechetka. Tak proboszcz pisał w 1957 r.: była to kobieta (...) *wykładająca naukę religii w jednoklasowej szkole w Drążdzewie Nowym. Jest to dawna, kwalifikowana, wzorowa nauczycielka, mieszkająca w tejże wsi (...)*⁹¹.

Jak wyglądało duszpasterstwo pasjonistów i marianów w Jednorozcu i Drążdzewie? Po niesporach, czyli wieczornej mszy, urządzano specjalną naukę dla młodzieży. Często odprowadzono nabożeństwa wieczorowe i nauki stanowe⁹². O posłudze zakonników w Jednorozcu tak pisano w liście z 1953 r.: (...) *Szczęśliwa była nasza Parafia, gdy unas byli na wakacjach w roku ubiegłym księży Marjanie z Warszawy-Bielan (...) księży Marjanie w pierwszą niedzielę swego przyjazdu ogłosili że ponieszporach będzie specjalna nauka dla młodzieży, to młodzież nieznając specjalnych nauk przybyła tak tłumnie że księży Marjanie podziwiali i to im sprawiło wielką radość (...). Księża Marjanie widząc chęć i przywiązanie do nauk i religii, zaczęli pracować na niwie naszej Parafii z wielkim zapałem, ogłaszając nabożeństwa wieczorowe i nauki a ludność obojga płci, wraz z młodzieżą, tłumnie przybywali na te nabożeństwa i nauki, nie bacząc na codzienne mozoły i prace w polu, tłumnie przystępowała ludność i młodzież nasza do stołu pańskiego codziennie. Nawet i działwa szkolna, każdy szedł z chęcią i radością, bo czerpał unich słowa pociechy, radości, i szczęścia duchowego, a największe szczęście to miała działwa przystępująca do 1-wszej komunii św. i generalnej; poprzednich lat to przygotowywał kościelnego Córka, a proboszcz to tylko wyegzaminował; a w obecnym roku ta działwa co przygotowywana było przez księży Marjanów to panowała wielka radość i szczęście w ich sercach, nawet i w ich rodzinach było to zadowolenie i całej parafii (...)*⁹³. Tak więc nie dziwne, że (...) *wskutek ciągłych, codziennych kontaktów z wakacyjnym duchowieństwem pozostały w sercach tamtejszych parafian miłe, i może katolickie, rzeczywiście wspomnienia (...)*⁹⁴.

Pracujący wówczas w sąsiedniej parafii Parciaki ks. Józef Wójcik tak po latach pisał w kronice parafii Jednorozec, którą objął po ks. Morce: (...) *Jedynie para warchalów nie doceniała starań i prac Ks. Morki zarzucając mu brak starań o budowę nowego kościoła i o nowego, stałego dla Jednorozca proboszcza (...)*⁹⁵. Echa tych zarzutów znaleźć można w listach

⁹⁰ T. Wojciechowska, *Historia utrwalona na zdjęciach...*, s. 15.

⁹¹ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List ks. S. Morki z dn. 14 VIII 1957 r., nr 3778.

⁹² AKDP, Teczka Parafia Jednorozec (1945–1992), Pismo ks. S. Morko z dn. 15 VIII 1952, nr 2698.

⁹³ Tamże, Pismo Rady Parafialnej z dn. 2 I 1953 r., s. 2–3.

⁹⁴ Tamże, Pismo M. Okólskiego, dziekana, 11 XI 1952, nr 3675.

⁹⁵ Kronika parafii Jednorozec, s. 26.

⁷⁶ AKDP, Teczka Parafia Jednorozec (1945–1992), Pismo parafian z Jednorozca z dn. 10 VI 1947 r., nr 1424.

⁷⁷ Tamże, List ks. S. Morki z dn. 4 IX 1949 r., nr 2511.

⁷⁸ Tamże, Informacja z dn. 10 IX 1949 r., nr 2522.

⁷⁹ T. Kruk, *Ksiądz Stefan Morko jakiego znałem...*, s. 4.

⁸⁰ J.J. Kopeć, *O. Michał Stolarczyk CP (1916–1981) – człowiek, zakonnik i kapłan*, „Studia Płockie”, 12 (1984), s. 235–240.

⁸¹ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List ks. S. Morko z dn. 2 VIII 1950 r., nr 2090.

⁸² Tamże, List ks. S. Morko z dn. 9 VII 1956 r., nr 2714.

⁸³ Tamże, List ks. S. Morko z dn. 10 VIII 1957 r., nr 3739.

⁸⁴ Tamże, List ks. S. Morko z dn. 3 VII 1958 r., nr 3313.

przechowywanych w Archiwum Kurii Biskupiej w Płocku.

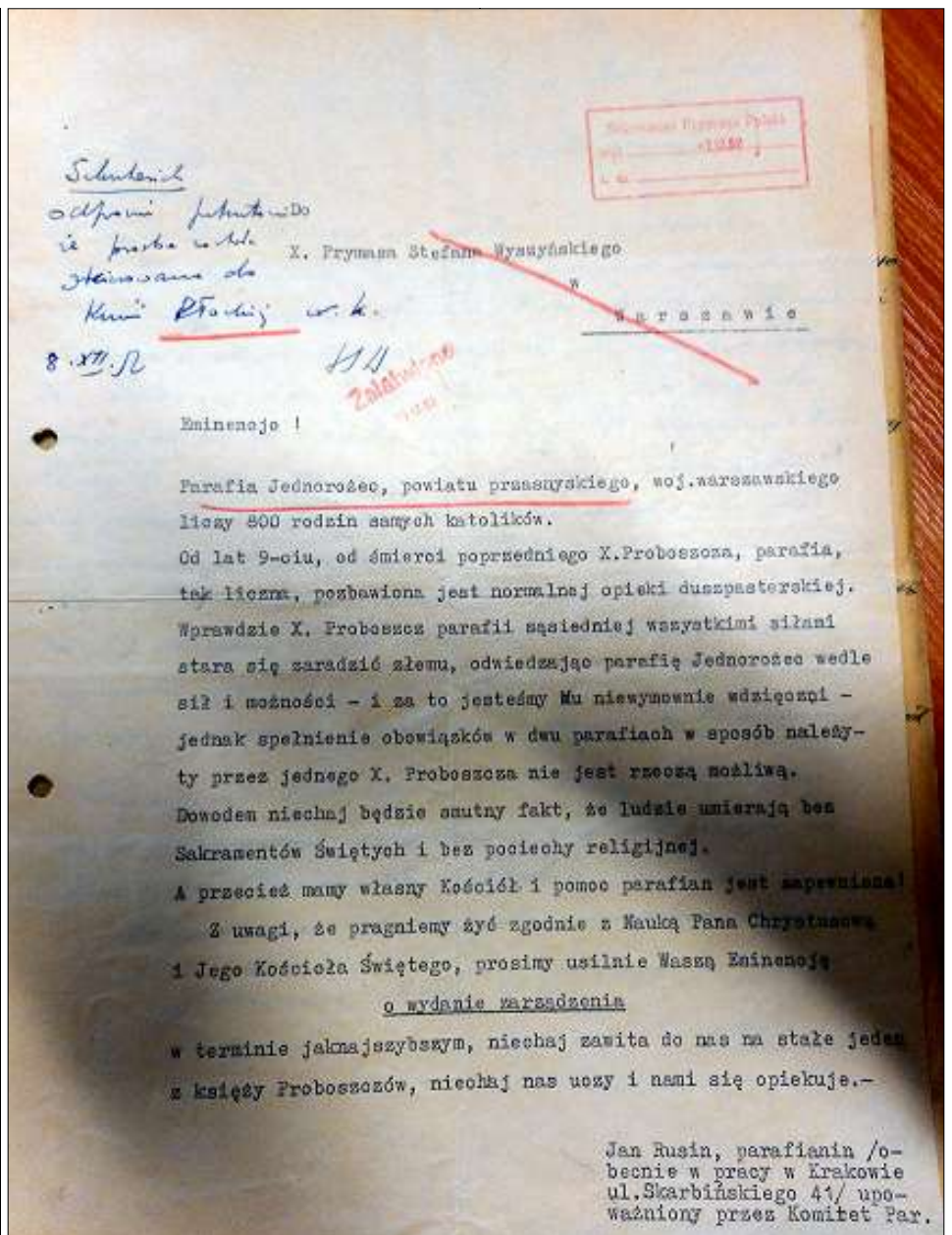
W dniu 1 XI 1952 r. w remizie OSP w Jednorozcu odbył się zebranie parafian. Sygnalizował je ksiądz podczas kazania oraz sołtysi gromad. Na zebranie jednak nie przyszedł ks. Morko, ale zastępujący go salezjanin z Jaciążka. Sala była pełna zebranych. Omówiono sytuację parafii oraz wybrano nową radę parafialną⁹⁶. W dniu 3 listopada odbyło się zebranie rady parafialnej, na którym podzielono poszczególne funkcje między jej członków. Wybrano też delegację na przyjazd biskupa do Przasnysza, planowany na dzień 9 XI 1952 r. Delegacja miała złożyć biskupowi sprawozdanie z sytuacji w parafii⁹⁷.

Listem z 10 XI 1952 r. grupa parafian z Jednorozca prosiła o zwolnienie ks. Morki z administracji parafii Jednorozec. Jako powód podano to, że ks. Morko *zaniedbał swoje obowiązki kapłańskie pod względem kościelnym i gospodarczym*. Miał nie dotrzymać przyrzeczenia, danego podczas kazania po objęciu parafii jako administrator, że w co drugą niedzielę będzie odprawiał w Jednorozcu sumę o 12:00. W rzeczywistości miał odprawiać sumę raz w miesiącu, a pozostałe nabożeństwa bez ustalonej pory. Drugim powodem było to, że ks. Morko nie rozliczał się ze zbieranych na potrzeby kościoła składek, *z czego parafia nie jest zadowolona*. Piszący czuli się pokrzywdzeni, przekonywali, że zła postawa kapłana ujemnie wpływa na podtrzymywanie wiary wśród parafian. Poza tym podobno 9 listopada ks. Morko podczas kazania wyzwał najgorliwszych parafian od „kozłowitów” i „bab”. Miał powiedzieć, że wszystkie pisma kierowane do kurii biskupiej przez parafian są od razu palone, bez czytania, zaś biskup wysłuchuje tylko próśb księży, nie warto więc słać listy do Kurii. Grupa parafian błagała władze diecezjalne, by usunęły ks. Morkę ze stanowiska administratora i wyznaczyły nowego proboszcza, a jeśli nie jest to możliwe, to pozwoliły któremuś marianinowi z Warszawy – jako cieszącemu się zaufaniem i estymą po wielu pobytach w parafii i naukach prowadzonych w wakacje – zajmować się parafią do czasu przybycia stałego duszpasterza. Autorzy listu wysłali delegację na spotkanie z biskupem podczas konferencji dekanalnej w Przasnyszu 9 XI 1952 r., ale z powodu spóźnienia i przybycia po odjeździe ks. biskupa, prośbę skierowali na piśmie⁹⁸. List przekazano dziekanowi przasnyskiemu, ks. Marianowi Okólskiemu. Ten, pisząc do biskupa, wykazał zrozumienie dla interesów parafian z Jednorozca, zauważając, że w ostatnim czasie we wsi często odbywają się zebrania, parafianie radzą, jak poprawić stan wspólnoty, a sam ks. Morko nie bierze udziału

⁹⁶ AKDP, Teczka *Parafia Jednorozec (1945–1992)*, Protokół z ogólnego zebrania parafian parafii Jednorozec 1 XI 1952 r., s. 2, załącznik do listu dziekana z dn. 11 XI 1952 r., nr 3675.

⁹⁷ Tamże, Protokół z zebrania Rady Parafialnej w dn. 3 XI 1952 r., załącznik do listu dziekana z dn. 11 XI 1952 r., nr 3675.

⁹⁸ Tamże, Prośba parafian z Jednorozca, 10 XI 1952 r., załącznik do listu dziekana z dn. 11 XI 1952 r., nr 3675.



Jeden z listów z prośbą o usunięcie ks. S. Morki z administratorstwa w Jednorozcu i wyznaczenie stałego proboszcza. Źródło: AKDP, Teczka *Parafia Jednorozec (1945–1992)*, Pismo J. Rusina, niedatowane, wpl. 8 XII 1952 r., załącznik do pisma Sekretariatu Prymasa Polski do Kurii Biskupiej Płockiej z dn. 10 XII 1952 r., nr 4121.

w spotkaniach, chociaż to obiecał. (...) *Dziś w Jednorozcu cisza przy kościele i w plebanii, i z tym ludziska pogodzić się nie mogą* (...) – pisał dziekan⁹⁹.

Inną wersję wydarzeń przedstawia pismo grupy parafian z Jednorozca z dn. 12 XI 1952 r. Autorzy przekonywali, że kampanię przeciwko administratorowi parafii rozpoczęło *paru wyrodnych parafian*, a organizatorem był człowiek, który w poprzednich latach podobnie oczerniał kapłanów posługujących w Jednorozcu, (...) *utrudniając im pracę duszpasterską i zatruwając życie*. Według podpisanych pod listem, żaden z uczciwych parafian nie miał wątpliwości, że ks. Morko naleźycie wykonuje swoje obowiązki i nie można mieć do niego żadnych zastrzeżeń. *Przeciwnie – wszyscy my – wierni synowie i córki Kościoła Katolickiego – odnosimy się do swego obecnego duszpasterza z należnym mu uznaniem i wdzięcznością za jego gorliwą*

⁹⁹ Tamże, Pismo M. Okólskiego, dziekana przasnyskiego z dn. 11 XI 1952, nr 3675.

pracę dla naszej parafii, za jego duszpasterską troskę i starania dla dobra naszych dusz – dodawano. Autorzy twierdzili, że ks. Morko nigdy nie wyrządził żadnemu z oszczerców (...) *najmniej nawet przykrości* (...). Kierując się jedynie troską o dobro parafii, przestrzegł mieszkańców przed szkodliwym działaniem tych ludzi, a ci w zemście rozpoczęli zbieranie podpisów pod skargą na administratora. Jednak, jak przekonywano, (...) *podpisy te składają przeważnie dzieci, które za ich namową podpisują swoich rodziców i do tego jeszcze okłamują ludzi tych którzy nie wiedzą o co chodzi że mają obietnicę od Jego Ekscelencji Arcypasterza Ks. Biskupa że natychmiast otrzymać Proboszcza dla naszej parafii tylko złożyć podanie z podpisami parafian*. *Lecz dorośli parafianie Jednorozcy - odnoszą się do tej akcji wicherzycielskiej z całym oburzeniem i odrazą* (...). Podpisani potępiali oszczerców, zapewniając o trosce o dobre imię parafii¹⁰⁰.

¹⁰⁰ Tamże, Pismo parafian z Jednorozca z dn.

List ten dotarł do Kurii Biskupiej wraz z innym pismem, przygotowanym przez tę samą grupę parafian, której przewodniczył sołtys gromady Jednorożec. Tym razem jednak tylko on podpisał się pod treścią, która miała zupełnie inny wydźwięk. *Powodowani uczuciami chwilowej złośliwości, gniewu i urazy do swego obecnego ks. administratora*

z 12 XI 1952 r. do dziekana przasnyskiego, a ten przesłał je do Kurii Biskupiej. Dziekan przasnyski, ks. Marian Okólski dodał: (...) *nieporozumienia z proboszczem załatwiłem po odbyciu konferencji z księdzem i autorami skargi wiadomej. Obecnie nastąpiło uspokojenie i w miesiącu grudniu zaproszony zostaje pallotyn ks. Broda, który w Jednorożcu*

z administratorstwa parafii Jednorożec i przydzielenie nowego proboszcza nie ustawały. Pojawiły się nawet konkretne propozycje na zastępstwo (np. o. Władysław Kulin, marianin), a jeśli nie byłoby to możliwe, parafianie prosili o *przydzielenie nam Ks. Proboszcza któryby się nami opiekował i z nami żył i współpracował*¹⁰⁴. W kolejnym liście



Mapa diecezji płockiej (według stanu na 1975 r.) z zaznaczonymi parafiami, związanymi z ks. S.W. Morką: podkreślono nazwę rodzinnej parafii kapłana (Poręba), prostokątną ramką obwiedziono nazwy parafii, w których pracował ks. Morko (Pniewo, Krasnosielc, Drażdzewo, Jednorożec), owalem obwiedziono nazwy parafii, w których pomagał w posłudze (Gąsewo, Święte Miejsce), a prostokątem z zaokrąglonymi brzegami oznaczono parafie, w których miał pracować ks. Morko, ale nie przyjął nominacji na stanowisko (Zakroczym, Gójsk, Poręba). Przerywaną czarną linią zaznaczono przybliżoną granicę diecezji płockiej i łomżyńskiej po zmianach w 1992 r. Wyk. M.W. Kmoch na podkładzie mapy z: *Diecezja Płocka. Struktura personalno-administracyjna (stan z dnia 1 października 1977 r.)*, Płock 1978.

ks. Stefana Morki – przesłaliśmy przed kilku dniami do Waszej Ekscelencji skargę, czyniąc w niej przeciw temuż księdzu administratorowi wiele nierozważnych zarzutów. – tak rozpoczęło się pismo. Autor przekonywał, że podpisani pod skargą na ks. Morkę przeprosili go i prosili o dalszą opiekę nad parafią. W związku z tym sołtys prosił o zlekceważenie poprzedniego listu oraz przeproszał za zachowanie parafian. Odwołał zarzuty przeciwko ks. Morce, choć podtrzymał prośbę o przydzielenie do parafii Jednorożec stałego proboszcza¹⁰¹. Jednak zauważyć można, że ostatni akapit – prośba o wyznaczenie proboszcza dla parafii Jednorożec – został napisany przez inną osobę, co ciekawe, przez ks. Morkę. To on przekazał oba listy: i napisany przez sołtysa, i omawiany wyżej list

przeprowadzi trzydniowe rekolekcje przed Bożym Narodzeniem. Cieszę się, że Wasza Ekscelencja przynajmniej do wyświęcenia nowej serii kapłanów z Jednorożcem nie będzie miał kłopotu (...) ¹⁰².

Ks. S. Morko nie żywił urazy do autorów skargi. W liście do biskupa z dn. 4 XII 1952 r. pisał jednak: (...) *Pomimo to, że ogół parafian jednorozkich jest mi oddany i szczerze życzliwy, to jednak uważam, że skuteczniej i owocniej ode mnie pracowałby na tej placówce każdy inny duszpasterz – mieszkając w Jednorożcu (...)*. Prosił o zwolnienie z obowiązków administratora parafii przed Wielkanocą 1953 r. i pozostawienie (...) *tylko w Drażdzewie gdzie czuję się zupełnie dobrze, gdyż wszyscy parafianie drażdzewscy są mi – po dawnemu – szczerze życzliwi i oddani (...)* ¹⁰³.

Prośby o zwolnienie ks. S. Morki

czytamy: (...) *Od lat 9-ciu, od śmierci poprzedniego X. Proboszcza, parafia, tak liczna, pozbawiona jest normalnej opieki duszpasterskiej. Wprawdzie X. Proboszcz parafii sąsiedniej wszystkimi siłami stara się zaradzić złemu, odwiedzając parafę Jednorożec wedle sił i możliwości – i za to jesteście Mu niewymownie wdzięczni – jednak spełnianie obowiązków w dwu parafiach w sposób należyty przez jednego X. Proboszcza nie jest rzeczą możliwą. Dowodem niech będzie smutny fakt, że ludzie umierają bez Sakramentów świętych i bez pociechy religijnej. A przecież mamy własny Kościół i pomoc parafian jest zapewniona!* (...) Pismo kończy się ponowną prośbą o wyznaczenie stałego proboszcza do Jednorożca¹⁰⁵.

List do Biskupa wystosowała też Rada

12 XI 1953 r., załącznik do listu dziekana przasnyskiego z dn. 21 XI 1952 r., nr 3797.

¹⁰¹ Tamże, Pismo sołtysa gromady Jednorożec, bez datacji, załącznik do listu dziekana przasnyskiego z dn. 21 XI 1952 r., nr 3797.

¹⁰² Tamże, Listu dziekana przasnyskiego z dn. 21 XI 1952 r., nr 3797.

¹⁰³ Tamże, List ks. S. Morki z dn. 4 XII 1952 r., nr 3979.

¹⁰⁴ Tamże, Pismo J. Rusina z dn. 4 XII 1952 r.

¹⁰⁵ Tamże, Pismo J. Rusina, niedatowane, wpł. 8 XII 1952 r., załącznik do pisma Sekretariatu Prymasa Polski do Kurii Biskupiej Płockiej z dn. 10 XII 1952 r., nr 4121.

Parafialna. Dowiadujemy się z niego, że kiedy Pasterz diecezji przebywał w Jednorozcu (zapewne w czasie wizytacji biskupiej w 1949 r.¹⁰⁶), oznajmił parafianom, że nie otrzymają stałego proboszcza przez okres *do ośmiu lat*. Wierni po wyjeździe księży marianów, posługujących w wakacje w Jednorozcu, z utęsknieniem czekali na ich powrót, a kiedy ci nie przyjechali na uroczystość Wszystkich Świętych, byli niezwykle zasmuceni. Upoważnili Bronisława Kulańskiego, by zebrał ofiary na msze św. za dusze w czyśćcu cierpiące, które planowano zamówić u księży marianów. Zebrano sumę 1700 zł. Jednak (...) *w dzień zaduszny ks. Proboszcz ktury administruje naszą parafią, poskończoną Mszę św. a pominięszy ceremonii i obrzędów przy katafalku, przepelniony zemstą udał się do powiatowej Komendy celem oskarżenia wyżej wspomnianego Kulańskiego jak również i sołtysa. za zbieranie ofiar dla księży Marjanów. proboszcz uwarzał że zostaną uwiecznieni, ale jednak nie udało się niewinna zasadzka zemsty wywołanej przez proboszcza a obydwa zostali zwolnieni, a ofiarę powierzoną dla Księży Marjanów domieścił w całości. Proboszcz stale brnie nienawiścią do tych parafian kturzy mając pisma proboszcza wyrażenia zgody, na staranie się u Księdza Biskupa o stałego księdza Proboszcza, wyzywając ich z ambony, od djabłów, Marjawitów, i Baptistów, proboszcz ztej nie nawiści, zemsty, i chciwości ktura go opanowała dopuszcza się rozmaitych faktów (...). Należały do nich: wyniesienie Najświętszego Sakramentu do zakrystii bez schowania go do tabernakulum, a po interwencji ministrantów i kościelnego schowanie Hostii do odpowiedniego miejsca; podzielenie komunikantów na pół podczas komunii w dniach rekolekcji (9–12 XII 1952 r.), a następnie, po tym, jak skończył się zapas komunikantów, przyniesienie z plebanii opłatków zwiniętych w gazetę i rozdawanie ich jako komunii po krótkiej modlitwie. Wobec tego Rada Parafialna, powołując się na to, że jest prawnie wybrana i zatwierdzona przez władze diecezjalne, prosiła o usunięcie ks. S. Morki z administratorstwa w Jednorozcu i przekazanie parafii marianom, (...) *bo tylko oni ponieśli w naszej parafii, wielką i nieoszacowaną godność i zasługę dla szafowania tych łask Bożych (...)*¹⁰⁷. Co więcej, w kolejnym liście zapewniano, że jeśli sprawa poruszana wielokrotnie przez parafian z Jednorozca nie doczeka się szczęśliwego dla zainteresowanych finału, to ci zwrócą się o przydział *Ks. do Kancelarii Rady Państwa, a obecny administrator usprawiedliwi się ze swych czynów przed odpowiedzialnością sądową (...)*¹⁰⁸.*

Rady Parafialnej dotyczy list ks. S. Morki z dn. 2 II 1953 r. W piśmie do Biskupa Płockiego administrator parafii Jednorozec

informował, że po oskarżeniach o bierność i brak inicjatywy Rady Parafialnej jej członkowie zrezygnowali. Wybrano nową kompromisową radę. Ks. Morko zaprosił do niej przywódców opozycji. Wszyscy razem zabrali się do pracy i zaczęli gromadzić materiały budowlane, ale ze względu na trudności w ich zdobyciu orzekli, że przyczyną tego stanu rzeczy jest brak stałego proboszcza w Jednorozcu. W związku z tym ks. S. Morko uprzedzał biskupa, że grupa wiernych planuje ponownie skierować odpowiednie podanie do władz diecezjalnych, choć nie została upoważniona do takiego działania przez pozostałych parafian, co więcej, ogół mieszkańców odnosi się do nich ze *wzgardą i odrazą*. Pomimo prób, ks. administrator nie potrafił zażegnać konfliktu, bo (...) *Garstka malkontentów będzie zawsze warcholić (...)*. Pozostali parafianie byli tak oburzeni na opozycję, że ks. Morko obawiał się awantury. Prosił więc o wyznaczenie innego duszpasterza dla parafii Jednorozec, ponieważ (...) *W obecnych (...) warunkach praca moja duszpasterska w Jednorozcu jest dla mnie niezmiernie uciążliwa (...)*¹⁰⁹. Rzeczywiście, zgodnie z zapowiedzią ks. Morki, w dniu 3 III 1953 r. Rada Parafialna wysłała prośbę do biskupa, (...) *ażeby jak najprędzej to Sieroctwo nasze się skończyło (...)*, przywołując dobrodziejstwa posługi duszpasterskiej księży marianów i wyrażając troskę o młodzież parafii¹¹⁰.

Z biegiem czasu ks. Morko z coraz większym trudem wykonywał obowiązki administratora w Jednorozcu i jednocześnie proboszcza w Drążdzewie. W liście do Biskupa z dn. 16 I 1953 r. pisał: (...) *Ponieważ stan mego zdrowia w ostatnim czasie tak się pogorszył, że praca w dwóch parafiach byłaby już ponad moje siły (...)*. Prosił o wyznaczenie stałego proboszcza lub powierzenie parafii któremuś z proboszczów sąsiednich parafii¹¹¹.

Biskup płocki od początku rozumiał potrzebę parafian z Jednorozca, by mieli stałego proboszcza. Już w dekrete wizytacyjnym z 1949 r. pisał: (...) *Poznałem i troskę parafii, która mimo że jest bardzo przywiązana do obecnego duszpasterza pragnęłaby mieć osobnego proboszcza na miejscu. Pragnienie to rozumiem i cenię – i gdyby nie chwilowy jeszcze wielki brak Duchowieństwa, chętniebym tej potrzebie zaradził. Ufam przecież, że i te trudności z czasem miną (...)*¹¹². Wyjaśnienie tak długo nie zmieniającej się sytuacji osobowej w parafii Jednorozec odnajdujemy w liście Wikariusza Generalnego do ks. S. Morki z dn. 5 III 1953 r.: (...) *w obecnych warunkach, kiedy nieustalony jest sposób wyznaczania przez Biskupa Ordynariusza proboszczów i administratorów parafii z pośród duchowieństwa świeckiego czy zakonnego wypada JKs. Proboszczowi przez pewien jeszcze czas opiekować się parafią Jednorozec w charakterze dotychczasowego jej*

administratora (...). Problem ciągnął się od września 1945 r., kiedy władze PRL zerwały konkordat ze Stolicą Apostolską, podpisany w 1925 r. Po wojnie brakowało też księży diecezjalnych, bowiem blisko 300 osób czynnie zaangażowanych w życie Kościoła straciło życie z rąk okupanta hitlerowskiego albo jako ofiary reżimu stalinowskiego¹¹³. Za pozostawieniem ks. S. Morki na stanowisku administratora parafii Jednorozec przemawiało też to, że żaden z okolicznych proboszczów nie miał tak dogodnego dojazdu do Jednorozca jak proboszcz z Drążdzewa. Tak więc w sytuacji braku wolnych księży świeckich lub zakonnych biskup prosił ks. Morkę o pozostanie w Jednorozcu¹¹⁴.

Jednak miejscowi parafianie nie zaprzestawali wysyłać delegacji do Płocka i za pośrednictwem dziekana przasnyskiego prosić o stałego duszpasterza. Dziekan ks. M. Okólski w liście do biskupa z 2 VII 1953 r. pisał: (...) *Ostatnio były niewiasty i ze łzami prosiły o stałego duszpasterza. Jest to zaiste dowód wielkiej jeszcze wiary ludu naszego, który w ten sposób wypowiada tęsknotę swą za kapłanem katolickim, pragnąc mieć go wśród siebie (...)*¹¹⁵.

W końcu w sierpniu 1953 r. pojawiła się informacja, że parafię w Jednorozcu ma objąć ks. Józef Wójcik, dotychczasowy proboszcz w Parciakach¹¹⁶. Jednak w świetle pisma brastewnego Teofila Tańskiego i prezesa Rady Parafialnej Bronisława Furmana, (...) *cala parafia jest niezadowolona (...)*. Działacze skierowali pismo do Biskupa, prosząc o skierowanie do Jednorozca ks. Ostaszewskiego¹¹⁷.

Stało się jednak tak, jak zdecydował pasterz diecezji - w dniu 15 X 1953 r. administratorem w Jednorozcu mianował ks. J. Wójcika¹¹⁸. Ks. Stefan Morko prosił, by mógł pozostać w Jednorozcu do 5 listopada w celu odpowiedniego przygotowania plebanii dla swego następcy. W połowie października 1953 r. rozpoczęto bowiem malowanie podłóg, drzwi i okien¹¹⁹. Ks. Morko twierdził, że do czasu przybycia nowego proboszcza farba w jednorozeckiej plebanii nie zdąży wyschnąć. Poza tym, pragnął otrzymać część ofiar zebranych podczas Zaduszek, m.in. jako zapłatę za bezinteresowną posługę podczas choroby poprzedniego proboszcza

¹¹³ Z. Zieliński przy współudziale S. Bober, *Kościół w Polsce 1944–2007*, wyd. 2, Poznań 2009, s. 45–47.

¹¹⁴ AKDP, Teczka *Parafia Jednorozec (1945–1992)*, Pismo Wikariusza Generalnego z dn. 5 III 1953 r., nr 676.

¹¹⁵ Tamże, List dziekana przasnyskiego z dn. 2 VII 1953 r., nr 1809.

¹¹⁶ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List bp T.P. Zakrzewskiego z dn. 24 X 1953 r., nr 2905/53.

¹¹⁷ AKDP, Teczka *Parafia Jednorozec (1945–1992)*, List B. Furmana i T. Tańskiego z dn. 9 X 1953r., nr 2813.

¹¹⁸ ADP, Teczka osobista: ks. Józef Wójcik + 7 II 1982 r., sygn. 283, Nominacja na administratora parafii Jednorozec, 10 X 1953 r., nr 2726/53.

¹¹⁹ Tamże, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List ks. S. Morki z dn. 20 X 1953 r., s. 1, sygn. 2905.

¹⁰⁶ AP, Dekret wizytacji biskupiej parafii Jednorozec w 1949 r., s. 1.

¹⁰⁷ AKDP, Teczka *Parafia Jednorozec (1945–1992)*, Pismo Rady Parafialnej z dn. 2 I 1953 r., załącznik do pisma z Sekretariatu Prymasa Polski do Kurii Biskupiej Płockiej z dn. 23 I 1953 r., nr 304.

¹⁰⁸ Tamże, List Rady Parafialnej z dn. 24 II 1953 r., nr 676.

¹⁰⁹ Tamże, List ks. S. Morki d. 2 II 1953 r., nr 365.

¹¹⁰ Tamże, List Rady Parafialnej z dn. 3 III 1953 r., nr 787.

¹¹¹ Tamże, List ks. S. Morki z dn. 16 I 1953 r., nr 154.

¹¹² AP, Dekret wizytacyjny dla kościoła w Jednorozcu z 26 VIII 1949 r., s. 1.

w Jednorozcu, ks. S. Bernatowicza. Swoją prośbę motywował tym, że z własnych środków spłacił długi zmarłego kapłana. Proponował, że ks. Stanisław Szczepkowski, mający objąć Parciaki po ks. J. Wójciku, otrzyma specjalną zapłatę za Zaduszki, jeśli translokaty zostaną przesunięte na 5 listopada¹²⁰.

Jednak odpowiedź bp Tadeusza Pawła Zakrzewskiego była jednoznaczna. Pasterz diecezji tak pisał w liście do ks. Stefana: (...) *uzasadnienie nie mogę przyjąć za słuszne. Przecież JKsiądz Proboszcz przez wszystkie lata, które administrował Jednorozcem pobierał wszystkie dochody, bez jakichkolwiek odciągnięć, więc miał kompensatę za dodatkową swą pracę którą wykonywał. Zaduszki zaś nie są rekompensatą za ubiegłe posługi, lecz opłacenie świadczeń naprzód, a więc czynności, które spełniać będą następcy. Ks. Szczepkowski ofiarowanej mu z laski kwoty zamiast Zaduszek nie potrzebuje, gdy obejmie z prawa parafię mu przeznaczoną. A nawet gdy na taką propozycję poszedł, to zostałby bez Zaduszek ks. Wójcik z chwilą, gdy JKsiądz Proboszcz wysuwa pretensję do nich w Jednorozcu (...)*¹²¹. W tej sytuacji ks. Stefan Morko z pokorą przyznał, że jego żądania były nieprzemysłane, bezsensowne i karygodne, jednak swój błąd zrozumiał dopiero po jakimś czasie. W odpowiedzi na pismo biskupa pisał, że bał się otworzyć koperty z listem, oczekując ostrej krytyki i reprimendy. Po lekturze pisma od Pasterza diecezji czuł ulgę i dziękując za ojcowską wyrozumiałość, usprawiedliwił swoje zachowanie wycieńczeniem fizycznym z powodu wyczerpującej pracy w szkole – łącznie było to 36 godzin religii w szkołach w Jednorozcu i Drażdżewie, (...) *nie licząc innych zajęć duszpasterskich. Praca ta – jak również wszelkie inne „tarapaty” i przykrości życiowe – wyczerpały mię do ostatnich granic sił (...)*. Ks. Morko dziękował więc Biskupowi za łaskawość, (...) *Tymbardziej, że Wasza Eksceleńcja Swoją serdeczną ojcowską dobrocią i wyrozumiałością – tak mię zawstydził – że nie będę śmiał Mu spojrzeć w oczy*¹²². Zgodnie z decyzją biskupa, ks. J. Wójcik objął placówkę w Jednorozcu w wyznaczonym terminie, czyli 26 X 1953 r.¹²³.

Niefortunny – mogłoby się wydawać – początek sąsiedztwa z ks. J. Wójcikiem nie sprawił, że kontakty księży się popsuły. Jednorozdecki proboszcz wielokrotnie zastępował ks. Stefana Morkę w Drażdżewie, gdy ten wyjeżdżał do uzdrowisk. Już w pierwsze wakacje po zakończeniu administrowania parafią Jednorozec ks. Morko wyjechał na miesiąc. W tym czasie zastępował go ks. Wójcik¹²⁴. Podobnie było rok później,

kiedy drażdżewski proboszcz kurował się w Krynicy w okresie 20 VIII–30 IX 1955 r.¹²⁵.

Latem 1955 r. po śmierci ks. Stanisława Bobińskiego, proboszcza z Krasnosielca, miejscowi wierni pragnęli, by ks. S. Morko został ich proboszczem. Przytaczam fragmenty ich listu: (...) *Ponieważ już pięć miesięcy upłynęło od śmierci ks. Bobińskiego i Parafia nasza nie ma Proboszcza prosimy, więc Waszą Eksceleńcję, żeby wysłuchał naszej prośby i wyznaczył ks. St. Morko na proboszcza w Krasnosielcu. Ksiądz Morko pracował u nas jako wikary przez trzynaście lat i wszyscy Go kochamy i szanujemy, bo jest gorliwym i zacnym kapłanem. Dużo dobrego czynił dla biednych i chorych. Parafia nasza byłaby szczęśliwa żeby miała takiego proboszcza. Chętnie słuchałaby Go i nadal szanowała dla chwały Bożej (...)*¹²⁶. Ks. Morko przychylił się do prośby wiernych. W liście do Biskupa pisał: (...) *Wyznam szczerze, że ja osobiście nie czuję się godnym otrzymania tego beneficjum, – mimo to – z wielkim zażenowaniem ośmielam się prosić serdecznie Waszą Eksceleńcję o probostwo w Krasnosielcu (...)*. Swoją kandydaturę motywował: bliskością translokaty, co było ważne z powodów zdrowotnych, chęcią pozostania w okolicy, w której spędził młodzieńcze lata, koniecznością zapewnienia sobie stałej opieki na starość, na co liczył wśród życzliwych mu parafian oraz bliskością grobu matki, pochowanej w Drażdżewie¹²⁷. Jednak z powodu krążącej plotki, że wyznaczonym duszpasterzem został ks. Mieczysław Litwiński¹²⁸, ówczesny proboszcz parafii Krzywnoługa Wielka w pow. przasnyskim, ks. Morko wycofał swoją kandydaturę, by nie wprowadzać nikogo w błąd. Prosił Pasterza diecezji o pozostawienie go na probostwie w Drażdżewie, (...) *Z czego też i moi parafianie są niezmiernie zadowoleni i jeszcze bardziej będą mi na przyszłość oddani, a Waszej Eksceleńcji bezgranicznie wdzięczni (...)* – kończył list¹²⁹. W 1956 r. proboszczem w Krasnosielcu został ks. M. Litwiński¹³⁰.

Z biegiem lat zdrowie ks. Morki pogarszało się. W lipcu 1959 r., po raz pierwszy w dotychczasowym życiu, nie uczestniczył w obowiązkowych wszystkich księży rekolekcjach kapłańskich. Zobowiązał się więc, że w najbliższym czasie odprawi rekolekcje w jednym z pobliskich klasztorów¹³¹.

Po latach pojawiła się kolejna propozycja zmiany parafii. W 1963 r. ks. Morko został

wyznaczony na proboszcza w Gójsku (pow. sierpecki). Odrzucił jednak nominację ze względu na to, że tamtejsza plebania była wilgotna, co mogło spowodować kolejne problemy zdrowotne. Dodał jednak: (...) *Wyznaję szczerze, że wyróżnienie to sprawiło mi wielką radość i stanie się dla mnie bodźcem do gorliwszej jeszcze pracy duszpasterskiej (...)*¹³².

W 1967 r. ks. S. Morko zgłosił swoją kandydaturę na proboszcza w Krasnosielcu, argumentując następująco: (...) *Wszyscy tam bowiem darzą mię bezgranicznym zaufaniem i miłością, żywią nadzieję, że do nich jeszcze powrócę – jako ich proboszcz (...)*¹³³. Jednak do 1973 r. parafii Krasnosielc przewodniczył ks. M. Litwiński¹³⁴.

W lutym 1968 r. ks. S. Morko otrzymał niepokojącą informację od życzliwych mu parafian z Krasnosielca. Ks. Jan Domurad, tamtejszy wikariusz, (...) *kolędując, oczerniał mię (w bezcelnej formie) - w wielu rodzinach, jakobym ja był inspiratorem i organizatorem awantur, jakie miały miejsce w Krasnosielcu we wrześniu ubiegłego roku (...)*. Chodziło o kolędę w domu Krzykowskich. Pan domu, Tadeusz, lekarz weterynarii, tak opisywał spotkanie z wikariuszem krasnosieleckim w oświadczeniu z 15 lutego: (...) *ta kolęda zaczęła się, po odmówionej modlitwie, od przykrych słów, bo na uprzejme słowa jednego z członków rodziny, że nasz dom jest ostatni [podkreślenie oryginalne - przyp. M.W.K.] w dniu kolędy, że może Ksiądz odpocząć zechce u nas – padły obraźliwe słowa: „Gorsze jeszcze widziałem”. – To oczywiście mogło urazić, a nie było wyjaśnienia mimo pytań w tym względzie (...)*. W dalszym ciągu rozmowy utrzymanej w ostrym tonie ze strony Księdza kolędującego dowiedzieliśmy się, że zajścia między plebanią a parafią we wrześniu ub. roku zostały jakoby spowodowane przez Ks. Morko, a żona moja była łącznikiem i jeździła wtedy do Drażdżewy kilkanaście razy dla utrzymania kontaktu w tej sprawie – co jest oszczerce i niezgodne z prawdą. Następnie Ksiądz wikary oświadczył, że podczas kolędy w innych domach dowiedział się, że Ksiądz Morko cieszył się dotąd w parafii Krasnosielc uznaniem i dobrą opinią, ale teraz stracił ją, a moja żona jakoby w tym Mu „pomogła”. (...) *Księdza Morko uważamy za tak szlachetnego, który nie splamiby się takim czynem jako człowiek, a tym bardziej jako kapłan (...)*¹³⁵. Zadającą pytanie wikariuszowi, czy dom Krzykowskich jest ostatnim przewidzianym tego dnia do wizytowania, była starsza już nauczycielka Hanna Bąkowska, ciotka żony Tadeusza Krzykowskiego, wedle ks. Morki uważana w parafii Krasnosielc za (...) *jedną z najbardziej religijnych i jedną z najszlachetniejszych i najzaczniejszych parafianek (...)*. Jak pisał ks. Morko, rodzina Bąkowskich żyła w przyjaźni ze wszystkimi

¹²⁵ Tamże, List ks. S. Morki z dn. 25 VII 1955 r., nr 2624.

¹²⁶ Tamże, List parafian z Krasnosielca 6 VI 1956 r., nr 2263.

¹²⁷ Tamże, List ks. S. Morki z 30 XII 1955 r., s. 34.

¹²⁸ Litwiński Mieczysław ks., [w:] S. Pajka, *Słownik biograficzny Kurpiowszczyzny...*, s. 598.

¹²⁹ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List ks. S. Morki z dn. 6 V 1956 r., nr 226(?)2.

¹³⁰ M.M. Grzybowski, *Jubileusz 600-lecia parafii Krasnosielc 1386–1986*, „Studia Płockie”, 15 (1987), s. 213.

¹³¹ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List ks. S. Morki z dn. 5 VII 1959 r., nr 3148.

¹³² Tamże, List ks. S. Morki z dn. 19 IX 1963 r., nr 3744.

¹³³ Tamże, List ks. S. Morki z dn. 15 IX 1967 r., nr 77.

¹³⁴ M.M. Grzybowski, *Jubileusz 600-lecia parafii Krasnosielc 1386–1986...*, s. 213.

¹³⁵ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, Oświadczenie T. Krzykowskiego z dn. 15 II 1968 r., nr 87.

¹²⁰ Tamże, List ks. S. Morki, wpł. 7 XI 1953 r., nr 3059, s. 1.

¹²¹ Tamże, List bp T.P. Zakrzewskiego z dn. 24 X 1953 r. nr 2905/53.

¹²² Tamże, List ks. S. Morki, wpł. 7 XI 1953 r., nr 3059.

¹²³ ADP, Teczka osobista: ks. Józef Wójcik + 7 II 1982 r., sygn. 283, List ks. J. Wójcika z 15 XII 1953 r., nr 3655.

¹²⁴ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List ks. S. Morki z dn. 23 VIII 1954 r., nr 2747.

duszpasterzami w Krasnosielcu, oprócz ks. M. Litwińskiego¹³⁶.

Ks. Stefan w liście do Biskupa Płockiego zapewniał, że nigdy nie podlegał krasnosielczan przeciwko ich duszpasterzowi, ks. Litwińskiemu¹³⁷. W dniu awantury w Krasnosielcu, czyli 7 IX 1967 r., ks. Morko zajęty był spowiedzią i organizacją odpustu w Świętym Miejscu, jaki miał mieć miejsce następnego dnia. Zastępował bowiem tamtejszego proboszcza. Zajście zorganizował kościelny, którego ks. Morko nie znał i nigdy się z nim nie kontaktował¹³⁸. Dokumenty z archiwów, które przeglądałam, nie precyzują, o jakie „zajście” chodziło. W liście do ks. Domurada drażdżewski proboszcza pisał, że wszyscy powojenni kapłani pracujący w Krasnosielcu, zarówno proboszczowie, jak i wikariusze, mogą zaświadczyć, że ks. Morko mówi prawdę. Żądał, by adresat w ciągu tygodnia odwołał oszczerstwo, inaczej skieruje sprawę do sądu biskupiego¹³⁹. Ks. Domurad odpisał m.in.: (...) *samorzutnie w rozmowach z parafianami / nawet z uczestnikami zajścia/ tej sprawy nie poruszałem, zasadniczy cel mając na uwadze – nie jątrzyć więcej. Będąc do rozmowy prowokowany, zarzuty starałem się łagodzić, a samo zajście do właściwych wymiarów sprowadzić. Między innymi domysły o udziale Księdza Proboszcza w tych wydarzeniach starałem się odsunąć. Nigdy jednak, przyznając to zgodnie z prawdą i jak słusznie sądzę, nie dochodziłem czy były to własne domysły mówiącego, czy przez kogoś i w jakim celu inspirowane, czy też była to wprost próba szantażu wobec mnie. (...) Nie mając zdolności ani upodobań plotkarskich rozmów z jednego domu nie powtarzałem w drugim. W domu p. Krzykowskich nie miałem również zamiaru sprawy zejść wrześnieowych poruszać. (...) nie mogłem jednak przyjąć niekoniecznego poczęstunku /plebania przeciw o kilka kroków/, nie poprosiwszy przedtem o pewne wyjaśnienie. To, co usłyszałem w odpowiedzi, skłoniło mnie do zwrócenia uwagi, że ich osobiste zaangażowanie się przeciwko księdzu proboszczowi mogło stać się przyczyną domysłów niektórych o rzekomym współdziałaniu Księdza Proboszcza, o którym jest mi wiadomo od poprzedników, że cieszył się zawsze wielkim uznaniem w Krasnosielcu (...). Nie twierdziłem i nie twierdzę jednak, że te domysły są zgodne z prawdą. Na dowód swej niewiary przytoczyłem zdanie, które nadal podtrzymuje i nie widzę w nim powodu do obrazy „nawet gdyby się pominęło względy zasadnicze, sądzę, że gdyby Ksiądz Morko coś organizował, zrobiłby to o wiele inteligentniej”. Nie sądziłem, że słowa wypowiedziane w rodzinie deklarującej swoją wielką przyjaźń z Księdzem Proboszczem zostaną Księdzu Proboszczowi wprost czy drogą pośrednią opacznie przedstawione. (...) siedząc w swoich czterech ściankach naprawdę nie wiem kto jest za, kto przeciw i kiedy za,*

¹³⁶ Tamże, Wyjaśnienie ks. S. Morki, niedatowane, nr 85.

¹³⁷ Tamże, List ks. S. Morki z dn. 5 II 1968 r., nr 594/68.

¹³⁸ Tamże, Wyjaśnienie ks. S. Morki, niedatowane, nr 85.

¹³⁹ Tamże, List ks. S. Morki z dn. 5 II 1968 r., nr 83.



Telegram informujący o śmierci ks. S. Morki. Źródło: ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215.

a kiedy przeciw. Przyjąłem postawę przeczekania tych swoich pozostałych krasnosieleckich miesięcy i nie mam zamiaru jej zmieniać kierując się nie tyle własną wygodą, ile słusznym chyba osądem, że tak będzie najlepiej dla parafii w której, z której i dla której obecnie żyję (...)¹⁴⁰.

Sytuacja rozwiązana została przez biskupa Piotra Dudźca, któremu wyjaśnienie sprawy powierzył Ordynariusz Diecezji, ks. bp Bogdan Sikorski. Ks. S. Morko i ks. J. Domurad stawili się w dniu 21 II 1968 r. w Płocku, gdzie złożyli odpowiednie oświadczenia. W protokole ze spotkania zapisano: (...) Z listu Ks. Domurada do Ks. Morko wynikałoby, że nie chciał i – jak jest przekonany – nie oczernił Ks. Prob. Morko. To samo stwierdził ustnie i prosił Ks. Morko, jeśli mimowolnie go uraził go czy obraził, żeby mu przebaczył. Ks. Morko aczkolwiek bardzo przeżył odgłosy, które doszły do niego z Krasnosielca chętnie do zgody pierwszy wyciągnął rękę, z tym, żeby Ks. Domurad szczerze starał się jakoś sprawę w państwa Krzykowskich wyjaśnić (...)¹⁴¹.

Warto przytoczyć kilka z opinii dziekanów dekanatu przasnyskiego, którzy na przestrzeni lat wyrazili pisemne opinie o ks. Stefanie. Oto niektóre z nich:

- (...) ks. Stefan Morko, administrator parafii: Drażdżewo i Jednorozec, jako pracownik na niwie Bożej oraz jako administrator beneficjów sobie powierzonych, pracuje wyróżniająco (...)¹⁴².

- (...) Starsza generacja. Zdrowie, siły mocno nadszarpnięte. Wygląd prawie starczy. Robi wrażenie człowieka z rozklekotanymi nerwami. Znany w okolicy jako „doktór” t. zn. lekarz. (...) Kapłan solidny, nie bojący się

¹⁴⁰ Tamże, List ks. J. Domurada z dn. 6 II 1968 r., nr 86.

¹⁴¹ Tamże, Protokół z przesłuchania Księdza Proboszcza Stefana Morko z Drażdżewa i Księdza Jana Domurada wikariusza z Krasnosielca, 21 II 1968 r., nr 1157/68.

¹⁴² Tamże, Opinia dziekana przasnyskiego z dn. 23 XI 1946 r., nr 3343.

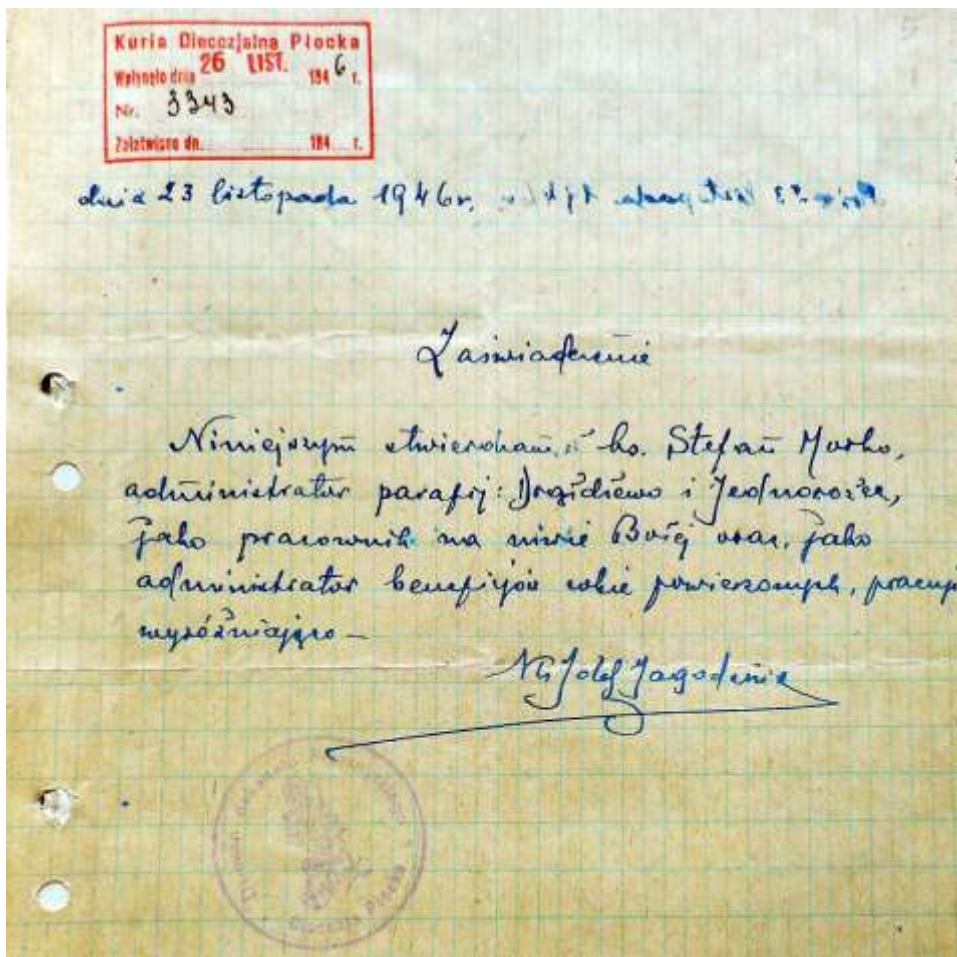
duszpasterskich trudów. Zwłaszcza rozżalony, zwłaszcza do niektórych konfratrów, ale ogólnie raczej zgodny i dobry sąsiad, uczynny. Zgodził się na przygarńnięcie do siebie kolegi kapłana w trudnej i skoplikowanej dla tego ostatniego sytuacji, gdy inni koledzy tej pomocy, w tej formie odmawiali. Obecnie gorliwie zastępuje nieobecnego sąsiada w par. św. Miejsce. (...) (17 VI 1967 r.)¹⁴³,

- (...) Ma małą, ale dobrą parafię. (...) Napewno są jakieś zaniedbania w parafii. Ks. Morko pracuje starymi metodami. Ma zastrzeżenia ks. Wizytator religii odnośnie katechizacji. In materialibus też dla parafii mało zrobiono. Ks. Morko jest już kapłanem zmęczonym pracą mimo higienicznego trybu życia /za wyjątkiem nadmiernego palenia/. Nerwowy. (...) ks. Morko utrzymuje zażyłe kontakty z parafianami krasnosieleckimi. Zajmuje się leczeniem. Specjalność egzema itp. Podobno ma jakieś sukcesy. Sam do niego kierowałem pacjentów. Lekarze wiedzą o tym, nie protestują. Zgorszenia ta zabawa w lekarza nie daje. Nawet częściowo podnosi jego autorytet. Słyszałem o rozgałęzionych kontaktach z rodakami w USA. Jakoby aż do żebraniiny przez wysyłanie multum listów włącznie. Trudno sprawdzić. Skarg nie było. (...) (10 III 1968 r.)¹⁴⁴;

- (...) Ks.S.M. nie można odmówić znacznej gorliwości duszpasterskiej, choć ma do niego zastrzeżenia wizytator religii. Mam nadzieję, że w części nowej plebanii znajdzie się już wkrótce miejsce na salę katechetyczną, odpowiednią. Ks.S.M. należy do starszej generacji kapłanów i nie we wszystkich podąża za nowym stylem duszpasterskim. Zdaje się, że nie każdego roku, a może nawet od lat nie urzęduje w swojej parafii normalnych rekolekcji wielkopostnych, tylko spowiedź całej parafii jednego dnia przy udziale zaproszonych spowiedników /zawsze w trzeci dzień

¹⁴³ Tamże, Opinia dziekana przasnyskiego z dn. 17 VI 1967 r., nr 5084.

¹⁴⁴ Tamże, Opinia dziekana przasnyskiego z dn. 10 III 1968 r., nr 5052.



Źródło: ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215.

Wielkanocy/ Stan zdrowia ks.S.M. ostatnio uległ poprawie /nie pali!/. (...) (24 III 1969 r.)¹⁴⁵,

- (...) lat 69, jest długoletnim proboszczem parafii Drążdżewo: parafii ciepłej, otwartej na przyjęcie słowa i nauki Bożej, gdy podane są w pięknej szacie i tchną oryginalnością i innością zaproszonego kaznodziei. Długoletnie zasiedzenie bowiem opatrzyło się nieco stałym słuchaczom. A okazji do posłuchania specjalnie zaproszonego kaznodziei czy rekolekcyjisty parafianie mieli dotąd mało. Statyczność duszpasterzowania przybrała na sile po skostnieniu poważnej choroby: posunięty wiek, zrozumiiałe zmęczenie a ostatnio choroba. Obserwowany ostatnio zryw z okazji odbudowy spalonej plebanii mógł zrodzić podziw u najbardziej krytycznego obserwatora. Dla przywrócenia jak najprędzej zakłóconego spokoju nie żał wykrzesać energię, rzucić zasobami materialnymi, przypomnieć się władnym osobistościom powiatowym. Dla dobra Sprawy należy sobie życzyć, by rozbudzona aktywność trwała długo i objęła tak b. istotny element duszpasterstwa jak katechizacja dzieci. (wpłynęło 10 II 1973 r.)¹⁴⁶;

- (...) Powoli żywa się z myślą, że trzeba będzie niedługo poprosić Biskupa Ordynariusza o pomoc młodego księdza, by sprostać wszystkim bieżącym sprawom duszpasterskim. Zdrowia i sił ubywa, wymogi rosna, lat przybywa. Jak dotąd jednak, mimo pozostawiania w stałym kontakcie z lekarzem,

¹⁴⁵ Tamże, Opinia dziekana przasnyskiego z dn. 24 III 1969 r., nr 755/71.

¹⁴⁶ Tamże, Opinia dziekana przasnyskiego, wpl. 10 II 1973 r., nr 462.

duszpasterstwo parafii jest zapewnione w stopniu wystarczającym. (...) (wpłynęło 11 III 1974 r.)¹⁴⁷.

Tak natomiast o ks. Morko pisał ks. bp Bogdan Sikorski w niedatowanej notatce (między 1965 a 1967 r.): (...) Kapłan solidny, asceta. Dobrze duszpasterzuje. Sprawił nowe organy w kościele, dba o splendor kościoła. Naukę religii prowadzi w salach katechetycznych. Ma zamiar powiększyć plebanię. Parafia duchowo dobrze [fragment nieczytelny]biona (...)¹⁴⁸.

Z powodu coraz gorszego stanu zdrowia ks. Morki na spotkaniu 18 V 1974 r. Pasterz diecezji zaproponował mu przejście na emeryturę. Drążdżewski proboszcz przez kilka dni zastanawiał się nad sugestią biskupa. W liście z 27 V 1974 r. przyznał, że jest to najkorzystniejsze rozwiązanie. Jako następcę w Drążdżewie – po swoim odejściu na emeryturę – sugerował ks. Jerzego Bralskiego, proboszcza z Troszyna w gm. Gąbin (pow. płocki)¹⁴⁹. Powodów było wiele: dwudziestoletnia znajomość, gotowość przyjaciela do odkupienia od ks. Morki niektórych sprzętów na plebanii, co pozwoliłoby uzyskać środki finansowe na kurację przewlekłej białaczki, a także to, że ks. Bralski zgodził się też, by 80-letnia siostra ks. Morki, Apolonia Kulesza, pozostała na plebanii. Po akceptacji warunków przez Biskupa, ks. Morko gotów był w każdej chwili

¹⁴⁷ Tamże, Opinia dziekana przasnyskiego, wpl. 11 II 1974 r., nr 1567.

¹⁴⁸ Tamże, Notatka bp B. Sikorskiego, nr 73.

¹⁴⁹ Bralski Czesław ks., [w:] S. Pajka, Słownik biograficzny Kurpiowszczyzny..., s. 100–101.

(...) zrezygnować z probostwa w Drążdżewie (...)¹⁵⁰. Biskup B. Sikorski zgodził się na propozycję ks. S. Morki na spotkaniu z nim i jego następcą w Płocku w dniu 8 VI 1974 r. o godzinie 10:00¹⁵¹.

Ks. Stefan Morko zmarł nieco ponad dwa miesiące później, 17 VIII 1974 r. w szpitalu w Warszawie. Bezpośrednią przyczyną zgonu było zapalenie płuc¹⁵². Pogrzeb odbył się dwa dni później w Drążdżewie. Ceremonia rozpoczęła się o godzinie 15:00. Mszę Świętą odprawił ks. infułat Zdzisław Piechna. On też poprowadził kondukt żałobny. W koncelebrze brali udział ks. Józef Wójcik, proboszcz z Jednoróżca, dziekan przasnyski i proboszcz z Baranowa ks. Paweł Orłowski, ks. Henryk Kosiński proboszcz z Gruduska, ks. Stancel, pallotyn pochodzący z parafii Krasnosielc, ks. Ksawery Archutowski, proboszcz ze Świętego Miejsca i ks. Telesfor Przygodzki. Na cmentarzu ks. Paweł Orłowski skierował słowa podziękowania dla duchowieństwa i wiernych, a w szczególności aktywnych parafian z Drążdżewa: chóru, asysty, ochotniczej straży pożarnej, orkiestry czy Rady Parafialnej. Podziękowania skierowane były też do mieszkańców parafii Jednoróżec i Krasnosielc. Ci ostatni ofiarowali zmarłemu wieniec z napisami: „Swemu ukochanemu wieloletniemu Duszpasterzowi – Parafia Krasnosielc”. W uroczystościach pogrzebowych brało udział blisko 90 księży oraz tłumy wiernych¹⁵³. Oto przemówienie wygłoszone na pogrzebie ks. S. Morki:

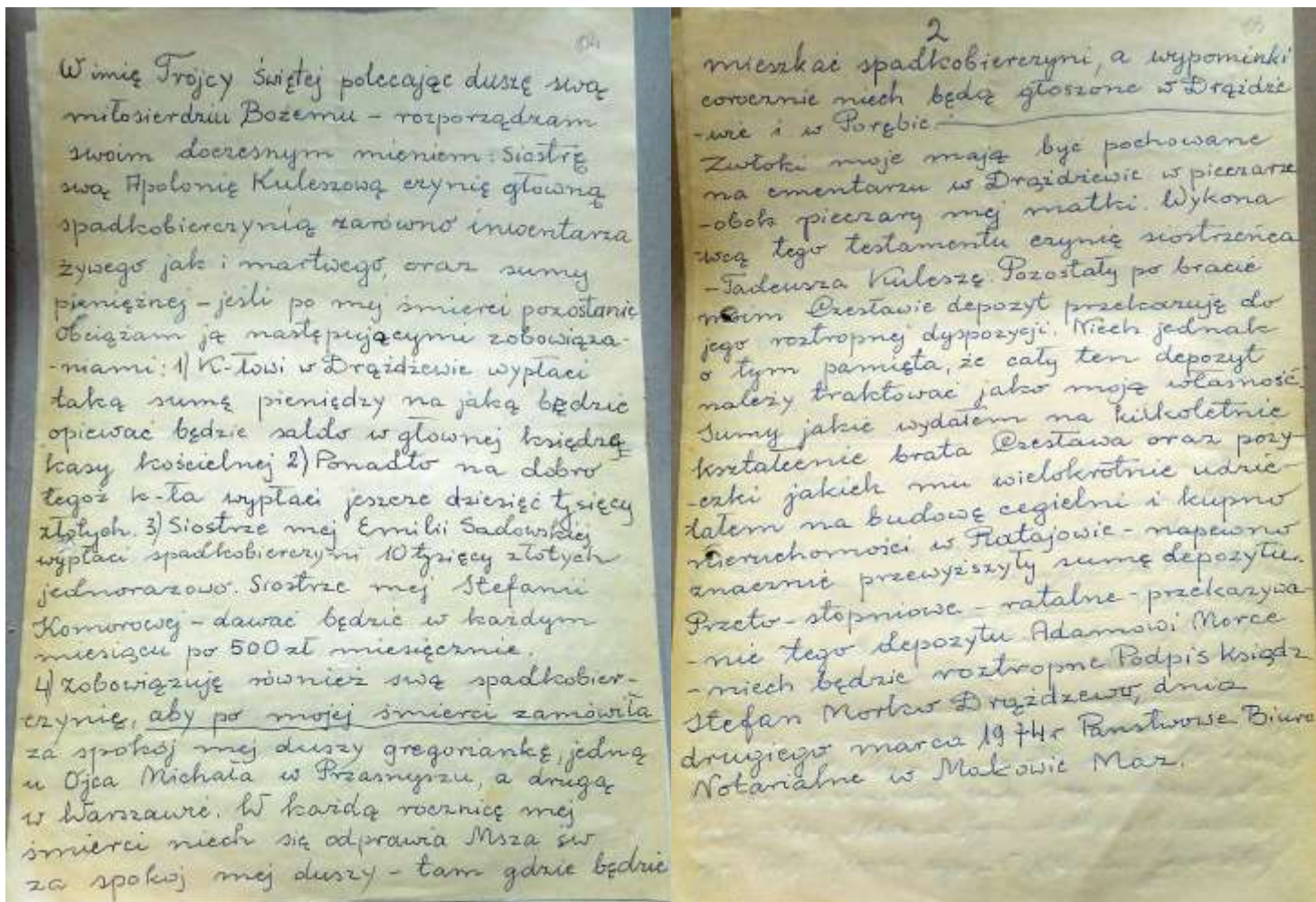
1. W księżce pt. „Zachód”, tłumaczonej z języka czeskiego, autor, Karel Rais, opisuje starego proboszcza wiejskiej parafii, który pragnie dotrzeć do końca życia w tym samym miejscu. Chce, by jego zwłoki wyniesiono do kościoła a potem na cmentarz parafialny z tej samej plebanii, w której przeżył tyle lat, by nabożeństwo żałobne było w kościele, w którym przez tak długi czas odprawiał Mszę świętą... by ciało jego złożono na cmentarzu, gdzie spoczywało tyłu jego parafian. Jednak w końcu daje się nakłonić młodemu księdzu z tego samego dekanatu i postanawia przenieść się do niego, by w jego plebanii dokończyć dni swojego życia. Ale kiedy ma wsiadać na furmankę, która miała go przewieźć na nowe miejsce, dostaje zawału serca i umiera. Pogrzeb, wstaje odbył się w „jego” kościele, zwłoki spoczęły na „jego” cmentarzu.

¹⁵⁰ ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215, List ks. S. Morko z dn. 27 V 1974 r., nr 3401.

¹⁵¹ Tamże, Pismo Biskupa Płockiego z dn. 1 VI 1974 r., nr 3401/74 oraz z 8 VI 1974 r., nr 3608.

¹⁵² Tamże, Notatka ks. Z. Piechny, nr 101.

¹⁵³ Tamże, Notatka o pogrzebie ks. S. Morki, nr 104.



Testament ks. S. Morki z 2 II 1974 r. Źródło: ADP, Teczka osobista: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215.

2. Coś podobnego miało miejsce w wypadku Ks. Stefana Morko. Gdy ze względu na brak sił fizycznych zniszczonych chorobą – choć nie przyszło mu łatwo podjąć taką decyzję – postanowił przez się parafii, prosił Ks. Biskupa, by dał mu jako swego następcę Ks. Jerzego Bralskiego. Objęcie parafii przez nowego proboszcza było wyznaczone na 18 sierpnia, w niedzielę zaś 11 sierpnia Ks. Stefan Morko chciał się pożegnać z parafianami. Dnia 7 sierpnia przyjechał do Przasnysza, by mnie zaprosić na ten dzień pożegnania. Miałem wygłosić przemówienie okolicznościowe, gdyż on sam obawiał się, że wzruszenie mówić mu nie pozwoli. Nie przypuszczałem, że to pożegnanie się nie odbędzie. Ks. Stefan Morko czuł się bowiem wtedy dobrze, był w wysmienitym humorze... w niedzielę 11 sierpnia przyjechałem do Drążdżewa, ale Ks. Morki nie zastałem na miejscu. Wczwartek zastał, zabrano go do szpitala w Makowie, a potem do Instytutu Hematologicznego w Warszawie. Odprawilem Mszę Św., w tym jedną o zdrowie Ks. Proboszcza na prośbę mieszkańców Drążdżewa. Od siostry zmarłego p. Kuleszowej dowiedziałem się, że w Warszawie czuje się ksiądz lepiej, jeszcze bardziej optymistyczną wiadomość o zdrowiu Ks. Morki podała mi ona we wtorek... A oto w sobotę przychodzi wiadomość, że Ks. Stefan Morko nie żyje. Pożegnanie z parafią odbywa się więc dzisiaj ... już na zawsze. Nie zobaczy już parafianie drążdżewscy swego proboszcza, który tak długo wśród nich pracował i pragnął spocząć tu na drążdżewskim cmentarzu, gdzie są pochowani: jego matka, brat i szwagier.

3. Ks. Stefan Morko był podobny do podróżnego, który z pośpiesznego pociągu miał się

przebrać do wąskotorowej kolejki dojazdowej, którą miał dotrzeć do celu podróży... Życie jego było pracowite, żył w rytmie przyspieszonym, możnaby powiedzieć nerwowym. Wszystko mocno przeżywał, przejmował się każdą sprawą czy zdaniem duszpasterskim. Myślał, że gdy nie będzie miał odpowiedzialności za parafię i nie będzie tak bardzo obciążony posługą kapłańską, pożyje jeszcze jakiś czas. Na pewno pomagalby nowemu rządcy parafii, bo bez pracy by nie wytrzymał, ale byłaby to praca bardziej spokojna, bardziej uzależniona od stanu zdrowia w danej chwili. Zamiary Boże były jednak inne. Bóg wezwał go własnym jego imieniem. Uznał, że już czas wysiąść na stacji mu wyznaczonej, na stacji, która się wieczność nazywa ...

4. Odszedł do swego Stwórcy, który dał mu wielką łaskę powołania kapłańskiego, odszedł po pracowitym, godnie spędzonym życiu. Ks. Stefan Morko urodził się w Porębie w roku 1904. Po skończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Łomży wstąpił do Seminarium Duchownego w Płocku. W roku 1932 otrzymał święcenia kapłańskie. Po kilkumiesięcznym wikariacie w Pniewie już pod koniec roku 1932 znalazł się jako wikariusz w Krasnosielcu i tu pracował aż do przejścia w roku 1945 na parafię do Drążdżewa. A więc lata życia kapłańskiego Ks. Stefana Morki upłynęły w Krasnosielcu i Drążdżewie ... Że praca ta była gorliwa, świadczy o tym przywiązanie parafian krasnosielskich jak i tych z Drążdżewa i Jednorozca, gdyż i w Jednorozcu duszpasterzował po śmierci Ks. Stefana Bernatowicza aż do roku 1953, kiedy ta parafia otrzymała własnego proboszcza w osobie Ks. Józefa Wójcika.

5. Ks. Stefan Morko był prawdziwie ojcem parafii. Często mówi się, że parafia to rodzina... Dobrze jest, jeżeli między głową tej rodziny, proboszczem, a wiernymi, którzy tę rodzinę tworzą, panuje zrozumienie, szacunek i prawdziwa miłość. Im więcej dobroci i miłości okazuje Ojciec tej rodziny, tym lepiej układa się współzycie. Ks. Stefan Morko właśnie podchodził do swoich parafian z dobrocią, zrozumieniem i miłością. Zawsze mieli oni do niego łatwy dostęp, nie raził ich swoją wyniosłością, nie odgradzał się urzędowością. Cechowała go bezpośredniość i serdeczność. Przybył do Drążdżewa w trudnych warunkach powojennych, żył początkowo wśród wielu trudności i ograniczeń, dzielił trudne życie swoich parafian. Dbał o dobro duchowe parafian, ale pomagał też ludziom w różnych chorobach ciała, korzystając z zasobu praktycznej wiedzy nabytej trochę z ksiązek, a trochę z doświadczenia w pracy kapłańskiej.

6. Właśnie ta ludzka i kapłańska dobroć zmarłego Ks. Stefana Morki zyskała mu życzliwość ludzi nie tylko w parafii drążdżewskiej, ale i w całej okolicy. Wszędzie, gdzie dotarła wieść o jego śmierci, słyszano słowa żalu po jego stracie. Chyba najlepszą pochwałą jest powiedzenie, które się słyszy: Był to dobry ksiądz...

7. Pod koniec życia będziemy sądzeni z miłości ... Św. Jan powiedział, że gdy się zachowa przykazanie miłości dane przez Chrystusa, to wypełni się całe prawo i zakon. Ponieważ więc Ks. Stefan Morko szedł przez życie dobrze czyniąc, mamy nadzieję, że dobry Bóg dał mu w nagrodę światło swej chwały. Nie wątpię jednak, że parafianie drążdżewscy i wszyscy, któ-



Ks. Stefan Władysław Morko. Źródło: T. Kruk, *Jubileusz 100-lecia parafii pod wezwaniem św. Izydora w Drążdżewie 1911–2011. Przedstawienie w 3 aktach*, „Wieści znad Orzyca”, 1 (57)/2012, s. 8.

rzy znali Ks. Stefana, będą go polecać Bogu w swoich modlitwach, aby uwieńczył utrudzone kapłańskie skronie koroną chwały w niebie (...)¹⁵⁴.

To, jaki był ks. S. Morko, dobrze podsumowuje jego testament, świadczący o trosce o bliskich oraz wielkiej miłości do parafii, w której spędził sprawię całe swoje życie – do parafii Drążdżewo. Przytaczam go w całości: *W imię Trójcy Świętej polecając duszę swą miłosierdziu Bożemu – rozporządzam swoim doczesnym mieniem: Siostrę swą Apolonię Kuleszową czynię główną spadkobierczynią zarówno inwentarza żywego jak i martwego, oraz sumy pieniędzy – jeśli po mej śmierci pozostanie. Obciążam ją następującymi zobowiązaniami: 1) K-łowi w Drążdżewie wypłaci taką sumę pieniędzy, na jaką będzie opiewać saldo w głównej księdze kasy kościelnej, 2) ponadto na dobro tegoż k-la wypłaci jeszcze dziesięć tysięcy złotych 3) Siostrze mej Emilii Sadowskiej wypłaci spadkobierczyni 10 tysięcy złotych jednorazowo. Siostrze mej Stefanii Komorowej – dawać będzie w każdym miesiącu po 500 zł miesięcznie 4) zobowiązuję również swą spadkobierczynię, aby po mojej śmierci zamówiła za spokój mej duszy gregoriankę, jedną u Ojca Michała w Przasnyszu, a drugą w Warszawie. W każdą rocznicę mej śmierci niech się odprawia Msza. Św. za spokój mej duszy – tam gdzie będzie mieszkać spadkobierczyni, a wypominki corocznie niech będą głoszone*

¹⁵⁴ Tamże, Przemówienie na pogrzebie ks. S. Morki, 19 VIII 1974 r.

w Drążdżewie i w Porębie.

Zwłoki moje mają być pochowane na cmentarzu w Drążdżewie w pieczarze – obok pieczary mej matki. Wykonawcą tego testamentu czynię siostrzeńca – Tadeusza Kuleszę. Pozostały po bracie moim Czesławie depozyt przekazuję do jego roztropnej dyspozycji. Niech jednak o tym pamięta, że cały ten depozyt należy traktować, jako moją własność. Sumy, jakie wydałem na kilkuletnie kształcenie brata Czesława oraz pożyczki, jakich mu wielokrotnie udzielałem na budowę cegielni i kupno nieruchomości w Ratajowie – na pewno znacznie przewyższyły sumę depozytu. Przero – stopniowe – ratalne – przekazywanie tego depozytu Adamowi Morce – niech będzie roztropne. Podpis Ksiądz Stefan Morko Drążdżewo, dnia drugiego marca 1974r. Państwowe Biuro Notarialne w Makowie Maz.¹⁵⁵.

Na zakończenie warto zacytować słowa ks. Stefana Morki z jego życiorysu, jaki napisał w czasie administrowania dwoma parafiami: w Drążdżewie i Jednorozcu, czyli między 1945 a 1947 r.: *W całej swej pracy na Niwie Pańskiej starałem się zawsze stosować w życiu zlecenie Św. Pawła Apostoła: „Wszystkim dla wszystkich stawaj się, abyś wszystkich pozyskał.”. Zaś za dewizę życia kapłańskiego postawiłem sobie słowa św. Łukasza Ewangelisty: „Opowiadać Ewangelię ubogim - posłał mnie Pan” Czy mi się to udało? Osądzi Bóg. Feci quod potui, faciant meliora potentes¹⁵⁶.*

Maria Weronika Kmoch
współpraca przy przepisaniu rękopisów
Anna Ziolkowska

Bibliografia:

Źródła:

A. Archiwalia:

I. Archiwum Diecezjalne w Płocku

Teczka osobowa: ks. Stefan Morko +17 VIII 1974 r., sygn. 215;

Teczka osobowa: ks. Józef Wójcik + 7 II 1982 r., sygn. 283.

II. Archiwum Kurii Diecezjalnej w Płocku

Teczka Parafia Jednorozec (1945–1992).

III. Archiwum parafialne w Jednorozcu

Bernatowicz S. ks., *Kronika kościelna par. Jednorozec za duszpasterstwa proboszcza teże*

¹⁵⁵ Tamże, Testament ks. S. Morki z 2 II 1974 r., nr 102–103.

¹⁵⁶ Tamże, Życiorys ks. S. Morki jego pióra, niedatowany, s. 2.

parafii ks. St.[efana] B.[ernatowicza];

Dekret wizytacji biskupiej parafii Jednorozec w 1949 r.;

Protokoły tradycyjne z 1949 i 1953 r.;

Sprawozdania duszpasterskie i wizytacyjne parafii Jednorozec z lat 1947–1950;

Wójcik J. ks., *Kronika Parafii Jednorozec od czasów powstania parafii, do czasów duszpasterstwa, została założona i napisana przez księdza proboszcza Józefa Wójcika w 1964 r.*

B. Źródła drukowane:

Mordwa E., *Skrócony opis powstania jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej w Jednorozcu*, kserokopia maszynopisu w zbiorach autorki;

Wilga S., *Smutna Dola Wioski Jednorozec*, oprac. M.W. Kmoch, KZH, 27 (2016), s. 3–44.

Opracowania:

Bralski Czesław ks., [w:] S. Pajka, *Słownik biograficzny Kurpiowszczyzny XX wieku*, Kadzidło 2008, s. 100–101;

Górski T., Witold Nieciecki, [w:] *Słownik polskich teologów katolickich*, t. 9: 1994–2003, A–Z, red. J. Mandziuk, Warszawa 2006, s. 441;

M.M. Grzybowski, *Jubileusz 600-lecia parafii Krasnosielc 1386–1986*, „Studia Płockie”, 15 (1987), s. 203–214;

Kmoch M.W., *Kapliczki, figury i krzyże przydrożne w gminie Jednorozec, Jednorozec 2015*;

Kopeć J.J., *O. Michał Stolarczyk CP (1916–1981) – człowiek, zakonnik i kapłan*, „Studia Płockie”, 12 (1984), s. 235–240;

Korzyb Karol ks., [w:] S. Pajka, *Słownik biograficzny Kurpiowszczyzny...*, s. 479;

Kruk T., *Jubileusz 100-lecia parafii pw. św. Izydora w Drążdżewie 1911–2011, cz. 1*, KZH, 6 (2011), s. 2–28;

Tenże, *Jubileusz 100-lecia parafii pw. św. Izydora w Drążdżewie 1911–2011, cz. 2*, KZH, 8 (2011), s. 2–40;

Tenże, *Ksiądz Stefan Morko jakiego znałem*, KZH, 5 (2011), s. 2–5;

Litwiński Mieczysław ks., [w:] S. Pajka, *Słownik biograficzny Kurpiowszczyzny...*, s. 598;

Przygódzki Czesław ks., [w:] tamże, s. 847;

Wojciechowska T., *Historia utrwalona na zdjęciach*, „Głos gminy Jednorozec”, 2 (42)/2016, s. 15;

Zieliński Z. przy współudziale S. Bober, *Kościół w Polsce 1944–2007*, wyd. 2, Poznań 2009.

Strony internetowe:

<https://lustratorpolski.wordpress.com/2015/07/19/z-dziejow-parafii-rzymsko-katolickiej-w-raszynie/> (dostęp 17 VIII 2016 r.);

<http://www.padrimaryni.org/pl/curia/depard.php?year=2003> (dostęp 17 VIII 2016 r.);

<http://www.parafiakiwity.pl/ksieza.htm> (dostęp 17 VIII 2016 r.).

Nagrania video:

Film ks. M. Mecha z lipca 1991 r.

Karczma w Drażdżewie uwieczniona na fotografii



Maria Weronika KMOCH

Są takie tematy, do których warto wracać wielokrotnie. Szczególnie, jeśli uda się zebrać więcej materiałów, dzięki którym możliwe jest uzupełnienie wcześniej zaprezentowanych informacji. Taka właśnie sytuacja miała miejsce w przypadku karczmy w Drażdżewie, która kilkakrotnie pojawiała się na łamach „Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego”. Niniejszy tekst stanowi podsumowanie dotychczasowych ustaleń wraz z ich uzupełnieniem i rozszerzeniem o materiały ikonograficzne, zebrane w jednym miejscu.

Karczma – czym jest? Dawniej określana mianem gospody, w Encyklopedii staropolskiej Z. Glogera opisana jest następująco: Gospoda znaczyła dawniej to samo, co dom zajezdny w mieście lub przy gościńcu publicznym, jak również każda kwatery czasowa nietylko w domu zajezdnym ale w każdym domu prywatnym, u szlachcica, mieszczanina, w klasztorze lub plebanii. Gospoda jest mieszkanie czasowe w domu cudzym (...). Wogóle były nieliczne i niewygodne, a to z powodu, że szlachcic w podróży zajeżdżał do każdego nieznanego szlachcica, jako do brata, znajdując zawsze gościnność dla siebie, sług i koni. Szlachta znała swoje najdalsze pokrewieństwa i powinowactwa tak, iż mawiano, że każdy szlachcic może przejechać z Gdańska do Kijowa „rzemiennym dyszlem”, stając gospodą tylko u kolligatów. Z taką samą uprzejmością dawały gospodę podróżnym klasztory i plebanie. (...) ¹. Co ważne jednak, karczma często też bardziej niż pielgrzymom służyła miejscowym ². Już za doby piastowskiej karczmy były pospolite po miasteczkach i wsiach polskich, zwłaszcza kościelnych, jako gospody dla pobożnych i podróżnych oraz miejsca do narad i biesiad. (...)

Karczmy polskie budowane z drzewa z wieku XVII i XVIII, jak o tem możemy sądzić z dawnych opisów inwentarskich i tamto czesnych budowli, które do XIX wieku dotrwały, przedstawiały plan dwojaki. Typ pierwszy miał w środku budynku w miejscu zwykłej po większych starych domach sieni poprzecznej na wylot, bramę na przestrzał przez którą wjeżdżało się do przybudowanej z tyłu prostopadle w kierunku tej sieni obszernej stajni zwanej stanem. W typie drugim stan był dobudowany nie z tyłu, ale w szczycie budynku karczemnego jako

szczytowe jego przedłużenie. W obu typach karczma polska miała wzdłuż czoła budynku podnienie na słupach, tylko w typie pierwszym wjeżdżało się do bramy i stanu poprzek podnienia, a w typie drugim, aby wjechać do stanu, potrzeba było przejechać wzdłuż całe podnienie (...) W ogóle karczmy dzieliły się na wjezdne czyli mające bramę wjezdną i stan, oraz niewjezdne nie mające bramy wjazdowej i stanu t.j. stajni z wozownią dla podróżnych (...) ³. Większe murowane karczmy zwano austeriami, pozostałe rzadko określano mianem gościńca. Inne nazwy karczmy to: osteria, wircausz, karwaser czy oberża ⁴.

Warto przypomnieć informacje na temat zależności dziejów karczem i historii Polski. Do tego posłużą nam fragmenty tekstu J. Radziejewicz: „Historia karczmy jest ściśle związana z prawem propinacji, znanym od czasów wczesnego średniowiecza. Początkowo było ono wyłącznym przywilejem panującego. Z czasem możliwość produkcji i sprzedaży wyrobów alkoholowych zyskali też właściciele ziemscy oraz osoby bądź instytucje, którym za odpowiednią opłatą udzielano specjalnego pozwolenia (tzw. monopol propinacyjny). W ten sposób na wsiach zaczęły powstawać karczmy sołtysie i plebańskie. W wielu miastach, a nawet wsiach w ogóle nie obowiązywał przymus propinacyjny (...). Funkcjonowały tam więc karczmy mieszczkańskie i chłopskie. (...)

[Od połowy XV w. – przyp. MW.K] Stopniowo zaczęły zanikać, liczne dawniej, karczmy sołtysie i chłopskie. Na wsi utrzymały się niemal wyłącznie dwa typy karczm: dworska i plebańska. W wielu okolicach występował przymus propinacyjny, polegający na konieczności zaopatrywania się w trunki wyprodukowane przez konkretny dwór lub uprawnionych przez niego arendarzy. Korzystanie z „cudzej” karczmy było traktowane jako jedno z cięższych przestępstw, za które trzeba było ponieść stosowną karę. (...)

Karczma stanowiła istotny element życia polskiej wsi. Dla chłopów pańszczyźnianych atrakcyjność tego miejsca zwiększała się poprzez kontrast z codziennym życiem wypełnionym pracą i licznymi obowiązkami względem swojego pana. Pobyt w karczmie pozwalał na chwilowe oderwanie się od szarej

rzeczywistości dnia codziennego. (...)

Nadmierne spożywanie alkoholu przez chłopów prowadziło niekiedy do kłótni i bójek. Konsekwencją tego typu zachowań były rozmaite kary: opłaty pieniężne, plagi czy przetrzymywanie w gąsiorze lub kunie, regulowane przez obowiązujące na danym terenie rozporządzenia. Wraz z powszechnymi zakazami bitek karczemnych funkcjonowały też regulacje dotyczące zakazu sprzedaży trunków na kredyt i czasu szynkowania. (...)

Faktyczne stosunki panujące w karczmie zazwyczaj znacznie odbiegały od obowiązujących ustaw i rozporządzeń. Chłopi urządzali tam zabawy, grali w karty, kości, niejednokrotnie dochodziło też do kłótni i bójek. Było to miejsce, gdzie normy moralno-religijne często były pozostawiane za progiem, szczególnie w sprawach współżycia seksualnego. W karczmie odbywały się zaręczyny, wesela, chrzciny i stypy, co w połączeniu z dużą ilością wypitego alkoholu prowadziło do pewnych rozluźnień obyczajowych. To tutaj poddani załatwiali między sobą swoje porachunki, bez uciekania się do orzeczenia pańskiego czy wyroku wójtowskiego. Było to również miejsce spotkań różnego rodzaju złoczyńców oraz miejsce, gdzie rodził się bunt przeciw uciskowi feudalnemu (...)

W latach dwudziestych XIX wieku na ziemiach polskich doszło do poważnych zmian w technice produkcji napojów alkoholowych. Do wyrobu wódki zaczęto wykorzystywać ziemniaki, co wpłynęło na znaczne obniżenie jej ceny. Konsekwencją tych posunięć był spadek konsumpcji piwa i wzrost spożycia napojów wysokoprocentowych. (...) Rozpowszechnienie zwyczaju picia wódki miało też wpływ na zmianę specyficznej atmosfery panującej w karczmach. Wcześniej stanowiły one miejsce zabawy całej społeczności wiejskiej, stając się w tym okresie jedynie miejscem picia wódki. Coraz trudniej było przebywać w karczmie kobietom, które z czasem zaczęły się pojawiać tylko podczas uroczystości rodzinnych, niedziel i świąt oraz zabaw przy wiejskiej orkiestrze. W ówczesnych czasach karczmy wiejskie często określane były mianem „pijackich melin”.

Na poszczególnych obszarach ziem polskich kształtował się dość różny model karczmy wiejskiej. Na terenie zaboru pruskiego, już od początku XIX wieku, władze zajęły się likwidacją prawa propinacji, chociaż przemysł gorzelniczy i browarniczy nadal był ściśle związany z własnością ziemską. Dworskie

¹ *Gospoda*, [w:] Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska*, t. 3, Warszawa 1903, s. ...

² T. Chrzanowski, *Karczmy i zajazdy polskie*, Warszawa 1958, s. 7.

³ *Karczma*, [w:] Z. Gloger, *Budownictwo drzewne i wyroby z drzewa w dawnej Polsce*, t. 2, Warszawa 1909, s. 84–85.

⁴ T. Chrzanowski, *Karczmy i zajazdy polskie...*, s. 13–14.

karczmy, nie posiadające już monopolu alkoholowego, stały się nieopłacalne, a ich właściciele bądź rezygnowali z prowadzonej działalności, bądź sprzedawali swoje lokale zawodowym karczmarzom. Z tego tytułu dość powszechne stały się karczmy prywatne. Ich właścicielami nadal byli Polacy, jednak coraz częściej wypierali ich bogatsi i cieszący się poparciem władz Niemcy. Natomiast liczba karczm żydowskich uległa poważnemu zmniejszeniu. Coraz silniejszy udział elementu niemieckiego w karczmarstwie wiejskim na ziemiach polskich zaboru pruskiego, przyczynił się również do zmiany charakteru tych lokali, zarówno pod względem architektonicznym jak i rodzaju oferowanych usług.

(...) Obowiązująca od 1844 roku na terenie Królestwa Polskiego ustawa o opłatach akcyzowych wpłynęła na ograniczenie liczby małych gorzelni oraz ustalenie zasad konsumpcji alkoholu w karczmach i szynkach. Zezwalała bowiem na sprzedaż alkoholu o ustalonej mocy, jedynie w lokalach posiadających specjalną koncesję, określała ich godziny pracy oraz zakazywała sprzedaży alkoholu na kredyt oraz osobom nietrzeźwym. W Królestwie Polskim, podobnie jak w Galicji, weszły w życie rozporządzenia zakazujące Żydom prowadzenia karczm. (...) udział tej grupy w tym zawodzie stał się stosunkowo nieliczny. Charakter karczm nie uległ drastycznym zmianom. Nadal w niedzielne oraz świąteczne popołudnia odbywały się tutaj zabawy taneczne i uroczystości rodzinne⁵.

Karczmy jako budynki z drewna w wielu przypadkach nie przetrwały próby czasu. Jak zauważył T. Chrzanowski w 1958 r., „Z roku na rok znikają nawet te, które przetrwały obie wojny światowe. (...) Już dziś pisząc o wyglądzie dawnej karczmy, nie sposób oprzeć się tylko na zabytkach zachowanych, lecz sięgać trzeba do materiałów ikonograficznych, do dawnych rysunków i obrazów, do zdjęć obiektów nieistniejących, do literatury⁶”. To założenie realizuje poniższy tekst, którego inspirację stanowiły trzy fotografie karczmy w Drążdzewie.

W pierwszym numerze „Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego”, a więc sześć lat temu, Cezary Kocot pisał: „Budowa Karczmy w Drążdzewie (...) przypada na okres, kiedy wieś wzmogła rozwój swojego przemysłownictwa na przełomie XVIII i XIX w., ożywił się ruch drogowy. Gościńce wypełnione zostały podróżnymi z towarami oraz taborem wojskowym. Ruchowi podróżnych sprzyjała bliskość granic z Prusami i Rosją. Tu, na Mazowszu północnym, Napoleon wyznaczył place boju, aby rozprawić się z armiami Rosji i Prus. (...) Karczma w Drążdzewie ustawiona była przez dwór Kraszińskich. Właścicielem klucza krasnosielckich dóbr, do którego należała

⁵ J. Radziejewicz, *Rola karczmy w życiu dawnej wsi polskiej*, „Rolniczy Magazyn Ekonomiczny”, 2013, 54, dostępne w Internecie:

<http://rme.cbr.net.pl/index.php/archiwum-rme/377-marzec-kwiecie-nr-54/kultura-i-tradycje-ludowe40-7681/339-rola-karczmy-w-yciu-dawnej-wsi-polskiej> (dostęp 7 X 2016 r.).

⁶ Tamże s. 14–15.



Fot. 1. Józef Wawrzyniec Krasziński (1783–1845), właściciel Drążdzewa na przełomie XVIII i XIX w., kiedy zbudowano opisywaną karczmę. Źródło: A. Sokołowski, *Dzieje porobiorowe narodu polskiego ilustrowane*, t. 2 cz. 1, Warszawa 1904. Poniżej mapa 1. Przybliżona lokalizacja karczmy na mapie Google. Wyk. M.W. Kmoch.



Drążdzewo, był wówczas Józef Wawrzyniec [fot. 1 – przyp. M.W.K], syn Kazimierza, Oboźnego Wielkiego Koronnego. Zbudowanie karczmy zależało od produkcji gorzelniczej i browarnej dworu lub zespołu majątków, do którego należały Bagienice, Chłopia Łąka i Tryłoga. Pośród mieszkańców Drążdzewa zachowała się pamięć o istnieniu tu gorzelnii (informację przekazał mi Jan Józwiak)⁷.

W zbiorach Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk zachowała się fotografia drewnianej chaty z Drążdzewa [fot. 2]. Niestety nie jesteśmy w stanie ustalić jej datacji, ponieważ opis fotografii zawiera tylko notkę „Eine Hutte”, czy „pojedyncza chata”. Ze względu na wygląd budynku oraz to, że w 1958 r. wspomniane zdjęcie zostało opublikowane w książce *Karczmy i zajazdy polskie*, możemy uznać, że przedstawia karczmę w Drążdzewie⁸.

Jak wyglądała ta karczma? Była drewniana, o konstrukcji zrębowej. Miała zwyczajowy podcień, stworzony przez słupy o skromnie

⁷ C. Kocot, *Drążdzewo w czasie wojen napoleońskich*, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, 1 (2010), s. 11.

⁸ T. Chrzanowski, *Karczmy i zajazdy polskie*, Warszawa 1958, s. 23.

profilowanych trzonach i zastrzały, tworzące malowniczą arkaturę (łuki). Jak bowiem głosiło powiedzenie, „karczma bez podcienia, człowiek bez sumienia”. Podcień stanowił dodatkową powierzchnię, często służącą do odpoczynku na świeżym powietrzu⁹. Pierwotnie dach karczmy w Drążdzewie był łamany, jak w większości polskich karczm¹⁰. Z czasem został przebudowany na jednospadowy i taki też widać na wspomnianym zdjęciu. C. Kocot zauważył: „W przebudowanej połaci wyróżnia się jednak odmienny gont, a brzeg połaci od strony lewej jest znacząco wygięty w miejscu pierwotnego uskołu dachu¹¹”. Ściana szczytowa budynku od strony trasy na Krasnosielc zakończona była drewnianym pazdurem, widocznym we fragmencie na omawianym zdjęciu. Był to element dekoracyjny budynku. Szczyt zaś posiadał pionowe deskowanie.

Władysław Kocot wspominał również: *Bale w ścianach były ośmiocalowe, obrabiane toporem, ze starodrzewek. Sama drzażga. (...) Karczma początkowo była kryta gontem (...)*¹². Na krótszej ścianie znajdowały się dwa okna, na dłuższej (w ścianie z podcieniami) jedno okno po prawej stronie drzwi i dwa okna po drugiej stronie drzwi. Okna posiadały drewniane zamykane na zewnątrz okiennice. Przy budynku stał znak z napisem „DRONŻDZEWO”. Posesję otaczał płot z rzeźbionymi sztachetami.

O tym, jak wyglądało wnętrze drążdzewskiej karczmy, wiemy niewiele. W. Kocot pisał: (...) *Ściany wysokie. Pułap z desek dwucalaków. Cały żółty od płam tryskającego piwa z otwieranych antalków (...)*¹³. C. Kocot zaś zanotował: „Wnętrze karczmy było jednotraktowe, co znaczyło, że z sieni na przestrzał wchodziło się do pomieszczeń. W. Łada wspomina, że karczma była duża łącznie z zajazdem. Właścicielem jej był ok. 1916 r. Josek Szlajfer¹⁴”.

Karczmy jako ważne miejsca dla lokalnej społeczności lokalizowano w miejscach często odwiedzanych, np. w pobliżu kościoła, na rozstajach dróg lub w pobliżu przepraw rzecznych. Czasem lokalizowano je też na granicy włości, by zachęcić do jej odwiedzania chłopów z sąsiednich majątności¹⁵.

Lokalizację karczmy drążdzewskiej można ustalić na podstawie fotografii z okresu I wojny światowej [fot. 3]. Strona z podcieniami znajdowała się od skrzyżowania, z przeciwnej zaś strony budynku dostawiono ganek przy wejściu oraz dobudówkę z dwuspadowym dachem i osobnym wejściem oraz kominem. Na drugim planie na zdjęciu widać kapliczkę pomorową z 1831 r. Karczma stała więc przy

⁹ Tamże, s. 29.

¹⁰ Tamże, s. 30.

¹¹ C. Kocot, *Drążdzewo w czasie wojen napoleońskich...*, s. 11–12.

¹² W. Kocot, *Moje wspomnienia*, rkps., cyt. za: T. Kruk, *Nie miała łatwego życia. Pamięci Matki w 100-lecie Jej urodzin*, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, 19–21 (2014), s. 18.

¹³ Tamże.

¹⁴ C. Kocot, *Drążdzewo w czasie wojen napoleońskich...*, s. 12.

¹⁵ B. Baranowski, *Polska karczma. Restauracja. Kawiarnia*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1979, s. 16.



Fot. 2. Karczma w Drążdzewie – zdjęcie datowane na „przed 1935 r.”. Zbiory Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

dzisiejszym rondzie im. ks. S. Morki między drogą do Przasnysza i do Krasnosielca [mapa 1]. Dzisiaj na miejscu karczmy wznosi się dom rodziny Kacprzyńskich.

Karczma wzniesiona została przy trakcie Pułtusk-Maków-Chorzela, biegnącym dalej do Królewca. C. Kocot zapisał, że „Okolo 150 m. naprzeciw karczmy od jej płn.-wsch. strony, zaczęto sypać groble w poprzek doliny Orzyca. Rzeka na tym odcinku płynęła w dwóch korytach, tym obecnym u podnóża skarpy, wzdłuż wsi oraz korytem wzdłuż skarpy Wólki i Zwierzyńca. W rozległej dolinie Orzyca powstał potężny zbiornik wody, który sięgał zalewem po Budy i Nakieł (...). Taka masa wody starczyła do pracy młyna zbożowego, tartaku i zespołu foluszy nawet w czasie letniej posuchy. Pracujące urządzenia przemysłowe gromadziły obsługę oraz dostawców i odbiorców towaru. Drzewo do tartaku dostarczano wodą tratwami z puszczy orzyckiej w okolicach Jednorozca i Bud.”¹⁶.

Ok. 1915 lub 1916 r.¹⁷ karczma w Drążdzewie została przebudowana. „Jego północną część okrojono o jedną-trzecią długości, aby uregulować bieg utwardzonego szutrem kamiennym gościńca Przasnysz-Baranowo. Gościńiec ten, odnotowany przez mapy z początku XIX wieku funkcjonował, ale z ograniczeniem. Odbывał się tu ruch lokalny, gdyż przejazd przez groblę na Orzycu

utrudniały prace młyna zbożowego i tartaku. Groble przecinały jazy wodne związane z pracą tych obiektów”¹⁸. W czasie I wojny światowej Niemcy postanowili też wybudować drogę z Krasnosielca do Chorzel przez Drążdzewo i Jednorozec. Jak wspominał Stefan Wilga, *Niemcy szykowali drogi, koleje i kolejki do rabunku, dla swojej korzyści. Ludziom dali zarobić. Ale nie robili to na korzyść naszej Polski, tylko dla swojej korzyści, żeby mogli jak najwięcej wykraść z Polski*¹⁹. Przy budowie drogi oraz układaniu torów pracowali zarówno mieszkańcy, jak i rosyjscy jeńcy wojenni²⁰. Karczma, stojąca na skrzyżowaniu tych dróg, wchodziła w trasę i dlatego musiała zostać zmniejszona.

Okrojona karczmę można zobaczyć na zdjęciu, które zostało opublikowane w czasopiśmie samorządowym „Przebój” w 1930 r. [fot. 4]²¹. Zdjęcie udostępnił dr Adam Białczak (Ostrołęckie Towarzystwo Naukowe im. Adama Chętnika). Zostało wykonane z niemal tego samego miejsca, co fotografia ze zbiorów IS PAN. W tym czasie karczma kryta była słomą²². Na zdjęciu widać jej zaburzoną

symetrię.

Karczma w Drążdzewie spłonęła w dniu 18 I 1945 r. „wraz ze środkową częścią wsi, w czasie natarcia sił sowieckich na cofającą się armię hitlerowską”²³. Budynek należał wówczas do Zakrzewskich²⁴. Jan Józwiak wspominał: *Byliśmy na ucieczce w Gierówce, u Antoniego Kowalczyka. Stamtąd widziałem pożar wsi, w tym zabytkowej karczmy na krzyżówkach. W pewnym momencie stał jeszcze płonący szkielet budynku, i po chwili to wszystko runęło...*²⁵.

Drążdżewska karczma była świadkiem wielu wydarzeń historycznych. Np. w marcu 1863 r. zatrzymali się tu powstańcy, walczący pod dowództwem Zygmunta Padlewskiego w bitwie pod Drążdzewem²⁶. Jeden z nich, dziewiętnastoletni Adam Motylewski, który za waleczność w bitwie pod Myszyńcem (8 III 1863 r.) został mianowany podoficerem, został ranny w czasie walk w Drążdzewie²⁷. Poszko-

¹⁶ C. Kocot, *Drążdzewo w czasie wojen napoleońskich...*, s. 11.

¹⁷ Tamże, s. 12; T. Kruk, *Nie miała łatwego życia...*, s. 18.

¹⁸ C. Kocot, *Drążdzewo w czasie wojen napoleońskich...*, s. 12.

¹⁹ S. Wilga, *Smutna Dola Wioski Jednorozec*, oprac. M.W. Knoch, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, 27 (2016), s. 32.

²⁰ Tamże.

²¹ *Z działalności Makow. Sejmiku Powiatowego*, „Przebój”, 2 (1930), 10, s. 19.

²² W. Kocot, *Moje wspomnienia*, rkps., za: T. Kruk, *Nie miała łatwego życia...*, s. 18.

²³ C. Kocot, *Drążdzewo w czasie wojen napoleońskich...*, s. 11.

²⁴ J. Gacloch, *Drążdzewo z Ziemią Krasnosielcką w tle...*, s. 173.

²⁵ Cyt. za: T. Kruk, *Nie miała łatwego życia...*, s. 18.

²⁶ Tamże.

²⁷ Szerzej na temat bitew pod Myszyńcem i Drążdzewem zob. Z. Lorenc, *Powstanie styczniowe w powiecie przasnyskim*, „Rocznik Przasnyski”, 3 (2016), s. 31–63.



Fot. 3. Zdjęcie karczmy w Drądzewie, usytuowanej w pobliżu dzisiejszego ronda im. ks. S. Morki. Na drugim planie po lewej kapliczka pomorowa z 1831 r. Fot. z ok. 1915 r. Zbiory Mirosława Krejpowicza.



Fot. 4. Karczma w Drądzewie ok. 1930 r. Źródło: *Z działalności Makow. Sejmiku Powiatowego*, „Przebój”, 2 (1930), 10, s. 19.

dowanego umieszczono w karczmie, gdzie przez strażników granicznych znaleziony z największym okrucieństwem zamordowany został²⁸.

Od 1922 r. na zapleczu gospody odbywała się nauka dzieci szkolnych (szkoła dwuklasowa), ponieważ budynek szkolny spłonął w czasie I wojny światowej (lipiec 1915 r.). Właścicielką była wówczas Marianna

Zakrzewska (zm. 1956 r.)²⁹. „Szkoła zajmowała w karczmie dwie izby w części południowej: większą od frontu i mniejszą od podwórka. Resztę budynku zamieszkiwała rodzina Chrzanowskich. Senior rodu Józef Chrzanowski prowadził masarnię. W jednym pomieszczeniu z bufetem masarskim mieściła się szkolna szatnia³⁰.”

Zaprezentowane zdjęcia są jedynymi dotychczas znanymi przedstawieniami drądzewskiej karczmy. Niewykluczone jednak, że jakieś fotografie ją przedstawiające kryją się w albumach mieszkańców gminy Krasnosielc. Zachęcamy do kontaktu wszystkich, którzy są w stanie uzupełnić tę opowieść, zarówno informacjami, jak i zdjęciami.

Maria Weronika Knoch

²⁸ Cyt. za: J. Gacloch, *Drądzewo z Ziemią Krasnosielcką w tle*, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, 27 (2016), s. 168.

²⁹ Tamże, s. 169; *PSP im. E. Rolskiego w Drądzewie*:

<http://pspdrazdewo.pl/dokumenty/strona/historia/> (dostęp 3 X 2016 r.).

³⁰ T. Kruk, *Nie miała łatwego życia...*, s. 18.



Wielkie odkrycie w Drażdżewie Małym

Mirosław Chodkowski

Niezbyt głęboko w ziemi, ale przeleżał w niej ponad 2500 lat. O przypadkowym odkryciu prawdziwego skarbu w Drażdżewie Małym za pośrednictwem mediów radiowych, telewizyjnych, prasowych i internetowych dowiedziała się pod koniec września tego roku cała Polska. Niestety, nie jest to wielka skrzynia wypełniona złotem i brylantami, ot zaledwie cztery sztuki biżuterii, ale za to jakiej!

Skład tego skarbu to trzy naszyjniki i bransoleta, wykonane z litego drutu brązowego o grubości od 0,8 do 1,2 cm. Naszyjniki w kształcie obręczy o średnicy od 20,5 do 22 cm zdobione są ornamentem rytym w postaci krokiek, a jeden z nich posiada unikatowe zdobienie w postaci dodatkowych uszek na obwodzie. Archeolodzy po pobieżnym obejrzeniu tego znaleziska twierdzą, że cechy stylistyczne odkrytych przedmiotów wskazują na pochodzenie z kręgu kultury łużyckiej oraz pozwalają na ich datowanie na okres halsztacki, a więc na ok. 2500 lat temu.

O cennym znalezisku poinformowało na swojej stronie internetowej Mazowieckie Stowarzyszenie Historyczne Exploratorzy.pl. Jego odkrywca - Przemysław Wojtasiak - zgłosił ten fakt stowarzyszeniu. Skarb następnie trafił do Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków Delegatura w Ostrołęce. Skarb trafił do Małgorzaty Balcerzak, archeolog w ostrołęckiej delegaturze WKZ. Znaleziska są poddawane konserwacji, a także opracowaniu naukowemu. Po zakończonych pracach trafią do Muzeum Kultury Kurpiowskiej w Ostrołęce. W najbliższym czasie planowana jest wizja lokalna w miejscu odkrycia.

- Znalezisk z epoki brązu odnajduje się nieszczególnie dużo. To przedmioty, które mają około trzech tysięcy lat, więc bardzo często są w bardzo słabym stanie. Czasami są odnajdowane na polach omych, więc przez prowadzone prace rolnicze są po prostu w częściach – tak na łamach portalu naukawpolsce.pap.pl wypowiedział się Adrian Kłós, wiceprezes stowarzyszenia. - Naszyjniki i bransolety odnaleziono na terenach, na których najprawdopodobniej nie prowadzono intensywnych prac rolnych, dlatego stan tego znaleziska jest tak dobry - dodaje.

Wyjątkowość tego znaleziska potwierdza fakt, że podobne przedmioty z tego okresu nie były dotąd znajdowane na obszarze północno-wschodniego Mazowsza. - Najbliższe znane okazy tego typu pochodzą z okolic Szczytna i z Pomorza. W tym kontekście można mówić o dużej sensacji archeologicznej - wyjaśnia Elżbieta Olejak, kierownik delegatury WKZ

w Ostrołęce. Szczególną uwagę archeolodzy i historycy zwracają na wyjątkową rzadkość w tego typu znaleziskach, a mianowicie tzw. naszyjnik uszkowy – to ten na którego obwodzie rozmieszczono 9 uszek. Wszyscy się zastanawiają, jak on mógł dotrzeć na teren północnego Mazowsza.

Cytowany wcześniej Adrian Kłós twierdzi, że na tych terenach nikt wcześniej nie spotkał się z tego typu ornamentyką. Jeśli już je gdzieś odnajdywano, to zwykle bez uszek. To szczególnie cenne przedmioty dzięki ich dobremu stanowi, ilości przedmiotów jednocześnie odnalezionych i właśnie tym uszkom.

Przedmioty, które znaleziono w Drażdżewie Małym, należy powiązać z kulturą łużycką. Prawdopodobnie stanowiły element wyposażenia zmarłego w grobie ciałaopalnym. Zwłoki umieszczano na stosie, czasami z rzeczami zmarłego. Przy ciele kładziono przedmioty prywatne lub związane z pracą, np. koraliki przy ciałach szwaczek. Po spaleniu ciała pozostałości zbierano i składano w ceramicznych urnach. Naczynie pewnie uległo rozkładowi, natomiast przedmioty z brązu mogą przetrwać w sprzyjających warunkach nawet tysiące lat w dobrym stanie, gdyż na ich powierzchni tworzy się warstwa patyny. Pokrywa ona przedmiot jak swoista powłoka chroniąca metal przed niekorzystnym działaniem atmosfery lub ziemi.

Należy wspomnieć, że Mazowieckie Stowarzyszenie Historyczne Exploratorzy.pl, której celem organizacji jest szerzenie wiedzy o Mazowszu przez organizowanie wystaw, szkoleń, pokazów, rekonstrukcji i poszukiwań terenowych, już raz dokonało na naszym terenie podobnego odkrycia. Otóż przy okazji penetracji terenu tzw. Polskiej Kępy (gm. Jednorzec), czyli reduity Powstańców Styczniowych, wśród wielu przedmiotów znaleźli m.in. dwa sztylety z wczesnej epoki brązu. Jeden z nich to - jak czytamy na stronie stowarzyszenia – to być może tzw. berło sztyletowe, czyli artefakt ówczesny stanowiący



Zestaw biżuterii sprzed 2500 lat, odnaleziony w Drażdżewie Małym.

oznakę władzy i zamożności. Zarówno tamto, jak i obecne znalezisko może świadczyć, że na terenie naszej gminy istniało osadnictwo już w okresie epoki brązu, a wśród osadników byli również ludzie zamożni.

Z dużym prawdopodobieństwem można założyć zatem, że w niedługim czasie w miejscu odkrycia znaleziska, a może także w innych miejscach naszej gminy, podjęte zostaną prace wykopaliskowe. Oby przyniosły one jeszcze bardziej interesujące efekty świadczące o jakże bogatej i długiej historii Ziemi Krasnosielckiej i Drażdżewskiej.

Wszystkich, którzy chcieliby szukać tych skarbow na własną rękę, należy jednak uświadomić że tego typu działalność jest jednoznacznie uwarunkowana odpowiednimi przepisami prawnymi. W przypadku znalezienia skarbu (czyli rzeczy o znacznej wartości materialnej, naukowej lub artystycznej) zgodnie z brzmieniem art. 189 Kodeksu cywilnego (Dz. U. z 1964 r. Nr 16, poz. 93, z późn. zm.) znalazca obowiązany jest powiadomić i oddać rzecz właściwemu organowi państwowemu, gdyż znaleziska te przechodzą na własność państwa. Nie zastosowanie się do tego przepisu grozi karą grzywny, natomiast w przypadku zgłoszenia znalezionego przedmiotu do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków - na jego wniosek - Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego może przyznać znalazcy nagrodę pieniężną.

Mirosław Chodkowski

Informacje z: aukawpolsce.pap.pl/aktualności,
exploratorzy.pl, newsweek.pl/historia
gminakrasnosielc.pl

[patrz również fot. na s. 2](#)



Z dziejów Krasnosielca i okolic (1836–1869)

Urszula DEMBICKA

Przedruk z: „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego”, 8 (1994), s. 71–87.

Wprowadzenie

Krasnosielc, noszący dawniej nazwy Szedlec - 1386 r., Siedlyecz - 1530 r., Sielcz - 1567 r., Siedlec, Sielc - leży nad rzeką Orzyc i wchodzi obecnie w skład województwa ostrołęckiego. Zachowana do dziś zabudowa i układ ulic świadczą o jego miejskiej przeszłości, chociaż dzisiaj jest to wieś gminna. Krasnosielc, tak jak wiele małych mazowieckich miejscowości, nie doczekał się dotąd całościowego opracowania dziejów, chociaż ze względu na jego bogatą przeszłość historyczną warto by to uczynić. W źródłach drukowanych można znaleźć jedynie wzmianki o tej miejscowości, związane z ważnymi wydarzeniami, np. z okresem wojen szwedzkich, walk napoleońskich czy wreszcie z okresem powstań narodowych.

O najwcześniejszej historii Krasnosielca i okolic mówią wyniki badań archeologicznych, zawarte w pracach m.in. Ireny Górskiej, St. Gądzikiewicza i E. Kempistego.¹ Problem osadnictwa na Mazowszu, a więc i w okolicach Krasnosielca, poruszają w swoich pracach: Anna Borkiewicz-Celińska, Anna Żaboklicka-Wąsowicz, Adam Wolf. A także Jerzy Wiśniewski, który wymienia mazowiecką szlachtę z pow. przasnyskiego, biorącą udział w zasiedlaniu ziem nad Wisłą w pow. grajewskim.²

¹ Irena Górską, Wczesnośredniowieczny zespół osadniczy w Sypniewie, w: *Szkice z najdawniejszej przeszłości Mazowsza*, Wrocław-Warszawa-Kraków, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1980; St. Gądzikiewicz, *Wybrane zagadnienia z badań nad Kulturą Grobów Kłoszowych*, „Wiadomości Archeologiczne” tom XX, 1954; E. Kempisty, *Problem Kultury Amfor Kulistych na Mazowszu w świetle odkryć archeologicznych w Potyrach pow. Płońsk. Spis stanowisk kultury amfor kulistych na Mazowszu - Gąsewo Nowe, Górki, Sypniewo, Szczeglin*, „Wiadomości Archeologiczne” tom XX.

² Por. Anna Borkiewicz-Celińska, *Osadnictwo ziemi ciechanowskiej w XV w. (1370-1526)*, Wrocław-Warszawa-Kraków, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, wyd. PAN, 1970. Anna Żaboklicka-Wąsowicz, *Ziemia ciechanowska w drugiej pol. XVI i w XVII wieku*, w: *Milenium Ciechanowa*, Materiały z sesji popularnonaukowej, Stacja naukowa MOBNA, Ciechanów 1969. Adam Wolf, *Ziemia ciechanowska za Książąt Mazowieckich w: Milenium Ciechanowa...* op. cit.; Jerzy Wiśniewski, *Dzieje osadnictwa w powiecie*

Szczególnie silnie zaakcentowane są wydarzenia z okresu powstań narodowych, dotyczące również okolic Krasnosielca. Należy tu wymienić opracowania Zofii Niedziałkowskiej, Wacława Tokarza, Stanisława Zielińskiego, Zbigniewa Ćwieka, Emanuela Halicza, Barbary Groniowskiej czy wreszcie pracę zbiorową Juliusza Łukasiewicza, Ireny Gieysztorowej, Andrzeja Zahorskiego pt. „Cztery wieki Mazowsza”.³ Wiele interesujących informacji z okresu powstania styczniowego odnajdujemy w drukowanych dokumentach wydanych przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu.⁴

Bogatym źródłem wiedzy są również różnego rodzaju opracowania statystyczne, zwłaszcza z XIX wieku, a także „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” pod redakcją Filipa Sulimierskiego, „Polska XVI w. pod względem geograficzno-statystycznym opisana”, „Tabela miast, wsi, osad Królestwa Polskiego z wyrażeniem ich położenia i ludności, alfabetycznie ułożona w Biórze komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych” (1827) i wiele innych.

Zbierając materiały źródłowe, dotyczące historii Krasnosielca, sięgnęłam również do archiwaliów znajdujących się w archiwum parafialnym w Krasnosielcu. Są to różnego

grajewskim do pol. XVI w., praca zbiorowa pod red. Michała Gnatowskiego i Henryka Majeckiego, Tom I, PWN, Warszawa 1975.

³ Zofia Niedziałkowska, *Ostrołęka, dzieje miasta*. Wydanie trzecie uzupełnione i rozszerzone, Warszawa 1979; Tokarz Wacław, *Marsz Madalińskiego*, Warszawa 1926; Stanisław Zieliński, *Spis bitew i potyczek 1863-64*, Rapersvill, 1913; Zbigniew Ćwiek, *Przywódcy Powstania Styczniowego*, Warszawa 1955; Emanuel Halicz, *Kwestia chłopstwa w Królestwie Polskim w dobie Powstania Styczniowego*, Warszawa 1955; Barbara Groniowska, *Rola Prus Książęcych w Powstaniu Styczniowym*, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie”, Olsztyn 1980; Juliusz Łukasiewicz, Irena Gieysztorowa, Andrzej Zahorski, *Cztery wieki Mazowsza. Szkice z dziejów 1526-1914*, Instytut Wydawniczy Nasza Księgarnia, Warszawa 1962.

⁴ *Prasa tajna z lat 1861-1863, cz. I*. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, PAN, Wrocław 1966, cz. II Wrocław-Warszawa-Kraków 1968, *Dokumenty terenowych władz wojskowych Powstania Styczniowego 1863-1864*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, PAN, 1976.

rodzaju dokumenty od 1808 r. Ze względu na nieznamość łaciny musiałam ograniczyć się jedynie do dokumentów pisanych w języku polskim, a znajdujących się w AGAD w Warszawie.

Przeszłość Krasnosielca interesuje mnie od wielu już lat, a od 14 lat zbieram różnego rodzaju materiały, które pragnę wykorzystać w monograficznym opracowaniu dziejów Krasnosielca, czego pierwszą próbką była moja praca magisterska pt. „Krasnosielc i okolice w historii, zwyczajach ludowych i legendzie”. Ze względu na konieczność ograniczenia tematu w niniejszym artykule chcę przedstawić jedynie ważniejsze zagadnienia z historii Krasnosielca, od początków jego powstania do roku 1869, a więc do czasu, gdy Krasnosielc utracił prawa miejskie i został mu przyznany status osady.

Krasnosielc i okolice u zarania dziejów

Przeprowadzone badania archeologiczne wskazują na dość dawną obecność człowieka na omawianym terenie. W miejscowości Drążdzewo, odległej od Krasnosielca ok. 8 km odkryto cmentarzysko z okresu Kultury Grobów Kłoszowych. Z tego okresu pochodzi również topór żelazny, z jednej strony inkrustowany, znaleziony w tej samej miejscowości.

W roku 1961 w ramach prowadzonych przez Zakład Polskiego Atlasu Archeologicznego badań na terenie północnego Mazowsza natknięto się na cmentarzysko ciałopalne nad Orzycem w odległości około 200 m na południowy wschód od szosy Drążdzewo-Baranowo, na którym zachowało się wiele fragmentów naczyń ceramicznych. Według badaczy cmentarzysko to pochodzi prawdopodobnie ze schyłkowego okresu epoki żelaza.

Z innych odkryć archeologicznych należy wymienić wykopaliska dotyczące epoki Kultury Amfor Kulistych w Szczeglinie (6 km od Krasnosielca) oraz w Gąsewie (12 km). W Sypniewie odległym ok. 15 km od Krasnosielca odkryto wczesno-średniowieczny zespół osadniczy składający się z grodu, podgrodzia i cmentarzyska szkieletowego, którego najstarszą część datuje się na koniec XI w., a zasadniczy okres użytkowania na XII i XIII w. W samym Krasnosielcu podczas przeprowadzania prac regulacyjnych rzeki Orzyc znaleziono na jej lewym brzegu topór kamienny, jakiego używano w epoce kultury łużyckiej, w młodszej epoce brązu, jak również

w epoce żelaza.⁵

Z pewnością wiele jeszcze tajemnic kryje ziemia. Są w okolicy Krasnosielca jeszcze miejsca, w których można by dopatrywać się dawnego osadnictwa na omawianych przez mnie terenach, lecz potwierdzeniem tych przypuszczeń mogą być tylko dalsze badania archeologiczne.

Powstanie i zmiany administracyjne miejscowości i gminy

Kiedy dokładnie powstał sam Krasnosielc - nie wiadomo, chociaż z dotychczasowych ustaleń historyków wynika, że okres zasiedlania części północno-wschodniej Mazowsza przypada na wiek XIV, po zwycięstwie odniesionym nad Jaćwingami i zawarciu sojuszu z Litwą. W pierwszej kolejności zasiedlane były ziemie bardziej żyzne, z tego też powodu nieco wcześniej, bo już w 1377 r. powstała parafia w Płoniawach. W skład tej parafii wchodziły wszystkie wsie leżące między Orzycem, a niewielką wpadającą doń rzeczką Bramurą. Nieco później zostały zasiedlone tereny na drugim brzegu Orzyca, a więc te, które weszły w skład parafii Sielc, erygowanej 9 maja 1386 r. przez biskupa Ścibora herbu Ostoja. Wieś ta była wówczas własnością chorążego warszawskiego Pawła z Radzanowa. Dokument erekcyjny potwierdza istnienie już w roku 1386 okolicznych wsi, a więc Dranzewa, dwóch wsi pod wspólną nazwą Trloga, oraz dwóch wsi pod wspólną nazwą Pienice, będących własnością Piotra i Biernata.

Sielc i jego najbliższe okolice wchodziły w skład Mazowsza i leżały w Ziemi Ciechanowskiej, powiecie przasnyskim. Po trzecim rozbiórce Polski Krasnosielc znalazł się pod zaborem pruskim (1795-1807), a następnie w Księstwie Warszawskim. Po wojnie z Austrią w 1809 r. na terenie Mazowsza i części Podlasia utworzono departamenty w Płocku, Siedlcach i Warszawie, które po Kongresie Wiedeńskim w 1815 r. przemianowano na województwa: płockie, podlaskie i mazowieckie. Sielc wchodził wówczas w skład województwa płockiego powiatu przasnyskiego. Gdzieś pod koniec XVII w zmieniono nazwę Sielca na Krasnosielc, co wiązało się z nazwiskiem nowych właścicieli, a więc z rodziną Krasińskich. W 1824 r. Krasnosielc uzyskał prawa miejskie. Po upadku Powstania Listopadowego w 1831 r. województwa przemianowano na gubernie. Krasnosielc wszedł w skład guberni płockiej. Upadek Powstania Styczniowego w 1864 r. był przyczyną nowego podziału administracyjnego przeprowadzonego w roku 1866. Ziemie mazowieckie znalazły się na terenie 5 guberni

i zostały podzielone na 28 powiatów, a nie jak dotychczas 12. Utworzono nową gubernię łomżyńską, w skład której weszły wsie i miasta leżące w powiecie makowskim, do którego teraz przydzielono Krasnosielc.⁶ Tylko Nakieł i Budy Prywatne wchodzące w skład parafii Krasnosielc pozostały w powiecie przasnyskim. W 1869 r. Krasnosielc tak jak wiele innych małych mazowieckich miasteczek utracił prawa miejskie i został sprowadzony do rzędu osad.

Krasnosielc i okolice w XV–XVII w.

Sielc leżał na skraju puszczy zwanej niekiedy Puszcza - Mazuch. Dawało to możliwość jego mieszkańcom uzyskiwania dochodów ze sprzedaży wosku i miodu, a także z wypalania popiołu i pędzenia smoły. Rozwój handlu możliwy był dzięki istnieniu gościńców przebiegających przez te tereny, a mianowicie: jeden gościńiec biegł z Mławy przez Przasnysz do Ostrołki i przecinał Orzyc w pobliżu wsi Łazy, oraz inny wiodący z Ciechanowa do Ostrołki, a przecinający Orzyc pod Podosiem. Przez pobliską wieś Drążdzewo przebiegał szlak wiodący z Warszawy do Królewca, zwany już w 1351 r. „starą drogą wojenną”, który miał również znaczenie handlowe. Por. A. Borkiewicz-Celińska, Osadnictwo ziemi ciechanowskiej w XV w.: Milenium Ciechanowa, Materiały z sesji popularno-naukowej, stacja naukowa BOBN, Ciechanów 1969, s. 53.⁷

Szybki rozwój osadnictwa na omawianych terenach daje się zauważyć szczególnie w XV w, kiedy to powstają osady sięgające coraz głębiej w kierunku północno-wschodnim. A. Borkiewicz-Celińska stwierdza, że w roku 1418 powstała duża wieś Grabowo nazwana tak od miejscowego pochodzenia Jana i Bartłomieja, którzy tu właśnie dostali od księcia Janusza 30 wólk nad rzeką Trlogą wraz z prawem nieodpowiednim i prawem chełmińskim. Moim zdaniem było to raczej ponowne nadanie, bowiem, jak wspominałam już wcześniej, w roku 1386 podczas tworzenia parafii wymieniano „oboje Trlogi”, czyli dwie wsie nad rzeką Trlogą. Z czasem używano zamiennie nazw Grabowo i Trloga, bądź też łącznie Grabowo Trloga. W 1425 r. Andrzej, Piotr, Grzegorz i drugi Piotr z Trlogi odkupili od Dobiesława z Janikowa (pow. łomżyński) 20 wólk u wierzchu rzeczki zwanej Tymianką lub Ciemianką, płacąc za nią 20 kop groszy. W 1435 r. książę Władysław sprzedał za 20 kop groszy 20 wólk Lubianna, na których mieszkał Michał Lisek Piotrowi zwanemu Surała z Trlogi. W 1451 r. Bartłomiej z Trlogi brał udział w zasiedlaniu ziemi w okolicach Kolna. W pobliżu Dobrzycy osiedlili się

⁶ Por. A. Borkiewicz-Celińska (...) op. cit., s. 65, a także *Studia Płockie, tom III*, 1975 praca zbiorowa pod red. Jerzego Kłoczowskiego, Płock 1975, oraz *Cztery wieki Mazowsza* (...) op. cit., s. 268.

⁷ Por. A. Borkiewicz-Celińska, Osadnictwo ziemi ciechanowskiej w XV w.: Milenium Ciechanowa, Materiały z sesji popularno-naukowej, stacja naukowa BOBN, Ciechanów 1969, s. 53.

Grabowscy z Grabowa Trlogi herbu Pomian. W 1460 r. na ziemiach leżących nad rzeką Ciemianką występował Jan Trloga herbu Pomian, a w 1487 r. z Władławem Gomółką - Jan Stary Gomółka, inaczej zwany Janem Starym Grabowskim z Gomółek herbu Pomian. Nad rzeką Ciemianką osiedlił się także Jan Jeż z Pienic, późniejszy podłowczy ciechanowski, który w 1429 r. „sprzedał hereditatem suam Thmyanka (Ciemianka) braciom Włodzisławowi, Szczepanowi i Bożymowi z Biernatów, dzieląc się każdy po 10 wólk”.⁸

Obecność osadników z okolic Krasnosielca przy zasiedlaniu ziem nad rzeką Wisłą świadczyć może zapewne o dość gęstym zaludnieniu omawianych terenów, skoro część mieszkańców szukała lepszych ziem w innych rejonach kraju. Ułatwiał to fakt, że miernikiem księżącym na ziemi wiskiej był Jasiek z Roman (powiat przasnyski), więc i osadników pochodzących z tego powiatu było najwięcej.

Tak więc do połowy XV w. powstały w okolicy Krasnosielca następujące wsie: Dranzewo (Drążdzewo), Pienice, Grabowo Trloga, Biernaty, a także Bagienice, których mieszkańcy są wymieniani w księgach skarbowych Janusza II księcia mazowieckiego. W roku 1470 istniały również Raki, których właścicielami byli Jan i Mikołaj z Łukowa, wymieniani też jako właściciele Drążdzewa, była też wieś Łazy, przez którą przebiegał wspomniany już wcześniej gościńiec wiodący z Mławy do Ostrołki. Nieco później powstały wsie: Niesułowo i Ruzieck.

Parafia Krasnosielc wchodziła w skład powiatu przasnyskiego, zaliczanego do jednego z najmniejszych powiatów obejmującego zaledwie około 5 mil kwadratowych. W powiecie tym skupiało się wiele szlachty zagrodowej. Wg Sz. Starowolskiego „okolica przasnyska miała 7.000 rodzin szlacheckich, z których każda mogła wystawić męża zbrojnego”.⁹

Wieś drobnoszlachecka była zjawiskiem typowym dla ziemi ciechanowskiej w XV w. i dopiero w XVI w Sielc oraz Chłopińska (obecnie Chłopiąka), Przyduły (ob. Przytuły) wchodziły w skład większego kompleksu majątkowego stanowiącego własność Elżbiety Ciemnowskiej, kasztelaneki wyszogrodzkiej. W 1567 r. Sielc zamieszkiwało 300 ludzi, a pobór danin brany był z 26 wólk, 4 karczem, 1 młyna i od 3 kowali. Pod koniec XVI w. w skład parafii sieleckiej oprócz wymienionych wsi stanowiących własność Elżbiety Ciemnowskiej wchodziły również: wieś Raki - będąca częściowo własnością Heleny Niedźwieckiej, częściowo zaś Zofii Komorowskiej, Drążdzewa - własność Z. Komorowskiej, Sławki, których właścicielką była Elżbieta Podoska, oraz wsie Grądy (ob. Grądy), Pienice, Wola Pienicka, Biernaty Pienice, Niesułow (ob. Niesułowo), Bagienice Trloga, Rudzieckie (ob. Ruzieck), Grabowo, Perzanki, Nowa Wieś (Bagieńskich), oraz Sempelino.¹⁰

⁸ Por. Jerzy Wiśniewski (...) op. cit., s. 66, 50, 65.

⁹ Cyt. za: Władysław Smoleński, *szkice z dziejów szlachty mazowieckiej*, wydana nakładem autora, Kraków 1968, s. 48.

¹⁰ Por. *Polska XVI w. pod względem geograficzno-statystycznym opisana przez*

⁵ Por. Gądzikiewicz (...) op. cit., s. 134, E. Kempisty (...) op. cit., s. 355-357, Irena Górka (...) op. cit., s. 171-183, *Dzieje ziem województwa ostrołęckiego. Wydane ze środków i staraniem Ostrołęckiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego i Wydziału Kultury i Sztuki UW w Ostrołęce*, Warszawa 1984, s. 70 i 73.

O rozwoju Sielca i okolicznych wsi w XVII w. niewiele mówią dostępne źródła. Był on bowiem własnością prywatną i dlatego nie był uwzględniany w lustracjach królewskich. Wyjątek stanowi tylko lustracja z 1616 r. potwierdzająca ilość bartników, wśród których wymienia się 2 bartników w Drążdzewie, 1 w Grądach, 1 w Rakach i 1 w Grabowie.

Następna informacja z tego terenu wiąże się z okresem wojen szwedzkich. W kwietniu 1656 r. przez Sielc przemaszerowały wojska Bogusława Radziwiłła, lecz nękanie przez kurpiowską partyzantkę udały się do Chorzel wraz z korpusem Waldecka, tracąc w czasie tego przemarszu wielu zabitych oraz konie.

Nie udało mi się odnaleźć żadnych wzmianek dotyczących poniesionych w czasie tej wojny strat przez mieszkańców tych okolic, należy jednak sądzić, że z początkiem jesieni 1655 r. był już Sielc zdominowany przez okupacyjne wojska, skoro 25 lipca padła Ostrołęka, a 9 listopada akty poddańcze podpisali przedstawiciele Makowa i Różana. Wraz z wojskami szwedzkimi w latach 1657-61 Mazowsze nawiedziła zaraza zbierając obfite plony. Podobnie rzecz się miała w latach 1709-1712, kiedy to epidemia dżumy zdziesiątkowała Przasnysz i Ostrołękę, więc i z pewnością nie ominęła okolic Sielca. Być może z tego okresu pochodzi legenda mówiąca o tym, że ok. 2 tys. mieszkańców Przasnysza opuściło miasto uciekając przed morowym powietrzem i dotarło aż na pola w pobliżu Pienic, ale nie wpuszczeni do wsi tam prawie wszyscy wymarli. W przekazach ustnych pozostał także kopiec do dziś wznoszący się w Drążdzewie, który podobno pamięta wojny szwedzkie, jednak potwierdzenia tego faktu nie znalazłam również w żadnych dostępnych mi źródłach.¹¹

Krasnosielc i okolice w posiadaniu rodziny Krasieńskich

Nie udało mi się ustalić jaką drogą omawiane tereny dostały się rodzinie Krasieńskich. Większość posiadłości nabyli oni drogą wykupu, jednak pewne wątpliwości może budzić następująca informacja: „Wojciech Krasieński, kasztelan sierpski, który czas niemały na dworze króla Zygmunta pierwszego się schował, zostawił z Ciemniowską syna Mikołaja, podkomorzego różańskiego, który na dworze Maksymiliana przez kilka lat kosztem niemałym bawił. Ten potem do ojczyzny przyjechałszy miał za sobą Szczawińską, kasztelaną łęczyckiego, starosty Sochaczewskiego i ochmistrza królowej Anny córkę, z którą zostawił potomstwo”¹² Przejęcie

Adolfa Pawińskiego. *Parafia Sielcecka, s. 347-348, tom V Mazowsze, Warszawa, Skład Główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa, 1895.*

¹¹ Por. Radosław Waleszczak, *Chorzele, zarys dziejów*, Chorzele 1992, s. 40; Zofia Niedziałkowska, *Ostrołęka, dzieje miasta*, wydanie trzecie uzupełnione i rozszerzone. Warszawa 1979 r., s. 79, a także wg relacji ustnych mieszkańców Krasnosielca i Drążdzewa.

¹² *Herby rycerstwa polskiego, przez Bartosza*

Sielca przez rodzinę Krasieńskich spowodowało jego zmianę nazwy na Krasnosielc. Trudno jednak jest ustalić w którym to roku nastąpiło, bowiem w aktach parafialnych odnotowano zapisy na wieś Sielc jeszcze w latach 1703 i 1745. Jednak w dokumentach z 1808 r. występuje już nazwa Krasnosielc.

Pierwszym udokumentowanym właścicielem Sielca był Błażej Krasieński, który w spadku przekazał okoliczne dobra biskupowi sufraganowi chełmskiemu, Janowi Kantemu Stanisławowi Krasieńskiemu i jego bratu Antoniemu Krasieńskiemu po połowie. Jan Kanty odstąpił je swojemu bratankowi, obóznemu wielkiemu koronnemu Kazimierzowi Krasieńskiemu. Kolejnym dziedzicem Krasnosielca i dóbr krasnosielckich był Józef Wawrzyniec Maciej Onufry Krasieński, syn Kazimierza, a po nim Karol Krasieński, szambelan dworu carsko-rosyjskiego.

W omawianym okresie Krasnosielc musiał rozwijać się dość szybko, bowiem już w roku 1781 król Stanisław August Poniatowski nadał osadzie rzemieślniczej prawo odbywania 4 jarmarków rocznie, a w roku 1786 zwiększył ich liczbę do 8.¹³ Prawo odbywania jarmarków stwarzało podstawy ku temu, by Krasnosielc mógł ubiegać się o prawa miejskie. Zresztą rodzina Krasieńskich dbała o rozwój i wygląd tej miejscowości. W roku 1730 Błażej Krasieński ufundował drewniany kościół, który został konsekrowany p.w. śś. Apostołów Piotra i Pawła. Murowaną świątynię, która przetrwała do obecnych czasów wystawił Kazimierz Krasieński, ale z fundacji Jana Kantego Krasieńskiego. Konsekrował ją biskup Szembek w 1799 r. pod wezwaniem św. Jana Kantego. Przy kościele była plebania drewniana, kryta słomą, o dwu izbach, w bardzo złym stanie w roku 1817. Nową plebanię wybudowano dopiero w roku 1856, kiedy to „Hrabia Krasieński - Kolator Dziedzic dóbr krasnosielckich ulitował się nad upadkiem zdrowia Proboszcza, który głównie pochodził z niezdrowego i niewygodnego mieszkania i polecił dzierżawcy Dęby aby na rachunek dzierżawy wybudował plebanię przy kościele, przeznaczony plac do tego, gdy jednakże p. Dzierżawca opieszale postępował przy budowli rzeczonej Proboszcz nie mogąc się doczekać zmuszony był swym kosztem sufity, podłogi, okna, futryny okien i drzwi założyć, na co wydal zł. pol. 914.”¹⁴

W protokole akt wizytacji biskupiej z 1817 r. jest również wzmianka o szkółce parafialnej, która „była zaprowadzona i Nauczyciel przez Rząd do uczenia dzieci przeznaczony, lecz ta

Paprockiego zebrane i wydane r.p. 1584, wydane przez Kazimierza Józefa Turowskiego, nakładem wydawnictwa Biblioteki Polskiej, Kraków 1858, s. 408-409.

¹³ Artykuł 9 aktu lokacyjnego miasta Krasnosielca mówił: „odbywające się dotąd jarmarki w obwodzie Krasnosielca, mają być nadto utrzymane dnia 24 stycznia, 25 marca, 8 maja, 29 czerwca, 22 września, 10 sierpnia, 1 listopada, 30 listopada. Z zachowaniem ogólnych praw policyjnych, targi tygodniowe w każdy poniedziałek przeznaczamy. - AGAD w Warszawie.

¹⁴ Z akt wizytacji biskupich z roku 1856 - Archiwum Parafialne w Krasnosielcu.

w czasie ustawicznych woyen rosyjskich ustala i dotychczas nie istnieje. Chęcią jest jednak dziedzica i proboszcza zaprowadzić szkołę po żniwach b.r., ile że dom do tego i ogród dla nauczyciela w początku przeznaczony dotychczas utrzymuje się.” W 1842 r. zanotowano „dom na szkołę odstąpił Dwór (...), nie masz funduszów tylko rodzice płacą”. Nauczycielem szkoły parafialnej w Krasnosielcu w roku 1869 był Emilian Pantaleon Antoni Budny, który zmarł w wieku 22 lat w roku 1870. Szkoła początkowa wymieniana jest również w roku 1883.

W Krasnosielcu był też szpital drewniany pokryty słomą, o 4 izbach, stanowiący raczej przytułek dla ubogich. Był też chirurg dominialny pełniący jednocześnie obowiązki chirurga nadwornego u hrabiny Krasieńskiej.¹⁵ Taka opieka lekarska nie była z pewnością wystarczająca. Nie brakowało bowiem lat zaznaczających się dużą ilością zgonów. Należy tu wymienić rok 1807, lata 1827-32, a także 1841-43, 1848, 1852, 1853, 1855, 1878, 1880. Do najgroźniejszych chorób w tym okresie należy zaliczyć: dżumę, cholera, tyfus, szkarlatynę i czarną ospę. Szczególnie dużo zgonów notowano wśród dzieci. W roku 1843 zgony dzieci do lat 8 stanowiły aż 73% ogólnej liczby zgonów, a w roku 1872 - 70,4%. Na długo w pamięci mieszkańców Krasnosielca i okolicznych wsi pozostał rok 1831, kiedy to w miesiącu lipcu i sierpniu epidemia cholery zbierała obfite plony w Drążdzewie, Krasnosielcu, Bagienicach, Grądach i Pienicach. Wymierały niekiedy całe rodziny, nic więc dziwnego, że niektóre akta zgonu zostały sporządzone dopiero w miesiącu listopadzie i grudniu.¹⁶

Powtarzające się klęski żywiołowe, epidemie i lata nieurodzaju miały wpływ na rozwój samego Krasnosielca. Do dziś jeszcze w przekazach ustnych podaje się wiadomość o pożarze, który wybuchł w Krasnosielcu w 1821 r., ogarniając północną i wschodnią część osady. Z pożarem tym walczyło 150 osób, jednak i tak strawił on wiele budynków.

W 1824 r. Krasnosielc otrzymał prawa miejskie. Herbem miasta jest jeleń w biegu, nad nim półksiężyc. Jeleń i księżyc są złote, tło czerwone.¹⁷ Uzyskanie statusu miasta dawało realną szansę rozwoju rzemiosła. Już w 1824 r. w Krasnosielcu było 56 rzemieślników, zorganizowanych w cechach. Należy wymienić 7 zdunów i garncarzy, 13 krawców, oraz stolarzy, szewców i kuźnierzy. W 1826 r. funkcjonowało tu 19 producentów sukna, a ponadto było 13 krawców, 7 zdunów, 2 postrzygacze, farbiarz, stolarz, kapelusznik, masarz, kowal, 3 czapników, 3 kuźnierzy i 3 szewców. W 1860 r. Krasieński uruchomił fabrykę sukna, w której pracowało 34 osoby. Fabryka ta produkowała 5.000 arszynów sukna rocznie. Poza tym działały mniejsze domowe warsztaty sukienicze. Już w roku 1824 było

¹⁵ Z akt wizytacji biskupich z roku 1817 oraz z roku 1842.

¹⁶ Na podstawie akt zejść w parafii Krasnosielc z roku 1831 - Archiwum Parafialne w Krasnosielcu.

¹⁷ Por. Herby miejscowe północnego Mazowsza, „5 rzek” nr 1 (styczeń-marzec) 1958.

19 tkaczy sukna.¹⁸

Ludność Krasnosielca nie była jednolita narodowościowo. Z obliczeń na podstawie spisu z 1776 r. wynika, że w Krasnosielcu mieszkało 250 Żydów, średnio zaś na parafię w diecezji płockiej w tym okresie przypadało ich 153. W roku 1790 gmina żydowska podporządkowana była kahałowi w Makowie Maz. i liczyła 255 osób, spośród których 177 mieszkało w okolicznych wioskach. Od 1816 r. władze Królestwa Kongresowego przeprowadzały masowe rugi żydowskiej ludności ze wsi w drodze stosowania środków administracyjnych i ekonomicznych, co leżało w interesie drobnej szlachty. Następnym tego była wciąż rosnąca liczba ludności żydowskiej w miastach. Tak było i w wypadku Krasnosielca.

Z czasem gmina żydowska musiała należeć do kahału w Przasnyszu, bowiem w roku 1839 wpłynęło do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych pismo od Mendla Dawidowicza Tlustego, piszącego w imieniu mieszkańców wyznania mojżeszowego Krasnosielca. Wiele w tej sprawie miał do powiedzenia Komisarz Obwodu Przasnyskiego, który stwierdzał, że gmina żydowska w Krasnosielcu w 1841 liczy 588 osób, a jej roczny przychód wynosi 113 rbs 14 kop. Posiada także własną bóżnicę i mykwę (myjnię). Ponadto dozor bóżniczy w Przasnyszu źle obsługiwał mieszkańców żydowskich wiosek Łazy i Sławki, oddalonych od Przasnysza o 2,5 mili, a od Krasnosielca tylko o ćwierć mili. W roku 1842 Rząd Gubernialny Płocki, po zasięgnięciu opinii komisarza Obwodu Przasnyskiego, wyraził zgodę na uniezależnienie się gminy żydowskiej w Krasnosielcu od dozoru bóżniczego w Przasnyszu. Na zaaprobowanie tej decyzji ze strony KRSWiD trzeba było poczekać dwa lata.¹⁹

Żydzi trudnili się handlem, ale zajmowali się również i rzemiosłem. W latach 1808-1809 znane są nazwiska żydowskich krawców, karczmarzy, czapnika, a nawet arendarza z Drażdżewa. W Grądach Żyd Jan Zumerfek zajmował się przecieraniem drzewa. W 1837 r. Dawid Freyman podjął się remontowania krasnosielckich studni i pomp. Na mocy różnych dekretów Żydzi podlegali wielu ograniczeniom, m.in. wolno im było osiedlać się tylko w określonych rejonach miast. Rewiry żydowskie w Makowie i Przasnyszu wprowadzono już w roku 1813. Stosunki pomiędzy Żydami - a Józefem Krasieńskim, ówczesnym właścicielem Krasnosielca układały się stosunkowo poprawnie, dopiero po uzyskaniu praw miejskich powstał problem osiedlania się ludności żydowskiej tylko przy wyznaczonych ulicach, bowiem w jednym z dokumentów z 1824 r. zapisano, że „Żydom nie ma być wolno nabywać placów jak tylko przy ul. Nadrzecznej, Wodnej, Żabińskiej (Zalińskiej?) z warunkiem opłacenia właścicielowi miasta czynszu podług

umowy”.²⁰ Mimo to wciąż wzrastała w Krasnosielcu liczba ludności żydowskiej. W roku 1860 na 997 mieszkańców było aż 623 Żydów.

Oprócz ludności wyznania mojżeszowego w Krasnosielcu i okolicach osiedliły się rodziny niemieckie. W 1817 r. wymienia się 12 „lutrów”. Ze znanych nazwisk należy wymienić rodzinę Bakermanów, właścicieli huty szkła koło wsi Amelin. W kronikach kościelnych już z lat nieco późniejszych (1883 r.) zapisano: „...w mieście kilku rzemieślników, gdyż reszta protestanci. Nie masz Bogu dzięki zgorzenia publicznego...”²¹

Krasnosielec i okolice w powstaniach narodowych

Krasnosielec stawał się wielokrotnie świadkiem wielu ważnych wydarzeń historycznych, do których z pewnością należy zaliczyć powstania narodowe.

W marcu 1794 r. przez Krasnosielec przemaszzerowało wojsko polskie pod dowództwem Antoniego Madalińskiego, jednego z pierwszych, którzy zgłosili swój akces do ogólnonarodowego sprzysiężenia kierowanego przez generała Ignacego Działyńskiego. Wydarzenie to miało miejsce 13 marca, kiedy to oddział Madalińskiego po zrzuconiu znaków królewskich z Ostrołki udawał się do Przasnysza. Powiało wolnością i być może dlatego wydarzenie to na bardzo długo pozostało w pamięci tutejszych mieszkańców. Następnym marcowych wydarzeń było przesunięcie kordonu pruskiego nad Narew. Najwięcej oddziałów było skoncentrowanych wokół Ostrołki, inne zaś porozrzucane były w różnych punktach Puszczy Zielonej. Okolice Krasnosielca nie były terenem większych działań powstańczych, ale i tak władze pruskie w obawie przed powstańcami obsadziły piechotą przeprawę przez Orzyc w okolicach Krasnosielca, zaś oddziały huzarów z Pułtuska i Przasnysza przeczesywały lasy nad Orzycem.²²

Po upadku powstania w roku 1795 dokonano III rozbioru Polski. Krasnosielec znalazł się wówczas pod zaborem pruskim, należąc nadal do powiatu przasnyskiego, wchodzącego w skład departamentu płockiego.

W roku 1806 rozpoczęła się wojna francusko-pruska. Znowu ożyła nadzieja na lepsze jutro. 30 grudnia w rejonie Krasnosielca operowały oddziały gen. Saint-Hilaire oraz gen. Milhaud (4 tys. piechurów i 2 tys. konnych). Do Drażdżewa zbliżyły się zgodnie z rozkazem dowódcy IV korpusu marszałka Soulta brygady 2 dywizji gen. Lewala. Soult szczególnie uważał przywiązywał do

zabezpieczenia linii Orzyc, zwłaszcza punktów przeprawowych w Podosiu i Krasnosielcu. Zadanie to powierzono 10 pułkowi lekkiej piechoty 2 dywizji gen. Saint-Hilaire. 7 stycznia Napoleon wydał dyspozycje na leże zimowe dla swych wojsk. Rozległą przestrzeń od rzeki Omulew do Wisły (rejon Makowa, Sączocina i Ciechanowa) zajmował IV Korpus Soulta. Z przekazów ustnych mieszkańców Krasnosielca wynika, że na targowicy w Krasnosielcu odpoczywały wojska napoleońskie. Być może była to obwodowa brygada bawarska, podciągnięta 12 VI 1807 r. do Krasnosielca przez Masenę, która jednak nie została wykorzystana w walce, lub też wiąże się ta informacja z przemarszem wojsk udających się na zimowy odpoczynek.²³ Nie znalazłam nigdzie wzmianek dotyczących poniesionych przez Krasnosielec strat w tej wojnie. Należy jednak stwierdzić, że rok 1809 zaznaczył się dużą ilością zgonów.

Po zakończeniu wojny francusko-pruskiej całe Mazowsze włączono do Królestwa Warszawskiego.

W roku 1831 wybuchło kolejne powstanie. W samym Krasnosielcu ani też w najbliższych okolicach nie stoczono jednak żadnej większej bitwy, ale i tu z pewnością dotarły echa walk powstańczych. W obwodzie przasnyskim coraz to nowe oddziały formował pułkownik Godlewski. Oddział powstańczy w Makowie rozprawił się zwycięsko z kwaterującymi tam kozakami. 25 lipca 1831 r. doszło także do zwycięskiej bitwy pod Młynarzami (20 km od Krasnosielca). Na czele polskiego pułku stanął tam podpułkownik Kruszewski.²⁴ Jeśli Krasnosielec nie poniósł strat w wyniku samych działań wojennych, to z pewnością bardzo znacznie spustoszyła okolice cholera przywleczona przez wojska rosyjskie. Mieszkańcy Drażdżewa wystawili nawet kapliczkę wotywną, na której staropolski napis do dziś jeszcze głosi: „Offiara Naywyższemu na ubłaganie maiestatu o uwolnienie plagi grasującej cholery”.

Po upadku powstania w całym kraju rozmieszczono garnizony wojsk carskich. Językiem urzędowym stał się język rosyjski. W 1841 roku zaprowadzono rosyjski system monetarny - ruble i kopiejki. Zmienił się także obraz polskiego rolnictwa, dzięki wprowadzeniu postępu technicznego, rug i oczyszczania. W latach 1844-1845 wystąpiło w niektórych wsiach całkowite rugowanie z ziemi, co spowodowało walkę wsi przeciwko rugom i pańszczyźnie. W powiecie przasnyskim opór bierny objął aż 40% osad pańszczyźnianych. 1 października 1861 r. władze wydały zarządzenie o zmianie pańszczyzny na okup pieniężny, obowiązujący do czasu zawarcia dobrowolnych umów czynszowych. Rozporządzenie dotyczyło tylko

²⁰ Akta dotyczące się miasta Krasnosielca w Guberni Płockiej, dokument lokacyjny, artykuł 5, AGAD w Warszawie.

²¹ Z akt wizytacji biskupich z roku 1883-AP w Krasnosielcu.

²² Por. Irena Gieysztorowa, Andrzej Zahorski, Juliusz Łukasiewicz, Cztery wieki Mazowsza. Szkice z dziejów 1526-1914, Instytut Wydawniczy Nasza Księgarnia, Warszawa 1968, s. 208, a także Zofia Niedziałkowska, Ostrołęka. Dzieje miasta, Warszawa 1979, s. 122-124 i Waław Tokarz, Marsz Madalińskiego, Warszawa 1926, s. 48-49.

²³ Por. Aleksander Kociszewski, Mazowsze w epoce napoleońskiej, Ciechanów 1976, s. 23, oraz Radosław Waleszczak, Chorzele (...) op. cit. s. 84; Stanisław Herbst, Działania bojowe na północnym Mazowszu w 1807 r. z dziejów wojny i polityki, Wojskowa Akademia Polityczna, Warszawa 1964, s. 100.

²⁴ Por. Zofia Niedziałkowska, Ostrołęka (...) op. cit., s. 163 oraz Pamiętnik Skarbka Kruszewskiego z roku 1830-1831, Warszawa 1930.

¹⁸ Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich pod redakcją Filipa Sulimierskiego, Bronisława Chlebowskiego, druk „Wieku”, tom IV, Warszawa 1883, s. 638.

¹⁹ Por. Janusz Szczepański, Dzieje społeczności żydowskiej powiatów Pułtusk i Maków Maz., Warszawa 1993.

gospodarstw chłopskich liczących ponad 3 morgi. Z rozporządzenia tego w powiecie przasnyskim skorzystało 44% gospodarstw.²⁵

Rosły nastroje dążące do wybuchu powstania, co powodowało wzrost czujności władz carskich. Pod stałą obserwacją byli Bernardyni ostrołęccy podejrzani o „zły sposób myślenia, prowadzenia rozmów i śpiewów buntowniczych”. Były to pieśni takie jak „Boże coś Polskę”. Pod koniec lat pięćdziesiątych zdarzały się coraz częściej rewizje w kościołach w poszukiwaniu broni jak również aresztowania podejrzanych o działalność spiskową osób. W Krasnosielcu aresztowano wikariusza - księdza Franciszka Rutkowskiego. Wywieziono go 1861 r. do twierdzy w Modlinie.²⁶

Represje carskie nie przeszkodziły jednak wybuchowi powstania narodowego w styczniu 1863 r. W nocy z 14 na 15 stycznia władze przeprowadziły pobór do wojska w samej Warszawie, ale większość młodych zdążyła opuścić miasto udając się do Puszczy Kampinowskiej i lasów serockich, aby tam formować oddziały powstańcze. Jednak od samego początku zaczęły się niepowodzenia wynikające z braku jednomyślności wśród organizatorów powstania. Pod Makowem, Przasnyszem i Lipnem powstańcy zebraли się, ale nie uderzyli na garnizon rosyjskie.

Rozpoczęcie powstania w Przasnyszu planowano w dniu 22 stycznia 1863 r. Według przedstawionego przez Tomasza Kolbego (naczelnika wojskowego powiatu przasnyskiego) planu, powstańcy mieli uderzyć na Przasnysz z dwóch stron, a mianowicie: między Leszmem i Przasnyszem miały grupować się oddziały okręgu ciechanowskiego pod dowództwem Władysława Wodzińskiego, okręg Krasnosielcki ze Szczepkowskim i miasto Ciechanów z Iwanickim. Z drugiej strony we wsi Obręb miały stanąć: okręg przasnyski z Gadamowiczem, okręg janowski z Waśniewskim i okręg chorzeleński z księdzem Janowskim. Po otrzymaniu sygnału powstańcy mieli uderzyć na miasto. Rozpoczęcie walki planowano na godz. 1200.

Do wybuchu powstania w wyznaczonym dniu w przasnyskim nie doszło, bowiem zamiast sygnału do walki Kolbe otrzymał wiadomość, że w Lesznie nie ma nikogo i że powstanie odłożono. Jak się później okazało do Przasnysza przybył Siciński i ostrzegł Wodzickiego - naczelnika okręgu ciechanowskiego, że będzie on zdracą jeśli powiedzie tyłu ludzi na rzeź, za co naczelny komitet nie będzie odpowiadał. Wodzicki uwierzywszy Sicińskiemu odesłał swoich ludzi do domów. Choć nie doszło do opanowania przez powstańców Przasnysza, to jednak powstanie ogarnęło Mazowsze i ziemie powiatu przasnyskiego. W dniu 8 lutego 1863 r. miała miejsce potyczka pod wsią Podoś, w sąsiedniej gminie Płoniawy. Polski oddział powstańczy został otoczony przez 1000 żołnierzy rosyjskich. Straty powstańców były duże. Zginęli tam m.in. Tytus Sztajnkeller, Pomaski - uczeń szkoły wojskowej w Cuneo, Łempicki (z kolei żelaznej), Daniel

Białoszyński. Wielu powstańców dostało się do niewoli. 12 marca rozegrała się kolejna powstańcza tragedia. Po bitwie pod Myszyniec Padlewski postanowił odpocząć w Drążdzewie, gdzie w budynkach dworskich zakwaterowano powstańców, a sztab rozlokował się w samym dworze. Powstańców zaskoczył jednak wojska rosyjskie pod dowództwem Gorielowa, naprowadzone przez kolonistę niemieckiego z Jednorozca. Ocenivszy, że wieś jest otoczona z trzech stron i nie ma szansy na przebicie, Padlewski zarządził odwrót jedyną nie zablokowaną drogą przez Orzyc. Podczas przeprawy wpał utonęło wielu powstańców, ok. 50 zostało zabitych, wielu było rannych, dziewięciu dostało się do niewoli. Dotkliwą stratą była śmierć przyjaciela Padlewskiego, jednego z najwybitniejszych przywódców powstania, komisarza woj. płockiego - Edwarda Rolskiego. Utracono też kancelarię powstańczą, w której były cenne dokumenty - instrukcje rządu powstańczego i rozkazy Padlewskiego. Polegli m.in. Dutwald - dowódca plutonu, Nowakowski - syn adwokata z Warszawy, Matusiewicz - syn ziemianina, Piotr Szyling z Ostrołęki - dzierżawca folwarku, Ludwik Staniszewski - były nauczyciel z Ostrołęki, Adam Motylewski - student uniwersytetu. Straty nieprzyjaciela były niewielkie. Po dokonaniu przeprawy przez Orzyc w pobliskim lesie Padlewski uporządkował swoje zgrupowanie i czekał na nieprzyjaciela. Pościg przerwał mrok. W Krasnosielcu Gorielow spotkał się z oddziałem płk. Wałujewa. Obaj dowódcy uznali swoje zadanie za wykonane i wycofali się - Gorielow do Przasnysza, a Wałujew do Pułtusza.

Znacznie więcej mieli szczęścia powstańcy dowodzeni przez kapitana Józefa Trąmpczyńskiego. Okopali się oni na tzw. polskiej Kępie w pobliżu wsi Drążdzewo. Grzańskie bagna nad Orzycem zabezpieczyły od niespodziewanego napadu nieprzyjacielskiego. Wojska rosyjskie pod dowództwem Gorielowa z Przasnysza i Jedszyna z Ostrołęki /przypis red. wydania: chodzi zapewne o Riedeczkinę/ rozpoczęły oblężenie powstańców 27 czerwca 1863 r. Walki trwały aż 3 dni. Straty powstańców - 5 zabitych i 8 rannych. Straty nieprzyjaciela - 38 zabitych i 80 rannych.²⁷

²⁷ Por. raport naczelnika wojskowego powiatu przasnyskiego T. Kolbego dla naczelnika wojskowego woj. płockiego Z. Padlewskiego, charakterystyka sytuacji w okręgu w przededniu powstania. Przyczyny nie rozpoczęcia walki w dniu 22 I 1863, Dokumenty terenowych władz wojskowych Powstania Styczniowego 1863-1864, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, PAN 1976, s. 3-4, a także Prasa tajna z lat 1861-1863, cz. I - 1966, cz. II - 1968, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, PAN; Stanisław Zieliński, Spis bitew i potyczek 1863 - 64, Rapersvill, 1913, s. 228; Leonard Ratajczak, Urzędowy wykaz potyczek wojsk carskich w Królestwie Polskim w 1863-1864 w: Studia i materiały do historii wojskowości tom VIII cz. II, Warszawa 1962, s. 316; Za naszą wolność i Waszą (saga rodu Zduńcyków), „5 rzek” nr 1, 1959; Ryszard Juszkiewicz, Powstanie Styczniowe na

W czasie walk na Polskiej Kępie powstańcom pomagała okoliczna ludność, a w kuźniach w Drążdzewie i Krasnosielcu kuto powstańcom kosy. Jeszcze w 10 lat po powstaniu na targowicy w Krasnosielcu powieszono powstańca Zawistowskiego. Ciało jego Kozacy posiekali szablami, a następnie na oczach mieszkańców Krasnosielca stratowali końmi i zabronili pogrzebania w ziemi, chcąc w ten sposób zniechęcić innych do udziału w podobnych walkach. Wiele osób biorących udział w powstaniu długo jeszcze musiało się ukrywać. Powstanie styczniowe doczekało się wielu bardzo interesujących opracowań. Również walki w okolicach Krasnosielca wymagałyby obszerniejszego omówienia, ze względu jednak na rozległość tematu niniejszego artykułu ograniczyłam się tylko do omówienia najważniejszych zagadnień.

Po upadku powstania w roku 1866 dokonano nowego podziału administracyjnego opartego na przepisach obowiązujących w imperium rosyjskim. Ziemi mazowieckie znalazły się na terenie 5 guberni, podzielonych na 28 powiatów (przedtem 12). Została utworzona nowa gubernia łódzka, w skład której wszedł Krasnosielec, należąc odtąd do powiatu makowskiego.

W 1869 r. Krasnosielec utracił prawa miejskie i nie odzyskał ich nigdy. Podobny los spotkał wiele małych mazowieckich miasteczek. Tak więc Krasnosielec był miastem zaledwie przez 45 lat, mając w tym czasie podobno 3 burmistrzów, potem przyznano mu status osady. Obecnie jest tylko wsią gminną.

Urszula Dembicka

Od redaktora Wydania:

Z wielką przyjemnością publikuję w całości artykuł Urszuli Dembickiej zamieszczony w „Zeszytach Naukowych Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego” 22 lata temu. Jest on według mojej wiedzy jedną z pierwszych chronologicznie prób objęcia całościowego wiedzy o Ziemi Krasnosielckiej. Nie bez kozery jego autorką jest inicjatorka powstania Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej.

Po wielu publikacjach o Ziemi Krasnosielckiej, które ukazały się po 1994 r., jedynie o drobiazi można skorygować przedmiotową publikację. Wyważony i oszczędny w komentarze, poparte dokumentami język autorki, rozległa kwerenda wcześniejszych publikacji oraz trzymanie się faktów historycznych, a także staranność w doborze słów, czyni z niej godne rzetelnego historyka opracowanie.

Pani Urszula była jedną z tych nielicznych osób, które nie dość że wyznaczały kierunek działań gminnej społeczności, to jeszcze to dokumentowały, budując jednocześnie świadomość przeszłości.

Dziękuję, pani Urszulo, w imieniu własnym i kolejnych pokoleń.

*Stawomir Rutkowski
drugi chronologicznie prezes TPZK*

północnym Mazowszu, Agencja Wydawnicza MAKO. W różnych źródłach i opracowaniach podawana jest różna liczba powstańców, poległych w bitwie pod Drążdzewem w marcu 1863 r.

²⁵ Por. Cztery wieki Mazowsza (...) op. cit., s. 247 - 251.

²⁶ Studia Płockie (...) op. cit., s. 304.



Jubileusz 600-lecia parafii Krasnosielc 1386–1986. Z historii Krasnosielca i okolic

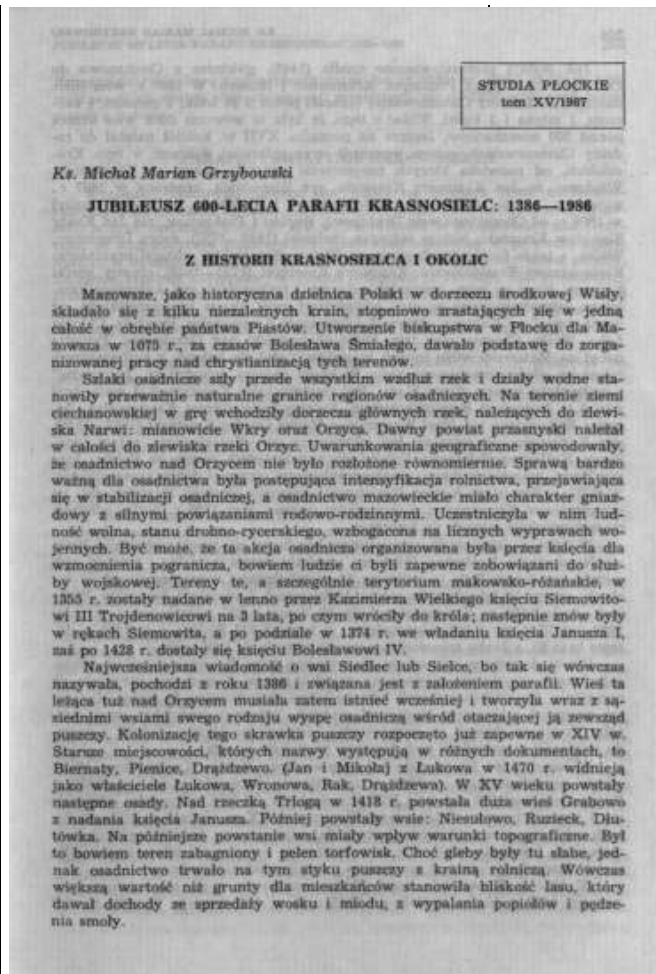
ks. Michał Marian GRZYBOWSKI

Przedruk z: „Studia Płockie”, 15 (1987), s. 203–214.

Mazowsze, jako historyczna dzielnica Polski w dorzeczu środkowej Wisły, składało się z kilku niezależnych krain, stopniowo zrastających się w jedną całość w obrębie państwa Piastów. Utworzenie biskupstwa w Płocku dla Mazowsza w 1075 r., za czasów Bolesława Śmiałego, dawało podstawę do zorganizowanej pracy nad chrystianizacją tych terenów.

Szlaki osadnicze szły przede wszystkim wzdłuż rzek i działły wodne stanowiły przeważnie naturalne granice regionów osadniczych. Na terenie ziemi ciechanowskiej w grę wchodziły dorzecza głównych rzek, należących do zlewiska Narwi: mianowicie Wkry oraz Orzyca. Dawny powiat przasnyski należał w całości do zlewiska rzeki Orzyc. Uwarunkowania geograficzne spowodowały, że osadnictwo nad Orzycem nie było rozłożone równomiernie. Sprawą bardzo ważną dla osadnictwa była postępująca intensyfikacja rolnictwa, przejawiająca się w stabilizacji osadniczej, a osadnictwo mazowieckie miało charakter gniazdowy z silnymi powiązaniem rodowo-rodzinnymi. Uczestniczyła w nim ludność wolna, stanu drobno-rycerskiego, wzbogacona na licznych wyprawach wojennych. Być może, że ta akcja osadnicza organizowana była przez księcia dla wzmocnienia pogranicza, bowiem ludzie ci byli zapewne zobowiązani do służby wojskowej. Tereny te, a szczególnie terytorium makowsko-różańskie, w 1355 r. zostały nadane w lenno przez Kazimierza Wielkiego księciu Siemowitowi III Trojdenowicowi na 3 lata, po czym wróciły do króla; następnie znów były w rękach Siemowita, a po podziale w 1374 r. we władaniu księcia Janusza I, zaś po 1428 r. dostały się księciu Bolesławowi IV.

Najwcześniejsza wiadomość o wsi Siedlec lub Sielce, bo tak się wówczas nazywała, pochodzi z roku 1386 i związana jest z założeniem parafii. Wieś ta leżąca tuż nad Orzycem musiała zatem istnieć wcześniej i tworzyła wraz z sąsiednimi wsiami swego rodzaju wyspę osadniczą wśród otaczającej ją zewsząd puszczy. Kolonizację tego skrawka puszczy rozpoczęto już zapewne w XIV w. Starsze miejscowości, których nazwy występują w różnych dokumentach, to Biernaty, Pienice, Drążdzewo. (Jan i Mikołaj z Łukowa w 1470 r. widnieją jako właściciele Łukowa, Wronowa, Rak, Drążdzewa). W XV wieku powstały następne osady. Nad rzeczką Trlogą w 1418 r. powstała duża wieś Grabowo z nadania księcia Janusza. Później powstały wsie: Niesulowo, Ruzieck, Dłutówka. Na



późniejsze powstanie wsi miały wpływ warunki topograficzne. Był to bowiem teren zabagniony i pełen torfowisk. Choć gleby były tu słabe, jednak osadnictwo trwało na tym styku puszczy z krainą rolniczą. Wówczas większą wartość niż grunty dla mieszkańców stanowiła bliskość lasu, który dawał dochody ze sprzedaży wosku i miodu, z wypalania popiołów i pędzenia smoly.

Jak podają piętnastowieczne źródła (1446), gościniec z Ciechanowa do Ostrołki wiódł przez Przasnysz, Krasnosielc i Ruzieck. W 1567 r. wieś Sielc należąca do Elżbiety Ciemnieńskiej opłacała pobór z 26 włók, 2 gorzelni, 4 karczemi, 1 młyna i 3 kuźni. Widać z tego, że była to wówczas duża wieś licząca ponad 300 mieszkańców. Jeszcze na początku XVII w. kościół należał do rodziny Ciemniewskich, potem przeszedł wraz z innymi dobrami w ręce Krasieńskich, od nazwiska których miejscowość zmieniła nazwę na Krasnosielc. Wiadomo, że Jan Kazimierz

Krasieński, syn Stanisława, urodzony w 1607 r., wojewoda płocki, podkomorzy ciechanowski i kasztelan warszawski nabył w 1650 r. od Oborskiego wsie Drążdzewo, Rupino i Płodownicę, zaś Jan Kanty Stanisław Krasieński, biskup sufragan chełmski (1696-1757), dobra Drążdzewo, Wólkę, a także Sielc odziedziczony po Błażeju Krasieńskim odstąpił bratankowi Kazimierzowi

Krasieńskiemu. Kazimierz Krasieński (1725-1802), oboźny wielki koronny, poseł na sejm, marszałek sejmowy i trybunalski, syn Antoniego kasztelana zakroczymskiego po ojcu odziedziczył część klucza krasnosielckiego, od stryja, bpa Jana Kantego, otrzymał dalszą część Krasnosielca, Przytuły, Chłopią Łąkę, Wólkę Chromą oraz tzw. klucz płodownicki nad Omulewem. Ponadto nabył na Mazowszu wiele innych majątków i stał się jednym z najbogatszych członków silnie rozrodzonego rodu.

W kręgu rodziny uchodził za „patriarchę” i najbardziej uczoną głowę klanu. Był zwolennikiem Konstytucji 3 maja, brał udział w Insurekcji kościuszkowskiej. Kolejnym dzieckiem Krasnosielca, Zegrza i Radziejowic był Józef Wawrzyniec Maciej Onufry Krasieński (1783-1845), syn Kazimierza. W młodości był adiutantem gen. Kniaziewiczza, potem senatorem Królestwa Polskiego. Należał do najbogatszych panów w Polsce. Jego syn Karol, szambelan dworu carsko-rosyjskiego, otrzymał dobra krasnosielckie. W 1781 r. Stanisław August Poniatowski zezwolił Józefowi Krasieńskiemu na odbywanie w Krasnosielcu 4 jarmarków rocznie, a w 1786 r. liczba odbywanych jarmarków wzrosła do 8 rocznie.

W 1824 r. jako osada rzemieślniczo-handlowa na mocy przywileju Księcia Namiestnika Królestwa Polskiego uzyskała prawa miejskie i według nich została

urządzona. Było tu wówczas 56 rzemieślników zorganizowanych w cechach, w tym 19 fabrykantów sukna, 13 krawców, 7 zdunów i garncarzy. W latach około 1825 w Krasnosielcu były 53 domy i 620 mieszkańców, w roku 1860 już 72 domy i 997 mieszkańców, w tym aż 636 Żydów, a w 1865 r. domów było 95, a liczba mieszkańców miasta wzrosła do 1205 osób.

Dzięki dogodnym warunkom stworzonym przez Krasieńskich miasto, opierające swą egzystencję głównie na wyrobie sukna, początkowo rozwijało się pomyślnie. Krasieński uruchomił fabrykę sukna zatrudniającą 34 osoby. Miejscowy przemysł sukieniczy dostarczał grubych, ludowych wyrobów; swoje wyroby Krasieńscy zbywali na jarmarkach i rozwozili po okolicy; jednak z powodu trudności w sprzedaży tych towarów produkcja upadła.

W latach 1864 Krasnosielc był w posiadaniu Karola Krasieńskiego. Mimo utraty praw miejskich w 1869 r. zatrudnienie wzrastało nadal i w 1888 r. Krasnosielc miał 108 domów i 1720 mieszkańców. W XIX w. co roku odbywało się 6 jarmarków, a co tydzień targ. W początku XX w. istniało tu kilka niedużych zakładów przemysłowych: huta szkła, młyn parowy, tartak, cegielnia, piec wapienny, fryszlerka, czyli piec do przetapiania surowca na żelazo kute, nadto nadal rozwijała się, choć w mniejszym stopniu, produkcja sukna.

W 1910 r. Krasnosielc liczył 2782 mieszkańców a po zniszczeniach wojennych 1920 r. liczba zmalała do 1842 osób w 178 domach. W 1939 r. miał Krasnosielc rekordową liczbę mieszkańców, bo aż 3960; w czasie okupacji ludność osady na skutek różnych represji zmniejszyła się do 1820 osób, czyli mniej więcej o połowę.

Parafia i świętynie Krasnosielca

Wynikiem wczesnego rozwoju osadnictwa na terenach ziemi ciechanowskiej było formowanie się sieci parafialnej. Problem powstawania nowych parafii w tych okolicach trwał do XV w. Tu również, w Krasnosielcu nad Orzycem, w województwie mazowieckim ziemi ciechanowskiej w powiecie przasnyskim w dekanacie pułtuskim została utworzona przed 600 laty nowa parafia. Za zgodą kapituły katedralnej w Płocku ustanowił ją 10 maja 1386 r. ówczesny biskup płocki Ścibor z Radzymina herbu Ostoja. Parafia powstała z fundacji Pawła z Radzanowa herbu Prawdzie, chorążego warszawskiego. Zachował się do naszych czasów dokument erekcyjny wystawiony przez tegoż biskupa Ścibora mówiący o tym wydarzeniu. Z wizyty z 1781 r. zanotowano: „Erekcję długo szukaną wynalazłem i w Akta Pułtuskie 26 8-bris 1771 i w kościelne ingrosowałem, która stała się sub Stiborio Episcopo 1386 i tu na końcu zapisana”. W skład ówczesnej parafii Siedlec weszły wsie: Drążdzewo, Trylogi (Piotra i Strachomira) oraz Pienice (Piotra i Biernata). Dziesięciny z tych wsi, jakie składała miejscowa ludność, stanowiły, według dekretu erekcyjnego, utrzymanie plebana i kościoła. Z biegiem lat przybywało na terenie parafii

nowych wsi. Należały do nich w XVI w.: Chłopia Łąka, Grabowo, Grądy, Niesułow, Perzanki, Przykuty, Ruzieck, Sławki i Wola Pienicka. Do końca XVIII w. przybyły dalsze wsie: Bagienice, Biernaty, Budy Przesieckie, Elźbiecin, Przelaje, Sielc, Stegna, Wólka Drążdżewska, Wólka Rakowska. W XIX w. powstały wsie: Amelin, Huta, Krasnosielc Nowy, Łazy, Papierowy Borek i Wygoda. Na początku XX w. znikły 2 wioski, mianowicie: Przykuty i Stegna.

Z tego widać, że teren parafii Krasnosielc w ciągu wieków rozwijał się dynamicznie. Jak podaje zachowana w Archiwum Diecezjalnym w Płocku wizyta parafii Krasnosielc odbyta w 1781 r., dobra dziedziczne Krasieńskich stanowiły następujące miejscowości: miasteczko Krasnosielc, Grądy, Przytuły, Drążdzewo, Wólka Przykory, Wólka Olszewka, Bagienice, Niesułow, Chłopia Łąka, Raki; wsiami zaś szlacheckimi były: Perzanki, Grabowo, Ruzieck, Biernaty, Pienice i Wola Pienicka. Było więc w sumie 16 miejscowości wchodzących w skład parafii.

Bardzo ciekawy zapis wyrażający przynależność dziedziczną poszczególnych miejscowości w parafii utrwaliła wizyta z 1817 r. przeprowadzona z polecenia bpa A. Prażmowskiego. Dobrami dziedzicznymi Józefa Krasieńskiego były wówczas: Krasnosielc, Drążdzewo, Wólka Drążdżewska, Przytuły, Chłopia Łąka, Raki, Wólka Rakowska, Elźbiecin, Przelaje, Stegna, Niesułow. Dwie wsie: mianowicie Bagienice i Ruzieck były własnością Krasieńskiego i szlachty oraz wieś Budy była w części dziedziczną Krasieńskiego, w części zaś narodową; Grądy i Sławki były wówczas wsiami dziedzicznymi panny Krasieńskiej, Biernaty należały do Zacheusza Lasockiego, Pienice do Kacpra Wilamowskiego i szlachty, zaś Grabowo i Perzanki tylko do szlachty. W 1842 r. do parafii Krasnosielc należało 25 wsi (Bagienice, Biernaty, Budy Przesieki, Chłopia Łąka, Drążdzewo, Elźbiecin, Grabowo, Grądy, Klin Karczma, Krasnosielc miasto, Nakieł, Niesułow, Nowosiedliny, Pach, Perzanki, Pienice, Przelaje, Przytuły, Raki, Ruzieck, Sławki, Stegna, Wola Pienicka, Wólka Drążdżewska, Wólka Rakowska) zaś w 1883 r. należało już 36 wsi (Krasnosielc, Sielc, Wymysły, Wola, Sielc Leśny, Pienice, Biernaty, Chłopia Łąka, Bagienice, Przytuły, Amelin, Niesułow, Pieczysko, Pach, Grabowo, Perzanki, Ruzieck, Przelaje, Raki, Wólka Rakowska, Papierowy Borek, Kalimowo, Drążdzewo, Wólka Drążdżewska, Zwierzyniec Drążdżewski, Budy Przesieki, Nakieł, Stegna, Kujawy, Grondy, Przytuły, Sławki, Folwark-Krasnosielc, Klin, Piekielek, Wygoda).

W 1910 r. na skutek usilnych prośb mieszkańców wsi Drążdzewo oraz innych okolicznych wiosek bp płocki A. J. Nowowiejski wydzielił z parafii Krasnosielc nową parafię z siedzibą w Drążdzewie, bowiem tam od 1774 r. istniała kaplica, a potem kościół drewniany zbudowany przez Krasieńskich. Nabożeństwa jednak odprawiały się rzadko, przeważnie z racji odpustów i raz w roku we wtorek Wielkanocny, kiedy okoliczni księża zjeżdżali się do Drążdżewa na spowiedź wielkanocną wiernych. Była to tzw. „tłuka”. Obecnie do parafii należy 31 miejscowości: Amelin, Bagienice, Bagienice Tryloga,

Biernaty, Chłopia Łąka, Grabowo, Grądy, Huta, Józefowo, Kalinowo, Klin, Krasnosielc, Krasnosielc Leśny, Krasnosielc Nowy, Łazy, Niesułow, Pach, Papierowy Borek, Perzanki, Pieczyska, Pienice, Przelaje, Przytuły, Raki, Ruzieck, Sielc, Sławki, Wola, Wola Rakowska, Wymysły, Wygoda.

Z najstarszej zachowanej w Archiwum Diecezjalnym w Płocku wizytacji parafii Krasnosielc odbytej w 1605 r. wiadomo, że pierwszy kościół parafialny był drewniany, konsekrowany, wystawiony pod wezwaniem świętych Apostołów Piotra i Pawła. Wyposażony był w 4 ołtarze. Ołtarz wielki wówczas był nowy, drewniany, z pięknym obrazem Matki Boskiej. Ponadto były 3 ołtarze boczne; z lewej strony św. Anny ze starożytnym obrazem, z prawej św. Mikołaja także ze starym obrazem. Trzeci ołtarz boczny w środku kościoła po lewej stronie poświęcony był Najświętszej Marii Pannie. Przy ołtarzu głównym była umieszczona także stara chrzcielnica. Zakrystia była wyposażona w potrzebne księgi i paramenta liturgiczne. Protokół wizytacyjny podawał, że były 3 mszały rzymskie, agenda nowa, graduał, psalterz, 3 srebrne kielichy, jeden z nich pozłacany, dar ks. Bagińskiego, kanonika poznańskiego; monstrancja nowa, srebrny krucyfiks; ponadto były kitajkowe kapy, adamaszkowe ornaty, dar od ks. Jakuba, wikarego z Przasnysza, który był rodakiem z Krasnosielca. Proboszcz prowadził poprawnie księgi metryczne. W parafii w tym czasie była szkoła, w której uczył specjalny rektor.

Świątynia ta służyła parafianom z Krasnosielca prawie 350 lat. Drugim kościołem wybudowanym na miejscu starego, który uległ zniszczeniu, był także kościół drewniany fundowany w 1730 r. przez miejscowego dziedzica Błażeja Jana Krasieńskiego, starostę sztumskiego, nowokorczyńskiego, przasnyskiego i opinogórskiego. Konsekrował go pod tym samym wezwaniem św. Piotra i Pawła 3 czerwca 1740 r. Marcin Załuski, sufragan płocki. Zachowały się z tego okresu dwie wizytacje parafii Krasnosielc z 1764 r. i 1781 r., według których kościół był wyposażony w 5 ołtarzy nowo przerobionych, odmalowanych i złoconych, z tych 3 miały obrazy zasuwane. W ołtarzu wielkim zrobionym staroświecką strukturą umieszczony był obraz Niepokalanego Poczęcia NMPanny w koronie z wieniec srebrnym u stóp. Obraz ten był zakrywany innym malowidłem na zasuwie.

Po prawej stronie w kościele umieszczony był ołtarz św. Rocha z obrazem tego świętego mającego srebrną sukienkę i zasuwę z obrazem Pańskiego Przemienienia. Święty Roch cieszący się w tej parafii szczególnym kultem odbierał jeszcze cześć w obrazie feretronowym noszonym w czasie procesji. Po prawej stronie był jeszcze ołtarz z obrazem przedstawiającym zaślubienie N.M.Panny. Po lewej stronie mieścił się ołtarz św. Anny oraz ołtarz Pana Jezusa Ukrzyżowanego, naprzeciw ołtarza Matki Bożej. Kościół ten służył parafianom stosunkowo krótko, bo tylko 60 lat.

Już protokoły z wizytacji z 1781 r. sygnalizowały, że kościół choć miał dopiero 51 lat, był w złym stanie, ściany się paczyły, ściskane były ankrami. Budowa pokryta była

kłębem dębowym; posadzka zaś ułożoną z tarcic, przy drzwiach bocznych istniała kruchta. Kościół był usytuowany wielkim ołtarzem na zachód, wewnątrz miał sporo nowych ławek.

Trzeci z kolei kościół, tym razem murowany, który przetrwał do naszych czasów, wzniesiony został w latach 1790-1792. Patronem kościoła został wybrany św. Jan Kanty. Fundatorami byli: Kazimierz Krasiński, oboźny wielki koronny, starosta nowokorczyński, krasnostawski i przasnyski oraz jego żona Anna z Ossolińskich. Kazimierz Krasiński był w tym przedsięwzięciu wykonawcą woli głównego fundatora Jana Kantego Krasińskiego, sufragana chełmskiego, kantora plockiego, kanonika kujawskiego i warmińskiego.

Budowla została wykonana według projektu architekta Hilarego Szpilowskiego w stylu klasycystycznym. Ten nowo wybudowany kościół pod wezwaniem św. Jana Kantego konsekrował 29 września 1799 r. bp plocki O. K. Szembek. Była to świątynia kryta dachówką, mająca 45,5 m długości, 14,5 m szerokości oraz 9 m wysokości. Posiadała 9 okien w kształcie podkowy i 3 pary drzwi wejściowych. Wnętrze wyposażone było w 3 ołtarze. W ołtarzu wielkim oddzielonym od nawy drewnianą balustradą umieszczony był w głównym polu obraz przedstawiający „Zdjęcie z Krzyża” przypisywany Franciszkowi Smuglewiczowi, wyżej obraz przedstawiający scenę „Pańskiego Przemienienia”.

Po prawej stronie od wejścia głównego znajdował się ołtarz św. Rocha z obrazem tegoż świętego z drugiej połowy XVIII w. w sukience Iz blachy srebrnej trybowanej. Zasłaniany był on obrazem św. Jana Kantego. Z lewej strony umieszczony był ołtarz Matki Bożej z obrazem Niepokalanego Poczęcia NMP oraz wizerunkiem św. Błażeja na zasawie; w górze był niewielki obraz św. Stanisława Kostki.

Na głównym ołtarzu umieszczone było tabernakulum z drzewa hebanowego, czarne, przyozdobione sztukateriami ze srebra, wewnątrz wyłożone i zamkiem przyzwoicie opatrzone. Także z drzewa była ambona z chrzcielnicą wykonana zapewne wg projektu arch. H. Szpilowskiego. Chrzcielnica snycerskiej roboty umieszczona na postumencie, malowana na perłowo, wyłaczana, miała w środku korpusu szufladkę na miedziany kociołek z wodą chrzcielną. W nawie kościoła ustawionych było 14 nowych ławek z jesionowego drzewa pokrytych pokostem. Na chórze umieszczone były nowe 8-głosowe organy o dwóch miechach, malowane perłowo, wyłożone, ozdobione na wierzchu herbem kolatorów.

Zakrystia z 2 zakratowanymi oknami urządzona była za wielkim ołtarzem; nad zakrystią były niegdyś łóże z oknami wychodzącymi na kościół, ale potem je zamurowano. Wyposażenie zakrystii stanowiły meble stylowe w postaci szaf i kredencji, gdzie przechowywane były szaty, księgi, naczynia liturgiczne, srebra oraz inny sprzęt potrzebny do sprawowania ceremonii. Wystarczająca była ilość szat liturgicznych takich, jak ornaty, kapy, dalmatyki, baldachimy; wśród nich znajdowały się kapy atłasowe, ornaty adamszkowe

z tkanin tureckich, wyrabiane srebrem i okładane złotym galonem. Odpowiednia też była ilość naczyń liturgicznych takich, jak kielichy, monstrancje, krucyfiksy, ampułki. Na uwagę zasługiwał duży kielich z herbem kolatorów „Ślepowron” ofiarowany kościołowi przez Antoniego Krasińskiego, kasztelana zakroczymskiego, przekazany po śmierci jego brata bpa sufragana; z innych naczyń sakralnych był kielich gładki z 1785 r. z fundacji Kazimierza Krasińskiego, oboźnego wielkiego koronnego. Ciekawa była także monstrancja barokowa z około 1700 r. z postaciami aniołków na ramionach i Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej u podstawy glorii. W relikwiarzach przechowywane były relikwie świętych: Fidelisa, Konstancji i Augustyna. Do noszenia w procesji było 12 chorągwi, w tym 8 nowych w dobrym stanie; podobnie w dobrym stanie znajdowały się 4 obrazy w ramach na postumencie do noszenia.

Przez dziesiątki lat kościół wymagał kolejnych remontów i koniecznych napraw, które były realizowane na bieżąco. W 1897 r. za czasów pasterzowania ks. A. Białokoza kościół otrzymał nową malaturę wykonaną przez Michała Strzałeckiego z Warszawy. W latach międzywojennych pokryto dach kościoła ocynkowaną blachą, sprawiono stacje Drogi Krzyżowej, oczyszczono i poddano konserwacji wnętrze kościoła z zachowaniem dawnej malatury. Prace renowacyjne i malarskie prowadzili Władysław Świącicki i Wardzyński. Także w latach międzywojennych (1932) odnowiono ołtarze, między innymi ołtarz wielki zbudowany z drzewa imitującego dąb, ze złożonym tabernakulum w kształcie romańskiego baldachimu, ozdobiony kolumnami ze statuami św. Apostołów Piotra i Pawła. W ołtarzu pozostały obrazy przedstawiające sceny „Zdjęcie z Krzyża”, w górze obraz „Pańskiego Przemienienia”. Wmurowana mensa z cegły oszalowana była także drzewem. Z lewej strony był ołtarz boczny drewniany, także imitujący dąb, poświęcony Matce Boskiej, z obrazem św. Stanisława Kostki u góry. Ołtarz zaś z prawej strony poświęcony był św. Janowi i miał u góry obraz św. Rocha.

Pod koniec wojny, w styczniu 1945 r., na skutek działań frontowych kościół został znacznie uszkodzony. Szkody te usuwał wraz z parafianami ówczesny proboszcz ks. Wacław Gierszeweki, a potem jego następca ks. Stanisław Bobiński. Dziś świątynia pięknie odnowiona prezentuje się doskonale. Nawa kościoła zbudowana na planie prostokąta ma węższe prezbiterium zbliżone do kwadratu, w jego zaś przedłużeniu dobudówkę z zakrystią. Ściany rozczłonkowane są pilastrami jońskimi dzwigającymi szerokie belkowanie z kostkowym gzymsem. Pomiędzy pilastrami płytkie arkadowe wnęki zamknięte półkoliście. W ich górnej strefie odciętej gzymsem kordonowym umieszczone są półkoliste okna. Wejście zwieńczone jest odcinkiem gzymesu, a nad nim tablica fundacyjna z datą 1792, w pobliżu kartusze z herbami Krasińskich - Ślepowron i Ossolińskich - Topór.

Przy kościele znajdowała się dzwonnica, w której były trzy konsekrowane w 1753 r. dzwony. Nowa murowana dzwonnica

wystawiona została kosztem kolatora w 1827 r. w narożu cmentarza przykościelnego od strony frontu. Utrzymana jest w stylu klasycystycznym. W 1925 r. ks. Albin Żmijewski wraz z parafianami zakupił 2 dzwony: „Antoni” o wadze 200 kg i „Albin” o wadze 150 kg.

Wraz z kościołem parafialnym powstał cmentarz przykościelny, który był przez wieki jednocześnie miejscem grzebania ciał zmarłych. Cmentarz ten był przy kościele tuż nad Orzycem. Kiedy w 1792 r. nowy murowany kościół pobudowano w innym miejscu, przez jakiś czas stary, drewniany kościół służył jako kaplica cmentarna. W 1839 r. ks. W. Zadruski założył na gruncie parafialnym nowy cmentarz zgodnie z przepisami rządowymi już poza osadą, w odległości około 500 m. na północny-wschód. W 1840 r. wizytator zapisał: „Drugi cmentarz w polu do chowania ciał zmarłych parkanem na podmurowaniu kamiennym w słupy w roku zeszłym założony, obwiedziony, obok którego jest cmentarz dla ewangelików drzewami dzikimi obsadzony... Trzeci cmentarz jest na miejscu, gdzie dawny stał kościół, balami w słupy obwiedziony, na którym dotychczas chowają się ciała zmarłych i tam jest kostnica”.

Teren cmentarza został znacznie powiększony w 1885 r. za ks. A. Białokoza, który także postarał się o solidne ogrodzenie go murem kamiennym, o furtki i bramę żelazną. Cmentarz podzielony został na kwatery, zasadzono wiele drzew i całość należycie uporządkowano. W czasie okupacji kamienne ogrodzenie cmentarza uległo zniszczeniu przez użycie tychże kamieni na inne cele, jakie Niemcy wyznaczili. Nowe ogrodzenie sprawili po wojnie parafianie za czasów księży Bobińskiego i Litwińskiego.

Wierni i duszpasterze parafii

Przez wieki kościół parafialny w Krasnosielcu gromadził wiernych na nabożeństwa przeważnie w niedziele i święta. Do kościoła przybywali jednak parafianie i w inne dni, aby korzystać z różnych posług sakramentalnych: chrztów, ślubów, pogrzebów. Dni powszednie były wypełnione pracą na roli i w lesie. Niedziela była okazją, kiedy spotykała się ludność całej parafii. Przyjście do kościoła było jednocześnie umożliwieniem odwiedzin, załatwienia różnych spraw, spotkań i zebrań, a dla wielu także okazją zagładania do karczmy. Uroczystością, które gromadziły przez wieki społeczeństwo całej parafii, były odpusty parafialne. Najliczniej gromadzili się wierni z parafii i okolicy na odpust „Pańskiego Przemienienia” (6 sierpnia), św. Rocha (16 sierpnia) oraz św. Jana Kantego (20 października). Odpusty te były odprawiane w dni przypadające. Ponadto w parafii obchodzono jeszcze odpust na św. Stanisława Kostkę (13 listopada) oraz w rocznicę poświęcenia kościoła, to jest w 20 niedzielę po Zielonych Świątkach.

Ważnym obowiązkiem kościelnym było wypełnianie przykazania odbywania corocznie spowiedzi wielkanocnej. Obowiązek ten był

pilnie przestrzegany w całej Polsce przez stulecia. Pleban zobowiązany był czuwać nad tym, aby wszyscy jego parafianie w przepisany przez Kościół czasie mogli odbyć spowiedź i przyjąć Komunię św. Na Mazowszu obowiązek spowiedzi wielkanocnej wypełniany był niemal w 100%. W parafii Krasnosielc sprawa ta również wyglądała dobrze. Najstarsze zachowane zapisy informujące o liczbie parafian przystępujących do spowiedzi stwierdzały, że obowiązek ten spełniali wszyscy. W 1779 r. na 1640 osoby, bo tyle wówczas liczyła parafia Krasnosielc, wszyscy dorośli, czyli 1315 osób, przystąpili do komunii wielkanocnej, pozostałe 325 osób stanowiły dzieci. Także i w 1781 r. wizytator zanotował, że wszyscy parafianie dorośli, to jest 1386 osób, odbyło spowiedź. Podobnie było w roku 1817, kiedy to obowiązek ten wypełniło 881 mężczyzn i 889 kobiet to jest 1770 parafian.

Bardzo dobre świadectwo pod tym względem wystawił swoim parafianom wobec bpa Nowodworskiego gorliwy i długoletni duszpasterz tej parafii, ks. A. Białokoz, pisząc w 1890 r., że „mały bardzo wyjątek jest takich, którzy by raz do roku przystępowali tylko do sakramentów świętych, po większej części prawie wszyscy bywają po 2 razy”. Piękne to stwierdzenie świadczące o zrozumieniu życia eucharystycznego, o gorącej więzi ludu z Najświętszym Sakramentem. Trzeba na tym miejscu pamiętać, że liczba mieszkańców w dawnych wiekach była znacznie mniejsza. Nie dysponujemy spisami ludności od czasów powstania parafii, ale należy sądzić, że w czterech wsiach, które początkowo stanowiły parafię, było zaledwie kilkaset osób. Powoli jednak przybywało wiosek i ludności. W 1779 r. parafia Krasnosielc miała 1640 wiernych, wizyta z 1781 r. zanotowała, że na terenie parafii mieszkało 1749 osób wyznania rzymskokatolickiego, 28 osób wyznania protestanckiego oraz aż 486 osób wyznania mojżeszowego, czyli Żydów; w sumie na terenie parafii mieszkały 2263 osoby.

Dokładne dane statystyczne dotyczące ludności podała także wizyta z 1817 r. stwierdzając, że było wówczas 2603 osoby zamieszkujące na terenie parafii, w tym 2341 katolików (mężczyzn 1148, kobiet 1193), 12 lutrów (6 mężczyzn i 6 kobiet) oraz 250 Żydów (128 mężczyzn i 122 kobiety). W latach międzywojennych (1932) w parafii krasnosielckiej było 6012 dusz, a na terenie parafii zamieszkiwało 7450 osób. Z tego krótkiego zestawienia widać, że parafia krasnosielcka była zasadniczo jednolita wyznaniowo, tzn. zamieszkiwali ją katolicy. Dość późno, bo dopiero w XVIII w. spotykamy element protestancki. Byli to przeważnie rzemieślnicy, którzy osiedlili się w samym Krasnosielcu. Wcześniej pojawili się na tym terenie Żydzi, najczęściej jako karczmarze i okoliczni handlarze.

Jeśli chodzi o skład socjalny parafii, to był on przez długi czas stabilny i nie ulegał zmianom. Parafia składała się z dworów, kilkunastu wsi tzw. szlachty cząstkowej, resztę zaś stanowili włościanie. Wśród szlachty można było wyróżnić szlachtę zamożną, która osadzała na swojej ziemi kmieci i szlachtę drobniejszą, która uprawiała swoją rolę obojętnie. Nie było jednak jakiejś wyraźnej granicy między tymi

grupami. Ludność wiejska, zarówno kmiecie jak i szlachta, trudniła się oczywiście przede wszystkim rolnictwem. Oprócz rolników byli także rzemieślnicy wiejscy po wsiach: kowale, krawcy, szewcy, zdunowie; w miasteczku była spora część rzemieślników i tzw. ludzi wolnych.

Wierni z całej parafii spotykali się na nabożeństwach, które w niedziele i święta zaczynały się od wczesnych godzin rannych. Uczestnictwo w nich przed Mszą św. nie było obowiązkowe, ale wiele osób chętnych i pobożnych brało w nich udział. Zaczynano zwykle śpiewem pieśni, potem mówiono lub śpiewano tzw. Jutrznie, Godzinki do M. Boskiej - nabożeństwo znane i lubiane przez Polaków, następnie mówiono lub śpiewano Różaniec. Odmawiano też wspólnie pacierz z aktami wiary. Około godz. 10-ej była tzw. Medytacja katechizmowa albo nauka, następnie aspersion, procesja, msza śpiewana zwana sumą i w środku mszy kazanie; całość kończyła się wspólnym śpiewem „Anioł Pański” ofiarowanym za zmarłych. Wizytator z 1842 r. zanotował, że przed mszą ksiądz słuchał spowiedzi, bowiem wielu chciało przyjąć też sakrament, a potem była „nauka stosowna do pojęcia ludu”. Po południu zwykle były Nieszpory lub litania do N.M.P.

Mówiąc o gorliwości parafian krasnosielckich w służbie Bożej, trzeba powiedzieć, że była ona przez wieki znaczna. Podkreślały to często protokoły wizytacyjne. W 1817 r. w tej sprawie tak napisano: „Nie masz w tej parafii osób takowych, któreby lenistwo i gnuśność od słuchania nabożeństwa odwodziło, owsem prawdę powiedzieć potrzeba, iż licznie zawsze gromadzą się, skromnie i przykładowie zachowują się, za co niech będzie cześć i chwała Bogu”. Jeszcze pochlebniejsze zdanie o gorliwości i religijności tychże parafian czytamy w protokole wizyty z 1890 r. „W dni niedzielne i świąteczne lud wierny gromadzi się na nabożeństwo, pomimo odległej przestrzeni bardzo licznie i prawie połowa z przybyłych oczekuje Nieszporów. W dni zaś powszednie bywa rozmaicie, zależy to i od stanu pogody i od pory roku, w każdym razie nie ma dnia, aby nie było kilkanaście osób na Mszy św.” Ale jak i we wszystkim, co ludzkie i tu były wyjątki i odstępstwa; wśród tylu ludzi co jakiś czas znalazł się ktoś, kto dopuścił się jakiegoś wykroczenia, przestępstwa czy nawet zbrodni. Zanotował to wizytator w 1842 r. pisząc: „Nie masz dzięki Bogu zgorszenia publicznego, zdarzył się wypadek dnia 11 listopada r.b. morderczo przez zadanie siedmiu ran zabity został Piotr Więckowski, leśnik borów dominialnych Krasnosielckich, sprawca zbrodni dotąd nie wiadomy”.

Do końca XIX w. teren parafii wolny był od ludzi nadużywających alkoholu. Nie było żadnych skarg ani narzekań plebanów ani innych osób odnośnie tych spraw. Widać ludność pod tym względem była moralnie zdrowa. Jeszcze w 1890 r. wspomniana już wizytacja stwierdzała, że „dziesiąta może część parafian używa wprawdzie wódki i piwa, lecz nie wychodzi z granic umiarkowania i dlatego też upicie się należy do zjawisk nader rzadkich, nałogowych zaś pijaków nie ma zupełnie”.

Na terenie parafii działało zaprowadzone w 1779 r. Bractwo Miłosierdzia, które miało

swoje uroczystości i nabożeństwa brackie w dniu św. Michała Archanioła. W czasie świąt i uroczystych procesji asystowali ze świecami, wspierali ludzi ubogich, kalekich i samotnych. Od wieków zgodnie z życzeniem i poleceniem Kościoła w każdej parafii istniał tzw. szpital, który był domem opieki dla tych, którzy nie mieli jej od swoich najbliższych. Zwykle były to osoby stare, samotne, często kalekie. Istnienie szpitala parafialnego stwierdzały wielokrotnie przeprowadzone wizyty. W szpitalu, czyli odpowiednio zbudowanym domu, mieszkali ubodzy parafianie, mężczyźni i kobiety żyjący często z jałmużny i datków proboszczowskich, za które wykonywali drobne usługi przy kościele w formie zamiatania, dzwonięcia, pilnowania kościoła, stąd nazywani byli pospolicie „dziadami” lub „babami” kościelnymi.

W XX wieku, szczególnie w odrodzonej po 1918 r. Polsce, na terenie parafii działało kilka bractw i stowarzyszeń. Należały do nich: Arcybractwo Różańcowe, Stowarzyszenie Nauczania Chrześcijańskiego założone przez ks. Z. Serejkę 20 grudnia 1929 r., Stowarzyszenie Pachołt Najświętszego Sakramentu założone w tym samym czasie też przez ówczesnego ks. prob. Serejkę, Arcybractwo Najświętszego Sakramentu oraz Trzeci Zakon św. Franciszka erygowany w 1931 r. Sprawnie też działała Akcja Katolicka we wszystkich pionach. Ważnym problemem życia wiernych w parafiach była oświata. Przez stulecia nie była ta sprawa dostatecznie uświadamiana sobie przez ludność, dlatego sztukę czytania i pisania znało stosunkowo niewiele osób. Szkolnictwo w Polsce pozostawało w rękach duchowieństwa przez długie lata, bowiem tylko Kościół troszczył się o zakładanie szkół najniższego szczebla, tzw. szkół parafialnych. Synody prowincjalne i diecezjalne nakazywały zakładać przy każdej parafii szkołę, której kierownikiem był pleban. Do szkoły uczęszczali uczniowie ze wszystkich stanów, to jest dzieci szlacheckie, mieszczańskie i chłopskie, choć wiadomo było, że znaczny wpływ miały na te sprawy warunki finansowe, to jest zamożność poszczególnych parafian. Łatwiej było posyłać do szkoły dzieci zamożniejszemu gospodarzowi niż folwarcznemu chłopu. Jak stwierdzają protokoły wizytacyjne, szkoła przy parafii istniała już w XVI i XVII w. zazwyczaj mając swojego nauczyciela. Naukę pobierało kilkanaścioro dzieci; niekiedy obowiązki nauczyciela spełniał miejscowy organista. Po wojnach napoleońskich, które spowodowały wiele zniszczeń na Mazowszu, warunki materialne w wielu parafiach były bardzo złe, stąd upadek szkolnictwa parafialnego. Protokół wizyty z 1817 r. w Krasnosielcu podawał, że „była szkoła zaprowadzona i nauczyciel przez rząd do uczenia dzieci przeznaczony, lecz ta w czasie ustawicznych wojsk rosyjskich przechodów ustała i dotychczas nie egzystuje”. Sytuacja poprawiła się w niedługim czasie, bo oto już w 1819 r. następna wizyta stwierdziła, że szkoła parafialna istniała, nauczycielem w niej był Jakub Obojski; zdanych do nauki dzieci było około 130, a do szkoły i to tylko zimową porą chodziło 40 osób, zaś w miesiącach letnich regularnie uczęszczali tylko 4 osoby. Reszta dzieci pomagała

rodzicom w gospodarstwie lub była zatrudniona najemnie „do pasionki”.

Lata trzydzieste tegoż wieku były okresem upadku szkolnictwa, upadło nauczanie także w Krasnosielcu. Na nowo zostało zorganizowane dopiero w latach 1840-tych, kiedy to dwór przeznaczył budynek na szkołę, a rodzice posyłający swoje dzieci na nauki opłacali nauczyciela. Stan taki przetrwał niemal do końca XIX w.

Jeśli chodzi o przynależność dekanalną parafii Krasnosielec, to była ona różna w ciągu wieków. W 1443 r. w wyniku coraz to silniejszego rozwoju osadnictwa utworzony został archidiaconat pułtuski i do 1506 r. parafia Krasnosielec należała do dekanatu pułtuskiego, w latach zaś 1506-1697 należała do nowo utworzonego dekanatu przasnyskiego, a od 1697 r. do dekanatu makowskiego, gdzie przynależy do chwili obecnej.

Dochody duchowieństwa od wieków oparte były na dziesięcinach, gospodarce rolnej na poświętnym, wreszcie na różnych opłatach uiszczanych przez wiernych z racji posług duszpasterskich. Beneficjum krasnosielckie jako uposażenie obejmowało 2 włóki chełmińskie gruntów ornych oraz 12 morgów innej ziemi. Miało także łąki rozrzucone po lasach, których powierzchnię trudno było obliczyć, lecz dawały, jak zanotował wizytator w 1817 r., 5 fur parokornych siana. Komornicy mieszkający na poświętnym odrabiali za to u proboszcza jeden dzień w tygodniu, ponadto pleban pobierał dziesięciny snopowe w zbożu i pieniądze z folwarków i wsi szlacheckich. Po uwłaszczeniu i zabraniu Kościołowi katolickiemu majątków ziemskich wszyscy plebani otrzymali na swoje utrzymanie po 6 morgów ziemi. Tak było i w Krasnosielcu, gdzie proboszcz otrzymał tę ziemię w 2 kawalkach. Taki stan trwał do pierwszej wojny światowej.»

Poziom religijności parafii zależy w dużym stopniu od duchowieństwa, to jest od księży tam pracujących, od ich postawy moralnej i zaangażowania duszpasterskiego. W ciągu 600 lat istnienia tej parafii było wielu kapłanów, którzy gorliwie trudzili się jako duszpasterze. Wikariusze, jako pomocnicy proboszczów, zjawili się dopiero w parafii Krasnosielec od 1805 r.

Na tym miejscu wymieniamy tylko niektórych proboszczów bardziej znanych z przekazów źródłowych i zasłużonych dla tej parafii. W latach 1751-1781 proboszczem w Krasnosielcu był Piotr Halibarthon, kanonik pułtuski, rezydujący stale przy kolegiacie, a w duszpasterstwie wyręczał go ks. Roch Chmielewski. Od 1810 do 1841 r., a więc przeszło 30 lat, duszpasterzował gorliwie ks. Walenty Zadruski. Spoczął na miejscowym cmentarzu. Kapłanem, który pracował przeszło 40 lat w tej parafii, był ks. Walenty Pężyński (1842-1883). Ciało jego również spoczywa na miejscowym cmentarzu. 29 lat gorliwie pracował ks. Adolf Białokoz (1883-1912), niegdyś pracownik konsystorza i kapelan biskupa Gintowta. W Krasnosielcu wymalował kościół, w 1885 r. pobrał w większości swoim kosztem plebanię (parafianie dołożyli 2 tys. rubli) murowaną, krytą dachówką. Przez rok pracował ks. Jan Swiderski (1912-1913), który przeszedł na probostwo do Wieczfni.

Lata pierwszej wojny światowej przeżył z parafianami ks. Andrzej Sękus (1913-1925). W 1921 r. pobrał drewniany wikariat. W latach 1925-29 pracował tu ks. kan. Albin Żmijewski, który zakupił 2 dzwony, pokrył kościół ocynkowaną blachą, a poza tym sprawił w 1927 r. stację Drogi Krzyżowej, oczyścił też i na nowo przemalował kościół. Po nim duszpasterzował ks. kan. Zygmunt Serejko (1929-1931), który pięknie prowadził pracę organizacyjną i duszpasterską, zakładając w 1929 r. Stowarzyszenie Nauczania Chrześcijańskiego.

Od 1932 r. do sierpnia 1939 r. pracował jako proboszcz ks. kan. Feliks Dublasiewicz, a następnie przeszedł do Pomiechowa. W czasie okupacji (1939-1945) proboszczem był ks. dr Wacław Gieryszewski, późniejszy dziekan ciechanowski. Ze zniszczeń wojennych dźwiżył parafię i kościół ks. Stanisław Bobiński (1945-1956). W sierpniu 1956 r. objął parafię ks. Mieczysław Litwiński, który pracował w niej 17 lat. W ciągu tego czasu pod jego kierunkiem i przy dużej ofiarności i zaangażowaniu parafian zrobiono wiele. W 1957 r. rozpoczęto prace związane z elektryfikacją Krasnosielca. Światło elektryczne zabłysło w krasnosielckim kościele 18 stycznia 1958 r. W związku z zakładaniem elektryczności zachodziła potrzeba odnawiania i malowania kościoła. Prace te wykonywał Bogdan Narewski, nie tylko malując kościół, ale także odświeżając ołtarze: główny oraz boczne. Przy okazji obrazy zostały poddane zabiegom konserwatorskim. Odnowiono też chrzcielnicę i ambonę. W 1972 r. sprawiono ołtarz soborowy, przy którym do dziś odprawia się msza twarzą do wiernych. Przy remontach kościoła zabiegom renowacyjnym została poddana także dzwonnica, uporządkowano cmentarz grzebalny, stawiając między innymi pomnik na grobie ks. St. Bobińskiego. Plebania została pokryta nowym dachem z blachy ocynkowanej, pobrał też nowe budynki gospodarcze. Do zakrystii przybyły nowe paramenty, naczynia i szaty liturgiczne. W lipcu 1973 r. ks. M. Litwiński przeszedł na emeryturę i zamieszkał na plebanii jako rezydent.

Od sierpnia 1973 r. proboszczem w Krasnosielcu został ks. prałat Tadeusz Goleniewski. Przeszedł z parafii Trzepowo k. Płocka, gdzie artystycznie odnowił drewniany zabytkowy kościół. I tu zabrał się energicznie do pracy. Cały kościół został pokryty nową blachą, zainstalował radiofonizację kościoła, wyremontował organy, rozebrał starą wikańkę i przystąpił do budowy nowego budynku, którego budowa szybko została zakończona i od wielu lat służy księżom za mieszkanie. Wydarzeniem niezwykłym, które przeżyła parafia Krasnosielec w dniach 26-27 czerwca 1976 r., było Nawiedzenie Matki Bożej w kopii cudownego obrazu. Była to wspaniała manifestacja religijna, która długo mogła pozostać w pamięci tych, którzy ją przeżywali. 17 maja 1975 r. zmarł ks. M. Litwiński, wkrótce po obchodach 50-lecia kapłaństwa, jakiego szczęśliwie doczekał. Spoczął na miejscowym cmentarzu.

Od jesieni (15 XI) 1981 r. parafię prowadzi ks. kan. Stanisław Kowalczyk. W ciągu jego

kadencji dla kościoła parafialnego zostały wykonane nowe prace.

Między innymi zmieniono oświetlenie ołtarzy, wprowadzono bardziej estetyczne i funkcjonalne. Usunięto drewnianą podłogę, zmieniono ją od stycznia 1983 r. na marmurową posadzkę. W tymże 1983 r. parafia przeżyła owocnie misję parafialne prowadzone przez księży redemptorystów. Inwestycją niezwykle, na jaką zdobyła się parafia Krasnosielec świętując swoje 600-lecie, jest budowa nowej świątyni w odległym o 8 km Amelinie. Powstanie tam drugi ośrodek życia duszpasterskiego, który usprawni życie religijne, a dla wielu będzie ogromnym ułatwieniem przy wykonywaniu obowiązków religijnych. Budowanie kościoła – Domu Bożego - jest zawsze sprawą ważną. Tworzy się przecież nowy ośrodek kultu i pracy ewangelizacyjnej. Tym, którzy ten trud podejmują, Bóg w specjalny sposób wynagrodzi.

Z parafii tej wyszło wiele powołań kapłańskich i zakonnych. Z żyjących i pracujących wyliczyć należy księży: Franciszka Sokolowskiego, Stanisława Grabowskiego, Dominika Bałdygę, Stanisława Zakrzewskiego, Cesarczyka, Romualda Chodkowskiego, Tadeusza Janowskiego, Jerzego Kaczorowskiego, Stanisława Stencela, Ireneusza Kaczorka, Czesława Kwieceńskiego, Kazimierza Ziółkowskiego, Tadeusza Kołodziejczyka, Jerzego Wielechowskiego, Ryszarda Dębka, Janusza Mackiewicza, Tomasza Cymermana, Marka Czajkowskiego, Zbigniewa Szewczyka. W Seminarium kształci się kilku alumnów, którzy niedługo zasila szereg kapłański. Z tej parafii wiele dziewcząt wstąpiło do zakonów pożytecznie pracując w różnych placówkach.

Dziś, kiedy parafia obchodzi swój niezwykle jubileusz, 600-lecie istnienia, cały ten piękny religijny, kulturalny i społeczny dorobek staje przed nami. Dzisiejsi mieszkańcy parafii Krasnosielec i okolic mogą być dumni ze swoich przodków, a jednocześnie powinni być im wdzięczni za przekazane bogate dziedzictwo duchowe.

Z tym spadkiem i dorobkiem wchodzi parafia Krasnosielec w następne lata swego rozwoju, a z całym Kościołem w Polsce w drugie tysiąclecie chrześcijaństwa na naszej ziemi.

ks. Michał Marian Grzybowski

Od redaktora Wydania:

Ks. M.M. Grzybowski wydał wiele bardzo znaczących publikacji. Dotyczą one szeroko rozumianej historii Kościoła, ale i rozwoju społeczno-ekonomicznego regionu.

Warto, by i z tą publikacją, wydaną już prawie 30 lat temu, cytowaną wielokrotnie przez autorów piszących później o Ziemi Krasnosielckiej, Czytelnicy „Krasnosielckich Zeszytów Historycznych” zapoznali się w oryginale.

*Sławomir Rutkowski
Redaktor Wydania*



Romeo i Julia w Zawadach. oraz uzupełnienie listy osób z gminy Krasnosielc, które zginęły w latach 1939–1951

*Tej ich miłości przebieg zbyt bolesny
I jak się ojców nienawiść nie zmienia,
Aż ją zakończy dzieci zgon przedwczesny*

z Prologu do dramatu
Romeo i Julia Wiliama Szekspira

Apolinary ZAPISEK

Zawady Dworskie to wieś należąca obecnie do gminy Płoniawy-Bramura w powiecie makowskim. Od strony południowej jest najbliższą sąsiadką Krasnosielca Leśnego i Nowego Sielca, będących „przedmieściami” Krasnosielca. Krótko przed II wojną światową, było to zdaje się w 1938 r., doszło tu do tragicznego wydarzenia, podobnego do tego, które Szekspir opisał w znanym na całym świecie dramacie *Romeo i Julia*.

Otóż w pobliskim lasku życie straciło dwoje młodych, zakochanych w sobie ludzi. Najpierw chłopak z broni myśliwskiej zastrzelił, najprawdopodobniej za jej zgodą, swoją ukochaną, a potem, gdy starannie ułożył jej ciało i być może pożegnał ją po raz ostatni, zastrzelił siebie. Ich ciała zostały odkryte następnego dnia przez biegające po lasku dzieci.

Młodzi ludzie z Zawad na ten desperacki krok zdecydowali się prawdopodobnie z podobnego do Romea i Julii powodu – rodziny sprzeciwiały się ich związkowi. Prawdy można się tylko domyślać: nikt nie poznał jej w pełni ani wówczas, ani dziś. Być może przeciwna była tylko jedna z dwóch rodzin? Kochali się nad życie, a rodziny nie uszanowały ich gorącej, zapewne pierwszej miłości. Czy młodzi ludzie słyszeli o swoich literackich poprzednikach? Tego wykluczyć nie można.

Trudno jednak nie dostrzec analogii pomiędzy tymi dwoma historiami. Czy między tymi rodzinami, jak u szekspirowskich Kapuletów i Monteków z Weronie, konflikt trwał „od zawsze”, czy problemem była to tylko nieakceptowalna dla rodzin różnica majątkowa. Jeśli tak, to z pewnością była ona niewielka, bo w tej wsi nie było przecież majątkowych krezusów.

Z dzisiejszej perspektywy krok taki wydaje się jeszcze bardziej niezrozumiały, niż w szekspirowskiej Weronie i przedwojennych Zawadach. Można snuć różne domysły. Być może rodzice któregoś z nich mieli inne plany matrymonialne, których oni za wszelką cenę nie mogli zaakceptować? W ówczesnych warunkach społecznych ci młodzi ludzie nie widzieli możliwości życia poza rodzinną wsią, nie mieli zatem szansy na rozpoczęcie nowego życia z dala od społecznej presji i oczekiwań.

Dramaty młodych ludzi, których podłożem były różnice majątkowe rodzin, występowały na naszych wsiach wcale nie tak rzadko.

W oczywisty sposób problemy takie dotykały wówczas częściej młode dziewczyny. Społeczeństwu łatwiej przychodziło akceptować czyny i decyzje chłopców. Szczególnie ostrą formę rodzinne konflikty przyjmowały zaś wówczas, gdy pojawiały się nieślubne dzieci. Rodzinne właśnie niszczyły radość życia i to co najpiękniejsze – wzniosłe uczucie miłości. W dramacie Wiliama Szekspira nad grobami Romea i Julii rodziny Kupletów i Monteków pojednali się. Czy tak było również w Zawadach? Nie wiem. Myślę



jednak, że to nie nastąpiło.

Pamiętam taką dramatyczną historię również na mojej wsi rodzinnej – Nowym Sielcu. Nie zakończyła się na szczęście tak tragicznie jak w Zawadach. Pozbawiła jednak radości życia młodą bardo sympatyczną dziewczynę. Jej przedwczesne odejście być może spowodowane było tym niezwykle przykrym dla niej zdarzeniem, gdy rodzina jej chłopaka zdecydowanie sprzeciwiała się ich związkowi. Jest jeszcze zbyt wcześnie, aby to szczegółowo przypominać, mogłoby bowiem sprawić przykrość nie tyle tym ludziom, bo ci już nie żyją, ale ich potomkom i krewnym. Tego rodzaju historie z naszych wsi w rękach dobrych pisarzy mogłyby stanowić tworzywo do poczytnych utworów literackich. Należy się cieszyć, że dziś przynajmniej ilość posiadanej ziemi i status majątkowy rodzin nie jest już powodem tak poważnych problemów dla współczesnej młodzieży.

*Apolinary Zapisek,
lipiec 2016 r.*

Poniżej zamieszczam uzupełnienie listy osób, które zginęły podczas i po II wojnie światowej, a o których pisałem w „Krasnosielckim Zeszytach Historycznym” nr 16:

1. Dudek (imienia brak), Krasnosielc zastrzelony w styczniu 1943 r.
2. Józef Skóra, Amelin 28 VIII 1942 r., zastrzelony za ucieczkę z aresztu
3. Jan Gaciuch, lat 29, Budy Przysieki zastrzelony w Biernatach w 1939 r.
4. Wacław Kacprzyński, lat 38, Drążdzewo, zmarł w czasie aresztowania
5. Cząstkiewicz (imienia brak), lat 12–14, Raki, zastrzelony w lipcu 1943 r. przy pasieniu krów
6. Stefan Piekut, lat 28, Drążdzewo powieszony w lutym 1943 r. w grupie 29 osób
7. Józef Jeznach, lat 21, Bagienice, wiosną 1943 r. zastrzelony w Przytułach
8. Stanisław Brzozowski, lat 40, Krasnosielc, rozstrzelany
9. Julian Więcek, lat 21, Karolewo, 19 IX 1949 r. w Krasnosielcu
10. Wiśniewski (imienia brak) z Nędzichowego Sielca – Wypędzicha, zastrzelony w roku 1941, 1942 lub 1943 za ucieczkę z robót przymusowych
11. Władysław Lisowski z Krasnosielca, zastrzelony przez patrol NZW 3 I 1948 r.
12. Bolesław Częścik z Woli. ur. 192 r., partyzant NSZ-NZW, zabity w Warszawie 10 VII 1951 r. z wyroku Sądu Wojskowego.

Apolinary Zapisek, lipiec 2016 r.



Piekarnia państwa Koziółków w Krasnosielcu

Wiesław Antoni KOZIOŁEK

Piekarnię w Krasnosielcu przy ulicy Rynek 38 róg Kaczej założyła rodzina krasnosielckich Żydów Galantów w 1858 r. Piekarnia ta przylega do budynku, który wraz z działką kupił Pan Krukowski w 1924 roku /mąż bardzo znanej krasnosielckiej położnej/ od Chalma Ridga i założył restaurację „Złoty Róg”, działającą do wybuchu II wojny. Piekarnia Galantów przechodziła z rąk do rąk w ramach rodziny. Ostatnim właścicielem przed II wojną był Izaak Galant, który miał 3 synów. Mieszkali w budynku na piętrze ul. Rynek 3. Obecnie mieszka tu pani Jolanta Miścichowska.

Mój ojciec Franciszek Koziółek, mając 18 lat, przez 2 lata (1918–1920) terminował u Izaaka Galanta jako czeladnik piekarski. Po wybuchu wojny Galantowie uciekli do Związku Sowieckiego, gdyż mieli tam rodzinę. Z Rosji dwóch synów wyjechało do USA, trzeci do Francji. Bracia dwukrotnie odwiedzali Krasnosielc (w 1987 i 1996 r.), kiedy odbyła się uroczystość wmurowania na Bożnicę tablic pamiątkowych i pomnika. Najmłodszy Szymon Galant z USA bardzo miło wspominał z lat młodości mojego ojca i matkę. Wszyscy już nie żyją. Miałem z nim kontakt listowny.

Po zakończeniu wojny bardzo uszkodzony budynek piekarni wyremontował pan Jan Purzycki i zaczął piec pieczywo. Po kilku miesiącach zbankrutował.

Mój ojciec po powrocie z robót przymusowych z Królewca, gdzie był 3 lata, zwrócił J. Purzyckiemu koszty remontu, sprzedając przemycone bardzo drogie buty skórzane zimowe. Przejął piekarnię wraz z działką, która po nacjonalizacji stała się własnością Skarbu Państwa.

Piekarnia składała się ze sklepu 8 m², pomieszczenia na piec opalany drewnem 6 m², „sali” poprodukcyjnej 20 m², gdzie stały 2 bajty²¹⁴. Tam ojciec rękami przez tyle lat - do 1968 r. - wyrabiał ciasto na chleb i bułki.

Dopiero w 1958 r. założono elektryfikację. Wodę do produkcji nosiło się z studni w Ryнку nosilkami do 150 litrowej beczki. Trwało to do roku 1969, kiedy to założono wodociąg. Mąka na przydział dowożona była końmi z Makowa Mazowieckiego lub Przasnysza, drewno zaś na zlecenie z Nadleśnictwa Stawki - Przydział. Piekarnię dręczyła Sanharna P.I.H, skarbowka,

²¹⁴ Bajta - rodzaj skrzyni wykonanej z desek drewnianych przykrytej wierzchu blatem, który służył jako blat roboczy przy formowaniu pieczywa. W samej skrzyni wyrabiano i przygotowywano ciasto chlebowe.



Eugenia i Franciszek Koziółek – rodzice Wiesława, fotografia z lat 70-tych.

komornik.

W 1950 r. nastąpiła niespodziewana wymiana pieniędzy. Nie było drobnych do wydawania. Chleb kosztował 1,47 zł.

Pewnego razu wpada kontrola P.I.H z Warszawy. Mojego ojca Franciszka oraz pana Budnego, który miał piekarnię na rogu Cmentarnej i sprzedawał chleb za 3 grosze, sąd w Warszawie skazuje na karę po 3 000 zł.

Wówczas to były bardzo duże pieniądze. Moja mama Eugenia była w 7 miesiącu ciąży ze mną Wiesławem. Uprosiła u I Sekretarza PZPR tow. Władysława Kopczyńskiego na kolanach, aby rozłożyli tę karę na raty. Ten zgodził się, chcąc pokazać, jaka jest litościwa Partia. W rezultacie ojciec przez 3 lata spłacił te 3 000 zł ratami. Natomiast pan Budny nie miła pieniędzy. Siedział w więzieniu. Potem ciężko pracował



Wiesław Koziółek – drugi od góry rząd, pierwszy z prawej, w dniu swojej pierwszej komunii świętej na schodach kościoła w Krasnosielcu z ks. proboszczem Mieczysławem Litwińskim, 1966 r.

w kamieniołomach - tam stracił zdrowie. Po powrocie po 3 latach zmarł przy moście w 1953 r.

Mój najstarszy brat Fabian po skończeniu podstawówki zdał egzaminy do Liceum Pedagogicznego w Pułtusk. Był to czas stalinowski. Był bardzo pobożny i religijny. Nie wytrzymał szykan poniżania ze strony kolegów, jak i niektórych nauczycieli. Oświadczył ojcu, że i on woli pracować w piekarni niż się uczyć. Miał 17 lat. W wieku 20 lat został powołany do wojska jako syn właściciela prywatnej inicjatywy tzw. „kułaka”. Odbywał służbę, pracując w kopalni w Wałbrzychu. Po wojsku pracował w piekarni z ojcem. Dnia 23 III 1961 r. ożenił się z Jadwigą Pichała ze Zwierzyńca. Oboje zamieszkali w połowie domu rodziców. Urodził im się syn Darek Janusz. W 1961 r. do starej piekarni dobudowali dwie części. Takie były zalecenia Sanitarnej z Makowa, lecz w dalszym ciągu nie było miazarki do ciasta i pieca mechanicznego.

W 1965 r. brat Fabian z żoną i dziećmi porzucił piekarnię w Krasnosielcu z przyczyn rodzinnych i wyprowadził się do Przasnysza. Tam był kierownikiem dużej państwowej piekarni-cukierni. Zmarł mając 60 lat. Od 2 I 1966 r. ojciec został sam z dużymi długami.



[...]

Do tego trzeba prowadzić księgi wypieku, podatkową, robić co miesiąc sprawozdania do urzędu skarbowego. Brat Leszek zdał maturę, dostał się na Studium Nauczycielskie do Ciechanowa, które ukończył i został

nauczycielem w Jastrzębce. Tam też się ożenił z Aliną

Rochman. Mają córkę Sylwię.

Ja jako najmłodszy z rodziny także chciałem się uczyć, lecz był „rozkaz” ojca - musisz zostać i pomagać, bo ja sam nie daję rady.

Pewnego razu przyszedł do ojca Dyrektor Jan Kołakowski i mój wychowawca Eugeniusz Mróz. Prosil go, abym skończył maturę, bo piekarnia nie daje perspektywy na lepsze życie. Bardzo tęskniłem za szkołą, łyżwami, sportem,



Synowie Franciszka i Bożeny Koziółek: /od lewej/ Tadeusz ur. w 1939 r. - późniejszy wojewoda pilski oraz Fabian ur. w 1935 r.



Wiesław Koziółek w dniu swojego ślubu z Marią Białczak, 1973 r.

prof. Zabielskim. Nic nie wskóramo. Zostałem w domu, lecz zacząłem działać. Po wielu latach namówiłem ojca na kupno niezbędnej mieszarki do ciasta.

Po przeczytaniu ogłoszeniu w „Rzemieślniku” o sprzedaży maszyny, mając 17 lat, pojechałem na Śląsk do Chełmka Fabrycznego i od pana Jana Gila kupiłem używaną, lecz w dobrym stanie mieszarkę „Nora 3” z dwoma kotłami po 200 litów. Była produkcji niemieckiej. Po odnowieniu jej przez pana B. Narzewskiego i założeniu „sicy” od dnia 20 III 1968 r. zaczęła się lepsza praca w piekarni, lecz brakowało jeszcze niezbędnej pieca mechanicznego.

Ja w 1970 r. po ukończeniu kursów w Warszawie zdałem egzaminy w M.I.R. i zostałem czeladnikiem.

Dnia 9 XII 1973 r. zdałem egzaminy mistrzowskie. W dniu 7 VII 1973 r. ożeniłem się z Marią Białczak z Baranowa. W dniu 16 IV 1975 r. na świat przyszedł syn Jarosław, a 22 III 1976 r. córka Joanna. Dnia 20 VII 1986 r. w wieku 76 lat umiera ojciec Franciszek. Pozostaje 75-letnia mama Eugenia, której aż do śmierci w dniu 28 X 2002 r. w wieku 91 lat zapewniliśmy – przez pierwsze kilka lat ja i żona Maria, a ostatnie 6 lat ja sam – pomoc i opiekę.

Dnia 20 III 1987 r. jako dzierżawca kupiłem notarialnie od Skarbu Państwa część piekarni wraz z działką. Przez rok modernizowałem piekarnię wedle zalecenia Sanitarnej, lecz nie było warunków na budowę pieca mechanicznego.



Aleksander Klik dziadek autora artykułu Wiesława Koziółka. Zdjęcie z żywicielką rodziny w Nowym Sielcu, 1943 r.

Dnia 13 kwietnia tego roku nasze dzieci Asia i Jarek oraz obecny mąż córki Arek Bojarski miały tragiczny w skutkach wypadek samochodowy. Mój jedyny syn po 3 miesiącach pobytu i leczenia w Stoczerze w Konstancinie²¹⁵ został niechodzącym



Eugenia Koziółka z dziećmi /od lewej/: Michalina, Tadeusz, Anna i Fabian, 1943 r., w czasie gdy jej mąż Franciszek przebywał na przymusowych robotach w Prusach Wschodnich w Królewcu w Zakładach Mięsnych.

tetrapiegikiem²¹⁶, wymagającym całodobowej pomocy i opieki. Był uczniem I klasy TR, to w nim pokładałem nadzieję, że rozwinie piekarnię, będzie kontynuował tradycję. Pech oraz zły los zrządził inaczej. Jeszcze z żoną Marią do 1995 r. prowadziliśmy ten „przeżytek”.

Tragiczne, traumatyczne przeżycia z przeszłości, stresy rodzinne, nieporozumienia zaszłości z przeszłości...

Zyjąc i pracując z wynikami cukru 500-400 w dniu 20 XI 1995 r. zasłabłem i straciłem przytomność. Pogotowie, szpital, diagnoza: cukrzyca insulinozależna, wieńcówka, nadciśnienie, czyli koniec pracy w piekarni. Komisja lekarska orzeka głodową rentę inwalidzką. do emerytury do 16 VIII 2017 r. Po 30 latach pracy zlikwidowałem piekarnię.

Dnia 1 I 1996 r. założyłem sklep ogólnospożywczy. Dnia 13 VI 1996 r. aktem

notarialnym oddałem córce Joannie (przed jej ślubem) sklep wraz z budynkiem oraz działką, aby kontynuowała tradycję do handlu, żydowską „smykałkę” do interesów zaszczipioną w 1858 r. przez rodzinę Galantów. Budynek odnowiony i zadbane stoi do dzisiaj i sądzę, że stał będzie na pokolenia, choć inny jak piekarnia.

Ojciec Franciszek w 1945 r. nazwał piekarnię „Jutrzenka”. To było wyzwanie dla ojca i brata Fabiana, który jednak zdezerterował. Ja w 1973 r. nazwałem ją „Feniks”, bo myślałem i robiłem wszystko, aby podnieść ją z „popiołu”, utrzymać zmodernizowaną. Los chciał, że tego nie zrobiłem, to moja osobista porażka – klęska – chociaż nie jedyna. Lecz budynek nie poszedł w obce ręce. Od 1945 r. jest w posiadaniu rodziny Koziółków. To już 71 lat i sądzę, że tak pozostanie pomimo bardzo trudnych warunków powojennych, bardzo ciężkiej pracy, lecz i zaradności naszego ojca Franciszka,

²¹⁵ Stołeczne Centrum Rehabilitacji

²¹⁶ Porażenie czterokończynowe

w Kurskance

ZAŚWIADCZENIE

ukończenia kursu

Obywatel Koziołek Mirosław - Antoni
urodzony 4 dnia 16. VI (miej. i nazwisko) 19. 59 r. w Krasnosielcu
powiat Maków Mazowiecki
był stuchaczem kursu Pedagogizacji mistrzów
(pełna nazwa kursu)

zorganizowanego w Makowie Maz.
przez Zakład Szkolenia Zawodowego
w Kurskance

w okresie od dnia 10. X 1975 r. do dnia 26. XI 1975 r.

Kurs został zorganizowany na podstawie zezwolenia udzielonego przez
Nydział Oświaty i Wychowania w Ostrołęce
na zlecenie* Technikum Rzemiosł Różnych w Makowie Maz.
i miał na celu doskonalenie w zawodzie

Program kursu obejmował 75 godzin nauczania, w tym
godzin zajęć praktycznych.

Obywatel Koziołek Mirosław - Antoni
ukończył kurs z wynikiem pozytywnym.

KOMISJA EGZAMINACYJNA**)	PRZEDSTAWICIEL INSTYTUCJI BROWADZĄCEJ KURS	KIEROWNIK KURSU
<u> </u>	<u>Koziołek</u>	<u> </u>
RADA PEDAGOGICZNA***)		

Nr M/300/75 Data wystawienia zaświadczenia 3. XII 1975 r.

* wypełnić się tylko dla kursów słownych
** dla kursów horyzontalnych się egzaminem
*** dla pozostałych kursów



który miał bardzo trudny charakter. Nie znosił sprzeciwu, był apodyktyczny, lecz sprawiedliwy. Rodzice z prowadzenia tak małej piekarni przez tyle lat dali nam życie i zdrowie, wychowali 6 dzieci i zapewнили – w miarę możliwości – szanse na wykształcenie niektórych. Także z okoliczności ustrojowych mogliśmy korzystać, aby lepiej i godnie żyć i dla siebie i dla naszych rodzin pozostawić na tej ziemi trwałą ślad.

Sześcioro dzieci: Fabian, Mirosława, Tadeusz, Anna, Leszek, Wiesław; dużo wnuków, prawnuków, praprawnuków... Za co wszyscy, chociaż w różny sposób, kochanym naszym rodzicom Eugenii i Franciszkowi Hipolitowi Koziołkom za wszystko dziękujemy.

W imieniu rodziny Koziołków najmłodszy z sześciorga rodzeństwa, który to wszystko, co się w przeszłości wydarzyło – dobro, lecz także i zło – od najmłodszych lat obserwował, a nieraz ciężko przeżywał z śp. Matką Eugenią, dla potomnych z rodziny i nie tylko zapamiętał i opisał

Po wojnie były następujące piekarnie w Krasnosielcu:

1. J. Budny - do 1953 r., później jego żona Genowefa do 1958 r.
2. Józef Ogrodowicz - do 1960 r.
3. Kazimierz Romanik - do 1981 r.
4. Antoni i Marek Chrzanowscy (wspólnik Waclaw Beczak) – 1987 r.

5. F.H.W Koziołkowie 1945–1995 – 50 lat - ostatnia prywatna piekarnia.

Nasz ojciec Franciszek Hipolit Koziołek urodzony 21 lipca 1910 r., jako żołnierz rezerwista kapral po wybuchu 2 wojny we wrześniu został powołany do służby wojskowej obrony Twierdzy Różan przed Niemcami.

Po zdobyciu Twierdzy przez X Korpus Pancerny Generała Guderiana obrońcy wycofali się aż pod Włodzimierz Wołyński, a tam zostali otoczeni przez Armię Sowiecką, która napadła na Polskę 17 IX 1939 r., zostają rozbrojeni. Żołnierzy do stopnia kaprała wypuszczają, oficerów wywożą do Katynia, gdzie bestialsko zostają zamordowani w 1940 r.

W 1942 r. ojca – wraz z panami Cz. Czarneckim, Wierzbickim, Rybackim i innymi – zabierają na roboty przymusowe do Królewca²¹⁷. Szczęśliwie wszyscy wracają w styczniu 1945 r. Ojciec 1 VII 1945 r. przejmuje pożydowską Galantów piekarnię od P.J. Purzyckiego.

Za czasów probostwa Stanisława Bobińskiego został wybrany na przewodniczącego Rady Parafialnej, która przy pomocy parafian odbudowała zniszczony kościół i plebanię. Zakupiono dzwon, bo w czasie wojny dwa ówczesne dzwony grabią

²¹⁷ Ojciec pracował w niemieckich Zakładach Mięsnych w Królewcu na terenie Prus Wschodnich, obecnie Kaliningrad w Federacji Rosyjskiej.

Niemcy. Ogrodzono cmentarz murem, założono światło w kościele. Jako prezes O.S.P w Krasnosielcu mój ojciec walczył przyczynił się do zakupu instrumentów muzycznych i powstania orkiestry strażackiej, zakupu mundurów, nowego sztandaru, samochodu strażackiego. Jako rzemieślnik aż do śmierci 20 VII 1986 r. był członkiem cechu rzemiosł różnych w Makowie, członkiem Rady „Starszy cechu” i pomagał rozbudować budynek cechu w 1971 r. Ufundowany sztandar C.R.R. dnia 20 VII 1972 r. zostaje poświęcony w kościele w Makowie Mazowieckim przez Biskupa B. Sikorskiego z Płocka. Ojciec udzielał się społecznie na rzecz rozwoju rzemiosła, które w tamtych latach się rozwijało, a dzisiaj już prawie nie istnieje. W 1983 r. został odznaczony medalem za wojnę obronną 1939 r. Posiadał odznaczenia za działalność strażacką, rzemieślniczą i społeczną.

Taki był mój ojciec.

Wiesław Koziołek
Krasnosielc, lipiec A.D. 2016
przepisała z rękopisu Anna Ziółkowska
redakcja i korekta techniczna:
Sławomir Rutkowski i Maria Weronika Knoch



KRASNOSIELEC.

Osada miejs., pow. Maków, sąd pok. Maków, sąd okr. Mława, 1842 mieszk. ☘ (16 km) Jastrząbka, linja kol. Ostrołęka-Raszujka ☘ ☘ Krasnosielec ☘ Przasnysz, 1 ☘ kat., 1 synag. Targi: we wtorki i soboty. Jarmarki: na konie, bydło i nierogaciznę: 21/1, 19/3, 8/5, 29/6, 21/9, 1/11. Młyn parowy.

Piekarze (boulangers): Galant F. — Galbart A. — ×Golibroda A. — ×Kozica Ch. — Kozyca Sz. — Lis S. — Stryjewski H. — Top J.

Od redaktora wydania:

W związku z uzasadnionymi moim zdaniem zastrzeżeniami do pierwotnego tekstu artykułu – opublikowanego w wersji drukowanej, wniesionymi przez państwo Czarneckich wersja internetowa została skorygowana poprzez usunięcie znacznego fragmentu tekstu oraz dwóch zdjęć.

Za nierzetelność i nieuzasadnioną stronniczość słów autora artykułu, jako redaktor wydania KZH nr 28-31 osoby pokrzywdzone przepraszam.

Sławomir Rutkowski

Po prawej: O Krasnosielcu i miejscowych piekarzach w okresie międzywojennym - wymieniona piekarnia Galantów. Źródło: *Księga Adresowa Polski (wraz z w.m. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosł i rolnictwa*. Warszawa 1928. s. 2003.



Widok ul. Rynek, Odrodzenia i wjazd na ul. Kaczą w Krasnosielcu, GoogleMaps, 2016. Budynek byłej piekarni na wprost.

Miłość

z

Krasnosielca

List miłosny z Krasnosielca

autor: Krasnosielczanka nieznana z imienia i nazwiska

Krasnosielec dn. 5 / V49 r.

Szanowny Panie Waławie,
Po kilku dniach namysłu i wielkiej tęsknoty za Panem postanowiłam skreślić kilka słów do Pana. Mniejsza o to czy będą te słowa godne uwagi przez Pana i kiedy Pan przeczyta, czy nie. Przede wszystkim iż chwile spędzone razem dały dużo wspomnień. Co najważniejsze iż z serca wyrwa się „Tęsknię”..... Myślę, tęsknię i kocham!

Niechaj te trzy słowa, cicho staną przed Tobą, i niech Ci w nocnej głuszy długo szepczą o mnie. O tęsknocie co czeka słów swych spełnienia. O snach moich o Tobie, pięknem nie nieskończenie, o wszystkim co wywoła uśmiech na Twej twarzy. Jaka wielka radość byłaby dziś dla mnie gdybyś był w tej chwili mój koteczku... widzę wciąż Cię przed oczyma. Niestety to tylko złudzenie. Byłeś ... dziś nie jesteś ... mam nadzieję iż wrócą te chwile szczęścia i radości. Myśli moje w tej chwili ulatują hen daleko ... Ach gdybym słowami mogła wyrazić to co czuję dziś, siedząc sama oddana myślom ku Tobie Wacusiu. Wyznam Ci szczerze iż nie mogę się doczekać tej chwili kiedy będziemy mogli być razem i razem oddani przytulnym pieczętom. Czy naprawdę spełnią się moje marzenia? Trochę nie pewnie wyznaję się z innych tęsknot, gdyż serce Twoje może w innym kierunku uderza w tej chwili?

Kiedy Cię zobaczę koteczku, a wtedy będziemy szczęśliwi czy

Jestem pewna że nie odmówisz mi tych szczęścia chwil kochanie?

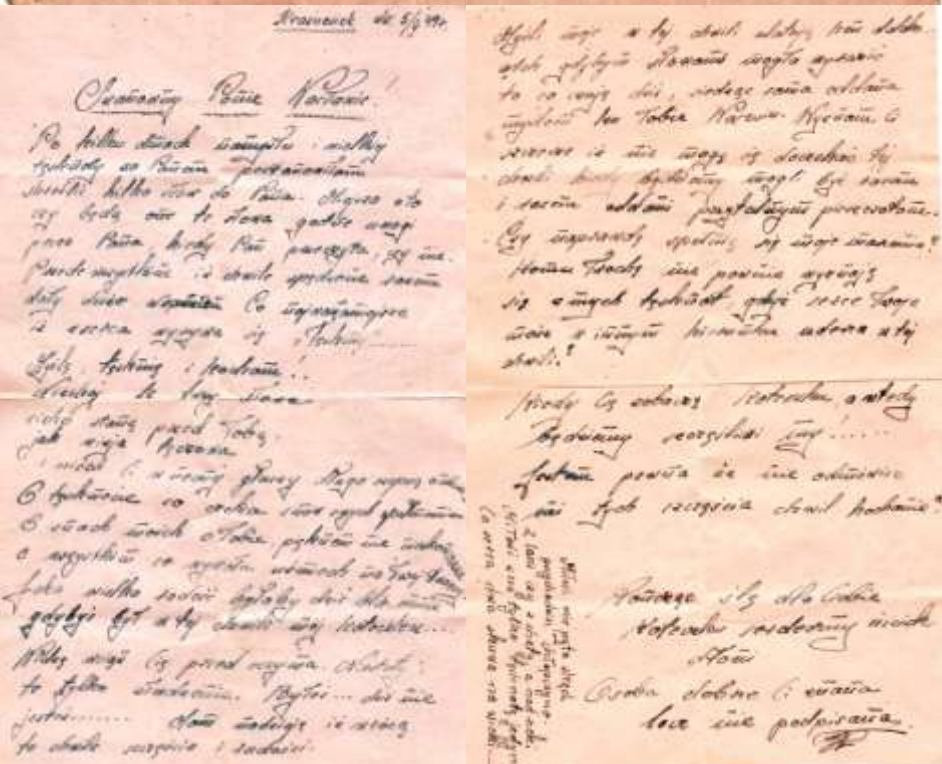
Kończąc ślę dla Ciebie koteczku serdeczny uścisk dłoni. Osoba dobrze Ci znana lecz nie podpisana

Miłość nie pyta skąd przychodzisz chłopczyno. Z lasu czy z chaty, z nad rzeki. Miłość zna tylko tęsknotę jedyną, Co serca dwa skuwa na wieki ...

Od redaktora wydania:

Ten pełen szczerego i głębokiego uczucia list miłosny młodej dziewczyny, nadany z Krasnosielca w 1949 r. do Waławia Mroza, ówczesnego pracownika Urzędu Skarbowego w Makowie Mazowieckim, budzi emocje, a u niektórych i dreszcze, zapewne.

Zmartwię Państwa informując, że miłość ta została niespełnioną. Waław poślubił inną, która list ten jednak zachowała, wraz z „należytym mu ironicznym dystansem”, ale i szacunkiem zapewne. Wnuczka owej



szczęśliwie zaślubionej z Waławem – Halina Szydlik, postanowiła się podzielić z Czytelnikami „Krasnosielckich Zeszytów Historycznych” jego treścią.

Ciekawią mnie losy autorki listu – czy znalazła drugą miłość, czy też może zmuszona była pogodzić się z monotonią życia

codziennego bez niej? Może ktoś z Państwa rozpoznaje charakter pisma swojej mamy lub babci lub historię jej życia?

Czekam razem z Czytelnikami na ciąg dalszy tej historii.

Slawomir Rutkowski
przepisała z rękopisu Anna Ziółkowska



Kiedy zbudowano zabytkową dzwonnice w Jednorozcu?

Maria Weronika KMOCH

We wszystkich dotychczas wydanych opracowaniach i na stronach internetowych, nawet w dokumentacji zabytków (*sic!*) można znaleźć informację, że stara dzwonnica, stojąca przy kościele w Jednorozcu, pochodzi z 1918 r. Prowadząc badania nad historią parafii Jednorozec¹, ustaliłam, że nie jest to prawda. Niniejszy artykuł stanowi więc prezentację moich ustaleń. Mam nadzieję, że pozwoli on szerszemu gronu odbiorców poznać niewielki wycinek historii mojej rodzinnej parafii oraz zapoznać się z jak najbliższą prawdą wersją wydarzeń.

Zanim skupimy się na historii zabytkowej jednorozeckiej dzwonnicy, pochylmy się nad jej poprzedniczką – dzwonnica istniejącą przed I wojną światową. Tak bowiem jak można powiedzieć, że kościół zbudowany w Jednorozcu w 1917 r. i rozebrany w 1989 r. był wzorowany na świątyni zbudowanej w 1862 r. i spalonej w 1915 r.², tak i zabytkowa dzwonnica mogła być wzorowana na budynku zniszczonym w czasie Wielkiej Wojny.

Informacja o istnieniu dzwonnicy w Jednorozcu pojawia się już w opisie wizyty w 1868 r.³, choć dotychczas twierdzono, że wybudowana została w 1879 r.⁴. Ciężko jednoznacznie określić rzeczywisty moment jej powstania. O jej wyglądzie wiemy dzięki relacji prasowej z 1904 r. i zamieszczonemu w niej zdjęciu (fot. 1). Dzwonnica była drewniana, ośmioboczna, konstrukcji zrębowej, nie szalowana, o wysokości kościoła. Pokryto ją drewnianym dachem, który zakończony był rzeźbionym pazdurem oraz prawdopodobnie krzyżem. W górnej części przynajmniej na



Dzwonnica na terenie przykościelnym w Jednorozcu ok. 1904 r. Źródło: T. Wojno, *Wycieczka na Kurpie...*, s. 504.

trzech ścianach od strony frontowej znajdowały się niewielkie okienka. Do środka wchodziło się przez szerokie drzwi⁵. Wewnątrz wisiały dzwony, które w sprawozdaniu wizytacyjnym z 1912 r. ks. J. Ciesielski, ówczesny administrator jednorozeckiej filii, określił jako pięćdziesięcioletnie. Pochodziły zapewne z okresu budowy kaplicy, z ok. 1862 r. Nie posiadały napisów ani ozdób⁶. Obok dzwonnicy ustawione były dwa wysokie krzyże ze ślimacznicami, wspartymi na przecięciu ramion⁷.

Dzwonnica została zniszczona wraz z kościołem i wszystkimi budynkami parafialnymi w czasie I wojny światowej. Ks. Józef Piekut, dziekan przasnyski, wizytujący dekanat jesienią 1915 r., po bitwie lipcowej, zapisał: (...) *to, com widział, to są rzeczy straszne. Np. przejeżdżałem przez Jednorozec; nie mogę trafić na miejsce, gdzie stał kościół, plebania jak kościotrup tylko stoi, poszarpana,*

rozbita. (...) ⁸

Przyjęło się, że w 1916 r. erygowano parafię Jednorozec⁹. W czerwcu tego roku do wsi przybył ks. Konstanty Lewandowski, który od razu zabrał się za budowę nowego kościoła. Ukończono go rok później¹⁰. Tak samo zbudowano plebanię i dom dla pracowników kościelnych. W zachowanych protokołach tradycyjnych z przekazywania parafii kolejnym duszpasterzom (w 1924 r. ks. Wacław Woźniak, w 1929 r. ks. Stefan Bernatowicz) brakuje informacji o dzwonnicy przykościelnej. Nie można jej też dostrzec na najstarszym odnalezionym dotychczas zdjęciu kościoła w Jednorozcu, pochodzącym z lat 20. XX w.¹¹.

⁸ J. Piekut, *Z przebytych chwil w Przasnyszu i okolicy (dokończenie)*, „Kurier Płocki”, 1 (1915), 129, s. 4.

⁹ Niestety, nie zachowała się żadna informacja o powstaniu parafii Jednorozec np. w „Miesięczniku Pastorskim Płockim”. Brakuje wzmianek w lokalnej prasie katolickiej i świeckiej. Pierwszy schematyzm (czyli swego rodzaju rocznik diecezji, zawierający informacje o strukturze diecezji, podziale na dekanaty i parafie wraz z danymi o księżach i parafiach itp.), wydany po erygowaniu parafii, a pochodzący z 1918 r., nadal określa Jednorozec jako filię *sui iuris* (czyli mającą całkowitą samodzielność) parafii Chorzele, a w późniejszych, aż do lat sześćdziesiątych XX w., nie podaje się daty erygowania parafii. Dopiero schematyzm płocki z roku 1966 podaje datę *ok. 1916* jako rok erygowania parafii. Zapewne dlatego, że wówczas proboszczem parafii Jednorozec był ks. Józef Wójcik, który poszukiwał informacji o powstaniu parafii i interesował się jej przeszłością. On też nadesłał odpowiednie informacje do wydawców schematyzmu. W ślad za tym w dotychczas wydanych opracowaniach podaje się datę 1916 r. jako moment erygowania parafii. Sam dokument erygowania parafii Jednorozec, potwierdzający jej powstanie, spisany został dopiero w 1922 r. Jak wynika ze sprawozdania ze stanu parafii po II wojnie światowej, dokument zaginął lub - co bardziej prawdopodobne - spłonął w czasie działań wojennych. W Kurii Biskupiej Płockiej nie zachował się żaden odpis ani kopia - przynajmniej do tej pory jej nie odnalazłam.

¹⁰ Więcej na ten temat zob. w planowanym artykule M.W. Knoch, *O tym, jak w czasie I wojny światowej Kurpie budowali kościół w Jednorozcu*, „Kurpie”, 60–64 (2016).

¹¹ Zob. S. Wilga, *Smutna Dola Wiosky*

¹ Artykuł powstał na marginesie prac nad projektem „Stulecie parafii Jednorozec. Przygotowanie monografii naukowej”, realizowanym przez autorkę w ramach stypendium Starosty Przasnyskiego w roku akademickim 2015/2016. Projekt zakończy się wydaniem książki na temat historii parafii pw. św. Floriana w Jednorozcu.

² W. Kontewicz, *Moje Kurpie*, „Rocznik Przasnyski”, 3 (2016), s. 303. Więcej na temat historii jednorozeckiej kaplicy (potem kościoła) i miejscowej filii parafii Chorzele zob. M.W. Knoch, *O pierwszym kościele w Jednorozcu i miejscowej filii parafii Chorzele (1862–1915)*, tamże, ³ „Przegląd Katolicki”, 6 (1868), 26, s. 126.

⁴ T. Wójciewowska, *Kościół parafialny w Jednorozcu*, [w:] tejże, *Jednorozec. Historia wsi, Jednorozec 2015*, s. 191.

⁵ Archiwum Parafialne w Jednorozcu [dalej: AP], J. Ciesielski, *Interrogationes ad quasi tempore Visitationis episcopalis. Rectores Ecclesiarum parochialium aliarumque, in scriptis intra praefixum tempus respondere tenentur*, 1912 [dalej: Sprawozdanie ze stanu kościoła, 1912 r.], s. 2; T. Wojno, *Wycieczka na Kurpie*, „Czytelnia dla Wszystkich”, 1 (1904), 32, s. 504.

⁶ Sprawozdanie ze stanu kościoła, 1912 r., s. 5.

⁷ T. Wojno, *Wycieczka na Kurpie...*, s. 504.

W maju 1929 r. proboszczem parafii Jednorożec został ks. Stefan Bernatowicz. Już wcześniej czyniono przygotowania do budowy dzwonnicy. Można założyć, że rozpoczęto je za probostwa ks. Wacława Woźniaka, ale to jego następcą dokończył dzieło i to w krótkim czasie po objęciu parafii. Do maja 1929 r. zlecono wykonanie 3 dzwonów w Węgrowie (pow. węgrowski) na Podlasiu.

Tradycje ludwisarstwa w Węgrowie sięgają połowy XIX w., kiedy fabrykę założył Antoni Włodkowski. Po jego bezpotomnej śmierci interes przejął uczący się dorywczo u Włodkowskiego Jakub Kruszewski (1886–1946). W 1920 r. rozpoczął samodzielnie odlewać dzwony¹², m.in. dla parafii Jednorożec. To właśnie u niego złożono zamówienie. Rzemieślnikowi zapłacono zadatek w wysokości 600 zł¹³. Kolejne wpłaty za wykonanie dzwonów i ich wysokość można prześledzić w kronice parafialnej¹⁴.

O samej budowie dzwonnicy informuje kronika spisana przez ks. Bernatowicza. Pod rokiem 1930 czytamy: *Zbudowaną została w przeciagu tygodnia (15–22 października) wspaniała drewniana dzwonnica (...)*¹⁵. Tak samo jak jej poprzedniczka sprzed I wojny światowej, obecna dzwonnica jest drewniana i ośmioboczna. Była mniej więcej równa z kościołem zbudowanym w 1917 r., już nieistniejącym. Postawiono ją ok. 5 m od wejścia do kościoła, na podmurówce kamiennej. Jest szalowana deskami: w części dolnej poziomo, wyżej pionowo. W co drugiej ścianie dzwonnicy (każda ma szerokość 1,9 m) umieszczono długie wąskie biforialne okno, zakończone półkoliście. W oknach zamontowano drewniane żaluzje. Dzwonnica przytęta jest dachem namiotowym ośmiopłaciowym z blachy cynkowej. W co drugiej płaszczyźnie dachu umieszczono trójkątny szczyt. Drzwi zamocowano na ścianie południowej. Posadzka jest betonowa, drzwi zamykane na zamek (skobel). Kubatura dzwonnicy to 85,5 m³, a powierzchnia użytkowa wynosi 8,5 m². Wnętrze dzwonnicy ma dwie kondygnacje¹⁶.

Jeden z elementów dzwonnicy sprawia, że datacja budynku wedle kroniki ks. Bernatowicza staje się dyskusyjna. Otóż całość wieńczy kuty metalowy krzyż, wykonany zapewne przez miejscowego kowala¹⁷.

Jednorożec, oprac. M.W. Kmoch, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, 27 (2016), s. 34.

¹² Historia firmy: kruszewscy.pl/historia.html (dostęp 18 VIII 2016 r.).

¹³ AP, Protokół tradycyjny, 10 V 1929 r., s. 2.

¹⁴ AP, *Kronika kościelna par. Jednorożec za duszpasterstwa proboszcza teje parafii ks. S[tefana]. B[ernatowicza]*. [dalej: Kronika ks. Bernatowicza], s. 1, 3, 12.

¹⁵ Tamże, s. 4.

¹⁶ Narodowy Instytut Dziedzictwa w Warszawie, Karta ewidencyjna zabytków architektury i budownictwa, nr 23: Dzwonnica przy kościele parafialnym p.w. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, Jednorożec, Ośrodek Dokumentacji Zabytków w Warszawie, 1984, s. 2; AP, Protokół tradycyjny, 25 V 1945 r., s. 3.

¹⁷ W tym czasie w Jednorożcu było trzech

15-22. X Zbudowaną została w przeciagu tygodnia (15-22 października) wspaniała drewniana dzwonnica, w której zawieszono zostały 3 piski harmonijnyce nowe dzwony.



W imieniu parafii Jednorożca niniejszem składam wspólne podziękowanie i wyrażam gorące uznanie firmie p. Jakóba Kruszewskiego w Węgrowie za dostarczenie do tutejszego kościoła parafialnego trzech dźwięcznych, uroczyste i harmonijnie brzmiących dzwonów, które zawieszono zostały w nowozbudowanej dzwonnicy i poświęcone w dniu 1-go listopada roku zeszłego, oraz za poważne ustępstwa i ulgi przy spłacie należnego za nie długu.

Proboszcz parafii Jednorożca,
ks. St. Bernatowicz.



U góry: fragment kroniki parafii Jednorożec, informujący o nowej dzwonnicy. Niżej po lewej: ks. Stefan Bernatowicz – zdjęcie z nagrobka na cmentarzu parafialnym w Jednorożcu, fot. M.W. Kmoch, obok po prawej relacja prasowa, informująca o nowych dzwonach w jednorożeckiej dzwonnicy. Poniżej zdjęcie starego kościoła w Jednorożcu ze stojącą obok dzwonnica, zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Po lewej: krzyż na dzwonnicy, fot. M.W. Kmoch.

Zakończenia ramion krzyża oraz ich przecięcie ma formę kół. Od każdego odchodzą cztery faliste promienie. Całość wieńczy typowo kurpiowski element – korona / koruna, czyli dodatkowy krzyżyk na szczycie belki krzyża. Między szczytem krzyża wieńczącego dzwonnicy oraz koroną znajduje się metalowa chorągiewka. Wycięta jest w niej data „1929 / R”. Może upamiętniać datę wystawienia dzwonnicy. Jednak jest to datacja o rok wcześniejsza niż ta wedle kroniki.

Istnieje jeszcze jedno źródło, pozwalające podjąć próbę datacji dzwonnicy w Jednorożcu. Po jej wybudowaniu i zawieszeniu dzwonów ks. S. Bernatowicz publicznie podziękował ludwisarni. W „Gazecie Świątecznej” z 1930 r. zamieszczono następujący tekst: *W imieniu parafii Jednorożca niniejszem składam wspólne*

*podziękowanie i wyrażam gorące uznanie firmie p. Jakóba Kruszewskiego w Węgrowie za dostarczenie do tutejszego kościoła parafialnego trzech dźwięcznych, uroczyste i harmonijnie brzmiących dzwonów, które zawieszono zostały w nowobudowanej dzwonnicy i poświęcone w dniu 1-go listopada roku zeszłego, oraz za poważne ustępstwa przy spłacie należnego długu. Proboszcz parafii Jednorożca ks. Stefan Bernatowicz*¹⁸. Oznaczałoby to, że dzwonnica została zbudowana w 1929 r. i wówczas poświęcona. Kronika s. Bernatowicza również informuje o poświęceniu dzwonów w dniu 1 listopada, ale w roku 1930. Wówczas też pierwszy raz użyto instrumentu. Dwa dni później kupiono 3 liny do dzwonów¹⁹. Możliwe, że proboszcz nie prowadził zapisów na bieżąco, a notował poszczególne wydarzenia po czasie. Jednak wydaje się, że byłoby to trudne zadanie,

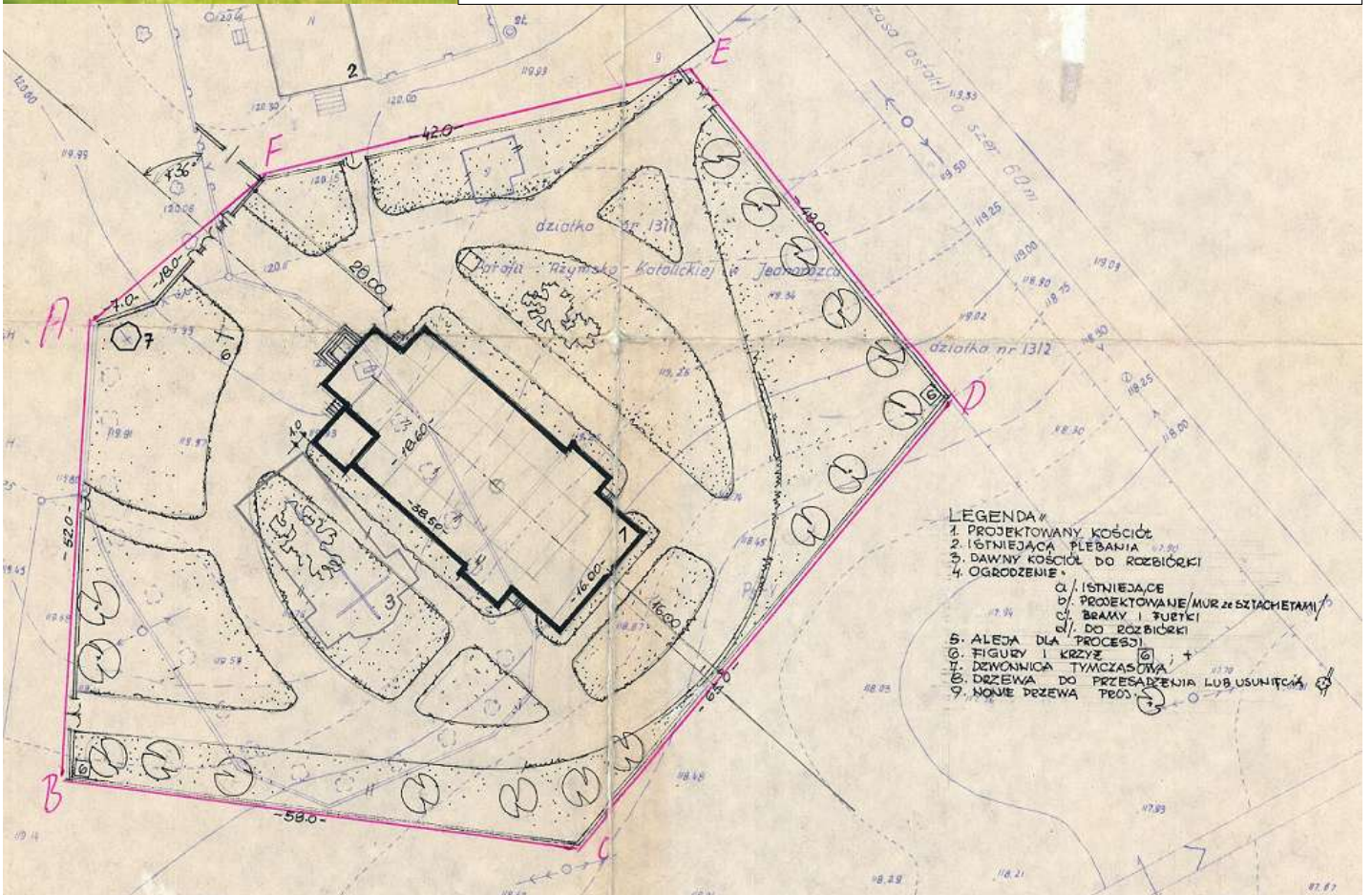
kowali: Stanisław Kowalski, Władysław Roman i Adam Ziemiański. Z. Cierliński, *Na północ od Przasnysza: Baranowo, Chorzele, Jednorożec*, Przasnysz 1996, s. 4.

¹⁸ „Gazeta Świąteczna”, 50 (1930), 2602, s. 11.

¹⁹ Kronika ks. Bernatowicza, s. 4.



Po lewej: dzwonnica w Olszewce, wzorowana na jednorozęckiej, fot. P. Mazurkiewicz. U góry: ustawienie dzwonnicy względem kościoła parafialnego w Jednorozcu, fot. M. W. Kmoch. Poniżej: fragment planu budowy muranego kościoła w Jednorozcu. Widoczna dzwonnica (nr 7), stary kościół (nr 3) oraz nowy muranwany kościół (nr 1). Źródło: AP.



zważywszy na wielką szczegółowość zapisów w kronice, które raczej były wykonywane na bieżąco.

Tak więc nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć, czy dzwonnica w Jednorozcu została zbudowana w 1929 czy 1930 r. Pewne jest jednak, że nie powstała w 1918 r., jak do tej pory twierdzono.

Dzwony, umieszczone pierwotnie w dzwonnicy, zostały skradzione przez

Niemców²⁰. Powiada się, że zostały zawieszono w jednym z kościołów na Ziemiach Odzyskanych, może w Szczytnie. Mogły być też przetopione²¹. W maju 1945 r. w dzwonnicy

²⁰ Archiwum Kurii Diecezjalnej Płockiej, Teczka Parafia Jednorozec (1945–1992), Straty materialne i moralne parafii Jednorozec, 9 IX 1945 r., s. 1; Sprawozdanie ze stanu parafii w czasie II wojny światowej, s. 3; AP, Protokół tradycyjny, 25 V 1945 r., s. 3, 11.

²¹ Film ks. M. Mecha z lipca 1991 r.

zawieszono dzwony, sprowadzone bezpośrednio po froncie z Ziemi Odzyskanych, prawdopodobnie w Wielbarku albo okolic. Na dzwonach (mniejszym i większym) znajdują się napisy w jęz. niemieckim, informujące też o dacie odlewu (1928)²².

Sytuacja zmieniła się w roku 1986. Wówczas do nowo zbudowanej wieży muranego kościoła przeniesiono dzwony z drewnianej

²² Kronika parafii Jednorozec, s. 23; film ks. M. Mecha z lipca 1991 r.

dzwonnicy. Odtąd stoi pusta i zamknięta na zamek, ale dzwony wiszą na wieży kościelnej do dnia dzisiejszego i są cały czas używane, choć rzadziej niż wcześniej (tylko podczas procesji i pogrzebów). W 2002 r. bowiem proboszcz parafii Jednorożec, ks. Andrzej Kron, zalecił zamontowanie na wieży kościelnej dzwonów elektronicznych²³. Biją co godzinę od 6:00 do 21:00. Dodatkowo o godzinach 6:00, 8:00, 9:00, 12:00, 15:00, 18:00 i 21:00, a w niedziele także o 13:00, wygrywane są melodie pieśni kościelnych, takich jak „Kiedy ranne wstają zorze”, „My chcemy Boga” czy Apel Jasnogórski. Z wieży słychać też Anioł Pański.

Zabytkowa dzwonnica zarówno w okresie dwudziestolecia międzywojennego, jak i po II wojnie światowej, była malowana z zewnątrz farbą olejną²⁴. Obecnie wymaga remontu, zauważalne są ubytki w deskach, przerwy między nimi.

Dzwonnica, przeciwnie do nieistniejącego już kościoła, nigdy nie została wpisana do rejestru zabytków. Nie jest objęta opieką konserwatora zabytków, choć przez miejscowych jest traktowana jak zabytek.

Co ciekawe, w 1951 r. w niedalekiej wsi Olszewka w gm. Jednorożec wybudowano bardzo podobną dzwonnice, wzorowaną na jednorożeckiej.

Drewniana dzwonnica w Jednorożcu to obecnie najstarszy budynek parafialny, znajdujący się we wsi. Jest świadectwem wysiłku parafian na rzecz wspólnoty oraz pamiętką historyczną.

Bibliografia:

A. Archiwalia:

I. Archiwum Kurii Diecezjalnej Płockiej: Teczka Parafia Jednorożec (1945–1992).

²³ T. Wojciechowska, *Kościół parafialny w Jednorożcu*, [w:] też, *Jednorożec. Historia wsi*, Jednorożec 2015, s. 196.

²⁴ AP, Protokół tradycyjny, 25 V 1945 r., s. 4.



Dzwonnica stała dużo bliżej starego kościoła niż stoi w stosunku do obecnej murowanej świątyni w Jednorożcu. Fot. z 1972 r. Zbiory Archiwum Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków Delegatura w Ostrołęce.

II. Archiwum Parafialne w Jednorożcu:

Ciesielski J., *Interrogationes ad quasi tempore Visitationis episcopalis. Rectores Ecclesiarum parochialium aliarumque, in scriptis intra praefixum tempus respondere tenentur*, 1912; *Kronika kościelna par. Jednorożec za duszpasterstwa proboszcza też parafii ks. S[tefana]. B[ernatowicza]*; Projekty murowanego kościoła w Jednorożcu; Protokoły tradycyjne z przekazania parafii 1929–1945 r.

III. Narodowy Instytut Dziedzictwa w Warszawie:

Karta ewidencyjna zabytków architektury i budownictwa, nr 23: Dzwonnica przy kościele parafialnym p.w. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, Jednorożec, Ośrodek Dokumentacji Zabytków w Warszawie, 1984.

Źródła drukowane:

Wilga S., *Smutna Dola Wioski Jednorożec*, oprac. M.W. Kmoch, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, 27 (2016), s. 3–46.

Prasa:

„Gazeta Święteczna”, 50 (1930), 2602, s. 11; „Przegląd Katolicki”, 6 (1868), 26, s. 126. Piekut J., *Z przebytych chwil w Przasnyszu i okolicy (dokończenie)*, „Kurier Płocki”, 1 (1915), 129, s. 4; Wojno T., *Wycieczka na Kurpie*, „Czytelnia dla Wszystkich”, 1 (1904), 32, s. 504.

Opracowania:

Cierliński Z., *Na północ od Przasnysza: Baranowo, Chorzele, Jednorożec*, Przasnysz 1996; *Historia firmy*: kruszewscy.pl/historia.html (dostęp 18 VIII 2016 r.); Kontewicz W., *Moje Kurpie*, „Rocznik Przasnyski”, 3 (2016), s. 303. Wojciechowska T., *Kościół parafialny w Jednorożcu*, [w:] też, *Jednorożec. Historia wsi*, Jednorożec 2015, s. 191–200.

Nagrania video:

Film ks. M. Mecha z lipca 1991 r.



Działalność Stowarzyszenia Spożywców „Jutrzenka” w latach 1906–1978

dr Dariusz BUDELEWSKI

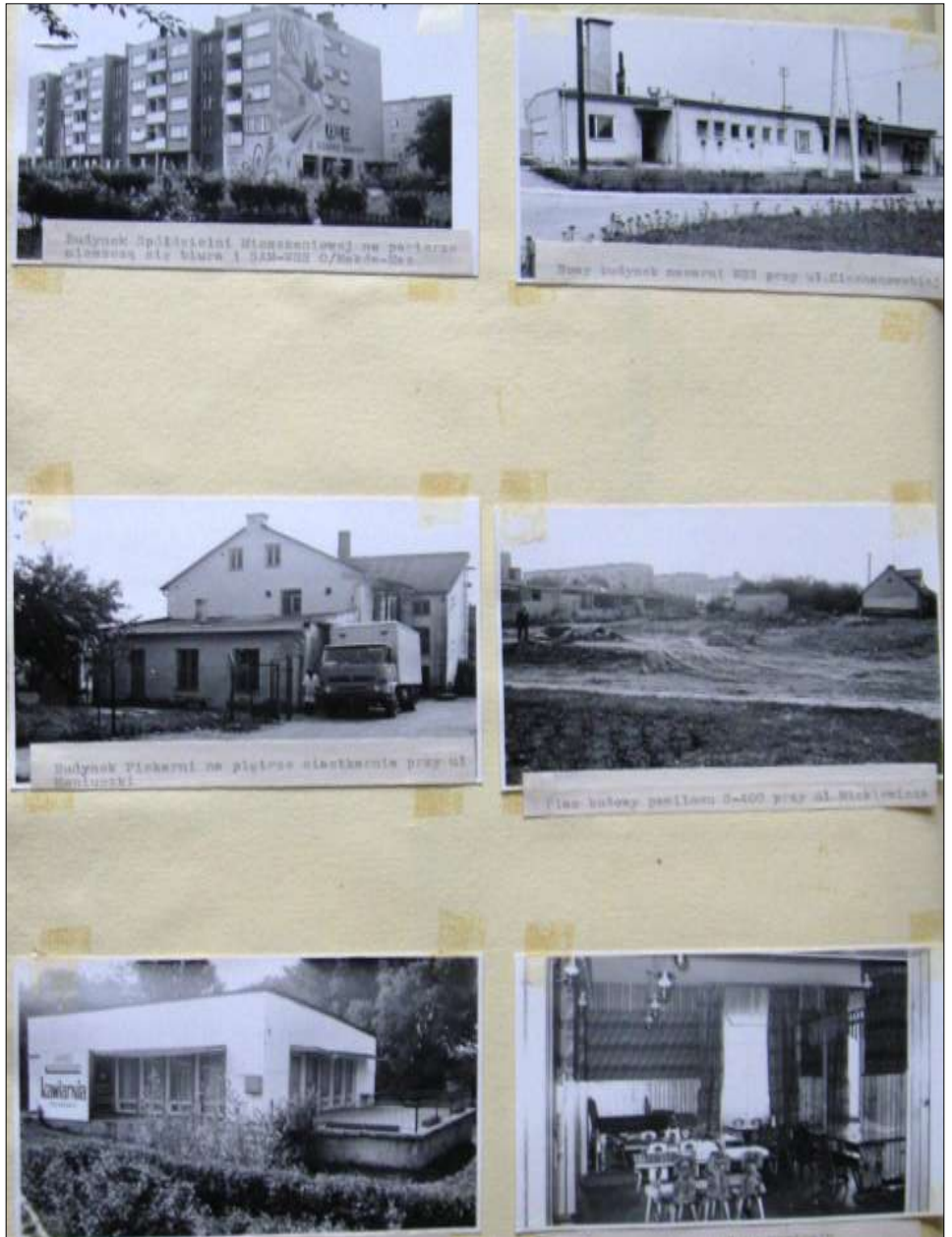
Najstarszą spółdzielnią działającą na terenie powiatu makowskiego było Stowarzyszenie Spożywców „Jutrzenka”, powstałe w latach 1906–1907 i działające do chwili obecnej pod nazwą Makowska Spółdzielnia Spożywców „Społem” PSS „Jutrzenka”¹.

Założycielami jej byli: Czesław Rudziński – prezes, Stanisław Artyfikiewicz – wiceprezes, Jan Ipohorski–Lenkiewicz, Klemens Romanowski, Władysław Zakrzewski i ks. Kajetan Śmiechowski. W lutym 1911 r. rosyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Petersburgu zatwierdziło statut Związku Stowarzyszeń Spożywców, dzięki czemu spółdzielnia mogła swobodnie rozwijać swoją działalność. Podczas I wojny światowej majątek spółdzielni został rozgrabiony przez Niemców i spółdzielnia „Jutrzenka” zawiesiła swoją działalność. Jednak zaraz po odzyskaniu niepodległości przez Polskę została reaktywowana².

W 1920 r. podczas wojny polsko-bolszewickiej spółdzielnia znów została ogołocona, tym razem przez bolszewików. Po zakończeniu działań wojennych, zagrożona upadkiem, spółdzielnia „Jutrzenka” połączyła się z „Kooperywą Urzędniczą” (powstała w 1918 r.), tworząc Okręgowy Związek Spółdzielczych Stowarzyszeń Spożywców w Makowie. W skład związku weszły jeszcze następujące stowarzyszenia spółdzielcze, działające na terenie powiatu makowskiego: Stowarzyszenie Spożywcze „Narew” w Sieluniu – prezes F. Brzuzy, Stowarzyszenie Spożywcze „Przytulanka” w Przytulach – prezes P. Zduniak, wiceprezes – St. Zduniak, Stowarzyszenie Spożywcze „Jedność” w Słoniawach – prezes St. Kluczek, wiceprezes

¹ Nazwę „Społem” wymyślił w 1906 r. Stefan Żeromski. Funkcjonuje ona do dzisiaj i kojarzy się ze spółdzielczością spożywców. Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Społem” – sieć handlowa spółdzielni spożywców założona została w 1907 r. w Łodzi. W okresie międzywojennym rozszerzyła swoją działalność na cały kraj. W 1938 r. miała 92 sklepy, 3 masarnie i 2 sklepy tekstylne. Po roku 1990 spółdzielnia podzieliła się na wiele regionalnych i lokalnych spółdzielni, z których wiele zbankrutowało, a majątek został wyprzedany. Obecnie istnieje Krajowy Związek Rewizyjny Spółdzielni Spożywców „Społem”, zrzeszający oddziały na terenie całego kraju. M. Śliwska, *Zarys spółdzielczości spożywców*, Warszawa 1964, s. 37–50.

² Kronika Spółdzielni Spożywców „Społem” PSS „Jutrzenka” w Makowie Maz.



– St. Cholecki oraz Stowarzyszenie Spożywcze „Rolnik” w Szelkowie – prezes B. Przybylski, wiceprezes – I. Krajewski³].

Kierownikiem związku został Józef Kojer, a jego zastępcą Teodor Piotrowski. Według

³ Archiwum Akt Nowych w Warszawie (dalej: AAN), Rada Spółdzielcza (dalej: RS), sygn. 11.249, k. 5–12; Kronika Spółdzielni Spożywców „Społem” PSS „Jutrzenka” w Makowie Maz.; K. Olzacka, *100 lat makowskich spożywców*, „Tygodnik Ostrołęcki” 2007, 29, s. 55.

statutu siedzibą związku było miasto Maków. Członkami związku mogły być stowarzyszenia działające na terenie powiatu makowskiego oraz części powiatu ciechanowskiego i przasnyskiego – sąsiadujących i gospodarczo związanych z powiatem makowskim. Każde stowarzyszenie związkowe zobowiązane było wpłacić udział w wysokości 2.000 mk od każdego swego członka w momencie przystąpienia do związku. Najwyższą władzą związku było Zgromadzenie Delegatów. Organem kontrolującym była Rada Nadzorcza, która czuwała nad prawidłowością prac

Zarządu. Tworzyło ją 9 członków i 3 zastępców. Zarząd Związku był jednoosobowy i składał się z kierownika, powoływanego przez Radę Nadzorczą w głosowaniu tajnym. Statut został zatwierdzony przez Ministra Spraw Wewnętrznych Stanisława Wojciechowskiego⁴.

Głównym celem związku było organizowanie wymiany i produkcji w myśl interesów spóżywców poprzez dostarczanie stowarzyszeniom spóżywców towarów po cenach hurtowych, wchodzących w zakres ich operacji oraz zapewnienie im różnych udogodnień opartych na wspólnej ich działalności.

Stosownie do powyższego celu zadaniem Związku było:

- organizowanie wspólnych zakupów stowarzyszeń spóżywców,
- urządzanie własnych składów, filii i zakładów do wytwarzania i przeróbki, przechowywania, kupna i sprzedaży towarów,
- wynajmowanie, dzierżawienie i nabywanie na własność, na zasadach ogólnych celów związku, w szczególności zaś dla produkcji rolnej i przemysłowej,
- udział w innych przedsiębiorstwach i zawieranie wszelkiego rodzaju umów i zobowiązań, odpowiadających celom związku,
- udzielanie stowarzyszeniom spóżywców wszelkich informacji rad i pomocy prawnej,
- wydawanie pism, zakładanie bibliotek i czytelni oświatowych i wychowawczych oraz innych zakładów,
- urządzanie odczytów, kursów i konferencji w sprawach dotyczących zadań stowarzyszeń spóżywców⁵.

Okręgowy Związek Stowarzyszeń Spóżywców był hurtownią, która zaopatrywała w towary prawie wszystkie kooperatywy znajdujące się w powiecie. W styczniu 1922 r. na 39 kooperatyw w powiecie do związku należało 33. Po wprowadzeniu wolnego handlu liczba kooperatyw stopniowo malała, gdyż te słabsze zaczęły upadać. W niespełna pół roku z 33 kooperatyw należących do związku 5 zlikwidowano, tj. 15 %. W połowie 1922 r. do związku należało 29 kooperatyw z 3 552 członkami. Udziały w kooperatywach wynosiły od 500 do 5.000 mk, zaś obroty od 6 mln do 12 mln mk. Kapitał udziałowy związku wynosił 1 mln mk, a obroty roczne wzrosły nawet do 160 mln mk. Na asortyment towarów składały się podstawowe artykuły spóżywcze i przemysłowe takie jak: sól, cukier, nafta, produkty mączne, towary kolonialne itp.

Związek organizował dla stowarzyszeń konferencje, rozprawdzał pisma spółdzielcze i inne wydawnictwa. Do najaktywniejszych działaczy ruchu spółdzielczego w powiecie

⁴ AAN, RS, sygn. 11.249, k. 17 – 22.

⁵ AAN, RS, sygn. 11.249, k. 15. Statut został podpisany przez założycieli: L. Krupińskiego, St. Artyfikiewicza, J. Kojera, St. Bronowicza, C. Fabisiaka, Brożę, Piotrowskiego, T. Majkowskiego, B. Artyfikiewicza i Długoszwę. Okręgowy Związek Spółdzielczy Stowarzyszeń Spóżywców w Makowie rozpoczął swoją działalność 1 lipca 1920 r., tamże, k. 14, 21.

W dniu 28 X 1922r. został otwarty nowy Pałac Handlowy branży „1001 Sztuczów” przy ul. Mickiewicza, którego koszt budowy wynosił ok 8,8 miliona zł. Powierzchnia jego wynosi 900 m². W związku z tym zostały do niego przeniesione następujące sklepy: Nr 1 z art. gospodarstwa domowego, Nr 8 chemiczny, Nr 19 drogerijno perfumeryjny oraz utworzone sklepy z art. papierniczymi, porcelanowymi, bielizną dziecięcą. Kierownikiem Pałacu został dr Urbanowski Kajetan. Kierownikiem sklepa samodzielnego została dr Antkowiak Wanda. Z-ca Furman Halina, Kierownikiem sklepa perfumeryjnego dr Kuratowska Zofia, Kierownikiem sklepa porcelanowego z art. megalotynnymi dr Okłowska Halina. Pozostali personel to: Antkowiak Jadwiga, Górnij Maria, Turcowska Alina, Kowalska Barbara, Widomska Stanisława, Kudlak Józefa, Sucheżbiak Zofia, Rembelska Barbara.

W pałacu jest prowadzona sprzedaż wyrobów „Ceplicouskie”, wytwarzanych w Makowie Podhalańskim.

Do lokalu po sklepie Nr 1 przeniesione sklepy Nr 17. Po sklepie Nr 8 przeniesiono usługi krawieckie, a po sklepie Nr 19 usługi fryzjerskie.



makowskim należeli wówczas, m.in. Józef Kojer – prezes związku i Stanisław Bronowicz były buchalter związku⁶.

W 1923 r. na mocy decyzji Sądu Okręgowego w Łomży Okręgowy Związek Spółdzielczy Stowarzyszeń Spóżywców w Makowie został zlikwidowany, a majątek przekazano nowo otwartej spółdzielni pod nazwą Okręgowe Spółdzielcze Stowarzyszenie Spóżywców w Makowie⁷.

Spółdzielnia „Jutrzenka” należała do Związku Rewizyjnego Spółdzielni Spóżywców Rzeczypospolitej Polskiej w Warszawie. Posiadała 13 sklepów z gospodami, piekarnię mechaniczną, ciastkarnię oraz skład konsygnacyjny⁸ nawozów sztucznych w Makowie. Oprócz tego miała 11 filii w okolicznych wsiach, masarnię w Jastrzębce i zastępstwo Banku „Społem”, w którym lokowała swoje oszczędności. W 1925 r. spółdzielnia liczyła 455 członków. Posiadała fundusze własne w wysokości 8.269 zł i 50 gr.,

Kamieński, Stanisław Artyfikiewicz i Józef Kojer.

⁸ Skład konsygnacyjny jest to jednostka organizacyjna obrotu handlowego, występująca najczęściej w imporcie towarów, a także w obrocie krajowym. Sprzedaż konsygnacyjna polega zaś na sprzedaży składowego towaru.

a obrót roczny wynosił 1 205 659 zł i 99 gr.⁹.

W 1928 r. Józef Kojer podarował spółdzielni plac przy ulicy Garbarskiej (obecnie Spółdzielczej), na którym wybudowano budynek spółdzielczy z biurem, piekarnią, ciastkarnią i gospodą. Budynek ten istnieje do dziś, do niedawna mieścił się tu Urząd Skarbowy. W 1929 r. spółdzielnia zakupiła samochód ciężarowy, a w roku 1932 następną, które wykorzystywała do przewożenia towarów.

W 1937 r. ilość członków spółdzielni wynosiła 2 029 osób. Spółdzielnia dysponowała funduszami własnymi w wysokości 107 360 zł, a obroty roczne wynosiły 451 000 zł. Spółdzielnia zatrudniała w tym czasie 20 pracowników. Prezesem spółdzielni nadal był Józef Kojer, a członkiem zarządu Edward Dorocki, który po wyjeździe Kojera z Makowa Maz. objął funkcję prezesa¹⁰. Kierował on spółdzielnią do listopada 1940 r., która znów ulega likwidacji aż do końca wojny.

Po wyzwoleniu Makowa Maz. w 1945 r. Edward Dorocki z gronem przedwojennych spółdzielców organizuje działalność spółdzielni na przedwojennych zasadach. Najpierw uruchomiono piekarnię i sklep przy ul. Spółdzielczej, a następnie 6 sklepów i masarnię. Odrodzona Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Jutrzenka” przemianowana na Powszechną Spółdzielnię Rolniczą Spożywcą przejmuje z opuszczonego mienia place i magazyny w Makowie Maz. i Grabowie. Spółdzielnia prowadziła swe agendy nie tylko w mieście, ale i na wsi, które w 1947 r. zostały włączone do Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”.

W kwietniu 1950 r. spółdzielnia ponownie przyjmuje nazwę Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Jutrzenka”. Prezesem Zarządu został Walczewski Władysław, wiceprezesem Edward Dorocki, a przewodniczącym Rady Jerzy Bargielski. W tym okresie spółdzielnia rozwija się bardzo dobrze. Powstają nowe pionierzy spółdzielni: Miejska Spółdzielnia Zaopatrzania i Zbytu oraz „Jutrzenka”. Spółdzielnia swoją działalność musiała prowadzić w wynajętych lokalach, które w większości nie posiadały odpowiednich pomieszczeń sklepowych jak i zaplecza. W tym czasie kierownictwo nie zadbało też o przeprowadzenie potrzebnych inwestycji¹¹.

W budownictwie miejskim poza jednym budynkiem przy placu Dzierżyńskiego, nie projektowano parterów handlowych i dlatego nie można było ich osiągnąć. Personel przyjmowany doraźnie posiadał niskie kwalifikacje i podlegał częstej wymianie (na ogólną liczbę około 160 pracowników było zaledwie 23 osoby pracujące od 1950 r.). Dość częste zmiany w zarządzie również nie sprzyjały rozwojowi działalności spółdzielni.

⁹ Kronika Spółdzielni Spożywców „Społem” PSS „Jutrzenka” w Makowie Maz., I. Wesołek, *Monografia m. Makowa Maz.*, Maków Mazowiecki 1938, s. 82.

¹⁰ Tamże. W latach trzydziestych najniższe obroty zanotowała spółdzielnia w 1935 r. – 325 000 zł. Od tego czasu z roku na rok obroty spółdzielni rosły.

¹¹ Kronika Spółdzielni Spożywców „Społem” PSS „Jutrzenka” w Makowie Maz.

Od 1950 r. do 1962 r. funkcję prezesa obejmowali kolejno:

Walczewski Władysław (1950),
Krupiński Antoni (1951–1953),
Rzewnicki Mieczysław (1954–1959) i
Kuczyński Edmund (1960–1961).

Pomimo tych trudności jakie spółdzielnia napotykała, z roku na rok rozwijała swoją działalność. W 1954 r. uruchomiła drugą piekarnię i ciastkarnię, a w 1961 r. posiadała w swojej sieci handlowej 23 sklepy. W 1961 r. liczyła 800 członków, co w stosunku do liczby ludności miasta stanowiło 17 %. Wygląd jednak i wyposażenie starych przedwojennych lokali sklepowych jak i restauracji pozostawiało wiele do życzenia. Poza doraźnie organizowanymi kursami i pokazami dla członków oraz wycieczkami, przeważnie dla pracowników nie rozwijano szerszej działalności społeczno – kulturalnej.

W 1961 r. przystąpiono do modernizacji sieci spółdzielczej. Uruchomiono spożywczy sklep samoobsługowy, przeprowadzono kapitalny remont sklepu odzieżowego, na sklepach i restauracji zamontowano kolorowe podświetlane szyldy. W 1962 r. przeprowadzono modernizację zakładu gastronomicznego, który z kategorii III przeszedł na kategorię II. W 1964 r. wybudowano pawilon przeznaczony na kawiarnię i wyposażono go w nowoczesny sprzęt sklepowy. W tym okresie zorganizowano wiele pokazów i kursów, m.in. racjonalnego żywienia rodziny oraz kroju i szycia. Założono ośrodek usługowy dla kobiet pod nazwą „Praktyczna Pani”.

W 1967 r. spółdzielnia wykupiła parter w nowym osiedlu przy ulicy 1 Maja od Spółdzielni Mieszkaniowej, gdzie uruchomiono spożywczy sklep samoobsługowy z 10 – osobową obsadą, ośrodek „Praktyczna Pani”, Usługi Fryzjerskie damskie, dziewiarstwo, świetlicę oraz nowoczesne biuro. W tym okresie prezesami spółdzielni byli: Marian Zachmantowicz (1962–1968) i Stanisław Sarnowski (1969–1973). Funkcję Przewodniczącego Rady piastowali kolejno: Just Kazimierz (1955–1967), Mikulinas Leon (1968), Kukowski Stanisław (1969–1973).

W 1973 r. w skład Rady Oddziału w Makowie Maz. wchodził: Gnatowska Lucyna – przewodnicząca, Olkowski Henryk – zastępca, Chrzanowska Mieczysława – sekretarz, członkowie: Konarzewski Czesław, Jaroszeńska Stanisława, Kaczmarski Jerzy, Ruszczyńska Honorata, Minasiewicz Roman, Chmielewski Czesław, Kowalska Cecylia, Pióro Klemens, Lewandowska Barbara, Baprawski Mieczysław, Gościcka Halina, Ruszkiewicz Irena, Gołota Jerzy, Kluczek Irena, Drożdż Eugenia¹².

W celu zaspokojenia potrzeb swoich konsumentów Spółdzielnia prowadziła sieć placówek handlu detalicznego, piekarnię, ciastkarnię, wytwórnię wód gazowanych i rozlewnię piwa. Poza tym organizowała i prowadziła działalność inwestycyjną, socjalną i szkoleniową. W ramach działalności społeczno – wychowawczej prowadziła Ośrodek „Praktycznej Pani” i świetlicę, organizowała odczyty i pogadanki. Prowadziła też punkty

¹² Tamże.

usługowe: fryzjerstwo, krawiectwo, dziewiarstwo, wypożyczalnię sprzętu gospodarstwa domowego, pralnię, napełnianie syfonów oraz usługi dekoratorskie. Pod koniec 1971 r. Spółdzielnia zrzeszała 1 394 członków oraz zatrudniała 176 osób. W 1972 r. wybudowano nową masarnię i pawilony handlowe.

W 1974 r. Prezesem Zarządu Oddziału był Roliński Jan, wiceprezesem – Kluczek Irena, pełnomocnikiem zarządu ds. handlu i usług – Baprawski Mieczysław, głównym ekonomistą – Włoczkowska Janina. Zadania gospodarcze zostały wykonane na kwotę 127,8 mln zł. W ramach inwestycji pobudowano sklep przy ul. Franciszkańskiej, komorę chłodniczą przy masarni, zakończono halę rozbioru przy masarni, zakupiono samochód dostawczy „Multikar” oraz rozpoczęto przygotowania dokumentacji pod budowę Domu Towarowego o powierzchni 900 m².

W 1974 r. odznaczeniami państwowymi i spółdzielczymi zostali wyróżnieni: Srebrnym Krzyżem Zasługi: Jan Roliński i Irena Kluczek, Brązowym Krzyżem Zasługi: Andrzej Kiwiński, medalem 30–lecia PRL: Ryszard Andrzejewski, Jerzy Gołota, Halina Olkowska i Kajetan Urbanowski. Poza tym wiele osób wyróżniono odznaką Wzorowego Sprzedawcy, Zasłużonego Działacza Ruchu Spółdzielczego, Przewodnika Pracy Socjalistycznej oraz Zasłużonego Pracownika Handlu i Usług.

Pod koniec 1974 r. Oddział W PSS w Makowie Maz. zrzeszał 1 342 członków, w tym 831 kobiet. Fundusz udziałowy wynosił 303.660 zł. Działalność społeczno – wychowawcza i kulturalno – oświatowa skupiała się przy Ośrodku „Praktyczna Pani” i w świetlicy.

W 1975 r. w wyniku reorganizacji administracji państwowej w Polsce zlikwidowano powiaty i województwa w dotychczasowym układzie, a powołano 49 nowych województw, w tym 3 miasta wydzielone na prawach województwa: Warszawa, Łódź, Kraków. W wyniku tego dotychczasowy W PSS Warszawa z dniem 30 VI 1975 r. został rozwiązany, a w to miejsce w związku z utworzeniem województwa ostrołęckiego (od 1 VII 1975 r.) na zebraniu założycielskim w dniu 19 czerwca 1975 r. powołano Wojewódzką Spółdzielnię Spożywców „Społem” w Ostrołęce. Z ramienia Oddziału Maków Maz. w zebraniu tym wzięła udział Lucyna Gnatowska – Przewodnicząca Rady Oddziału, Czesław Konarzewski – Przewodniczący Komisji Rewizyjnej Rady Oddziału i Jan Roliński – Dyrektor Oddziału. Na zebraniu tym podjęto decyzję o zorganizowaniu Biura Księgowości dla WSS w Ostrołęce w Makowie Maz., którego kierownikiem została Janina Włoczkowska, a na jej miejsce w Zarządzie Oddziału powołano Stanisławę Danutę Wójcik¹³.

W dniu 21 IV 1975 r. podczas Oddziałowego Walnego Zebrania Przedstawiceli wybrano nową Radę Oddziału w Makowie Maz. w składzie: Lucyna Gnatowska – przewodnicząca, Henryk Olkowski – zastępca, Władysława Karpińska – sekretarz, członkowie: Czesław Konarzewski, Mieczysława Chrzanowska, Irena

¹³ Tamże.

Ruszkiewicz, Helena Kraszewska, Stanisław Kaźmierczak, Jerzy Kaczmarek, Jerzy Gołota, Teresa Chodkowska, Józef Buta, Krystyna Tyburska, Grażyna Szwed, Stanisława Wójcik.

Powołano 4 komisje: rewizyjną, społeczno-samorządową, handlu i usług, produkcji i gastronomii.

W tym roku dokonano modernizacji restauracji z wystrojem folklorystycznym i zmieniając jednocześnie jej nazwę z „Makowianki” na „Mazowsze”. W dniu 15 X 1975 r. rozpoczęto budowę pawilonu handlowego branży przemysłowej S-400 o powierzchni ok. 900 m² za około 7,5 mln zł. Dokonano modernizacji zakładu ciastkarskiego poprzez wydzielenie nowych pomieszczeń oraz instalację windy transportowej. W masarni zainstalowano wyciąg elektryczny do rozładunku półtuszy oraz częściowo wymieniono maszyny w piekarni (mieszalke i dzieże). Obroty handlowe w tym roku wyniosły 147 874 tys. zł, tj. o ponad 15% wyższe w porównaniu do 1974 r. Na koniec 1975 r. Oddział liczył 1 370 członków, w tym 870 kobiet. Fundusz udziałowy wynosił 301 tys. zł. Przyjęto dwa sklepy spożywcze od PHS Ostrołęka przy ul. Warszawskiej i Moniuszki. W grudniu uruchomiono gabinet lekarski, w którym przyjmował lekarz Witold Jagiełło.

W 1975 r. zostali wyróżnieni odznaczeniami i dyplomami następujący pracownicy: Panczewska Janina – Srebrnym Krzyżem Zasługi, Włoczkowska Janina – Brązowym Krzyżem Zasługi, Motka Stanisław – Medalem 30-lecia PRL i Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”, Odznaką „Wzorowego Sprzedawcy”: Pajewska Maria, Pingielska Marianna, Bartkowska Jadwiga, Bober Helena, Bednarczyk Teodozja, Parzuchowska Barbara, Ambroziak Lidia, Odznaką „Przodownika Pracy Socjalistycznej”: Bujno Halina, Rusinek Irena, Napiórkowska Zofia, Mierzejewska Krystyna¹⁴.

W dniu 16 II 1976 r. odbyła się konferencja sprawozdawczo-wyborcza Związków Zawodowych Pracowników Handlu i Spółdzielczości, na której dokonano oceny działalności Rady Zakładowej za minioną kadencję oraz wybrano nową Radę Zakładową w składzie: Urbanowski Kajetan – przewodniczący, Mierzejewski Leon – zastępca, Milewska Jadwiga – sekretarz, Kudelska Elżbieta – skarbnik, członkowie: Archacka Wanda, Chmielewski Marian, Dobrzyńska Maria, Górączyk Helena, Rutkowska Antonina. Społecznym Zakładowym Inspektorem Pracy został Bądkowski Hipolit. Do Komisji Rewizyjnej weszli: Tyburska Krystyna – przewodnicząca, Welenc Janina – sekretarz, Panczewska Weronika – członek. Zarząd PKZP tworzyli: Obidzińska Janina – przewodnicząca, Karpińska Janina – sekretarz, Kudelska Elżbieta – członek, Szwarc Elżbieta – członek, zaś Komisję Rewizyjną: Klonowski Jerzy – przewodniczący, Rudzka Marianna – sekretarz, Dzikowska Teresa – członek.

W dniu 30 IV 1976 r. dokonano otwarcia nowego pawilonu handlowego branży spółdzielczej przy ulicy Mickiewicza o powierzchni 311 m². W uroczystości uczestniczył I sekretarz KM PZPR Glibowski

Bogdan, naczelnik miasta – Wyrzykowski Jan, kierownik Terenowej Stacji Sanitarnej epidemiologicznej – Just Kazimierz, dyrektor Oddziału WSS „Społem” Jan Roliński oraz wiele innych osób. Kierowniczką nowego sklepu nr 6 SAM została Dobrzyńska Maria, a zastępcą Urbanowska Władysława. W skład 12-osobowej załogi sklepu wchodziło: Bednarczyk Teodozja, Bartkowska Jadwiga, Dzielińska Grażyna, Talarska Anna, Pingielska Maria, Szydłowska Barbara, Mierzejewska Krystyna, Bonisławska Danuta, Górecka Celina. Był to wówczas największy i najładniejszy sklep na terenie miasta Makowa, cieszący się dużym zainteresowaniem kupujących.

W związku z tym, że z dniem 1 VII 1976 r. zastępca dyrektora WSS „Społem” Mieczysław Baprawski został oddelegowany do pracy w Oddziale Handlu w Ostrołęce, funkcję zastępcy Dyrektora Oddziału WSS w Makowie Maz. z dniem 1 X 1976 r. objął Klonowski Jerzy, natomiast kierownikiem Obrotu Towarowego została Tyburska Krystyna.

Z dniem 1 kwietnia została zlikwidowana wytwórnia wód gazowanych. W budynku tym otwarto sklep z napojami oraz przeniesiono z kiosku sklep spożywczy nr 25.

W dniu 6 X 1977 r. na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Zarządu Koła Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej (ZSMP) przy WSS „Społem” wybrano Zarząd w składzie: Milewska Jadwiga – przewodnicząca, Tyburska Krystyna – zastępca, Dzikowska Teresa – skarbnik, Jaksina Halina – członek, Kudelska Elżbieta – członek. Natomiast w skład Egzekutywy Podstawowej Organizacji Partyjnej (POP) PZPR przy WSS „Społem” weszli: Rąbalski Czesław – I sekretarz, Urbański Polikarp – zastępca, Kudelska Elżbieta – skarbnik, członkowie: Mierzejewska Krystyna, Mierzejewski Leon, Drobińska Teresa, Pawłowska Helena, Chmielewski Marian¹⁵.

W dniu 28 X 1977 r. przy ul. Mickiewicza otwarto nowy pawilon handlowy o powierzchni 900 m² - branży „1001 drobiazgow”, którego koszt budowy wynosił ok. 8,8 mln zł. Przeniesiono do niego sklep nr 1 z artykułami gospodarstwa domowego, sklep nr 8 chemiczny, nr 19 drogerijno-perfumeryjny oraz utworzono stoiska z artykułami papierniczymi, pończosznicy i bielizną dziecięcą. Kierownikiem pawilonu został Urbanowski Kajetan., a w skład personelu wchodziły: Archacka Wanda (kierownik stoiska samoobsługowego), Furman Halina, Kurowska Zofia (kierownik stoiska perfumeryjnego), Olkowska Halina, Archacka Jadwiga, Gawryś Maria, Turowska Alina, Kowalska Barbara, Widomska Stanisława, Kudlak Józefa, Suchołbiak Zofia, Rembelińska Barbara. Do lokalu po sklepie nr 1 przeniesiono sklep nr 17, po sklepie nr 8 – usługi krawieckie, a po sklepie nr 19 – usługi fryzjerskie.

Pod koniec 1977 r. Oddział WSS w Makowie Maz. liczył 1 461 członków. Zadania gospodarcze wykonano na kwotę 132 090 tys. zł, a zysk wyniósł 4 297 tys. zł.

28 lutego na prezydium Rady Oddziału wybrano Prezydium w składzie: Olkowski

Henryk – przewodniczący, Just Kazimierz – zastępca, Karpińska Władysława – sekretarz, członkowie: Konarzewski Czesław, Chrzanowska Mieczysława. W skład Komisji Rewizyjnej wchodziło: Chrzanowska Mieczysława, Wieczorek Leon, Tyburska Krystyna, Komisji Społeczno – Samorządowej: Karpińska Władysława, Kudelska Elżbieta, Archacki Marek, Komisji Handlu i Usług: Konarzewski Czesław, Rupiński Jan, Gołan Zygfryd, Ruszkiewicz Irena, Komisji Produkcji i Gastronomii: Just Kazimierz, Gołota Jerzy, Kamiński Marian, Rostkowska Halina.

W dniu 17 IV 1978 r. na Zgromadzeniu Przedstawicieli „Społem” Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców w Ostrołęce, do Rady Spółdzielni z Oddziału Maków Maz. wybrano Kazimierza Justa, Henryka Olkowskiego i Czesława Konarzewskiego.

W dniach 26–29 V 1978 r. w Makowie Maz. gościła delegacja Makowa Podhalańskiego w składzie: Franciszek Żarkowski – sekretarz KG i M PZPR, Karol Kulig – Naczelnik Urzędu Miasta i Gminy, Emil Wacyk – prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Makowskiej i Mieczysław Weigt – członek tegoż towarzystwa. Z wizytą przybył też zespół folklorystyczny pieśni i tańca „Babiogórzanie”, który wystąpił 28 maja z okazji 15 rocznicy działalności Miejskiego Domu Kultury w Makowie Maz.. Delegacja była też gościem Oddziału „Społem” WSS w Makowie Maz. Wizyta odbyła się w ramach współpracy partnerskiej między obydwojmi miastami¹⁶.

Na koniec 1978 r. „Społem” WSS Oddział w Makowie Maz. zadania społeczno-gospodarcze wykonał na kwotę ponad 144 mln zł. Wypracowano zysk w wysokości 2 mln 971 tys. zł. Oddział zatrudniał 233 osoby, a średnia płaca miesięczna wynosiła 3 407 zł.¹⁷

Podsumowując, należy stwierdzić, że Makowska Spółdzielnia Spożywców „Społem” PSS „Jutrzenka”, wcześniej Okręgowe Stowarzyszenie Spożywców „Jutrzenka” odegrała ważną rolę w życiu gospodarczym i społeczno-kulturalnym Makowa Maz. w okresie międzywojennym jak i po II wojnie światowej. Nie tylko prowadziła sieć sklepów i punktów usługowych, ale również wspierała swoich pracowników poprzez pomoc finansową i mieszkaniową, organizowała życie kulturalne – występy, koncerty, wycieczki, fundowała paczki choinkowe dla wychowanków Rodzinnego Domu Dziecka oraz organizowała kolonie letnie dla dzieci. Zakres jej działalności był naprawdę bardzo szeroki i dzięki temu w znacznym stopniu pomagała mieszkańcom Makowa i pobliskich okolic.

dr Dariusz Budelewski

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ Tamże.

¹⁷ Tamże. Obecnie prezesem spółdzielni jest Elżbieta Drearska. Spółdzielnia prowadzi 4 sklepy: 3 spożywcze i 1 przemysłowy oraz zatrudnia 7 pracowników. Jeszcze w 2008 r. do spółdzielni należało 6 placówek oraz piekarnia i zatrudniano 16 – 17 pracowników. Duży wpływ na coraz trudniejszą sytuację spółdzielni mają markety spożywczo-przemysłowe powstające w mieście. Relacja ustna Elżbiety Drearskiej z dnia 17 X 2016 r. (w posiadaniu autora).



Z dziejów jednorozeckiej spółdzielczości Spółdzielnia Mleczarska „Orzyc” w Jednorozcu w latach 1928–1939

dr Wojciech ŁUKASZEWSKI

Korzenie polskiej spółdzielczości sięgają XIX w., gdzie jeszcze pod zaborami, chłopcy zrzeszali się w celu realizacji wspólnych interesów. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, już w 1920 r. uregulowano zagadnienia związane ze spółdzielczością, uchwalając w dniu 29 października ustawę o spółdzielniach. Od tego czasu notuje się w kraju rozwój spółdzielczości w wielu dziedzinach gospodarki narodowej.

Czołowe miejsce w przedwojennej spółdzielczości odgrywała spółdzielnia mleczarska. W II Rzeczypospolitej funkcjonowało 1475 spółdzielni mleczarskich, zrzeszających ok. 700 tys. członków. Stanowiło to imponującą liczbę świadczącą o wysokim poczuciu wzajemnych potrzeb i istniejącej koniunktury na nabiół.

W nurcie rozwoju wiejskiej spółdzielczości znalazł się również Jednorzec, gdzie 28 III 1928 r. utworzono Spółdzielnię Mleczarską „Orzyc”. W tym dniu zarejestrowano ją w Sądzie Okręgowym w Mławie pod numerem 153. Terenem działalności Spółdzielni był Jednorzec oraz okoliczne wsie.

Członkostwo w Spółdzielni wiązało się z uiszczeniem opłaty statutowej w wysokości 5 zł oraz 1 zł wpisowego. Natomiast odpowiedzialność statutowa członków równała się trzykrotności udziału członka.

W dniu 26 V 1930 r. przybył do Jednorzecz prezydent Polski Ignacy Mościcki, który wizytował jednorozecką mleczarnię, obserwując produkcję masła. W tym dniu również zorganizowano wystawę mleczarską wzdłuż głównej drogi prowadzącej przez wieś. Oficjalnego powitania prezydenta stojącego obok beczek z jednorozeckim masłem dokonał miejscowy nauczyciel Zygmunt Jaworski. Wójt gminy Jednorzec Józef Jankowski przebywał wówczas w szpitalu w Przasnyszu i nie mógł przywitać Prezydenta.

W 1937 r. prezesem Zarządu Spółdzielni był Antoni Bakuła, rolnik z Jednorzecz, piastujący tę funkcję od 7 X 1936 r., natomiast wiceprezesem Marcin Chudzik, a skarbnikiem Franciszek Berg. Obaj byli rolnikami z Jednorzecz¹.

Ponadto ze sprawozdania za 1937 rok dowiadujemy się, że w tym okresie ubyło 5 członków, którzy zmarli, a 50 członków zostało z szeregów Spółdzielni wykluczonych. Spółdzielnia zatrudniała 2 stałych pracowników: „starszego robotnika”

¹ Nowy Zarząd został oficjalnie zarejestrowany 28 listopada 1936 r.



Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-II-3869

Kurs jajczarski zorganizowany przez Związek Spółdzielni Mleczarskich i Jajczarskich w Warszawie. Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe. Poniżej tabele 1, 2 i (dalej) 3. Źródło: Archiwum Akt Nowych, Rada Spółdzielcza w Warszawie, Spółdzielnia Mleczarska „Orzyc” w Jednorozcu 1936–1939, sygn. 6293, b.n.k.

Tab. 1. Liczba członków Spółdzielni Mleczarskiej „Orzyc” w Jednorozcu w 1937 r.

rolników		rzemieślników	prac. fizycznych	prac. umysłowych	kupców	wolnych zawodów	ogółem
do 50 ha	powyżej 50 ha						
174	-	2	-	2	-	20	198

Tab. 2. Wykaz członków Rady Nadzorczej Spółdzielni Mleczarskiej „Orzyc” w Jednorozcu w 1937 r.

Imię i nazwisko	zatrudnienie	Miejsce zamieszkania	Data wyboru
Piotr Opalach	rolnik	Jednorzec	z poprzedniego Zarządu
Jan Parciak	rolnik	Jednorzec	11.04.1937 r.
Józef Jankowski	rolnik	Jednorzec	11.04.1937 r.
Ignacy Piotrak	rolnik	Jednorzec	z poprzedniego Zarządu
Marceli Połomski	rolnik	Ulatowo-Pogorzel	z poprzedniego Zarządu
Leon Kosakowski	rolnik	Ulatowo-Pogorzel	z poprzedniego Zarządu
Józef Graczyk	rolnik	Ulatowo-Pogorzel	z poprzedniego Zarządu
Stanisław Król	rolnik	Jednorzec	11.04.1937 r.
Stanisław Stodolski	rolnik	Jednorzec	11.04.1937 r.

z wynagrodzeniem, jak to określono, do 50 zł oraz jednego robotnika „dniówkowego”.

W skład Komisji Rewizyjnej Mleczarni wchodził członkowie Rady Nadzorczej: Józef Jankowski, Leon Kosakowski oraz Stanisław

Stodolski.

W związku z koniecznością analizy funkcjonowania przedsiębiorstwa, przestrzegania zasad spółdzielczości oraz podstaw prawnych i nie narażania na straty



Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu

Prezydent I. Mościcki w Jednorozcu w 1930 r.

Sprawozdanie SM „Orzyc” za rok 1937 zakwestionowane przez Radę Spółdzielczą w Warszawie.

interesów Skarbu Państwa, a także administrowania zgodnie ze statutem, dnia 22 I 1937 r. w domu Antoniego Bakuły została przeprowadzona przez rewidenta Edwarda Pietkowskiego tzw. Rewizja. Sprawozdanie z przeprowadzonej kontroli było przedstawione na posiedzeniu Rady Nadzorczej Spółdzielni w dniu 5 III 1937 r. oraz na Walnym Zgromadzeniu jej członków w dniu 11 IV 1937 r.

Walne Zgromadzenie zostało zwołane w obecności $\frac{3}{4}$ składu członkowskiego. W wyniku analizy dostępnych dokumentów dowiadujemy się, że w ramach przeprowadzonej kontroli podjęto działania związane z funkcjonowaniem SM „Orzyc”. Przegłosowano uchwały o pociągnięciu do odpowiedzialności za poczynione nadużycia były Zarząd Spółdzielni. Ponadto stwierdzono, że przedsiębiorstwo formalnie nie prowadzi działalności od dnia 18 VII 1936 r. Przyczyną zaprzestania prowadzenia działalności gospodarczej były nadużycia byłego Zarządu Mleczarni. Został powołany przez Radę Nadzorczą w dniu 15 V 1933 r. w osobach Eugeniusza Wilgi, Władysława Deptuły i Bronisława Kulusińskiego. *Nota bene* nie był zarejestrowany w Sądzie Okręgowym w Mławie, nie prowadził żadnej księgowości i naraził Spółdzielnię na straty w wysokości 4 396, 82 zł. Stwierdzono brak gotówki w kasie w kwocie 1 179,30 zł, co zostało stwierdzone przez kolejny Zarząd protokołem z dnia 15 XI 1936 r. oraz protokołem Komisji Rewizyjnej z dnia 15 I 1937 r. Następnie w wyniku licznych zaniedbań i defraudacji gotówki 21 I 1937 r. sprawa została przekazana do Prokuratury w Mławie.

Jednak już wcześniej, bo 28 XI 1936 r. Sąd Okręgowy w Mławie wymierzył Zarządowi SM „Orzyc” w Jednorozcu kary porządkowe na zasadzie art. 122 ustawy o spółdzielniach. Dotyczyła ona niezłożenia do Państwowej Rady Spółdzielczej w Warszawie sprawozdania rocznego za 1935 r. oraz uchwały Walnego Zgromadzenia o przyjęciu tegoż sprawozdania pomimo wielokrotnych upomnień. Kary grzywny w wysokości 25 zł zmuszeni byli zapłacić członkowie Zarządu, którzy widnieli w rejestrze: Bronisław Czaplicki, Edward Dybiński oraz Marcin Chudzik.

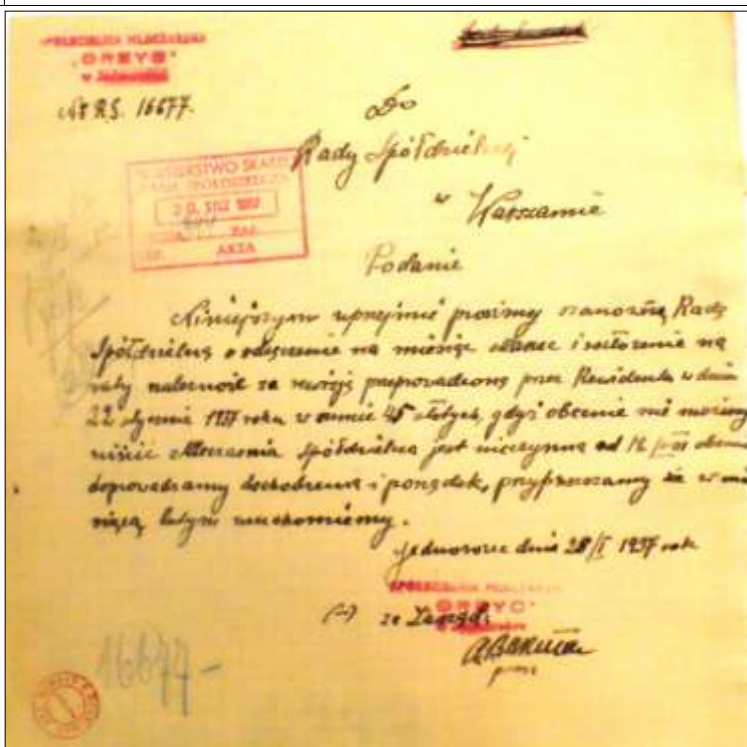
Według przeprowadzonego bilansu z końcem 1937 r. majątek stały Mleczarni w postaci mieszkania szacowany był na 1 058,10 zł, natomiast wartość ruchomości szacowano na 834,64 zł. Gotówki w kasie było 453,64 zł,

wartość weksli wynosiła 5 909,09 zł. Udziały własne wynosiły 6 313,00 zł. Jeśli chodzi o zobowiązania, to wartość kwot wierzycieli wynosiła 6 163,51 zł, zaległych podatków zaś 104,73 zł. Ogólnie rachunek zysków i strat za rok 1937 zamknął się kosztami handlowymi w wysokości 981,13 zł oraz wystąpiła nadwyżka w wysokości 150,30 zł.

W związku z przeprowadzonym audytem w Mleczarni, po stwierdzeniu nieprowadzenia działalności gospodarczej, od 1936 r. istniały plany jej wznowienia od lutego 1937 r. Jednak dużą przeszkodą były prywatne mleczarnie funkcjonujące w regionie, w tym jedna w Jednorozcu.

Czarne chmury nad Spółdzielnią Mleczarską „Orzyc” zaczęły zbierać się w połowie 1937 r., kiedy to Rada Spółdzielcza w Warszawie zobowiązała jednorozeczką spółdzielnię, aby ta do dnia 1 I 1937 r. przystąpiła do właściwego Związku Rewizyjnego. Rzucem na taśmę jednorozecy spółdzielcy przystąpili do takowego Związku, gdyż w przeciwnym razie groziłoby im rozwiązanie przedsiębiorstwa na mocy art. 65 ust. ustawy o spółdzielniach, który określa tryb likwidacji w wyniku uchybień w działalności.

W dniu 27 III 1938 r. odbyło się w Jednorozcu Walne Zgromadzenie SM „Orzyc”. Na zebraniu obecnych było 50 członków spółdzielni. Otwarcia zebrania dokonał przewodniczący Rady Nadzorczej, Piotr Opalach. Przewodniczącym zebrania był Józef Jankowski, sekretarzem Jan Parciak, a na asesorów wybrano Bronisława Czaplickiego i Stanisława Suchowieckiego.



Prośba Zarządu SM „Orzyc” w Jednorozcu o rozłożenie na raty należności za przeprowadzony audyt.



Józef Jankowski – członek Rady Nadzorczej SM „Orzyc” w Jednorozcu. Wójt gminy Jednorzec (1930–1937).

W dalszej kolejności prezes Spółdzielni Antoni Bakula przedstawił sprawozdanie z działalności przedsiębiorstwa, natomiast Józef Jankowski odczytał protokół Komisji Rewizyjnej. Na zebraniu dokonano również zmiany statutu Spółdzielni, gdyż jak stwierdzono, pierwszy statut zaginął [sic!]. Dalej prezes A. Bakula odczytał zebrany informację o tym, że jednorozeczka spółdzielnia została wpisana do rejestru przez Warszawską Izbę Rolniczą jako „Maślarnia”. Ponadto ciekawym wątkiem poruszonym na zebraniu był brak dyscypliny jej członków w oddawaniu mleka do SM „Orzyc”. Na zebraniu zarzucono jednemu z jej członków, Franciszkowi Pogorzelskiemu, że nie oddaje swojego mleka do Spółdzielni. F. Pogorzelski, odpowiadając na zarzuty, stwierdził, że prywatna mleczarnia oferuje pół grosza więcej za litr.

Władze Spółdzielni ciągle musiały mierzyć się z niedoskonałościami formalnymi, które miały miejsce w jej wewnętrznych aktach prawnych. W związku z licznymi brakami w dokumentacji oraz niewywiązywaniem się z nałożonych na spółdzielnię obowiązków sprawozdawczych i prawnych, zostało wszczęte postępowanie układowe, które miało doprowadzić do likwidacji podmiotu gospodarczego. Jednak 17 XII 1938 r. Wojewódzki Urząd Rozjemczy w Warszawie umorzył postępowanie układowe w stosunku do SM „Orzyc” w Jednorozcu.

Wybuch II wojny światowej spowodował zniszczenie rozwijającej się spółdzielczości, a wielu aktywnych spółdzielców zostało zamordowanych przez okupantów. Dlatego też po zakończonych działaniach wojennych dosyć trudno było odbudować struktury spółdzielcze w wielu miastach oraz wsiach. W Jednorozcu nie udało się już kontynuować spółdzielczej działalności mleczarskiej, w przeciwieństwie do takich najbliższych miejscowości jak Baranowo oraz Chorzele.

dr Wojciech Łukaszewski

Bibliografia:

Archiwum Akt Nowych w Warszawie:

Rada Spółdzielcza w Warszawie, Spółdzielnia Mleczarska „Orzyc” w Jednorozcu 1936–1939, sygn. 6293.

Ustawy:

Ustawa z dnia 29 października 1920 r. o spółdzielniach (Dz.U. z 1920 r. Nr 111, poz. 733);

Ustawa z dnia 4 grudnia 1923 r. w przedmiocie częściowej zmiany ustawy z dnia 29 października 1920 r. o spółdzielniach (Dz.U. z 1923 r. Nr 135, poz. 1119);

Ustawa z dnia 13 marca 1934 r. w sprawie zmiany ustawy o spółdzielniach (Dz.U. z 1934 r. Nr 38, poz. 342).

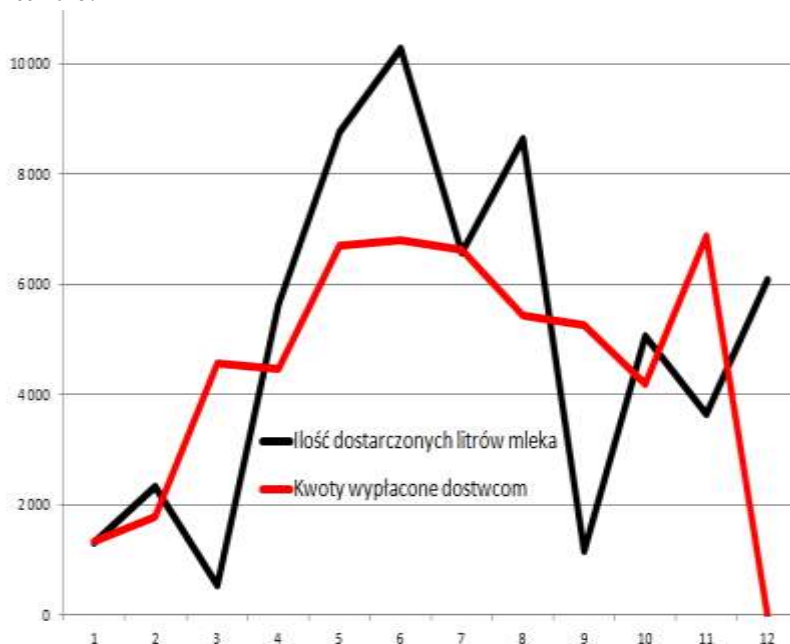
Opracowania:

Urlich A., *Z pamiętnika stegnieńskiej kurpianki. Handel i przemysł, „Idący w przyszłość”*, 2005, 6, s. 22;

Wojciechowska T., *Jednorozec. Historia wsi*, Jednorozec 2015.



Pismo branżowe „Spólnota pracy” prenumerowane przez SM „Orzyc”.



Tab. 3. Zestawienie przeróbki mleka w Spółdzielni Mleczarskiej „Orzyc” w Jednorozcu w 1937 roku.

Miesiąc	Ilość filii	Ilość dostarczonych litrów mleka	Ilość dostarczonych jednostek tłuszczu	Przeciętny % tłuszczu w mleku	Kwoty wypłacone dostwcom	Ilość uzyskanych kg masła	Sprzedaż masła w kg			
							w detalu	w hurcie Zw. Sp. Mi.	innym	ogółem
I	5	1 305	5 962	3,3	132,13	70	4,25	-	66	70,3
II	5	2 332	3 501	3,3	176,99	88	6,35	-	82	88,4
III	5	545	17 256	3,3	456,54	204	14,4	-	190	204,4
IV	5	5 640	17 869	3,3	446,31	206	12,25	-	200	206,3
V	5	8 761	27 231	3,3	670,86	328	12,45	-	316	328,5
VI	5	10 284	89 566	3,3	679,38	386	12,25	-	374	386,3
VII	5	6 588	20 212	3,3	663,15	242	11,88	-	230	241,9
VIII	5	8 647	28 729	3,3	543,39	343	14,15	-	329	343,2
IX	5	1 146	22 459	3,3	527,04	241	4,6	-	236	240,6
X	5	5 052	19 504	3,3	419,04	233	9,43	-	224	233,4
XI	5	3 654	14 059	3,3	688,32	166	3,17	-	163	166,2
XII	5	6 075	23 160	3,3	-	277	12,85	-	264	276,9
razem	5	60 026	289 508	3,3	5 403	2 786	108,8	-	2 678	2 786,0



Twarze makowskiej bezpieki Bronisław Szymborski

dr Wojciech **ŁUKASZEWSKI**

Bronisław Szymborski urodził się 7 VI 1916 r. w Ciepielewie, gm. Smrock w powiecie makowskim. Był synem Franciszka Szymborskiego. Miał żonę Czesławę (z domu Krzyna z Podosia) oraz dwóch synów Zbigniewa i Wiesława. Ukończył siedem klas szkoły powszechnej. W 1936 r. przyuczał się do zawodu fryzjerskiego, jednak zaniechał dalszej edukacji. Do listopada 1936 r. przebywał przy rodzinie w Ciepielewie. Od 2 XI 1936 r. do 31 VIII 1937 r. ochotniczo służył w 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich w Wilnie, a od 1 IX 1937 r. do 25 października tegoż roku, przeniesiony na granicę polsko-niemiecką, kontynuował swoją służbę w Szwadronie Kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP) „Druja” w stopniu kaprała. Już jako st. kpr. nadterminowy walczył z Niemcami podczas II wojny światowej.

Od 17 III do 26 VI 1940 r. przebywał na przymusowych robotach w Prusach Wschodnich w pow. Niborg (Nidzica). Po ucieczce z Prus Wschodnich, od 26 XI 1940 r. do 15 III 1941 r. pracował w charakterze pomocnika górnika w powiecie końskie, a następnie do 1 II 1945 r. pracował jako robotnik leśny w miejscowości Podoś w gminie Płoniawy Bramura. Ponadto w 1941 r. wstąpił do Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) na terenie gminy Płoniawy-Bramura, przyjmując pseudonim „Echo”. W organizacji był dowódcą III Kompanii. Dowodził 30 członkami organizacji. Ponadto kolportował prasę konspiracyjną, uczęszczał na zbiórki i werbował innych członków do organizacji. Na przełomie lat 1942 i 1943 wraz z podległymi żołnierzami wstąpił w szeregi Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) pełniąc również funkcję dowódcy kompanii. Jak twierdził B. Szymborski, wraz z częścią swojego oddziału wstąpił również do Batalionów Chłopskich (BCh). Po zakończeniu wojny Szymborski wstąpił do odradzającego się Stronnictwa Ludowego. Brat B. Szymborskiego - Stanisław, mieszkający na terenie powiatu płockiego, który podczas okupacji niemieckiej należał do NSZ, po wojnie wstąpił do Polskiego Stronnictwa Ludowego.

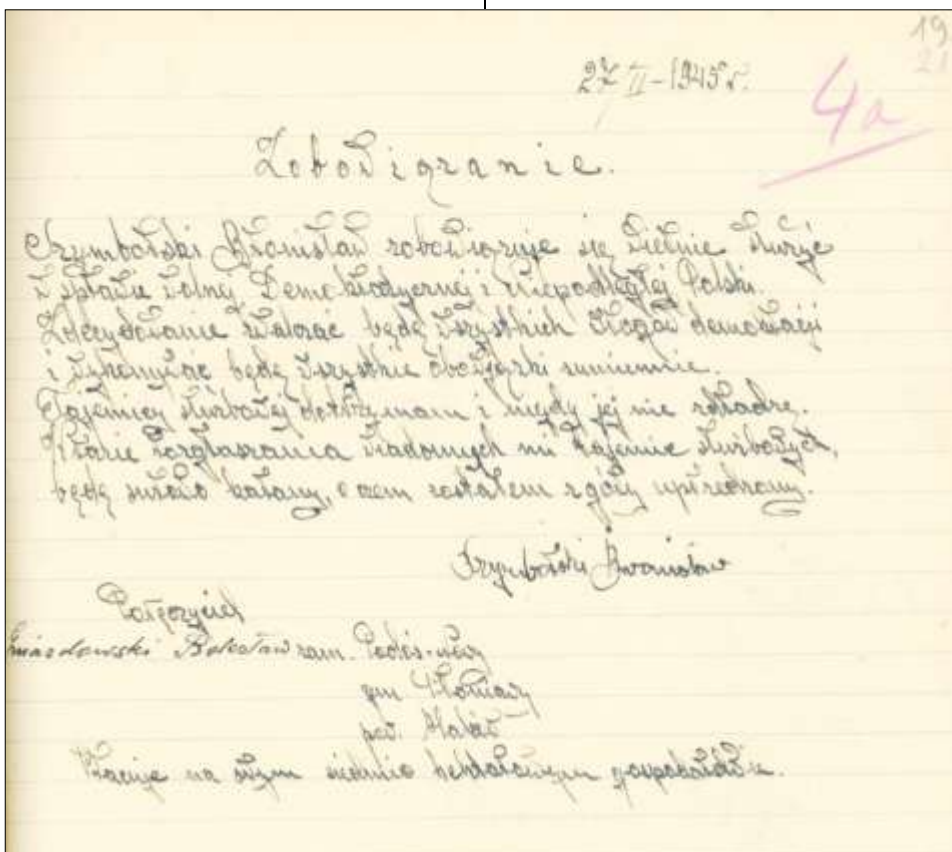
W dniu 3 II 1945 r. Bronisław Szymborski wstąpił w szeregi Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Makowie Mazowieckim z siedzibą w Krasnosielcu. Faktu przynależności do NSZ Szymborski w ankiecie personalnej UB nie podał za namową szefa UB w Makowie Maz. Adolfa Szemakowicza.

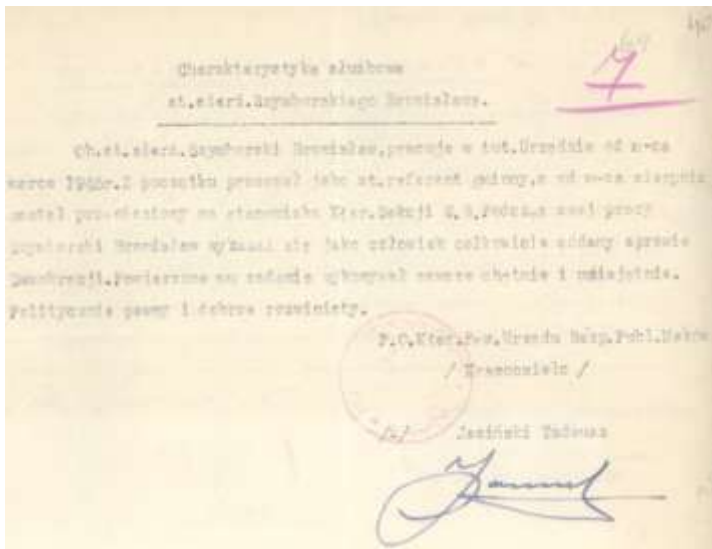
Od dnia 27 lutego tegoż roku pełnił funkcję



referenta gminnego na gminę Smrock, następnie rozkazem wewnętrznym z dnia 23 VIII 1945 r. mianowany został kierownikiem sekcji do walki z bandami. Od października 1945 r. był członkiem Polskiej Partii Robotniczej. W dniu 15 I 1946 r. rozkazem

personalnym mianowany na stanowisko starszego referenta PUBP w Makowie Maz. Następnie 7 III 1946 r. delegowany został do Centralnej Szkoły MBP w Łodzi, którą ukończył 25 czerwca tegoż roku. Dodatkowo w okresie wiosennym w 1946 r. B. Szymborski





otrzymał od szefa PUBP w Makowie Maz., Tadeusza Jasińskiego, konia, który był zakwestionowany (jako pochodzący z kradzieży) i został odebrany miejscowemu rolnikowi, Aleksandrowi Boruckiemu. Następnie sprzedając go za kwotę 52 tys. zł, co w terminologii prawniczej uznane było za przyjęcie korzyści majątkowej.

Od 13 XII 1946 r. do 27 IX 1948 r. B. Szymborski pełnił obowiązki szefa PUBP w Makowie Maz. Podczas pełnienia służby w charakterze p.o. szefa UB odbył szkolenie dla szefów UB w Centrum Wyszkożenia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) w Legionowie jako słuchacz tzw. kursu „Z”. Podczas pobytu w Legionowie w dniu 14 IX 1947 r. miała miejsce sytuacja, która wpłynęła na późniejszy wizerunek

wstąpił do restauracji przy ulicy Batorego 21. Towarzysze wspólnej eskapady zamówili alkohol wraz z poczęstunkiem na kwotę 800 zł. Jednak jak się wkrótce okazało trzej koledzy pośpiesznie opuścili Szymborskiego, nie spożywając już dodatkowej porcji alkoholu. Osamotniony B. Szymborski wpadł w zakłopotanie, gdyż siedzący obok żołnierze, korzystając z jego nieuwagi, spożyli zamówiony alkohol. W związku z niekorzystną sytuacją B. Szymborski postanowił uciec z lokalu. Jednak podczas ucieczki upadł na ziemię i został z powrotem odprowadzony przez kelnerkę do lokalu. Zrozpaczony Szymborski opowiadał, że popełnił samobójstwo. Te zapowiedzi spowodowały, że został rozbrojony przez przebywających tam słuchaczy CW MBP i odprowadzony do

miejsca zakwaterowania. Wcześniej w wyniku nacisków żołnierzy zapłacił 540 zł za widniejący na wyższą kwotę rachunek.

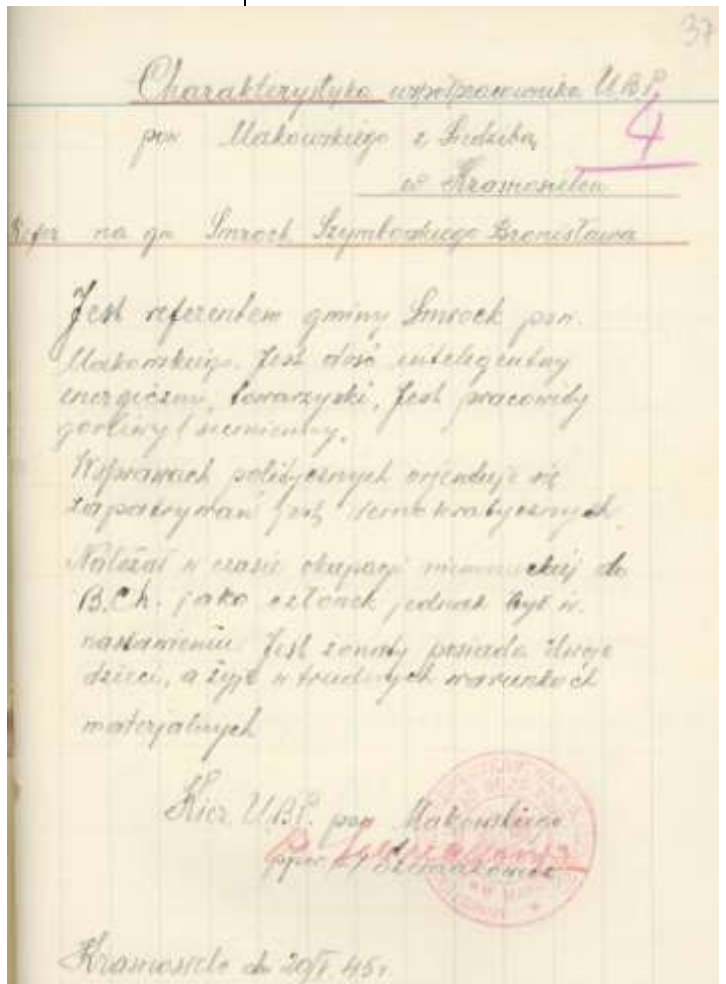
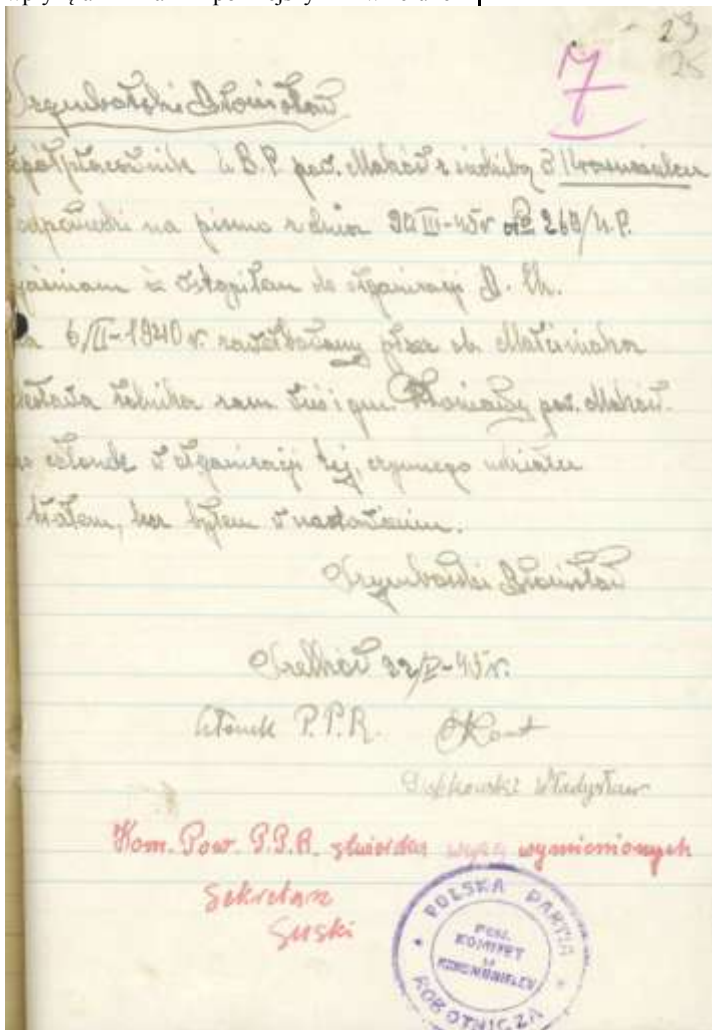
Kolejnym etapem jego resortowej kariery było pełnienie od 28 IX 1948 r. funkcji zastępcy szefa PUBP w Przasnyszu.

W wyniku dokładniejszego badania jego życiorysu wyszły na jaw „niewygodne” fakty, związane z jego przynależnością do ZWZ i NSZ i 15 X 1948 r. został zdjęty z zajmowanego stanowiska i przekazany do dyspozycji szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie.

W dniu 10 I 1949 r. Bronisław Szymborski został zwolniony dyscyplinarnie ze służby w UB i skierowano go do dyspozycji Ministra Obrony Narodowej.

Dalsze losy B. Szymborskiego nie są znane.

dr Wojciech Łukaszewski





Z Raków w gminie Krasnosielc na Ziemię Odzyskaną – ze wspomnień Stefana Olzackiego

Katarzyna OLZACKA

W listopadzie 1945 r. powołane zostało Ministerstwo Ziemi Odzyskanych z Władysławem Gomułą na czele. Jego głównym zadaniem było zorganizowanie akcji przesiedleńczej, ukrócenie szabrownictwa (również tego uprawianego przez Rosjan) oraz koordynowanie wysiedlaniem ludności niemieckiej, które rozpoczęło w styczniu 1946 r.

Również mieszkańcy powiatu makowskiego, który wyjątkowo ucierpiał w wyniku działań wojennych, ruszyli na Ziemię Odzyskaną, głównie na Północ: na Warmię i Mazury. Akcja przesiedleńcza była szeroko propagowana w powiecie, chętnych do wyjazdu nie brakowało. Początkowo ludzie wyjeżdżali na własną rękę. Sami wyszukiwali sobie gospodarstwa i tam się osiedlali. W maju 1945 r. powstał Powiatowy Komitet Przesiedleńczy, którego zadaniem było zaprowadzenie ładu w tych chaotycznych migracjach. Na Ziemię Północną wysłani zostali zwiadowcy, którzy wyszukiwali dogodny do zasiedlenia tereny. W tym samym roku zorganizowany został pierwszy transport osadników z przewodnikami. Miejscem zbiórki był Krasnosielc - tu zgromadziły się wszystkie rodziny, które zdecydowały się na przesiedlenie. W dalszą drogę osadnicy ruszyli w kolumnie, a pożegnał ich wójt gminy Krasnosielc Przybyszewski. Tak zorganizowany wyjazd odbył się tylko jeden raz. Później mieszkańcy ponownie wyjeżdżali indywidualnie. Do końca roku 1946 na Ziemię Odzyskaną przeniosło się z terenu powiatu makowskiego ok. 16 tys. ludzi. Część z nich powróciła na dawne miejsca, nie potrafiąc przystosować się do nowych warunków.

Za wiedzą, nie za chlebem

Stefan Olzacki mieszkał w Rakach, wsi w powiecie makowskim. Nie był osadnikiem. Na Ziemię Odzyskaną zagnał go głód wiedzy i chęć zdobycia wykształcenia. Gdy skończyła się wojna, miał niecałe piętnaście lat i ukończone dwie klasy szkoły powszechnej. W czasie wojny uczył na tajne nauczanie prowadzone przez panią Polcię (Apolonię Bednarowską). Dzięki temu, kiedy tylko uruchomiono szkołę w Rakach w lutym 1945 r., zdał pomyślnie egzamin do klasy V. Do połowy sierpnia tego roku ukończył klasę VI. W klasie VII przeniósł się do szkoły w Drążdzewie, ponieważ uczono tu języka rosyjskiego, a w Rakach był tylko język polski. Od 11 I 1946 r. był już uczniem Gimnazjum Rolniczego w Szczytnie. Powstało ono



Szczytno, ówczesna ul. Stalina (obecnie Odrodzenia), 1946 r., fot. Henryk Hermanowicz – patrz również fot. na s 100.

w styczniu 1946 r. Nauka trwała trzy lata i kończyła się tzw. małą maturą. Jak pisało ówczesne „Życie Olsztyńskie”, szkoła powstawała z niczego: brak było budynków, mebli, pomocy szkolnych. Miejscowe władze i społeczeństwo odnosiły się z dużą obojętnością do tworzącego się gimnazjum. Mimo tych przeciwności szkoła powstała i rozpoczęła działalność. Informacje o naborze rozesłano do wielu miejscowości. Jedno z tych pism dotarło do Krasnosielca. Wójtem był wtedy Szewczak z Drążdzewa, który miał dwóch synów – Mirosława i Stanisława – uczęszczających do tutejszej szkoły. Wójt postanowił wysłać synów na nauki do Szczytna. Do wyjazdu namówił też Jurka Olzackiego, ten z kolei swojego kuzyna Stefana oraz Jana Walendziaka.

W przededniu wyjazdu Stefan cały swój dobytek zapakował do drewnianej walizki, pozostawionej w domu przez któregoś z uciekających Niemców. Matka zawiązała do tobołka pierzynę i poduszkę, gdzieś na dnie spoczywała flaszką wódki, ot tak, na wszelki wypadek.

Wyruszyli 10 I 1946 r. o 3 nad ranem wozem na żelaznych kołach zaprzężonym w dwa konie. Powoził stryj Waclaw Olzacki, ojciec Jurka. Podekscytowani chłopcy porozsiadali się z tyłu furmanki. Dla tych kilkunastoletnich chłopców droga do odległego o blisko 100 km Szczytna była niczym wyprawa na biegun północny, tak samo długa i uciążliwa. Na

szczęście pogoda im sprzyjała, mroź był niewielki, a drogi przejezdne. Przed południem dotarli do Chorzel. Koś pokazał im rów graniczny pomiędzy Polską i byłymi Prusami Wschodnimi. Gdy go minęli, wkroczyli do nowego świata. Brukowana dotychczas droga przeszła w asfalt, drewniany chałupy zniknęły. Domy były murowane, z czerwonej cegły, pokryte dachówką. Powiało obcością.

Za Opaleńcem skręcili do wioski Piwnice Wielkie i zrobili sobie przerwę w podróży. Zapukali do pierwszej napotkanej chałupy. Drzwi otworzyła Mazurka i całkiem dobrą polszczyzną zaprosiła przybyszów do środka. Była miła i gościnna, zagotowała wodę i zrobiła gorącą herbatę. Chłopcy powyciągali swoje zapasy i pokrzepiali się przed dalszą drogą. Rozmawiano na różne tematy, kiedy jednak zaczęto o polityce i wysiedlaniu ludności pochodzenia niemieckiego, rozżalona kobieta wykrzyknęła: „Jesce nam słonecko zaświci”. Stefan zapamiętał te słowa na całe życie.

Od Wielbraka można było próbować dostać się do Szczytna koleją, ale Rosjanie rozebrali i wywieźli tory i kolej nie chodziła. Ruszyli więc dalej furmanką.

Samotność w małym mieście

Na miejsce dotarli długo po zmroku. Odnaleźli ulicę Polną, przy której mieściła się szkoła i internat, szybko zakwaterowali się i zmęczeni poszli spać. Następnego dnia stryj z samego rana ruszył w drogę powrotną, a chłopcy udali się na zwiedzanie szkoły i miasta. Mieściła się ona blisko torów kolejowych, naprzeciwko znajdował się tartak i młyn, a dalej stacja PKP. Budynek był dwupiętrowy, murowany, z czerwonej cegły, z ozdobnymi gzymsami. Na parterze mieściły się 2 sale lekcyjne, kuchnia, stolówka i świetlica. Na pierwszym piętrze mieszkał wychowawca p. Krukowski z żoną, a na drugim znajdował się internat: cztery pokoje z czterema lub pięcioma łózkami. Wszystko jednak było mocno zniszczone.

Do szkoły należała również obora, stodoła, kawałek pola, ogród warzywny i sad, a także narzędzia i inwentarz. Było to przecież gimnazjum rolnicze. Wyglądało na to, że na potrzeby edukacyjne zaadoptowane zostało jakieś poniemieckie gospodarstwo, i to niegdyś bardzo zamożne. Na wiosnę podczas kopania zagonów w warzywniaku jedna z łopat stuknęła o coś metalowego. Uczniowie zamarli ze strachu, bo pomyśleli, że to jakaś zagubiona bomba lub mina. Ostrożnie odgarnęli ziemię i oczom ich ukazała się wielka metalowa skrzynia. Wyciągnęli ją i otworzyli, wypełniona była piękną elegancką porcelaną. Zanieśli skarb do wychowawcy i więcej już nie słyszeli o znalezisku.

W styczniu oprócz chłopców z Raków i Drażdżewa było tu jeszcze siedmiu innych młodzieńców. Przez jakiś czas gimnazjum liczyło więc tylko 12 uczniów i 5 pedagogów, razem z dyrektorem panem Stanisławem Jurewiczem, nauczycielem matematyki. Dopiero później zaczęli przybywać nowi i do końca roku klasa liczyła 22 uczniów. Warunki w budynku były fatalne, brak było ogrzewania i bieżącej wody. Mycie niezależnie od pory roku odbywało się pod pompą, znajdującą się na środku podwórka, za potrzebą ganiało się do wygodki za oborą. Również całe miasto robiło złe wrażenie, było zrujnowane, obce i nieprzyjazne. Po kilku dniach pobytu oderwani od rodzinnych domów chłopcy chcieli uciekać. Tyle tylko, że nie mieli czym wrócić. Kolej nie działała, komunikacja autobusowa w ogóle nie funkcjonowała. Więc zostali, niektórzy z nich, tak jak Jurek Olzacki i Jan Walendziak, już na stałe.

Pierwsi maturzyści

Powoli przystosowywali się do nowych warunków. Drewno do ogrzewania wyciągali z tartaku, zrobili w płocie dziurę i zakradali się tam co kilka dni. Jednego dnia zaprzęgli konie do furmanki i objechali opuszczone poniemieckie biura. Dzięki temu w internackich pokojach pojawiły się solidne drewniane szafy. Czuli się coraz swobodniej. Kiedyś na obiad dostali śledzie, takie całe, tłuste i smaczne. Objedli ryby i zaczęli rzucać się łbami - to była świetna zabawa. Jednak wychowawca p. Krukowski nie wykazał się



Mycie pod pompą, lipiec 1946 r.



Uczniowie gimnazjum z nauczycielami, lipiec 1946 r. Nauczyciele od lewej: p. Matuszewski – biolog i nauczyciel przedmiotów zawodowych, p. Tuszyńska – od języka francuskiego, późniejsza dyrektorka gimnazjum, dyrektor Jurewicz i Krukowski – humanista – patrz również fot. na s 100.

poczuciem humoru. Za karę uczniowie nie dostali kolacji i musieli siedzieć nad książkami na świetlicy do dziesiątej wieczorem.

Kiedy przywrócono komunikację kolejową, chłopcy wybrali się w odwiedziny do domu. Casy były ciągle niespokojne, toteż do pociągu doczepione były dwa wagony pełne uzbrojonego wojska. Chłopcy mieli wsiąść w Jastrzębce, ale tu pociąg nie zatrzymywał się. Umówili się więc ze sobą, że w Jastrzębce wyskoczą w biegu. Tak też zrobili, na szczęście nikomu nic się nie stało. Do domów dotarli na piechotę.

Nauka w gimnazjum przebiegała szybko, w ciągu półtora roku ukończyli trzy klasy. W połowie lipca 1947 r. byli pierwszymi maturzystami na całych Mazurach (była to tzw. mała matura). Świeżo upieczeni maturzyści mogli zajmować stanowiska instruktorskie lub kształcić się w liceach zawodowych. Bracia Szewczakowie, Jurek Olzacki i Janek Walendziak wyjechali do Kętrzyna i wstąpili do Liceum Spółdzielczego. Stefan wahał się,

czy pójść za kolegami, czy zostać na miejscu. W rezultacie wybrał dalszą naukę w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Szczytnie. I tu ich drogi rozeszły się już na zawsze.

Gimnazjum Rolnicze funkcjonowało do lat 50. XX w. Później w całym budynku urządzono duże przedszkole, które znajduje się tu do chwili obecnej²⁶⁰. Wychowankami tego przedszkola była trójka wnuków Jurka Olzackiego, absolwenta dawnego gimnazjum.

²⁶⁰ Przedszkole Miejskie w Szczytnie Nr 9 „Kubuś Puchatek” ul. Polna 16.

Aktorzy nie partyjni

Państwowe Liceum Pedagogiczne powstało zaraz po zakończeniu wojny. Kiedy w roku 1947 Stefan Olzacki wstępował w jego mury, trafił od razu do klasy trzeciej. Liceum mieściło się w dużym budynku nad samym jeziorem, tuż obok zamku. Była to stara przedwojenna szkoła. Na poddaszu znajdowała się piękna aula, w której odbywały się szkolne uroczystości i różne występy. Kiedyś gościł tu nawet chór Czejjanda.*) Oprócz liceum w gmachu mieściło się jeszcze gimnazjum koedukacyjne i czteroklasowa podstawowa szkoła ćwiczeń, w której licealiści odbywali praktyki zawodowe. Dyrektorem Liceum był mgr Mysłowski, jednocześnie był też wychowawcą klasy trzeciej. Języka polskiego uczył pan Korkozowicz. W latach 70-tych Stefan spotkał pana Korkozowicza w Zakopanem, w jadalni ośrodka wczasowego ZNP. Obaj byli tu na wczasach pracowniczych. Długo wspominali szkolne lata w Szczytnie.

W szkole działała grupa teatralna, uczniowie dawali przedstawienia u siebie w auli dla wszystkich mieszkańców miasta. Jeździli też z występami po okolicy starą odkrytą ciężarówką, do Pasymia, Dźwierzut. Występy wszędzie się podobały, pisała nawet o nich lokalna prasa. Tyle tylko, że w publikacjach zamiast o młodzieży licealnej pisano, że występowała młodzież partyjna. Dyrektor Mysłowski, poirytowany takimi manipulacjami, zabronił dalszych wyjazdów. Największym osiągnięciem młodych artystów był występ w olsztyńskim teatrze im. St. Jaracza podczas festiwalu „Gody wiosenne”. Licealiści ze Szczytna wystawili sztukę ludową „Swaty”.

Przez pół roku działało koło fotograficzne prowadzone przez samego Henryka Hermanowicza, jednego z najbardziej znanych polskich fotografów. Miał on swój zakład fotograficzny przy ul. Stalina (obecnie ul. Odrodzenia). Zajęcia odbywały się raz w tygodniu i były podzielone na część teoretyczną i praktyczną. Zdjęcia wykonywali w plenerze, były to widoki zamku. Fotografie wywoływał Hermanowicz w swoim laboratorium, potem wspólnie omawiali je na zajęciach koła.

Wyprawa na wystawę Ziem Odzyskanych

Jednak największym wydarzeniem w życiu szkoły był wyjazd do Wrocławia na wystawę Ziem Odzyskanych w lipcu 1948 r. To dopiero była wyprawa! Po raz pierwszy wyjeżdżali tak daleko. Pojechali wszyscy, uczniowie i nauczyciele. Szkoła zarezerwowała cały wagon kolejowy. Najpierw dojechali do Olsztyna, dalej z przesiadkami do Wrocławia. Jechali całą noc. Wrocław przywitał ich stertami gruzów, porozkopywanymi ulicami i sterczącymi ruinami kamienic. Ale miasto tętniło życiem, z okazji wystawy zjechała tu chyba cała Polska. Tak przynajmniej im się wydawało. Zakwaterowano ich w internacie którejś ze szkół, warunki były niezłe i jedzenie dobre. Wystawa odbywała się w Hali Ludowej, na jej zwiedzaniu spędzali całe dni. Chodzili



Maturzyści Państwowego Liceum Pedagogicznego w Szczytnie 1949 r. z dyrektorem Mysłowskim.

też nad Odrę, wypoczywali, bawili się. Z całego pobytu we Wrocławiu Stefan najlepiej zapamiętał samą halę i stojącą przed nią iglicę. I te rzesze ludzi, wśród których przeważała młodzież tryskająca radością i entuzjazmem, śpiewająca i tańcząca na ulicach. A wystawa jak wystawa, i tak wiedzieli, że ich mazurska szkoła i oni sami byli częścią tego dorobku Ziem Odzyskanych. Pobyt trwał trzy dni, powrót był nie mniej ekscytujący jak sam wyjazd. Najzabawniejszy był postój w Olsztynie. Dworzec kolejowy był zrujnowany, w pobliżu stała niewielka budka, w której można było kupić gorącą herbatę w blaszanych kubkach. Z tymi kubkami porzysiadali się na kamieniach i śmiali się do rozpuku, nawet nie wiadomo z czego. Po prostu byli młodzi i szczęśliwi. Cała wycieczka

opłacona była z funduszy szkolnych.

W maju 1949 r. Państwowe Liceum Pedagogiczne ukończyło pierwszych 26 absolwentów, wśród nich Stefan Olzacki. Jedna osoba nie zdała matury. Komisji maturalnej przewodniczył wizytator E. Pietkiewicz. Obserwatorami byli: Karol Małek dyrektor Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach oraz przedstawiciel ludu pracującego Jan Sielski, robotnik fabryki drzewnej.

Za stypendium Faryny

W trakcie dwuletniej nauki Stefan otrzymywał stypendium państwowe (w sumie 18 500 zł). W zamian za to zobowiązany był do odbycia służby nauczycielskiej na Warmii



Stefan Olzacki (w środku) z dwoma autochtonami, Helmutem i Horstem. Faryny 1951 r.

i Mazurach. Trafił do Faryn w gminie Rozogi jako kierownik tutejszej szkoły podstawowej. Miał wtedy niespełna 19 lat, niektórzy uczniowie najstarszej klasy niemalże dorównywali mu wiekiem. Zanim znalazł się w Farynach, odbył miesięczny staż na półkoloniach w Pasymiu. Razem z nim było jeszcze czterech innych maturzystów. To były wyjątkowo udane wakacje. Stefan pełnił dodatkowo funkcję zaopatrzeniowca i w tej roli spisywał się bardzo dobrze, bo jedzenie mieli naprawdę znakomite: mięso, kiełbasę, jajka, warzywa - prawdziwe rarytasy. Raz w tygodniu jeździł do Szczytna, rozliczał się z wydatków i pobierał gotówkę na następny tydzień.

Po beztrudnych wakacjach w Pasymiu, Faryny napęliły go prawdziwym przerażeniem, podobnie jak niegdyś pierwsze dni na Ziemi Odzyskanej. Był to daleki obcy świat zagubiony w środku mazurskich lasów, nikogo tu nie znał i zupełnie nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. W wiosce nie było prądu, ani jednego telefonu i radia. Po przyjeździe Stefan został pierwszym prenumeratorem gazet. Ale listonosz wcale nie był zadowolony z tego powodu, bo musiał prawie codziennie dowozić rowerem gazety z odległych o 6 km Rozóg. Nie raz wypominał to Stefanowi. Komunikacja z Farynami była bardzo słaba. Nie kursowały autobusy, jedynie dwa razy dziennie kolejka wąskotorowa. Blisko połowę mieszkańców stanowili Mazurzy, niektórzy z nich byli dawnymi żołnierzami Wehrmachtu. Wieczorami rozbrzmiewały we wsi niemieckie pieśni. Drugą część stanowili osadnicy, przeważnie Kurpie spod Myszyńca, być może ze względu na stosunkowo łatwy dla nich dojazd, bo przechodząca przez Faryny wąskotorówka kursowała do Myszyńca. W szkole słychać było przedziwną mieszankę językową mazursko-kurpiowską.

Ludność mazurska była wyznania ewangelickiego, swój zbor mieli w Rozogach. Polacy na niedzielną mszę udawali się do Pup (Spychowa), gdzie znajdowała się kaplica. Najbliższy kościół parafialny mieścił się w odległym o 20 km Klonie, ale Kurpie z Faryn śluby brali aż w Myszyńcu. Kaplica w Farynach zbudowana została wiele lat później, na ten cel przerobiona została jedna z opuszczonych mazurskich chałup. Dzisiaj jest tu parafia. Na skraju wsi w lesie znajdował się przedwojenny cmentarz ewangelicki. W tamtych czasach Polacy jeszcze nie mieli tutaj swojego cmentarza, bo i pochówków było niewiele. A jeśli się już zdarzył, to osadnicy wywozili zmarłych na rodzinne cmentarze.

Mazurzy byli wyjątkowo serdeczni i bardzo przyjaźnie odnosili się do przybyszów. Stefan nie pamięta by za jego pobytu zdarzały się tu zatargi na tle narodowościowym czy religijnym. Jednego razu był nawet poproszony na chrzciny do mazurskiego domu. Kiedyś zaczęła go starsza Mazurka, dowiedziała się, że pochodzi z Mazowsza. Mąż jej zginął na froncie koło Pułtuska, więc dopotywała Stefana, gdzie się znajduje i jak daleko jest od Faryn. Zdarzało się, że tutejsze dziewczyny wychodziły za mąż za polskich chłopców. Jednak kiedy przyszedł czas wysiedleń, zostawiły polskich mężów i domy, zabrały dzieci i wyjechały do Niemiec.

Sołtysiem we wsi był szewc Lechman, stary Mazur. We wsi wszyscy mówili na niego



Stefan Olzacki na lekcji w klasie V. Faryny 1951 r.

Lejman. Razem z sołtysiem mieszkała jego córka, której mąż Pawelski zginął na froncie wschodnim, i dwójka wnuków: Horst i Brunhilda. Lechman był jednocześnie przewodniczącym Komitetu Rodzicielskiego, toteż nowy kierownik szkoły był częstym gościem sołtysa. Niekiedy wieczorami już po kieliszku, albo i dwóch, nachylał się do Stefana i mówił: My chcieli Polski, ale nie takiej. Większość autochtonów myślała o tym, by jak najszybciej znaleźć się za Odrą, tu na własnej ziemi zaczęli czuć się obco. W roku 1950 Stefan razem z sołtysiem chodzili po wsi zbierając podpisy pod Apelem Sztokholmskim nawołującym narody do pokoju. Lechman dokument podpisał, ale większość Mazurów nie chciała. By jednak dobrze wypaść przed władzą, sołtys sam podpisał się za pobratymców, ale powiedział, że za żonę nie podpisze. Dobrze było chodzić z sołtysiem po mazurskich domach, bo zawsze czekał tam na nich jakiś poczęstunek. Tacy już byli ci

Mazurzy, bardzo gościnni.

Szkola w Farynach była stara, ponemiecka, obok niej stał piękny dom nauczycielski, jednak tuż przed przyjazdem Stefana budynek ten spłonął. Młody nauczyciel zamieszkał w wynajętym przez gminę pokoju. Za kwatery płaciła gmina, posiłki opłacał z własnej pensji. Oprócz Stefana był jeszcze jeden nauczyciel, pan Litwińczuk, starszy pan pewnie gdzieś z Kresów, bo tak śmiesznie zaciągał. Każdy z nich miał dwie klasy: Stefan klasy 1 i 3, Litwińczuk 2 i 4. Były to klasy łączone. Oprócz tego nauczyciele prowadzili jeszcze kursy wieczorowe: jeden dla analfabetów i drugi repolonizacyjny dla mazurskiej młodzieży pozaszkolnej. Nowa władza przywiązywała dużą wagę do tych szkoleń i dobrze płaciła za ich prowadzenie.

W roku 1951 przybyła do Faryn nowa nauczycielka, pani Wolikowska. Była to prawdziwa światowa dama, żona przedwojennego dyplomaty. Nie wiadomo



Sklep GS „Sch” w Krasnosielcu, sklepowe: Jadwiga Przybysz, Janina Jastrzębska, Stanisława Wróblewska, z prawej Stefan Olzacki. 1953 r.

jakim zrządzeniem losu trafiła do maleńkich Faryn. Lubiała opowiadać o swoim dawnym życiu. Na Stefanie największe wrażenie robiły jej opowieści o podróżach statkiem do dalekich krajów, do których mąż był wysyłany na placówki dyplomatyczne. Pani Wolikowska była niezwykle sumienna i bardzo życzliwa.

Raz w miesiącu nauczyciele z całej gminy przyjeżdżali do Rozóg na szkolenia partyjno-polityczne, chociaż większość z nich do partii nie należała. Trzeba było robić notatki, ale Stefanowi się nie chciało. Aż tu pewnego razu prowadzący zajęcia zarządził kontrolę notatek, no i zrobiło się nieprzyjemnie. Wtedy siedząca za Stefanem p. Wolikowska trąciła go w ramię i ukradkiem podsunęła mu zeszyt. Okazało się że prowadziła dwa, swój i za Stefana. To była naprawdę dobra kobieta.

Faryny żyły z lasu. Już przed wojną było tu duże dobrze zagospodarowane leśnictwo, a większość mężczyzn ze wsi pracowała w lesie. Po wojnie leśnikami byli sami Polacy. Ludności tubylczej raczej nie dopuszczano do stanowisk, tylko dwóch Mazurów było gajowymi. Inni pracowali jako zwykli robotnicy leśni. Leśnicy ściągali tu z całej Polski. W roku 1950 przybył do Faryn Tadeusz Lubka, pochodził ze Śląska. Szybko zaprzyjaźnił się z Stefanem i przyjaźń ta trwała aż do śmierci Tadeusza w 2001 r. Wkrótce dołączył do nich Kazik Mazurkiewicz, który mieszkał w starej Mazurki Kalinki. Nikt we wsi nie potrafił przyrządzić tak dobrze dziczyzny, jak stara Kalinka. Stefan do dzisiaj wspomina jej smak.

To była naprawdę zgrana kompania. Byli młodzi, energiczni, pełni szalonych pomysłów. Razem jeździli do Świętajna na pochody pierwszomajowe i pikniki. Początkowo spotykali się na wspólne czytanie książek, czytali na głos po kolei, „Trylogię” czy „Pięcioksiąg Sokolego Oka”. Potem zaczęli organizować wieczorki dla wszystkich mieszkańców wsi, na których wystawiali jednoaktówki, skecze i kuplety, które sami układali. O każdym ze wsi potrafili powiedzieć coś żartobliwego, ale nikt się nie obrażał i wszyscy dobrze się bawili. Wkrótce zaczęto zwać ich „hultajską trójką”. Na trzech mieli dwa rowery. Jeden, rower marki „Bałtyk”, dostał Tadeusz od swojej matki. Przysłała mu go pociągami aż z Tarnowskich Gór. Drugi skombinował gdzieś Kazik. Stefan jeździł na ramie u Tadeusza. Leśnicy chętnie zapraszali ich na swoje uroczystości rodzinne, bo każde spotkanie ubarwiali śpiewami i opowiadaniem kawałów. W goście przychodzili z butelką wódki i piosenką: „O północy się zjawili jacyś dwaj cywili”.

Był też jeden leśniczy Rybicki, do Faryn przybył wraz z rodziną. Przed wojną Rybicki służył w granatowej policji. Po wojnie nie chwalił się tą służbą. Tutaj był szanowanym panem leśniczym i aktywnym członkiem POP. Kiedy przeszłość Rybickiego wyszła na jaw, stracił pracę i członkostwo w partii. Rybicki miał córkę Marię, ale wszyscy wołali na nią Maryla. Wpadło w oko Tadeuszowi i wkrótce zostali małżeństwem. Ślub brali w kościele parafialnym w Klonie. Pojechali tam furmankami, dla pary młodej wyszukano jedną bryczkę. Towarzyszył im orszak ślubny złożony z dwunastu druhen i dwunastu dżubrów. To był naprawdę piękny widok, kiedy



„Hultajska trójka” w przebraniu, od lewej siedzą: Tadeusz Lubka, Kazik Mazurkiewicz i Stefan Olzacki. Faryny 1951 r.

tak w kościele utworzyli szpaler i młoda para przechodziła między nimi. Gdy wracali w najgęstszym lesie, zaczęli się na nich robotnicy leśni. Ścili wielką sosnę i zatorowali drogę. Weselny orszak musiał zatrzymać się przed przeszkodą. Wtedy robotnicy wyskoczyli z ukrycia i obsypali nowożeńców życzeniami. Przyjęcie weselne trwało całą noc. Tadeusz i Maryla pozostali w Farynach już na zawsze. Oboje spoczywają na tutejszym polskim cmentarzu. Ich dzieci wyprowadziły się do Szczytna.

Powrót do domu

W roku 1951 Stefanowi dobiegła służba nauczycielska na Warmii i Mazurach. Złożył podanie do Kuratorium Warszawskiego o przeniesienie do pracy gdzieś na Mazowsze, bliżej domu. Jednak kurator nie wyraził na to zgody, tam nauczycieli nie brakowało, a tu nikt nie chciał przyjść dobrowolnie. Stefan przepracował jeszcze rok w Farynach i zrezygnował z pracy w szkolnictwie. Przeszedł do spółdzielczości, podobnie jak jego kuzyn Jurek Olzacki. Wrócił do rodzinnych Raków, znalazł pracę księgowego w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, najpierw w Krasnosielcu, potem w Szelkowie. W roku 1972 przeniósł się razem z rodziną do Makowa.

Z całej piątki, która 10 I 1946 r. wyruszyła z Drążdżewa na Ziemię Odzyskane, pozostali na nich Jerzy Olzacki i Jan Walendziak. Po skończeniu liceum spółdzielczego Jerzy pracował w gminnych spółdzielniach w Moragu i Pasymiu, potem osiadł na stałe w Szczytnie. Również jego dzieci pozostały na Mazurach, w Szczytnie i Pasymiu. Pozakładały swoje rodziny i są drugim pokoleniem polskich osadników. Jan Walendziak już nie żyje. Bracia Szewczakowie pokończyli szkoły wojskowe i powrócili w rodzinne strony.

Katarzyna Olzacka

zdjęcia: zbiory prywatne Stefana Olzackiego

w Warszawie przez Czesława Januszewskiego (pseudonim Czejand). Oprócz niego zespół tworzyli: Adam Muszyński, Roman Szach i Zygmunt Sylwestrowicz. Chór Czejanda śpiewał wszystko - piosenki rosyjskie, pieśni o odbudowie kraju, odbudowie stolicy i jej uroczych zakątkach, typowe rozrywkowe przeboje, piosenki ludowe. Prawie wszyscy ówczesni soliści śpiewali na tle Chóru Czejanda: Mieczysław Fogg, Andrzej Bogucki, Janina Godlewska, Leopold Nowosad, Barbara Barska. Solistom tym akompaniowała najpierw orkiestra Jana Cajmera, a po jego wyjeździe z kraju głównie Stefana Rachonia.

Stefan Olzacki – urodził się w 1 X 1930 r. w Rakach jako jeden z pięciorga dzieci młynarza Władysława Olzackiego. Odbierała go p. Krukowska, akuszerka z Krasnosielca. Do roku 1939 ukończył dwie klasy szkoły powszechnej w Rakach. Po wojnie kontynuował naukę w Rakach, potem w Drążdzewie. W styczniu 1946 r. został uczniem Gimnazjum Rolniczego w Szczytnie. Następnie ukończył Państwowe Liceum Pedagogiczne w tym samym mieście. Po zdaniu matury skierowany został do pracy nauczycielskiej w Farynach w gm. Rozogi. Przebywał tu do 1952 r. Potem przeniósł się do spółdzielczości. Przez rok pracował w Moragu w spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. W r. 1953 powrócił do Raków i rozpoczął pracę w Gminnej Spółdzielni „SCh” w Krasnosielcu. Ukończył kurs kandydatów na głównych księgowych w Głucholazach Zdroju i od roku 1958 aż do emerytury, na którą przeszedł w 1995 r., pracował jako główny księgowy, najpierw w GS-ie w Krasnosielcu, potem w Szelkowie. W roku 1972 zamieszkał w Makowie Maz. Za swoją pracę odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Stefan Olzacki zmarł w 2007 r. Pochowany jest na cmentarzu parafialnym w Makowie.

*) Chór Czejanda - założony został w 1946 r.



Tajemnice Góry Krzyżewskiej

Katarzyna OLZACKA

Zdjęcie starego kościoła na Górze Krzyżewskiej oraz jego krótka historia, którą opisałam w „Tygodniku Ostrołęckim” (nr 9/2007) wzbudziły zainteresowanie Czytelników. Najpierw odwiedził mnie Tadeusz Bryczek, który budował nową świątynię. Potem zadzwoniła do mnie córka Genowefy Gutowskiej z Krzyżewa Nadrzecznego. Opowiedziała mi, że przedstawiony na zdjęciu kościół budował jej przodek - Moszczyński, i że jej mama dobrze wie, jak to było naprawdę. Zaintrygowana skontaktowałam się z panią Gutowską, która opowiedziała mi niezwykłą historię powstania kościoła na Górze Krzyżewskiej. Myślę, że wielu Czytelników zainteresują te opowieści i skłonią do odwiedzenia tego ciekawego miejsca.

- Historię tę opowiadała mi moja mama, a jej opowiadał o tym ojciec, mój dziadek Moszczyński. Ja nie kłamię, proszę pani, i moja mama też nie kłamała, więc to musi być prawda - zapewniła mnie Genowefa Gutowska. Historię potwierdzają mieszkańcy Krzyżewa Borowego, do którego należy kościół św. Jadwigi Królowej. Opowieść sięga drugiej połowy XIX w. Stryj dziadka pani Genowefy, Moszczyński, był zamożnym człowiekiem. Posiadał spory folwark w okolicy Krzyżewa Borowego. - Ludzie opowiadali, że nawet cała Góra Krzyżewska należała do niego. Stryj nie miał dzieci i cały majątek dzielił z żoną po połowie - mówi Gutowska.

Pewnego razu Moszczyński orał w woły swoje pole leżące u stóp Góry Krzyżewskiej. Kiedy się zmęczył, puścił woły na trawę, a sam przysnął. I wtedy przyśnił mu się sen, że powinien zbudować kościół na szczycie góry. Bardzo przejął się tym snem, nie dokończył swojej pracy, tylko czym prędzej wrócił do domu. Opowiedział żonie o swoich widzeniach i oświadczył, że muszą zbudować świątynię. Ale żonie nie spodobał się ten pomysł, żal jej się zrobiło pieniędzy. Wszelkimi siłami próbowała odwieść męża od tego zamysłu. Moszczyński nie potrafił jednak o niczym innym myśleć. Postanowił, że zbuduje kościół ze swojej połowy majątku. Tak też uczynił. Wyświęcenie nowego kościoła odbyło się prawdopodobnie około 1882 r. Tak mówił ksiądz podczas poświęcenia dzisiejszego kościoła krzyżewskiego w 1982 r. Twierdził, że owa uroczystość odbywa się w setną rocznicę otwarcia starego kościoła, widocznego na zdjęciu z 1943 r.

W jakiś czas po zakończeniu budowy Moszczyńska straciła wzrok. Ludzie powiedzieli, że to dlatego, iż poskąpiła

pieniędzy na budowę kościoła. Inni twierdzili, że to sam mąż ją przeklął po tym, jak podejrziała, gdzie chowa pieniądze na dokończenie budowy a potem mu je zabrała. „Bodaj byś oślepla” - miał wykrzyknąć Moszczyński i proroctwo się spełniło. Ale to już pewnie legenda i ludowa przestroga przed tym, by nie grzeszyć w życiu skąpstwem - dopowiada pani Genowefa. - Po śmierci stryj został pochowany w piwnicy kościoła, a w ścianę świątyni wmurowano na jego cześć kamienną tablicę pamiątkową. Pani Genowefa przypomina sobie, że przed wojną, kiedy uczyła się w szkole w Zaciszach, razem z nauczycielem p. Dudysiem chodzili na wycieczki na Górę Krzyżewską i oglądali kościółek. Pan Dudys pokazywał im tablicę i objaśniał, kto był fundatorem kościoła i kiedy go zbudował. Było jej miło, że to jej krewny.

Na polanie pod kościołem stał dom państwa Wróblewskich. Pan Wróblewski był kościelnym. Raz w roku, w trzecią niedzielę po Wielkanocy, odbywał się tu odpust.

W czasie II wojny światowej na zboczu góry Niemcy założyli cmentarz wojenny dla swoich żołnierzy. Poniżej kościoła utworzyli trzy tarasy, zbocza góry wzmocnili kamieniami i na tych tarasach chowali swoich zmarłych. Podobno chowano tu niemieckich żołnierzy nawet spod Ciechanowa. Do momentu wycofania się Niemców było tu ok. 81-83 zbiorowe mogiły. Wszystkie ciała zostały ekshumowane na początku lat 90., kiedy tworzone cmentarz wojenny w Mławce. Na wieży kościelnej utworzony został punkt obserwacyjny - było to przecież najwyższe wzniesienie w całej okolicy. W 1944 r., gdy Niemcy zaczęli powoli wycofywać się, zaminowali kościół i wysadzili go w powietrze.

Po wojnie byli tacy, którzy połamali się na cegłę ze zrujnowanego kościoła, ale ludzie powiadali, że nie przyniosła ona im szczęścia. Tak na przykład było z jednym chłopem. Przyjechał po cegłę furmanką, załadował tyle, że konie z trudem mogły pociągnąć wóz. Chłop przestraszył się, że kiedy będą zjeżdżać z góry,



Budowa wieży kościelnej na Górze Krzyżewskiej. Wieża opiera się na solidnych fundamentach wkopanych w ziemię na 3,5 metra w głąb. Miała być trochę wyższa, ale ksiądz się nie zgodził.

przeciążona furmanka zgniecie konie. Wyprzągnął je więc i sam jakoś z trudem zepchnął wóz na dół. Z „kościelnej” cegły postawił oborę, ale nie bardzo mu się potem wiodło. Ciągle wybuchał mu jakiś pożar. Podobno właśnie to z powodu tej cegły - mówi pani Genowefa.

Przez ponad trzydzieści lat po wojnie na Górze Krzyżewskiej nic się nie działo. Dopiero pod koniec lat 70. XX w. ks. Izidor Antosiak z Płoniaw podjął inicjatywę odbudowy kościoła. Po jego śmierci inicjatywę przejął ks. Czesław Śmieciński, proboszcz pochodzący ze wsi Grądy i już do końca nadzorował budowę z ramienia parafii. Projekt świątyni sporządził nie byle kto, ale sam profesor Stanisław Marzyński - wybitny polski architekt, który po II wojnie zaprojektował, zbudował i zrekonstruował najwięcej kościołów w Polsce. Budowę powierzono majstrowi Tadeuszowi Bryczkowi (zam. Maków Maz. os. pomorskie nad zalewem), majstrowi z Popielarki. - Przyszło do mnie dwóch ludzi z Krzyżewa i zapytali się, czy zbuduję im kościół - wspomina pan Bryczek. - Nigdy tego nie robiłem, ale pomyślałem sobie, że warto spróbować i zgodziłem się. Jego żona była niezadowolona, uważała, że nie poradzi on sobie z budową. Pan Bryczek jednak uparł się i zbudował kościół na Górze Krzyżewskiej, a potem jeszcze następny w Łukowych (parafia Karniewo). Jest bardzo dumny ze swoich dzieł i z tego, że nie przestraszył się wyzwań.

Budowa ruszyła w czerwcu 1980 r. Wcześniej, 14 maja przywieziony został kamień węgielny ze świątyni św. Piotra Apostoła z Rzymu, pobłogosławiony przez Papieża Jana Pawła II. Kamień znajduje się za szybą wewnątrz kościoła w pobliżu ołtarza. 24 lub 25 VI 1980 r. (p. Bryczek pamięta tę datę, bo 23 czerwca urodził mu się najmłodszy syn) przyjechał z Warszawy profesor Marzyński, wytyczono fundamenty i przystąpiono do działań. W prace budowlane zaangażowała się cała okoliczna ludność. W osiemnastu rodzinach wyznaczono po trzy osoby, ustalono kolejność i przez cały czas budowy raz na tydzień przychodziła do pomocy wyznaczona trójka. Panu Bryczkowi bardzo imponowała ta ofiarność. Podczas kopania fundamentów wydobyto z ziemi dwie kamienne kropielnice i mocno zniszczoną kamienną tablicę, pewnie tę, o której wspominała Genowefa Gutowska. Kropielnice wmurowano w ściany przy wejściu do kościoła i służą do dzisiaj, a tablica gdzieś zaginęła. Kościół pobłogosławiony został 28 VIII 1982 r. przez biskupa płockiego Bogdana Sikorskiego. Była to wielka uroczystość, która ściągnęła na Górę Krzyżewską tysiące ludzi. W ten sposób mieszkańcy Krzyżewa odzyskali swoją świątynię.

Wznosząca się nad całą okolicą Góra Krzyżewska to naprawdę niezwykle miejsce, otoczone aurą tajemniczości i legend przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Warto tu przyjechać na weekendową wyprawę. Z Makowa to tylko dwie godziny jazdy rowerem.

Góra Krzyżewska

Jest to najwyższe wzniesienie na północnym Mazowszu, ukształtowane przez cofający się lodowiec (172 m n.p.m). Leży jak gdyby w centrum, wokół którego niegdyś nasi przodkowie lokowali swoje siedziby. Jest to jedyny punkt widokowy, z którego można obserwować okolicę w promieniu 40 kilometrów. Na szczycie wzniesienia powstała kapliczka myśliwska, zburzona w 1944 r. przez Niemców. Odbudowany w czasach komunistycznych kościół jest czynnym miejscem kultu religijnego, do którego uczęszczają nie tylko mieszkańcy pobliskich miejscowości, lecz także niedzielnicy turyści.

Góra Krzyżewska znajduje się na ziemi różańskiej, wydzielonej z dawnej kasztelanii ciechanowskiej. Ziemia ta obejmowała obszar 992 km². Od końca XIV w. w jej skład wchodziły powiaty różański i makowski. Po roku 1793, w wyniku reformy administracyjnej w I Rzeczpospolitej, do ziemi różańskiej zgłosił akces powiat przasnyski. Jednakże w wyniku utraty niepodległości okupant przesunął (na papierze) całą ziemię różańską do powiatu pułtuskiego.

Obecnie „Krzyżewszczyzny” wraz z Górą Krzyżewską trafiły do gminy Płoniawy Bramura w powiecie makowskim. Okazuje się więc, że nie tylko ludzie wędrują w wyniku różnych zmian politycznych i egzystencjonalnych. Także radosna twórczość w dziedzinie mnożenia ciągłych podziałów administracyjnych to siła sprawcza przenosząca z miejsca na miejsce nawet góry.

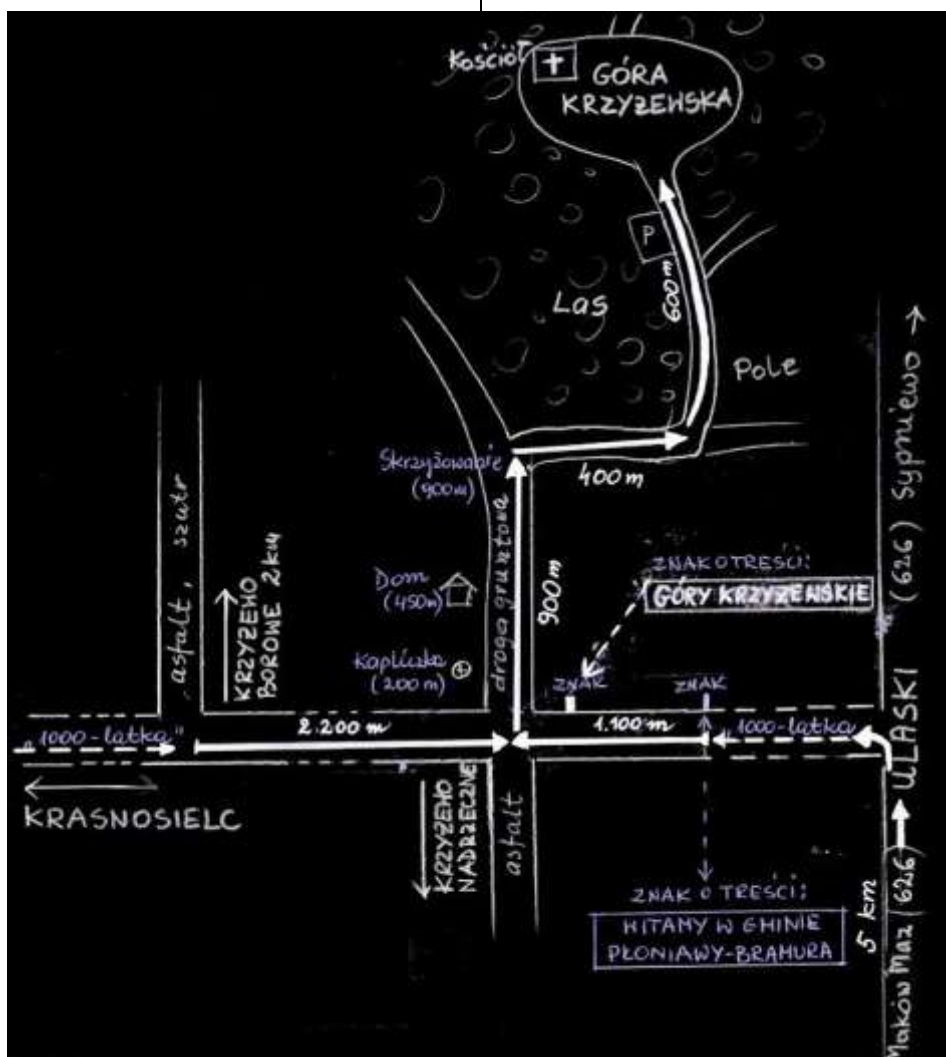
Dojazd do Góry Krzyżewskiej

Wyjeżdżając z Pułtusza w kierunku na Augustów skręcamy na Szczytno, dojeżdżamy do Makowa Maz. Z Makowa Mazowieckiego kierujemy się drogą 626 na Ostrów Mazowiecką, ale tuż za zalewem skręcamy ostro w lewo na Ostrołękę. Po przejechaniu 5 km w miejscowości Miski znowu skręcamy w lewo na Krasnosielc, wjeżdżamy w tzw. „tysiąclatkę”. Mijamy wieś Popielarka, a po prawej stronie zobaczymy znak „Witamy w Gminie Płoniawy-Bramora”. Od tego znaku 1 km i będzie skrzyżowanie: w lewo na Krzyżewo Nadrzeczne, w prawo zaś biała tablica „GÓRY KRZYŻEWSKIE 2”. Skręcamy w prawo w drogę gruntową, po 200 m mijamy po lewej kapliczkę, po 450 m — kremowy dom, po 900 m skręcamy w prawo w leśną drogę (strzałka pokazująca kierunek). Po następnych 400 m znów ostry skręt w lewo, (z lewej las, z prawej — pole). Jedziemy prosto lekko pod górkę 600 m i już jesteśmy na Górze Krzyżewskiej.

Z Ostrołęki trasą 544 udajemy się do Krasnosielca i skręcamy w lewo w kierunku na Maków Mazowiecki. Mijamy tablicę z napisem: Zawody Dworskie, aż po lewej stronie zobaczymy tablicę informacyjną: „Krzyżewo Borowe 2 km”. Nie skręcamy i jedziemy dalej prosto jeszcze 2,2 km. Wtedy ujrzymy nową białą tablicę: „GÓRY KRZYŻEWSKIE 2” — w tym miejscu skręcamy w lewo w drogę gruntową i jedziemy tak, jak opisano wyżej aż do szczytu Góry Krzyżewskiej.

Katarzyna Olzacka

mapa dojazdu z internetu, autor nieznan





Krzyżewscy herbu Grzymała. Szkic do dziejów rodu

Adam A. PSZCZÓŁKOWSKI

Tekst pierwotnie ukazał się na stronie www.rod.krzyzewscy.pl

Wstęp

Okolice szlachecka Krzyżewo znajduje się na północnym Mazowszu. Po raz pierwszy miejscowość ta została odnotowana w 1377 roku przy okazji erekcji parafii Płoniawy¹. Parafia ta (w latach 1422–1828 z siedzibą w sąsiednim Podosiu) wchodziła w skład powstałego w początkach XV w. powiatu przasnyskiego w ziemi ciechanowskiej w księstwie mazowieckim (inkorporowane do Polski w 1526 r.). Dodać przy tym trzeba, że południowy kraniec parafii płoniawsko-podoskiej (czyli okolice Krzyżewo właśnie) ciążył ku ówczesnemu powiatowi makowskiemu w ziemi różańskiej i formalnie został włączony doń z końcem XVI w. Taki układ administracyjny obowiązywał do sejmiku grodzieńskiego 1793 r. Na mocy reformy grodzieńskiej powiaty przasnyski, makowski i różański utworzyły powiększoną ziemię różańską. Dwa lata później tereny te zostały zajęte przez pruskiego zaborcę, zaś w 1798 r. włączone do nowego powiatu pułtuskiego w kameryze płockiej w Prusach Nowowschodnich. Powiat pułtuski w pruskim kształcie przetrwał Księstwo Warszawskie i dopiero w 1867 r. w czasach Królestwa Kongresowego został podzielony na mniejsze jednostki. Krzyżewo znalazło się w nowym powiecie makowskim i pomimo różnych późniejszych zmian ustrojowych w tymże pozostawało za wyjątkiem okresu 1975–1998, gdy powiaty w ogóle nie istniały.

Z aktu erekcji, gdy staraniem Junoszy de Zaborowo, podkomorzego zakroczymskiego, biskup płocki Dobiesław Sówka de Gulczewo powołał do życia parafię Płoniawy, nie wynika kto był ówczesnym właścicielem Krzyżewa. Wieś mogła również dobrze wchodzić wówczas w skład domeny książęcej, jak być częścią latyfundiów rodu Junoszków. Przedstawiciel tegoż rodu Derśław de Podosie, kasztelan wyszogrodzki, w latach 1422–1425 drogą wymiany dóbr sprowadził do Chodkowa i Bobina drobną szlachtę herbu Kościeszka – przodków Chodkowskich i Bobińskich. Podobnie mogło być i w przypadku protoplasty Krzyżewskich.

Szlachta z Krzyżewa w XV–XVI w.

Najstarsze wzmianki o drobnej szlachcie we wsi Krzyżewo pochodzą z akt Metryki Księstwa Mazowieckiego (przechowywanych w AGAD w Warszawie) oraz Episkopaliów płockich i pułtuskich (w Archiwum Diecezjalnym w Płocku i AGAD).

obejmował 15 włók koło granicy podoskiej (przyszłe Krzyżewo-Borowe i – Marki), a drugi dla Jerzego, syna Męcimira i jego rodzeństwa 20 włók od granicy karniewskiej od kąta czyli węgła lasu zwanego Różanica do rzeki Orzyc (przyszłe Krzyżewo-Nadrzeczne i – Jurki) [MKsM, sygn. 6, k. 312]

W 1483 roku Małgorzata de Krzyżewo, żona Aleksego, mieszczanina przasnyskiego, w swym testamencie zapisała 3 kopy groszy na

GÓRA KRZYŻEWSKA



W 1451 r. wzmiankowany jest Maciej de Krzyżewo mąż Katarzyny de Załęże, która to Katarzyna wraz ze swymi siostrami rozliczała się z dziedzicami Załęży z posagu z dóbr rodzicielskich. Rzecz się działa w Różanie przed obliczem Sławomira de Krasne, sędziego makowskiego i różańskiego². W 1469 r. pojawia się Jerzy de Krzyżewo³. W 1473 r. Mikołaj de Krzyżewo czyni na swych dobrach zapis na rzecz proboszcza i parafii w Makowie⁴. W 1479 r. dochodzi do podziału dóbr pomiędzy dziedzicami Krzyżewa (rodzeństwem stryjecznym) – pierwszy dział dla Mikołaja, syna Piotra i jego rodzeństwa

budynki parafii w Przasnyszu i dalsze 3 kopy groszy na miejscowych duchownych, mężowi swemu 3 ½ kopy groszy, zaś proboszczowi Mikołajowi 20 groszy. Zapisy te miały pochodzić z 3 włók w Krzyżewie, współdziedzicznych z jej braćmi⁵. W 1487 r. szlachetny Jerzy de Krzyżewo potwierdził zapis swej siostry i zobowiązał się wypłacić 6 kop groszy księdzu Michałowi, plebanowi w Przasnyszu na rzecz duchowieństwa i kościoła⁶.

W 1489 r. doszło do procesu przed sądem biskupim w Płocku pomiędzy Stanisławem prepozytem pułtuskim a szlachetnym Mikołajem de Krzyżewo, o to, że tenże

¹ Kopie erekcji: Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie [dalej: AGAD], PZW, sygn. 8, k. 185 i ADPłock, wizytacje, sygn. 268, k. 195.

² MKsM, sygn. 5, k. 85v.

³ MKsM, sygn. 5, k. 116v.

⁴ MKsM, sygn. 6, k. ???.

⁵ Ep, sygn. 10, k. 534–535.

⁶ Ep, sygn. 10, k. 536.

Mikołaj zabrał gwałtownie knieciom z dóbr Obyrte, należących do uposażenia tegoż prepozyta, 2 woły i 14 owiec, sprzedał je i obrócił na swoją korzyść. Nadto domagał się od knieciów pieniędzy⁷. W 1508 r. przed tymże sądem rozstrzygano spór pomiędzy szlachcicem Marcinem Krzyżewskim (po raz pierwszy nazwisko odnotowane w tejże formie!) a Mikołajem, plebanem w Karniewie⁸. W 1511 r. w sporze pomiędzy Pawłem Podoskim, proboszczem parafii w Podosiu a Jakubem, plebanem w Bogatem, świadkami tegoż pierwszego byli Jan pleban w Węgrzynowie oraz najstarsi wiekiem mieszkańcy parafii Podosie szlachcic Mikołaj Krzyżewski, szlachcic Mikołaj de Chodkowo i pracowity Jan, poddany z Podosia. Spór między duchownymi szedł o dziesięcinę pobieraną z Wielodroza⁹.

W najstarszych partiach z akt ciechanowskich grodzkich wieczystych występuje szlachetny Andrzej, syn Jerzego de Krzyzewo pod rokiem 1512¹⁰. W 1520 r. na Akademię Krakowską zapisali się Piotr i Paweł, synowie Andrzeja de Krzyzewo w diecezji płockiej¹¹.

Rozpad gniazda i rozrodzenie

Wraz z rozradzaniem się Krzyżewskich i kolejnymi podziałami ziemi – gniazdo Krzyzewo rozpadło się na 4 przysiółki tworząc w ten sposób okolice o nazwach Krzyzewo-Stare Jurki, -Marki, -Podburzne (potem Borowe) i -Nadrzeczne. Dwie ostatnie nazwy mają pochodzenie topograficzne, czyli pod borem podoskim i nad rzeką Orzyc. Dwie pierwsze pochodzą od imion wybitnych członków rodu – Jerzego, o którym było już wcześniej i Marka, który żył w I połowie XVI w. i był wnukiem Mikołaja, który w 1479 r. brał pierwszy udział, przy czym siedlisko Jerzego znajdowało się w miejscu najstarszej osady.

W rejestrze łanowego z 1567 r. tak się przedstawia obraz owej okolicy:

Krzyzewo-Marki – Stanisław syn +Marka z włók dwu folwark i trzech ogrodów po 4 grosze płaci 1 złp. 6 groszy.

Krzyzewo-Podburzne – [puste miejsce – możliwe, że wówczas jeszcze nie było to gruntów uprawnych, tylko same lasy].

Krzyzewo-Stare Jurki:
Bartosz, syn +Jakuba z półwłóczka – 6 groszy,

Maciej, syn +Jana z półwłóczka – 6 groszy, wdowa po +Jakubie z synami z półwłóczka – 6 groszy,

Barbara i Anna, córki +Piotra z ćwierci – 3 grosze,

Jerzy, syn +Mikołaja z półwłóczka i od ogrodu po 4 grosze – 10 groszy,

Szczęśna wdowa po +Szczęśnym od ćwierci i od ogrodu po 2 grosze – 5 groszy.

Razem 1 złp. 6 groszy.

Krzyzewo-Nadrzeczne:

Piotr i Maciej, synowie +Marcina z włóki i od 4 ogrodów tylko na ogrodziech po 2 grosze – 20 groszy.

Mikołaj, syn +Jana z włóki – 12 groszy.

Razem 1 złp. 2 grosze¹².

Powyżsi trzej dziedzice Krzyzewa-Nadrzeczne kilka lat wcześniej, w 1563 r., płacąc podatek ze swej wsi, odcisnęli swą pieczęć rodową Grzymała-Ślasy [Wittyg].

Widać przy tym ogromną nierówność demograficzną wśród Krzyżewskich. Po Mikołaju pochodzi tylko jeden Stanisław, który ma własność o charakterze folwarcznym. Po Jerzym następuje aż męskich 6 potomków, którzy współdziedziczą z wdowami i siostrami – tworząc własność drobną.

Równocześnie coraz liczniejsi Krzyżewscy, zwłaszcza w Krzyzewie-Jurkach, przyjmują dla odróżnienia się liczne przydomki. W źródłach sądowych pojawiają się następujące: Jurkowiec (Jurczak), Oprzędek, Woźny, Saruba, Iglarz, Pietrzyk.

Rozrodzenie to można obserwować dzięki licznie zachowanym aktom grodzkim i ziemskim – makowskim, różańskim, ciechanowskim, przasnyskim – a więc spuściznie sądów szlacheckich, do których Krzyżewscy często i chętnie uczęszczali, tak w sprawach cywilnych – obrót ziemią i pieniądzem, intercyzy małżeńskie, a także i kryminalnych – pobicia, napaści, dysfony.

Na temat Krzyżewsch znajdziemy następujące informacje:

#Małgorzata Mamińska, wdowa po +Wojciechu Chodkowskim de Chodkowo-Załogi, a obecna żona Adama Krzyżewskiego de Krzyzewo-Borowe w asystencji męża ceduje Jakubowi i Zofii Chodkowskim, dzieciom swym z I małżeństwa zrodzonym całe swe sumy posagowe zapisane jej przez I męża¹³.

#Marcin Chodkowski, syn Grzegorza de Chodkowo-Kuchny uwalnia Jakuba Krzyżewskiego, syna Adama de Krzyzewo-Marki od spraw sądowych¹⁴.

#Mikołaj Krzyżewski seu Bobiński, syn Macieja de Krzyzewo-Jurki kwituje Macieja, syna +Macieja i Pawła, syna Michała, obu Chodkowskich de Chodkowo Wielkie z posagu zapisanego przez +Józefa Chodkowskiego, syna Michała de Chodkowo Wielkie, stryja Macieja, a brata Pawła, zmarłego bezpotomnie, swej żonie, a siostrze kwitowanego +Zofii Bobińskiej w aktach grodzkich makowskich na połowie swych dóbr¹⁵.

#Maciej, Andrzej, Agnieszka, żona Władysława Chodkowskiego, Anna, żona Stanisława Krzyżewskiego, wszyscy Krępscy, dzieci +Jana i +Marianny Gadomskiej, gdzie Agnieszka i Anna działają w asystencji swych mężów, cedują Wojciechowi Rogowskiemu, synowi +Wawrzyńca i Wojciechowi Bobińskiemu, synowi +Jana swe prawa do 800 złp. posagu i wiana, zapisanych przez +Tomasza Chodkowskiego swej żonie, a matce cedujących +Mariannie Gadomskiej w aktach

przasnyskich ziemskich w 1631 r.¹⁶.

#Jan, Ludwik, Wawrzyniec i Maciej Chodkowscy, synowie +Macieja, wnuki +Kazimierza oraz Ewa Chodkowska, córka +Piotra, wnuczka +Stefana, prawnuczka tegoż +Kazimierza, żona Macieja Krzyżewskiego, wszyscy ze swy Ślasy-Złotki, pozwani przez Teofilę, żonę Fabiana Noszarzewskiego, Mariannę, żonę Franciszka Grzybowskiego, Teresę, żonę Józefa Pomaskiego, Jadwigę, żonę Andrzeja Żabielskiego, w asystencji swych mężów i pannę Reginę, wszystkie córki +Franciszka Pomaskiego o wypłacenie kar za rany i pobicia, jakie prezentował w aktach makowskich ich ojciec +Franciszek Pomaski, i które zadanie zostało udowodnione +Kazimierzowi Chodkowskiemu i jego synom +Maciejowi i +Stefanowi Chodkowskim¹⁷.

#Rozgraniczenie gruntów między dobrami Urbana i Marcina Ślaskich, Franciszka Mroczkowskiego, Tomasza Leśnikowskiego, Marcina i Wiktora Chranowskich, Macieja Krzyżewskiego, dziedziców części wsi Ślasy-Złotki a dobrami Piotra i Michała Chranowskich zwanych Jezuski, Pawła Chodkowskiego, Stefana Gutowskiego i Jana Pomaskiego dziedziców części wsi Zelki¹⁸.

#Paweł Chodkowski, syn +Wincentego zapisuje Franciszce, córce Antoniego Krzyżewskiego, a wnuczce +Felicjana, dziedzica części wsi Krzyzewo-Jurki, Krzyzewo-Borowe, Chodkowo-Kuchny i Barbary ze Stojekich, żonie swej 24 złp. otrzymane od Antoniego Gutowskiego, na swych dobrach Zelki-Dąbrowne¹⁹.

#Stanisław Krzyżewski, syn +Andrzeja i jego żona Barbara Gutowska zapisują Jackowi Chodkowskiemu, synowi +Adama i +Julianny z Bieńkowskich, dziedzicowi części wsi Mossaki-Rukle, przyszłemu swemu zięciowi 200 złp. na poczet posagu ich córki Ewy, na swych dobrach Krzyzewo-Nadrzeczne. Zaś Jacek zapisuje swej przyszłej żonie 600 złp. posagu i wiana na dobrach swych²⁰.

Swe ślady zostali również w aktach kościelnych – zwłaszcza konsystorza pułtuskiego, np. z roku 1555 – testament Adama de Krzyzewo, syna +Mikołaja, altarysty w parafii Podosie przy ołtarzu Św. Anny (wśród osób wymienionych w tymże testamentie pojawia się szlachcice Krzyżewscy – Mikołaj zwany Iglarz, bratankowie Marek i Stanisław, Bartoszowa i Jan)²¹, z 1622 r. – testament Walentego Krzyżewskiego, spisany w Krzyzewie-Nadrzecznym²², zaś z 1637 r. – testament Mikołaja Krzyżewskiego, spisany w Kobylinie w par. Węgrzynowo²³.

Wedle pogłównego z roku 1676 r. dla powiatu makowskiego są tu następujący dziedzice z rodu Krzyżewskich: Grzegorz (Cieciórki), Tomasz, syn +Jana (Orzyc), Mateusz, syn +Jana, Wawrzyniec (obaj Krzyzewo-Jurki), Andrzej, syn +Piotra, Jerzy, Marcin, Hieronim (wszyscy Krzyzewo-Borowe), Mikołaj, syn +Walentego,

¹⁶ 1690, CGW, sygn.101, k.222.

¹⁷ 1787, MGRiO, sygn.4, k.187.

¹⁸ 1789, MGRiO, sygn.2, k.017.

¹⁹ 1791, MZW, sygn.6, k.005–006.

²⁰ 1792, MZW, sygn.6, k.188–189.

²¹ PTK, sygn. 3, k. 71.

²² PTK, sygn. 5, k. 145-146.

²³ PTK, sygn. 5, k. 368.

⁷ Ep, sygn. 10, k. 686–687.

⁸ Ep, sygn. 16, k. 300.

⁹ PTK, sygn. 1, k. 126.

¹⁰ CGW, sygn. 5, k. 50v.

¹¹ AS, t. II, s. 199.

¹² AGAD, ASK, dział I, sygn. 39, k. 806v–807.

¹³ 1614, PZW, sygn.5, k.145.

¹⁴ 1621, PZW, sygn.6, k.494.

¹⁵ 1627, PZW, sygn.7, k.183.

Wawrzyniec, Marianna wdowa po +Wojciechu, Stanisław (wszyscy Krzyżewo-Nadrzeczne), Wojciech, syn +Jana (Chełchy-Cibory), Augustyn i Szymon, syn +Macieja (obaj Krzyżewo-Marki)²⁴.

Krzyżewscy uczestniczą w elekcjach królów:

w 1632 r. na Władysława IV z ziemią różańską głosowali Mateusz i Wojciech komornik ziemski różański,

w 1669 r. na Michała Korybuta-Wisniowieckiego z ziemią różańską – 13 Krzyżewskich: Andrzej, Augustyn, Grzegorz, Hieronim, Jan, Jerzy, Marcin, Stanisław, Stanisław, Szymon, Tomasz, Wacław, Wawrzyniec,

w 1733 r. na Stanisława Leszczyńskiego z województwem mazowieckim – Eustachy, Paweł, Tomasz i Wojciech.

W przeciągu XVIII i XIX wieku Krzyżewscy pojawiają się jeszcze jako dziedzice częściowi także we wsiach na terenach parafii Krasne, Gąsewo, Maków, Szwelice, Nasielsk, Pniewo, Nowa Wieś Kościelna, Sieluń.

Krzyżewscy z okresu zaborów zaliczali się do ubogiej szlachty („miełkopomiestnaja szlachta”), której nawet nie udało się przeprowadzić skutecznie ani jednego wywodu przed Heroldią Królestwa Polskiego. Natomiast Krzyżewscy przynajmniej się do herbu Grzymała dowodzili z sukcesem swego szlachectwa przed deputacjami gubernialnymi kijowską (1817 r.) i podolską (1802 i 1852 r.). Ich wywody wymagają przyszłych badań na terenie archiwów ukraińskich [Boniecki, Uruski]. Co ważne herbu Grzymała nie wzięli sobie z powietrza ani sąsiedniej kartki z herbarza Niesieckiego. Publikacja Wittyga, potwierdzająca Grzymałę w 1563 r., wydana została dopiero w 1908 r.

Przodkowie Waldemara Krzyżewskiego

Udokumentowanym przodkiem dr weterynarii Waldemara Krzyżewskiego z Przasnysza jest Tomasz Krzyżewski, dziedzic części wsi Krzyżewo-Jurki (aby sięgać dalej, należy przeanalizować księgi sądowe w AGAD). Możliwe, że to właśnie on był jednym z czterech Krzyżewskich z województwa mazowieckiego, którzy w 1733 r. podpisali się pod elekcją Stanisława Leszczyńskiego na króla polski. Tenże Tomasz w 1728 r. w Szwelicach ożenił się z Ewą Śląską, dziedziczką części wsi Ślasy-Złotki. Z tego małżeństwa było czterech synów o oryginalnych imionach Maurycy (*1733), Mojżesz (*1735), Mateusz (*1745) i Abraham (*1748)²⁵.

Maurycy, dziedzic części Ślasów-Złotek po matce. Żoną jego była Małgorzata Bobińska (ślub 1757, Maków), dziedziczka części wsi Budzyna-Wałędzieta, córką Macieja i Ewy. Syn ich jedyny Florian (*1760), odziedziczył dobra po matce. Nader często występował w sądzie w Makowie w licznych sporach pomiędzy sąsiadami²⁶.

Florian ożenił się w Makowie w 1786 r. ze swą sąsiadką z Budzyna-Wałędziąt Marianną Kobylińską, córką Walentego i Łucji z Chełchowskich. Z tego małżeństwa było ośmioro dzieci: Kunegunda (*1787), Maciej (*1778 +1790), Grzegorz Józef (*1791), Ludwik (*1793 +1793), Aleksandra (*1795), Franciszka (*1798 +1800), Karolina (*1800 +1818) i Stanisław Bernard (*1803 +1852). Boniecki bez podania źródła pisze, iż Florian zmarł w czasach okupacji pruskiej i sprawa spadkowa po nim była rozstrzygana wiele lat później przez Trybunał Cywilny w Płocku (za czasów Królestwa Kongresowego). Spadkobiercami byli synowie Grzegorz Józef i Stanisław Bernard oraz córki Aleksandra i Wiktoria. Tej Wiktorii wśród metryk chrztów z Makowa namierzyć nie potrafiłem. Co do trójki pozostałych dzieci – metryki te nie tylko potwierdzają ich narodziny, ale również fakt, że dożyły dorosłości. Z nich Aleksandra wyszła w Makowie w 1818 r. za Franciszka Majewskiego, zaś Stanisław Bernard, kolejny dziedzic części wsi Budzyna-Wałędzieta, ożenił się z Franciszką Mossakowską, córką Macieja z Mossaków-Starej Wsi i Zuzanny z Chodkowskich z Mossaków Rukli. Synami ich byli Aleksander (*1842) i Józef (*1845)²⁷.

Józef, bez ziemi i dziedzictwa, przeniósł się do Krępy w parafii Przasnysz, następnie do pobliskiego Kuskowa (mikroskopijna kolonia tuż koło Krępy), by na starość osiąść w Przasnyszu, gdzie zmarł w 1925 r. Żenił się dwukrotnie najpierw z Leokadią Zembruską, a następnie w 1901 r. w Przasnyszu z Marianną Wodzyńską, wdową po Maruszewskim. Spośród dzieci Józefa z pierwszego małżeństwa wymienić należy Florentynę (*1874 +1952), żonę Jana Sosińskiego, Wojciecha (*1880 +1929) i Antoniego (*1884). Florentyna to babka Ewy z Sosińskich Swilczewskiej, której niestrudzone poszukiwania archiwalne pomogły połączyć wiedzę przasnyskich Krzyżewskich z moją wiedzą o wcześniejszych pokoleniach. Wojciech to pradziad Grażyny Wróblewskiej, pani wójt gminy Przasnysz, zaś Antoni to ojciec Tadeusza, a dziad Waldemara Krzyżewskiego, o którym była mowa na początku²⁸.

Wypada jeszcze tyle dodać, że chrzestnymi Wojciecha Krzyżewskiego, urodzonego w 1880 r. w Kuskowie, byli Józef Kakowski dziedzic części Dembin ze swą żoną Pauliną z Bagieńskich, a zatem moi praprapradziadowie. Także to, iż Franciszka z Mossakowskich Krzyżewska była po kądzieli praprawnuczką Stanisława Ostrowskiego, dziedzica części Kak-Mroczek zmarłego w 1770 r. Ten Stanisław jest moim 5 razy pradziadem, przez co jestem dalekim wujem dla Waldemara Krzyżewskiego (pokrewieństwo 9 stopnia dotykającego 8 komputacji germańskiej).

MZW, sygn. 5, k.328–329, MGRiO, sygn. 2, k. 77, sygn. 4, k. 81, sygn. 5, k. 160, sygn. 6, k. 58.

²⁷ AD Płock, metryki par. Maków; Boniecki.

²⁸ AP Pułtusk, ASC Przasnysz.

Inni Krzyżewscy

Obok Krzyżewskich herbu Grzymała, pochodzących z makowskiego Krzyżewa, znany jest inny ród Krzyżewskich herbu Prus. Ich gniazdem jednakże była wieś Krzyżewo w ziemi bielskiej na Podlasiu. Ród ten wymarł w XVII w.²⁹. Nazwisko to także było spotykane wśród mieszczan. Na przykład w 1786 r. król Stanisław August ogłosił kaduk na ruchomości i sumy pozostałe po +Antonim Krzyżewskim, mieszczańskim warszawskim, zmarłym bez sukcesorów do 8 stopnia komutacji rzymskiej i przyznał tenże majątek szlachcicowi Maciejowi Stokowskiemu³⁰.

Kaplica na Górach Krzyżewskich

Oficjalna wersja: ufundowana w 1883 r. (w Krzyżewie-Borowym), wysadzona w powietrze przez Niemców w 1944 r. (z uwagi, że była punktem odniesienia dla sowieckiej artylerii). Odbudowana w latach 1979–1982 pod wezwaniem Świętej Jadwigi Królowej.

W 16 r. w prasie katolickiej pisano: kaplicach w Krzyżewach niedawno postawiona za 10.000 rubli. Fundator drobny szlachcic Walerian Moszczyński *za dziękczynienie Bogu, że mu pozwolił z niczego dojść do takiej znacznej fortuny*³¹.

W księdze hipotecznej znajdziemy zapis, że w 1881 r. Walerian Moszczyński ustanowił na swych dobrach Żbiki-Antosy litera A i C sumę 7.750 rubli jako fundusz stały na utrzymanie kaplicy w Krzyżewie-Nadrzecznym w parafii Płoniawy. Ten Walerian rodził się w 1819 r. w Krzyżewie-Nadrzecznym, jako syn Antoniego dziedzica części i Franciszki z Kamińskich. Żenił się dwukrotnie, najpierw w 1850 r. w Płoniawach z Julianną Bobińską (+1864 Żbiki-Antosy), wdową po Macieju Moszczyńskim, córką Marcina, dziedzica części wsi Bobino Wielkie i Anny z Żebrowskich (jej siostra Karolina Bobińska to żona Wojciecha Chodkowskiego z Chodkowa-Zalóg, protoplasty Wojcieszaków), a następnie w 1871 r. w Pałukach z Karoliną Agnieszką Józefą Orłowską, córką Apolinarego i Marianny z Pilitowskich³².

Adam A. Pszczółkowski

²⁴ BN, RPPW, mf. 1856.

²⁵ AD Płock, metryki par. Szwelice; AGAD, CGW, sygn.135, k.356 i sygn. 137, k. 90.

²⁶ AD Płock, metryki par. Maków, AGAD,

²⁹ Kapica, Boniecki, Uruski.

³⁰ AGAD, KK, sygn. 80, dział II, k. 42.

³¹ Przegląd Katolicki, 1886, 26, 1 VII 1886, BN, mf. 62079.

³² AP Mława, hip. 2463.



Umowa zawarta pomiędzy Rządem Polskim i Senatem Wolnego Miasta Gdańska w sprawie obrotu zwierzętami, częściami zwierząt, produktami zwierzęcymi, surowcami i szczepionkami

dr nauk weterynaryjnych Waldemar KRZYŻEWSKI
Muzeum Weterynarii Wiesławy i Waldemara Krzyżewskich w Przasnyszu

Umowa w sprawie obrotu zwierzętami, częściami zwierząt, produktami zwierzęcymi, surowcami i szczepionkami została podpisana w Gdańsku 6 sierpnia 1933 r. przez Komisarza Generalnego RP w Gdańsku - Kazimierza Papée i Prezydenta Senatu - Hermanna Rauschninga. Regulowała obrót zwierzętami oraz produktami zwierzęcymi w sposób szczegółowy. Ustalała również zasady nadzoru weterynaryjnego na tym obrotem. Weszła w życie dnia 1 IX 1934 r. Miała obowiązywać przez dwa lata. Później miała być automatycznie przedłużana na każdy kolejny rok.

Wolne Miasto Gdańsk (WMG) powstało z woli mocarstw zachodnich po wygranej przez nie I wojnie światowej. Było wynikiem kompromisu pomiędzy dążeniami Polski i Niemiec. Po części zaspakajało również interesy Wielkiej Brytanii i Francji na Bałtyku. Oficjalnie zostało powołane do życia 15 XI 1920 r. Podstawą prawną jego powstania był traktat wersalski. Administracyjnie zostało podzielone na dwa powiaty miejskie: gdański i Sopot oraz trzy powiaty ziemskie: Gdańsk Wyzyny, Gdańsk Niziny oraz Wielkie Żuławy. Siedziba ostatniego mieściła się w Nowym Dworze Gdańskim. Łączna powierzchnia wynosiła 1893 km². Terytorium jego zamieszkiwało w 1920 r. 350 tysięcy mieszkańców¹.

Jak wynika z opisu terytorium w skład WMG wchodziły dość duże przestrzenie o dobrze rozwiniętym rolnictwie i dużej hodowli zwierząt gospodarskich. Stosunki Polski i Gdańska zostały uregulowane prawnie w zawartej 9 XI 1920 r. w Paryżu konwencji między Polską a Wolnym Miastem Gdańskiem². Konwencja ta praktycznie pomijała sprawy związane z hodowlą zwierząt i obrotem zwierzętami.

Ta kwestia pośrednio poruszona jest tylko w art. 37. tej konwencji, który mówi: „Rząd Polski zobowiązuje się rozpocząć rokowania z Wolnym Miastem Gdańskiem w celu ułatwienia mu wszelkimi środkami zaopatrywanie go w artykuły żywnościowe, paliwo i surowce”. Szczegółowe rozwiązania wielu problemów międzysąsiedzkich konwencja odkładała na później w art.38. stwierdzając: „Układy późniejsze zostaną zawarte między Polską a Wolnym Miastem, co do wszystkich spraw, którymi niniejszy traktat

się nie zajmuje”³.

Konwencja ta została uszczegółowiona 24 X 1921 r. w podpisanej umowie pomiędzy Wolnym Miastem Gdańskiem a Rzeczpospolitą Polską. Została ona nazwana Umową Warszawską. W umowie tej jednak obrót zwierzętami i ich częściami potraktowano ogólnikowo i traktowano jak inne towary będące zaopatrzeniem w żywność. Niektóre jednak aspekty spraw weterynaryjnych ustalała.

Umowa zezwalała na przekraczanie granicy właścicielom gospodarstw rolnych położonych po obu stronach granicy na podstawie legitymacji. Regulował tę kwestię art. 25 ww. umowy. Nie regulowała jednak ruchu zwierząt gospodarskich. Dawała też możliwość wykonywania zawodu lekarzom weterynarii po obu stronach granicy bez żadnych ograniczeń, ale w pasie tylko pięciokilometrowym. Mówił o tym art. 21 umowy. Mały ruch graniczny był jednak wstrzymywany zarządzeniami władz wydanymi w celu zapobieżenia przenoszeniu chorób zakaźnych i zaraz bydlęcych. Zapisano ten szczegół w art. 25 umowy⁴.

Jak widać z powyższego opisu kwestia obrotu zwierzętami i ich częściami, jak również sprawa nadzoru weterynaryjnego nad tym obrotem, wymagała szczegółowego uregulowania. Jednak odkładana była ciągle ze względu na złe relacje polsko-gdańskie i ciągle spory gospodarcze, i polityczne, jakie miały miejsce w latach 20. i na początku 30. XX w.

Paradoksalnie sytuacja radykalnie się zmieniła po wyborach do Senatu wygranych w dniu 28 V 1933 r. przez NSDAP. Partia ta uzyskała 51 % poparcia⁵. Hitlerowcy w Gdańsku jeszcze przed wyborami deklarowali wolę pokojowego współistnienia z Polską. Mianowicie 11 V 1933 r. ich przywódca Albert Forster złożył oświadczenie Komisarzowi Ligi Narodów w Gdańsku, że chciałby spotkać się z Komisarzem Generalnym RP oraz że zapewni bezpieczeństwo polskim obywatelom, będą się ściśle trzymać obowiązujących traktatów i chcą żyć z Polską w pokoju⁶. W krótkim czasie po

wyborach, już 3 VII 1933 r., nowo wybrany Prezydent Senatu Herman Rauschning oraz jego zastępca Arthur Greiser złożyli oficjalną wizytę w Warszawie, w trakcie której Prezydent Senatu oświadczył, że pragnie zlikwidować napięcia w stosunkach polsko-gdańskich. Efektem tej wizyty był powrót do negocjacji w sprawie wykorzystaniu portu gdańskiego i podpisanie porozumienia w formie umowy w dniu 5 VIII 1933 r.

Umowę dotyczącą traktowania obywateli polskich i innych osób pochodzenia polskiego podpisano 18 września⁷. W tej puli znalazła się również podpisana 6 VIII 1933 r. w Gdańsku umowa pomiędzy Rządem Polskim a Senatem Wolnego Miasta Gdańska, w sprawie obrotu zwierzętami, częściami zwierząt, produktami zwierzęcymi, surowcami i szczepionkami. Umowa została podpisana za Rząd Rzeczypospolitej Polskiej przez Komisarza Generalnego RP w Wolnym Mieście Gdańsku - Kazimierza Papée.

Kazimierz Papée urodził się 10 I 1889 r. we Lwowie. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, tam też uzyskał stopień doktora prawa. W czasie I wojny światowej służył w Legionach. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości rozpoczął pracę w służbie dyplomatycznej. Pracował w przedstawicielstwach dyplomatycznych w Dani, Turcji, Estonii. 25 lutego 1932 r. został powołany na stanowisko Komisarza Generalnego RP w Wolnym Mieście Gdańsku z tytułem posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego. Swoją służbę dyplomatyczną zakończył w Gdańsku 15 XII 1936 r. Następnie został posłem w Czechosłowacji, a po jej upadku od 15 VII 1939 r. - ambasadorem RP przy Stolicy Apostolskiej w Rzymie. Po zakończeniu II wojny światowej reprezentował tam Rząd RP na uchodźctwie. Misję swoją zakończył w 1958 r. Zmarł w Rzymie 19I 1972 r.⁸

Za Senat Wolnego Miasta Gdańska umowę podpisał Prezydent Senatu Hermann Rauschning.

Hermann Rauschning urodził się 7 VIII 1887 r. w Toruniu. Po zakończeniu Wielkiej Wojny był jednym z przywódców niemieckiej mniejszości w Polsce. Doktoryzował się z zakresu muzykologii. Na początku lat 30. XX w. przeniósł się do Wolnego Miasta Gdańska. W Warnowie na Żuławach zakupił majątek ziemski. Wstąpił do NSDAP i rozpoczął

³ Tamże.

⁴ Umowa Warszawska 24 X 1921 r. Umowa zawarta pomiędzy Polską a Wolnym Miastem Gdańskiem celem wykonania i uzupełnienia polsko-gdańskiej konwencji z dnia 9 XI 1920 r. Tow. Akc., „Gazeta Gdańska”, 1921. Dostępne w Internecie: www.rzygacz.webd.pl.

⁵ J. Wójcicki, *Wolne Miasto Gdańsk 1920–1939*, Warszawa 1976, s. 203.

⁶ S. Mikos, *Wolne Miasto Gdańsk a Liga Narodów 1920–1939*, Gdańsk 1979, s. 278.

⁷ Tamże, s. 283–284.

⁸ *Kazimierz Papée*, dostępne w Internecie: https://pl.wikipedia.org/wiki/Kazimierz_Pap%C3%A9.

¹ *Wolne Miasto Gdańsk*, dostępne w Internecie: https://pl.wikipedia.org/wiki/Wolne_Miasto_Gda%C5%84sk.

² *Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej z 1922 r. Nr. 13. poz. 117.*

aktywną działalność polityczną. W znacznym stopniu przyczynił się do wygrania w Gdańsku wyborów przez tę partię. Został z jej ramienia wybrany Prezydentem Senatu. Był zwolennikiem normalizacji stosunków z Polską. Przyczynił się w decydujący sposób do podpisania umów polsko-gdańskich, które normalizowały wzajemne stosunki. Między innymi z jego inicjatywy zostało powołane do życia w 1934 r. Towarzystwo Badania Polski w Gdańsku. Wszedł jednak w konflikt z gauleiterem Albertem Forsterem, który przegrał i w listopadzie 1934 r. podał się do dymisji. Wyemigrował do Polski, następnie do Szwajcarii, później do Francji. Ostatecznie osiadł w Stanach Zjednoczonych. Napisał kilka książek krytykujących hitleryzm w Niemczech. Przyniosły mu one znaczny rozgłos. Zmarł 8 II 1982 r. w Portland w USA⁹.

Umowa między Rządem Polskim a Senatem Wolnego Miasta Gdańska podpisana 6 VIII 1933 r. w Gdańsku określiła szczegółowe warunki, na jakich miał się odbywać obrót zwierzętami, częściami zwierząt, produktami zwierzęcymi surowicami i szczepionkami pomiędzy Wolnym Miastem Gdańsk a Rzeczpospolitą Polską. W pierwszym artykule umowy znajduje się wyjaśnienie, jakich zwierząt ona dotyczy, mianowicie, zwierzęta jednokopytowe (umowa nie wyszczególnia szczegółowo gatunków), przeżuwacze (umowa również nie wyszczególnia gatunków), świnie, drób, psy, koty, ryby, raki, pszczoły i ślimaki. Znajduje się w nim wyjaśnienie, że umawiające się strony pod nazwą „mięso”, uznają wszystkie części zwierząt ciepłokrwistych, które mogą być użyte do spożycia przez ludzi. Artykuł II wyjaśnia, że ze względów epizootycznych może być ograniczona ilość punktów przekroczenia granicy, jak również wyznaczone i ograniczone terminy, w których będzie można przekraczać granicę. Dodano również sformułowanie, że dotyczy to również, „przedmiotów mogących być rozsadnikami zarazy”. W myśl tej umowy zwierzęta jednokopytne, przeżuwacze, świnie i drób mogły przekraczać granicę bez urzędowego zezwolenia weterynaryjnego. Jednak na ich przywóz powinny być wystawione świadectwa pochodzenia i zdrowia według uzgodnionych wzorów przez urzędowego lekarza weterynarii. Jedne dla celów hodowlanych i użytkowych, a inne dla zwierząt przeznaczonych do uboju.

W świadectwie wydawanych dla zwierząt rzeźnych lekarz weterynarii musiał potwierdzić, że zbadał pojedynczo poszczególne zwierzęta i uznał za zdrowe i nie podejrzane o choroby zaraźliwe. Poświadczal również, że miejsce pochodzenia od czterdziestu dni jest wolne od chorób zaraźliwych, udzielających się rodzajom zwierząt wpisanych w zaświadczeniu. Wyjątek tu stanowiła gruźlica i pojedyncze przypadki różycy świń. Miejsce pochodzenia i okolica w promieniu 50 kilometrów jest od roku wolna od księgosuszu. W promieniu 30 kilometrów wolna od zarazy płucnej. Musiała również być wolna od pryszczycy i ospy owczej w promieniu 30 kilometrów i w okresie ostatnich 40 dni.



Wzory odcisków pieczęci używanych do znakowania mięsa na obszarze Wolnego miasta Gdańska.

Dla zwierząt hodowlanych, poza końmi, obowiązywało poszerzone świadectwo, w którym dodano informację dotyczącą tuberkulinizacji bydła oraz jej ujemnym wyniku. Badaniu krwi w kierunku brucelozы bydła i ujemnym wyniku badania. Poświadczenie, że zwierze jest wolne od zakaźnego zapalenia wymienia. Lekarz weterynarii poświadczal również, że zwierze urodziło się albo przebywało co najmniej sześć miesięcy w kraju, z którego pochodzi.

Dla koni obowiązywały oddzielne druki świadectw, w którym, poza szczegółowym opisem konia podając: płeć, wiek, maść, oraz opis oznak, lekarz weterynarii poświadczal, że miejsce pochodzenia konia jest od 6 miesięcy wolne od zarazy stadniczej, zakaźnej niedokrwiistości koni. Powinny być również wolne od czterdziestu dni od innych chorób zaraźliwych udzielających się jednokopytnym.

W specjalny sposób potraktowano przewóz koni sportowych. Mianowicie, konie wyścigowe przeznaczone na konkursy i zawody sportowe mogły być przewożone. Jeżeli były zaopatrzone w zaświadczenie wystawione przez właściwego towarzystwa hipicznego. Świadectwo takie winno być ostemplowane pieczęcią klubu i zawierać informację o miejscu zamieszkania właściciela konia. Konieczny był szczegółowy opis konia oraz oświadczenie urzędowego lekarza weterynarii, który poświadczal stan zdrowia zwierzęcia i informację, że stajnia, z której pochodzi koń, jest wolna od chorób zaraźliwych.

Dla pomoru świń obowiązywał promień 15 kilometrów i okres czterdziestodniowy. Strona przyjmująca zwierzęta na swoje terytorium mogła zarządzić szczepienie bydła „wysoko

uodporniając surowicą przeciw pryszczycową”. Żywe ryby i raki - ślimaki pominięto, mogły być przewożone bez urzędowych zezwoleń i innych dokumentów. Żywa dziczyzna również mogła być przewożona bez zezwoleń i dokumentów. Przy przewozie pszczoł wymagano natomiast urzędowego zaświadczenia weterynaryjnego, że pszczoły są wolne od następujących chorób zaraźliwych: zgnilca, mykozy, nosemy.

Psy i koty musiały być zaopatrzone w świadectwa wystawiane przez urzędowego lekarza weterynarii, właściwego dla miejsca ich pochodzenia. Zwierzęta te winny być wolne od chorób zaraźliwych. Powinny pochodzić z miejscowości, w której nie stwierdzono wścieklizny w przeciągu ostatnich 3 miesięcy. Wszystkie wystawiane przez lekarza weterynarii świadectwa były ważne tylko przez 6 dni. Niniejsza umowa uregulowała również mały ruch graniczny.

Konie mogły przekraczać granicę, o ile właściciel posiadał specjalną przepustkę, w której urzędowy lekarz weterynarii poświadczal, że dane zwierze jest wolne od objawów, wzbudzających podejrzenie o wystąpienie choroby zaraźliwej. Zagroda winna być wolna od chorób zaraźliwych udzielających się jednokopytnym. Przejście takiego zwierzęcia przez granicę powinno być kontrolowane przez urzędnika granicznego i oznakowane przez niego specjalną plombą. Umowa rozwiązywała również kwestię ruchu zwierząt w obrębie jednego gospodarstwa w sytuacji, kiedy jego pola były przecięte granicą. Zezwalała ona na przeprowadzanie zwierząt jednokopytowych, racicowych i drobiu poza granicę, o ile gospodarstwo stanowiło jedną całość, pomimo dzielącej jej granicy i o ile do tego celu nie służyły drogi publiczne.

Spis zwierząt właściciel powinien złożyć w urzędowym punkcie granicznym. Konie winny być oznakowane specjalną plombą, a zwierzęta racicowe kolczykiem z wybitym numerem i literką „p” lub „dz”. Drób też należało zakolczykować. Przed wypędzeniem na pastwiska zwierzęta te powinny zostać zbadane przez urzędowych lekarzy weterynarii. Wyniki badan zaś powinny być przechowywane w punkcie granicznym. Zwierzęta znajdujące się już na pastwiskach powinny być palowane lub specjalnie dozorowane. Mogły być poddane obowiązkowym badaniom okresowym przez urzędowych lekarzy weterynarii z obu stron. Lekarze ci uzyskiwali prawo przekraczania granicy celem dokonania badań, o ile mieli przy sobie legitymację służbową lub paszport.

Jeżeli osobie w małym ruchu granicznym towarzyszył pies lub kot, to właściciel powinien posiadać świadectwo zdrowia wydane przez urzędowego lekarza weterynarii, że zwierzę pochodzi z obszaru, w którym w promieniu 10 kilometrów w ciągu ostatnich 3 miesięcy nie wystąpił przypadek wścieklizny. W myśl tej umowy właściciele gospodarstw rolnych i leśnych mieli prawo przewozić przez granicę paszę objętościową i nawóz, o ile ich gospodarstwo było wolne od chorób zaraźliwych.

Umowa ta zezwalała na praktykę weterynaryjną lekarzom, którzy mieszkali w pasie granicznym po drugiej stronie granicy

⁹ M. Andrzejewski, *Ludzie Wolnego Miasta Gdańska (1920–1939)*, Gdańsk 1997, s. 89.

- nie dalej jednak jak 10 kilometrów od granicy. Lekarze ci mogli przewozić ze sobą narzędzia weterynaryjne, leki i środki opatrunkowe pod warunkiem, że pozostałości po lekach i środkach opatrunkowych oraz narzędzia przewożą z powrotem przez granicę.

Umowa normowała przewóz mięsa, produktów mięsnych, ryb i konserw rybnych. Towary te mogły być przewożone przez granicę bez urzędowego zezwolenia weterynaryjnego, ale pod pewnymi warunkami. Mięso powinno być przewożone w całych tuszach, z tym że świńskie mogły być podzielone na połówki, bydlęce na ćwierci. Tusze cielece powinny być w całości. Do tuszy winny być dołączone: serce, wątroba, płuca i śledziona. Do transportu musiało być dołączone zaświadczenie lekarza weterynarii, urzędowo upoważnionego do badania mięsa. W zaświadczeniu powinna być zawarta informacja, że mięso pochodzi od zwierząt, które zostały zbadane przed i po uboju, łącznie z badaniem tusz wieprzowych na włośnię. Wówczas mięso uznawano za zdatne do spożycia bez żadnych zastrzeżeń. Tusze powinny być wyraźnie oznakowane odpowiednimi pieczęciami. Mięso pokawałkowane mogło być przewożone w nieprzesiłekalnych naczyniach, zaplombowanych przez lekarza weterynarii. W dołączanym zaświadczeniu powinna znajdować się informacja, że zwierzęta, z których pochodzi, zostały ubite w rzeźni publicznej, będącej pod kierownictwem lekarza weterynarii. Kontroli policyjno-weterynaryjnej na granicy nie przeprowadzano. Była ona przeprowadzana na terenie rzeźni.

Ubite ptactwo domowe powinno być przewożone w stanie oskubanym. Pióra mogły pozostać tylko na głowie, szyi, skrzydłach i ogonie. Przez granice dozwolone było przewożenie ryb świeżych, śniętych, solonych, wędzonych oraz konserw mięsnych. Towary te można było przewozić bez urzędowego zezwolenia i badania weterynaryjnego. Powinny być tylko zaopatrzone w świadectwo pochodzenia.

Te same przepisy dotyczyły przewozu tusz dzikich świń i niedźwiedzi. Powinny być do nich tylko dołączone zaświadczenia o badaniu na włośnię. Jeśli jednak takiego zaświadczenia nie posiadały, poddawano je badaniu w miejscu przeznaczenia. Natomiast konserwy mięsne można było przewieźć, o ile były zaopatrzone w świadectwo, w którym podano informację, że zwierzęta, z których zostały zrobione, zostały ubite w rzeźni będącej pod stałym nadzorem lekarza weterynarii. Zwierzęta zostały poddane badaniu przed i po uboju przez lekarza weterynarii i zostały uznane za zdatne do spożycia. Konserwy powinny mieć roczną gwarancję przydatności do spożycia. Umawiające się strony zobowiązały się również do wzajemnego informowania się o środkach chemicznych (środki konserwujące, barwniki itd.) stosowanych przy produkcji konserw, których stosowanie na terytorium któregoś z krajów jest zabronione.

Przewóz części zwierząt, które nie były przeznaczone do spożycia przez ludzi uregulowano w sposób następujący:

1) Welnę surową, włosie, szczerinę, pierze, jelita, skóry, kości pozbawione części miękkich, kopyta, racice i rogi powinny być

całkowicie wysuszone i powinno być do nich dołączone zaświadczenie, że przedmioty wysyła się bezpośrednio do zakładu przetwórczego lub hurtowni.

2) Do przesyłanych skór i jelit powinno być dołączone zaświadczenie lekarsko-weterynaryjne. W nim powinna być zawarta informacja, że zwierzęta, z których pochodzą te produkty, zostały ubite w rzeźni publicznej, będącej pod stałym nadzorem lekarza weterynarii i uznane za wolne od zaraźliwych chorób zwierzęcych.

Umowa dopuszczała również przewóz przez granicę jaj i masła bez żadnych ograniczeń i zezwoleń. Do przewożonego mleka chudego i maślanek powinno być dołączone zaświadczenie, że są pasteryzowane lub gotowane. Natomiast przewożone mleko pełne i śmietana, powinny być zaopatrzone w zaświadczenie lekarsko-weterynaryjne stwierdzające, że produkty te pochodzą od krów, których stan zdrowia wyklucza przenoszenie zaraźliwych chorób zwierzęcych i ludzkich.

Przywóz szczepionek i surowic wymagał natomiast zezwoleń strony drugiej i był limitowany. Zezwolenia i limity były wystawiane do 1 maja danego roku i obowiązywały tylko na dany rok. Partia preparatów powinna być zaopatrzona w zaświadczenie, że przewożone preparaty zostały przed wysyłką poddane kontroli w kraju pochodzenia według zasad obowiązujących w kraju przeznaczenia.

Oto jak przedstawiały się limity przewożonych surowic i szczepionek w roku podpisania umowy:

- surowica przeciw różycy świń – 3.000 litrów;
- hodowla różycy świń – 300 litrów;
- szczepionka przeciw zakaźnemu ronieniu (zabita) – 600 litrów;
- szczepionka przeciw zapaleniu płuc owiec – 50 litrów;
- limfa przeciw żółtom pod warunkiem, że nie zawiera żadnych organicznych składników z koni – 20 litrów;
- różne szczepionki nieżywe, nieuzyskane z koni i nieprzeznaczone dla koni – 800 litrów.

Zgodnie z tą umową przesyłki zwierząt, części zwierząt i produktów pochodzenia zwierzęcego z terytorium jednego kraju na jego terytorium przez ziemie sąsiada nie podlegały żadnym ograniczeniom weterynaryjnym. Żywe zwierzęta lub ich części mogły być przewożone koleją w zaplombowanych wagonach bez możliwości doładowania, przeładowania i wyładowania. Te same zasady dotyczyły transportu wodnego. Do transportu żywych zwierząt powinno być dołączone zaświadczenie, że zwierzęta są wolne od objawów zaraźliwych chorób zwierzęcych. Wagony kolejowe, w których transportowano zwierzęta, jak również sprzęt używany w trakcie transportu, po każdym użyciu powinny być oczyszczone i wydezynfekowane zgodnie z przepisami kraju na terytorium, którego się znajdowały.

Natomiast obrót zwierzętami i ich produktami z zagranicą celną dokonywany przez obie strony wymagał zezwoleń. Zezwolenia były wydawane przez Senat Wolnego Miasta Gdańska zgodnie z zarządzeniem weterynaryjno-policyjnym

z dnia 24 maja 1932 r. (Staatsanzeiger Teil I., s. 185) oraz polskie Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych, zgodnie z art. 11 rozporządzenia Prezydenta RP z dnia 23 sierpnia 1927 r. o zwalczaniu zaraźliwych chorób zwierzęcych. (Dz. Ustaw RP No. 77. poz. 673).

W umowie zamieszczono również zapis o ścisłym współdziałaniu służb weterynaryjnych obu stron. Zobowiązywano się wzajemnie do najstaranniejszego stosowania przepisów o zwalczaniu zaraźliwych chorób zwierzęcych i o badaniu zwierząt rzeźnych, użytkowych, oraz mięsa w celu zapobieżenia przeniesienia na terytorium sąsiada zaraźliwych chorób zwierzęcych, oraz nie dopuszczenia do obrotu mięsa niezdatnego do spożycia. Centralne władze weterynaryjne zobowiązywały się wzajemnie, że poza wysyłaniem dwutygodniowych sprawozdań o stanie chorób zakaźnych w danym kraju, będą się wzajemnie zawiadamiały telegraficznie o każdym pierwszym przypadku wystąpienia księgosuszu, zarazy płucnej, pryszczycy i ospy owczej z podaniem miejscowości, powiatu, zagród i zarządzeń wydanych w celu stłumienia tych chorób. Przekaz informacji dotyczył również wygaśnięcia tych chorób.

W przypadku wystąpienia tych chorób strony zarezerwowały sobie prawo zakazu przewozu zwierząt i ich części aż do wygaśnięcia zarazy. Pograniczne władze powiatowe na szczuble - starosta, landrat, zostały również zobligowane do współpracy przy zwalczaniu chorób zakaźnych poprzez wzajemne informowanie się o wystąpieniu na ich terenie następujących jednostek chorobowych: wścieklizna, nosaczka zwierząt jednokopytnych, zaraza stadnicza, niedokrwistość zakaźna koni, pryszczycyca, zaraza płucna bydła rogatego, zaraza dzicyzny i bydła rogatego, ospa owcza, świerzby koni i świerzby owiec, pomór świń i zaraza świń, cholera drobiu, pomór kur i księgosuszu. W udzielanej informacji poza jednostką chorobową należało podać, nazwę miejscowości, nazwisko właściciela, ilość sztuk chorych oraz opis zarządzeń zaradczych, jakie wydano w celu zapobieżenia się rozszerzaniu choroby. Informację należało sobie składać o wygaśnięciu choroby. Wyżej opisana umowa weszła w życie 1 września 1934 r.

Miała obowiązywać przez dwa lata. Następnie miała być przedłużana z roku na rok, o ile wcześniej któraś z stron by jej nie wypowiedziała¹⁰. Umowa ta wygasła ostatecznie jesienią 1939 r. wraz z wcieleniem Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy Niemieckiej. Po zakończeniu II wojny światowej nie było potrzeby jej reaktywacji, bo Gdańsk znalazł się w granicach Rzeczypospolitej Polskiej.

*dr nauk weterynaryjnych
Waldemar Krzyżewski*

¹⁰ Muzeum Weterynarii w Przasnyszu, Pismo z 4 III 1935 r. Wojewódzkiego Inspektora Weterynarii we Lwowie do Starostów Prezydentów Miast wraz z tekstem Umowy weterynaryjnej między Polską a Gdańskiem.



Stacja pocztowa w Sieluniu w XIX w. – fragment książki *Różan, Sieluń i okolice – szkice z dziejów (koniec XVII w.–początek XX w.), Różan 2016 (w przygotowaniu do druku)*

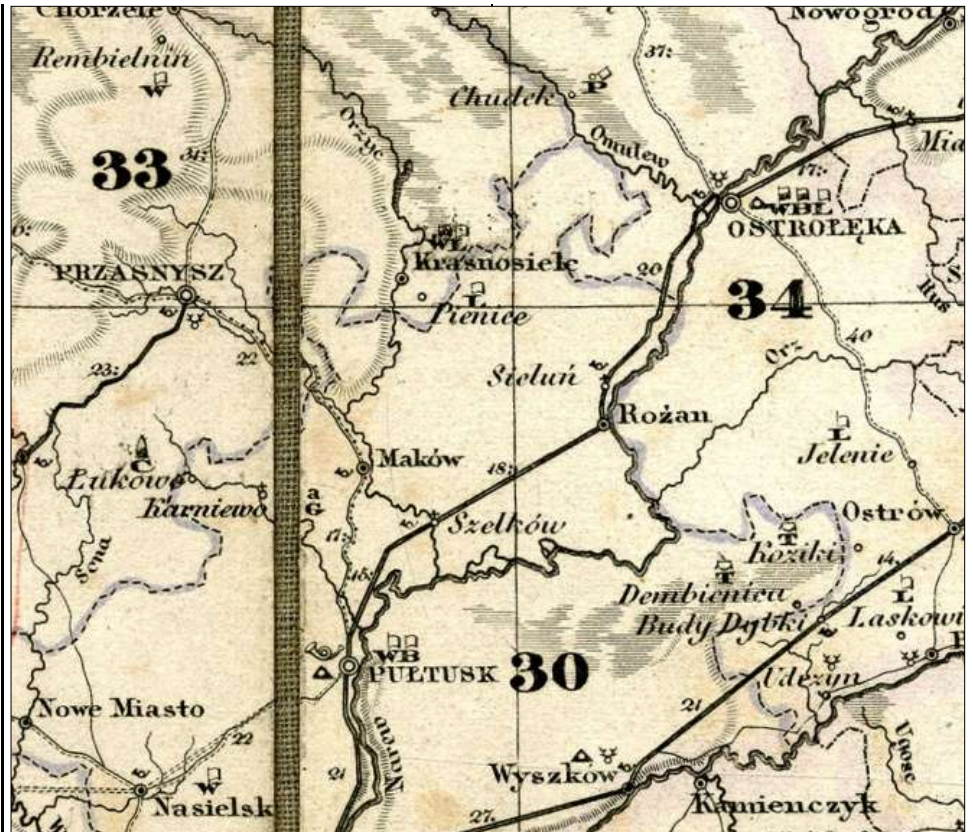
Tadeusz SUSKI

Poczta istniała w Polsce od połowy XVI w. Wcześniej funkcjonował zamiast niej tylko system posłańców książęcych i królewskich. W 1558 r. za panowania Zygmunta Augusta powstała w Polsce pierwsza powszechna poczta. Korespondencja przewożona była wtedy na trasach: Kraków – Wenecja i Kraków – Wilno – Wiedeń. Poczta polska otrzymała nazwę poczty królewskiej.

W II połowie XVIII w., za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego nastąpiły istotne zmiany w dotychczasowym funkcjonowaniu poczty. W wydanym uniwersale zajęto się urządzeniami pocztowymi i usystematyzowano opłaty. Rozbudowana została sieć pocztowa. Utworzono trakty, wzdłuż których rozmieszczone zostały oznaczone herbem pocztowym urzędy pocztowe, tj. pocztamty i stacje poprzęgowe, tj. pocztaltherie. Personel pocztowy posiadał mundury (liberie), znaki pocztowe i trąbki. Stacje poprzęgowe (pocztaltherie) podlegały urzędom pocztowym¹. Stacja taka istniała już wtedy w Różanie, a urząd pocztowy, któremu podlegała mieścił się w Pułtusk.

Transport listów, przesyłek i osób odbywał się za pomocą kilku rodzajów poczt: poczt pieszych, konnych, wózkowych, wozowych, nadzwyczajnych poczt listowych (sztafet) i ekstrapoczt. Na trasie głównym warszawsko-kowieńskim przy której mieściła się stacja pocztowa w Różanie funkcjonowały wszystkie ww. rodzaje poczt poza pieszymi. Poczty piesze kursowały na bocznych traktach i służyły wyłącznie do przesyłania korespondencji i gazet.

Trakt kowieński był jednym z głównych traktów w Rzeczypospolitej oraz później w Królestwie Polskim. Trakt ten był pierwszym z pośród kilkunastu głównych w Królestwie Polskim, który gruntownie przebudowano i zmodernizowano. Przebudowa jego trwała do 1829 r. Polegała nie tylko na uszlachetnieniu nawierzchni, wyprostowaniu i skróceniu dróg, budowie trwałych mostów, lecz także na ekonomicznie optymalnym rozmieszczeniu stacji pocztowych². W latach



Fot. 1. Fragment mapy Karty Pocztovej i Przemysłowej Królestwa Polskiego z 1846 roku z zaznaczonymi stacjami pocztowymi. Źródło: Karta Pocztovej i Przemysłowej Królestwa Polskiego ułożona i rysowana według najnowszych Rapportów urzędowych i najpewniejszych źródeł przez Jerzego Egloff w Warszawie 1846 r.

1819–1828 na 16 milowym odcinku tego traktu łączącym Warszawę z Ostrołęką funkcjonowało 9 stacji pocztowych (pocztaltherii), a odległość między każdą

z odprawianiem poczt, smarowaniem wozu itp. Poczta kursowała według rozkładu jazdy, który przewidywał niekiedy przerwy na posiłki na stacjach, natomiast między stacjami nie przewidywano żadnych przerw. W podróży ekstrapocztą można było dokonywać dłuższych przerw według uznania pasażerów. Prędkość poczt wahała się (w zależności od ich rodzaju) od 7,5 do 15 km/ godz. Ponieważ poprzęgi – umożliwiające wymianę zmęczonych koni na wypoczęte – zwiększały czas postoju na stacjach, to stacje te nie mogły być zbyt gęsto rozstawione. Odległość między nimi musiała być optymalna – zbyt duża mogła powodować słabnięcie koni. W Królestwie Polskim średnia odległość między stacjami (pocztaltheriami) wynosiła ok. 25 kilometrów. M. Czernik, *Poczta Królestwa Polskiego w latach 1815–1851. Organizacja i dokumentacja działalności*, Warszawa 1987, s. 136.

z nich wynosiła 2 mile. Stacje te mieściły się w: Warszawie, Jabłonnie, Serocku, Dzierżenie, Pułtusk, Magnuszewie, Różanie, Kołakach i Ostrołęce. W 1829 r., po uzyskaniu na tym trakcie szlachetnej, szybkiej nawierzchni, w celu skrócenia czasu transportu przesyłek i podróży dla pasażerów zmniejszono ilość stacji na tym odcinku do 7. Tym samym tracono mniej czasu na wymianę zmęczonych koni. Od 1829 r. stacje te na tym odcinku funkcjonowały w: Warszawie, Jabłonnie, Serocku, Pułtusk, Szelkowie, Sieluniu i Ostrołęce. Wtedy to stacja pocztowa została przeniesiona z Różana do Sielunia³.

¹ T. Suma, *Urzednicy pocztowi w Królestwie Polskim 1815–1871. Słownik biograficzny*. Warszawa 2005, s. 14–15.

² Sprawny, szybki i punktualny transport poczt wymagał stosowania systemu koni rozstawnych. Transport przesyłek lub przewoży pasażerskie odbywały się z minimalnymi przerwami, potrzebnymi do dokonania na stacjach poprzęgowych zmiany koni i innych czynności związanych

³ W Królestwie Polskim obowiązywały ustalone prędkości z jakimi musiała się przemieszczać poczta. Prędkość jazdy ekstrapocztą wynosiła 1 milę na trzy kwadransy, tj. ok. 10 km/godz., jeżeli pasażer jechał „w interesie służby publicznej”, natomiast w pozostałych przypadkach 1 milę w ciągu jednej godziny, tj. ok. 7,5 km/godz. Prędkości te obowiązywały od 1818 roku. Z biegiem lat regulaminowy czas postojów na

Przez Sieluń, od setek lat (jeszcze zanim funkcjonowała poczta królewska) prowadził gościńiec⁴ łączący Warszawę z Łomżą. Fakt istnienia tego gościńca potwierdza już zapis w Metryce Koronnej z 1471 r. Tym właśnie gościńcem przez Pułtusk, Różan, Sieluń do Ostrołęki podróżował król Stefan Batory w 1578 r.⁵ W II połowie XVI w., jak podaje H. Rutkowski gościńiec wiodący z Warszawy do Królewca, przebiegający przez te ww. miejscowości należał do najważniejszych dróg na Mazowszu⁶. Z gościńca tego korzystali liczni kurierzy, podróżni a także poczta konna. Trakt z Warszawy przez Pułtusk, Różan, Sieluń, Ostrołękę, Łomżę i Kowno prowadził później (po rozbiorach Polski) aż do Petersburga i określany był jako trakt petersburski.

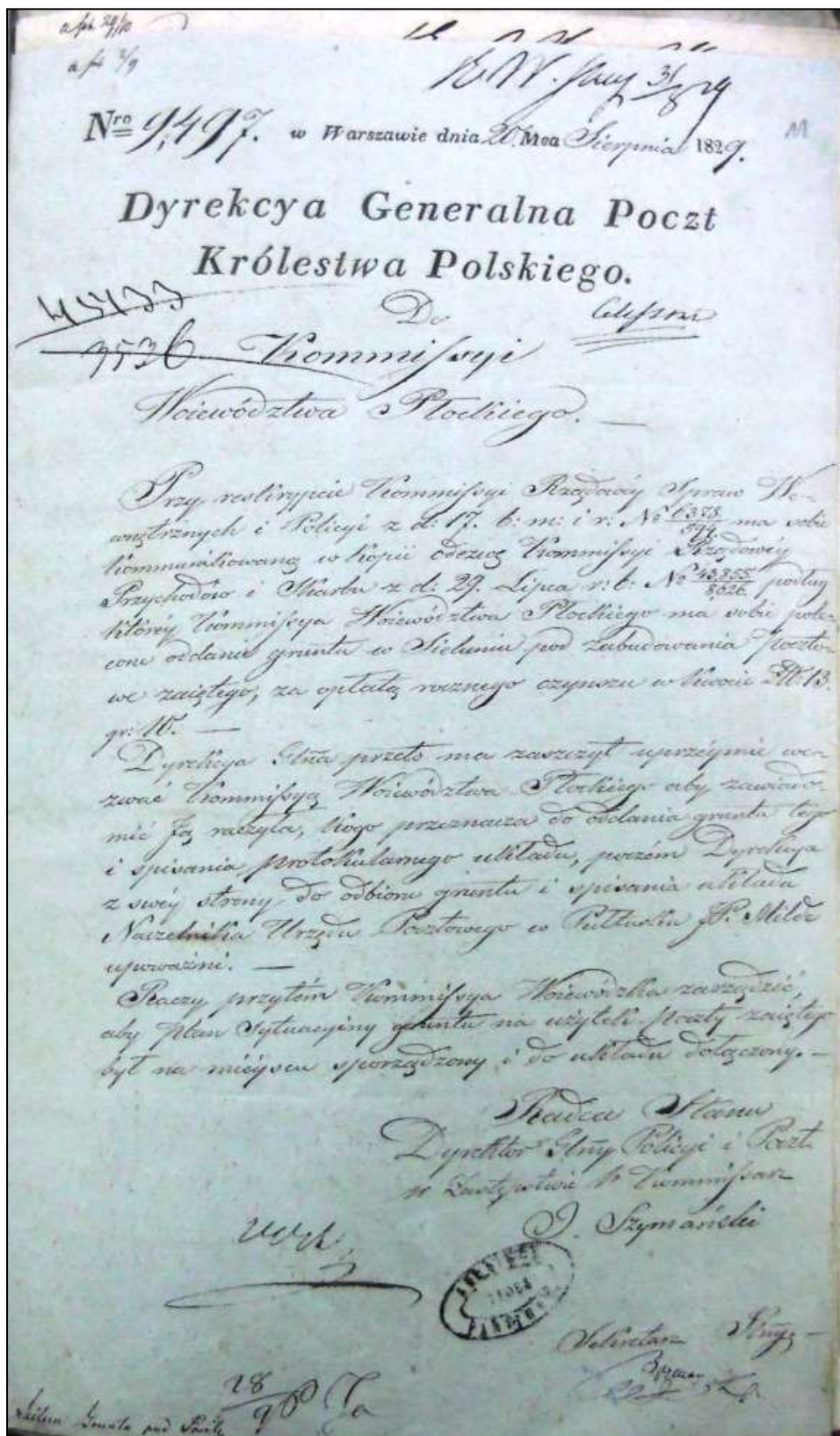
W Kalendarzyku Politycznym z 1802 r. w *Opisaniu Poczty Konnych y Wozowych przy Królewskim Ober Pocztamcie w Warszawie* wyszczególniona została informacja dotycząca kursowania poczty konnej grodzieńskiej: *Poczta Konna Grodzieńska odchodzi we Środę y w Sobotę w wieczór o godzinie 6. Na Nieporęt, Wierzbicę, Pułtusk, Różan, Ostrołękę, Łomżę, Mężenin, Tykocin, Białystok, Sokółkę y Kuźnicę do Grodna. Tą samą Poczty wszelkie listy w okolice Grodna, Wilna, również y Mohylowskie odesłane być mogą. Tą sama*

stacjach mała, a prędkość jazdy wzrastała. Podróżny nie mógł czekać na stacji dłużej niż 15 minut w ciągu dnia i 30 minut w nocy. Od 1846 roku na traktach głównych czas ten skrócono do 5 minut przez wprowadzenie stale dyżurujących, gotowych do drogi koni. W latach 1844–1846 prędkość jazdy określono na 10 wiorst na godzinę, czyli ok. 10,5 km/godz., a od 1846 roku – 12 wiorst na godzinę, czyli ok. 13 km/godz. na drodze bitej i 8 wiorst na godzinę na drodze zwyczajnej..., s. 236. Tamże, s. 126–127.

⁴ W dawnej Polsce istniały dwie kategorie dróg: gościńce oraz drogi lokalne. Drogi lokalne służyły komunikacji w obrębie każdej miejscowości, a dalej stanowiły połączenie z młynem, kościołem, z sąsiednimi wioskami, z najbliższym miastem lub miasteczkiem. Drogi te bywały ogólnodostępne, ale też mogły być przez właściciela dóbr, przez które przechodziły zamykane dla obcych. Gościńce natomiast miały charakter dróg publicznych dostępnych dla wszystkich. Łączyły one między sobą miasta, będące ośrodkami handlu i administracji, stolicami powiatów, ziem i województw. Nad bezpieczeństwem podróżujących na gościńcach pełnili pieczę starostowie; rabunek na drodze publicznej był zaliczany wtedy do tzw. czterech artykułów grodzkich. H. Rutkowski, *Drogi*, [w:] *Atlas geograficzny Polski – Mazowsze w drugiej połowie XVI wieku*, red. W. Pałucki, cz. 2: *Komentarz, indeksy*, Warszawa 1973, s. 112

⁵ Z. Niedziałkowska, *Ostrołęka – dzieje miasta*, Ostrołęka 2002, s. 68.

⁶ Stosunkowo większe zmiany w sieci dróg publicznych przyniósł wiek XVIII. Rozwój poczty doprowadził do wyodrębnienia osobnej kategorii dróg pocztowych. Pojawiło się więcej dróg o nawierzchni twardej (wciąż jednak były to tylko niewielkie fragmenty w pobliżu niektórych miast). H. Rutkowski, *Drogi...*, s. 114.



Fot. 2. Pismo Dyrekcji Generalnej Poczty Królestwa Polskiego w sprawie odbioru wydzielonego gruntu pod zabudowania pocztowe w Sieluniu. Źródło: APP, KWiRG, sygn. nr 542.

Poczta w Poniedziałek y Czwartek w południe o godzinie 12 przychodzi⁷. Gdy w Polsce za czasów Księstwa Warszawskiego pojawiły się dyliżanse z pewnością przemierzały one także trakt petersburski. Od 1 IX 1818 r. - jak donosiła Dyrekcja Poczty Królestwa Polskiego - wprowadzono do użytku nowej jakości dyliżanse, na resorach, z miejscami dla podróżnych oddzielonymi od bagaży

i przewożonych pocztą pieniądze. Dyliżanse te kursowały raz w tygodniu głównymi traktami pocztowymi w Królestwie Polskim – w czwartki traktem petersburskim z Warszawy do Kowna⁸.

⁷ *Kalendarzyk Polityczny. Chronologiczny y Historyczny na rok 1802*, Warszawa 1802.

⁸ *Dziennik Urzędowy Województwa Płockiego* nr 23 z 1818 r.



Fot.3. Herb pocztowy z 1842 r.

Fot. 3. Urzędowe godło pocztowe (1815–1851).

W 1829 r. władze Poczty Głównej podjęły decyzję o wybudowaniu Domu Poczтового przy trakcie petersburskim w Sieluniu. Po dokonanej reorganizacji stacji pocztowych, tj. zmniejszenia ich ilości w celu przyspieszenia przewozów pasażerskich, stacja pocztowa w Sieluniu zyskała na znaczeniu. Niezbędny stał się plac, gdzie można by było pobudować dom pocztowy, stajnie i inne budynki potrzebne na stacji. Decyzją administracyjną z 27 VI 1829 r. wydzielony został grunt pod budowę domu pocztowego. Teren wydzielono z gruntu państwowego, należącego do folwarku sielunskiego. Dzierżawcą dóbr państwowych wchodzących w skład Ekonomii Sielun (w tym folwarku sielunskiego) był wtedy pułkownik w stanie spoczynku Jan Kanty Ostrzeszowicz.

władze państwowe wybudowały nową karczmę przy trakcie petersburskim w Sieluniu w miejscu starej, która uległa spaleniu. Pożar miał miejsce 16 V 1828 r. Razem z karczmą spaliły się wtedy w Sieluniu cztery inne domy (w tym plebania). Komisja Przychodów i Skarbu pismem z 29 VII 1829 r. poinformowała Komisję Wojewódzką w Płocku o podjętej w tej sprawie decyzji. Za wydzielony i oddany grunt na cele stacji pocztowej Ostrzeszowicz (oraz jego ewentualni następcy) miał otrzymywać coroczną rekompensatę pieniężną, natomiast prośba Ostrzeszowicza o pobudowanie murowanej karczmy została odrzucona. W myśl tej decyzji Urząd Administracyjny Guberni Płockiej pismem z dnia 25 X 1829 r. poinformował

corocznej opłaty *wieczysty czynsz w wysokości złotych 13 i groszy 10 do Rąk Naddzierzawcy Ekonomii Sielun, do Skarbu albo do Przyszłego Nabywcy Dóbr*⁹.

Trakt petersburski wiodący przez Sielun był już wtedy drogą o twardej nawierzchni. Już 12 lat wcześniej, w 1817 r., władze Królestwa Polskiego planując przekształcić go z drogi nieutwardzonej na bity gościniec wydały władzom wojewódzkim stosowne polecenia, by zleciły lokalnym władzom, tj. burmistrzom i wójtom miast i osiedli leżących przy trakcie przeprowadzenie jesienią 1817 r. szarwarków w celu nagromadzenia polnych kamieni. Mówiło o tym postanowienie Namiestnika Królewskiego z 9 IX 1817 r. Postanowienie to określało w sposób szczegółowy zakres

Tabela 1: Placówki pocztowe Królestwa Polskiego funkcjonujące w latach 1815 - 1871 na odcinku Warszawa - Ostrołęka traktu petersburskiego (Źródło - Suma T. 'Urzednicy pocztowi w Królestwie Polskim 1815 - 1871. Słownik biograficzny, Warszawa 2005)

Lp.	Miejscowość	Rodzaj placówki	Urząd zwierzchni	Utworzona	Zamknięta	Kasownik numeryczny	Liczba urzędników sprawujących urząd					Razem
							Naczelnicy urzędu	Zastępcy naczelnika	Sekretarze	Pisarze	Ekspedytorzy	
1	Warszawa	Gł. U. P.	Warszawa	1815		1	10	7	146	124		287
2	Jabłonna	eksped.	Warszawa	1816		2						0
3	Serock	eksped.	Pułtusk	1828		48				1	3	4
4	Dzierżenin	eksped.	Pułtusk	1820	1828	-					1	1
5	Pułtusk	powiat.	Pułtusk	1815		45		6	9	12		27
6	Magnuszew	eksped.	Pułtusk	1818	1828	-					1	1
7	Szelków	poprzeg	Pułtusk	1828		-				1		1
8	Różan	eksped.	Pułtusk	1815	1828	-					1	1
9	Sielun	eksped.	Pułtusk	1829		46				1	2	3
10	Modzele	eksped.	Pułtusk	1818	1819	-					1	1
11	Kolaki	eksped.	Pułtusk			-					1	1
12	Ostrołęka	eksped.	Pułtusk	1815		-				2	3	5

Dzierżawca zgodził się na oddanie gruntu na cele stacji pocztowej. W piśmie do Komisji Wojewódzkiej w Płocku prosił jednak, by w ramach rekompensaty za oddany grunt,

Ostrzeszowicza, że tytułem rekompensaty za wydzierżawiony grunt na dom pocztowy w Sieluniu (o powierzchni 2 morgów i 715 sążni kwadratowych) ustalony został do

⁹ APP, KWiRGP, *Akta zajęcia gruntu na pobudowanie domu Poczтового - Ekonomia Sielun*, sygn. 542, s. 1–15.

działań, jakie miano przedsięwziąć: *Trakt wielki, do którego podczas nadchodzącej jesieni i zimy materiał twardy ma być na gościniec bity przysposobionym w Województwie Płockim jest Trakt Petersburski. [...] Kupy duże kamieni połowych mają być zbierane szarwarkiem pieszym wszędzie gdzie się kamienie znajdują. Szarwark zaś z innych wsi, gdzie nie masz kamieni na takie miejsca winien być przeznaczonym.[...] Zbieranie i zwózka materiałów dźić się powinny pod dozorem dostawców, którzy w tym celu co dwie mile traktu wielkiego w przestrzeni wyrabianey na gościniec bity ustanowić wypada...*¹⁰.

Trakt ten jako jedna z najważniejszych dróg w Królestwie Polskim musiał być utrzymywany w należyтым porządku i przejezdny nawet zimą. Burmistrzowie i wójtowie z miast i osad leżących przy trakcie byli odpowiedzialni za należyte jego utrzymanie: przejeżdżność (zimą do odsnieżania wyznaczano szarwarkiem ludność mieszkającą przy trakcie), naprawy po powodziach i ulewach, konserwacje i naprawy kamiennych mostków i grobli itp. Z traktu korzystała konna poczta, kurierzy i zwykli podróżni. Często przemierzały go z liczną świtą bardzo ważne osobistości.

W Sieluniu położonym przy trakcie petersburskim, od 1829 r., przez dziesiątki lat funkcjonowała stacja pocztowa. Był tam dom pocztowy, stajnie przeznaczone dla koni pocztowych oraz inne zabudowania, gdzie magazynowano wózki, bryczki i karety pocztowe. Na pewno na stacji, w domu pocztowym znajdowały się pokoje, gdzie mogli odpocząć, spożyć posiłek i przenocować liczni kurierzy i podróżni. Na odcinku Warszawa – Ostrołęka traktu petersburskiego, jak już wspominałem, było w połowie XIX w. tylko siedem stacji pocztowych, tj. w Warszawie, Jabłonnie, Serocku, Pułtusk, Szelkowie, Sieluniu i Ostrołęce. Przez długi czas, od 1839 do 1862 r., pocztalterem¹¹

(naczelnikiem poczty) w Sieluniu był Stanisław Liwski. On to m.in., jako pocztalter z Sielunia wielokrotnie dostarczał własne konie oraz organizował konie innych okolicznych mieszkańców, na stację pocztową w Sieluniu, gdy traktem petersburskim przemierzały z liczną świtą ważne osobistości¹². Zwykle w tego typu sytuacjach koniecznym było dostarczenie wielu koni. Zdarzało się, że trzeba było dostarczyć na stację nawet kilkaset koni. Do obowiązków poczty należało przecież zorganizowanie sprawnego i wygodnego przejazdu cara, jego rodziny i dworu oraz innych *dostojnych osób*, np. namiestnika królewskiego. *Dostojni goście* jeździli zazwyczaj własnymi pojazdami. Poczta musiała im natomiast zapewnić rozstawienie odpowiedniej ilości koni wraz z pocztalionami. Było to duże przedsięwzięcie organizacyjne związane z jednoczesnym i masowym przewozem wielkiej liczby ludzi i ich pojazdów, bagażów i różnego rodzaju sprzętu. O planowanym przejeździe *dostojnych gości* stacje pocztowe były informowane z odpowiednim wyprzedzeniem¹³.

W grudniu 1845 r. w Dzienniku Urzędowym Guberni Płockiej opublikowana została *lista przyznanej należności właścicielom koni obywatelskich za dostarczenie koni pod spódziewany, a nieodbyty przejazd Najjaśniejszego Pana w Miesiącu Czerwcu r. b. zapowiedziany*. Obejmowała ona osoby, które dostarczyły konie na stacje pocztowe w Serocku, Pułtusk, Szelkowie, Sieluniu i Ostrołęce. Jak wynika z tej listy konie do stacji pocztowej w Sieluniu dostarczyło wtedy kilkadziesiąt osób. Byli to m.in. Paweł Grąbczewski, dzierżawca z Pokrzywnicy; Aleksander Chotecki, administrator z Rembisz; Zembrzycki, dziedzic Ponikwi Małej; Józef Glinka, dziedzic Szczawina; Roman Lasocki, dzierżawca Sielunia; Fortunat Kozłowski, dziedzic z Sielunia; Michał Trzaska, Jan Trzaska, Michał Nalewajski i Antoni Kamiński, dziedzice z Różana; Walenty i Jan Pruszkowscy, dziedzice z Pruszk; Andrzej Nałęcz, dziedzic z Szyg; Łaskarzewski, dziedzic z Głazewa Kołaków; Chelchowski Jan, Lipka Wojciech, Napiórkowski Jakub i Siemiątkowski Stanisław, dziedzice z par. Gąsewo; Antoni Gniewosz, dziedzic z Grabowa; Maciej Chrzanowski, dziedzic z Chrzanowa; Wojciech Karaś, dziedzic z Sypniewa; Antoni Rekosz, Józef Podpora i Piotr Chmielewski, włościanie z Czeglina; Markowski, Asesor Honorowy przy Naczelniku Powiatu Ostrołęckiego. Mimo iż nie doszło wtedy do przejazdu cara i jego świty wszyscy dostarczyciele koni otrzymali odpowiednie wynagrodzenie. Jego wielkość była zależna od ilości dostarczonych na stację koni. Przejazd cara tą trasą doszedł do skutku kilka miesięcy później, w styczniu 1846 r. Świadczy o tym podobna lista przyznanych

w wysokości 1200 złotych. M. Czernik, *Poczta...*, s. 137.

¹² DzUGP nr 18 z 1855 roku. Za dostarczenie koni pod przejazd w dniu 22 lutego 1855 roku Jego Cesarskiej Wysokości Arcy Księcia Austriackiego Wilhelma Stanisława Liwskiego, pocztalter z Sielunia otrzymał należność 36 rubli srebrem i 40 kopiejek.

¹³ M. Czernik, *Poczta...*, s. 238.

należności właścicielom dostarczonych koni opublikowana w DzUGP w maju 1846 r. Jak wynika z tej listy na stację pocztową w Sieluniu dostarczyło wtedy konie 43 osoby, w tym m.in. wyżej wymienieni: Józef Glinka, Aleksander Chotecki i Paweł Grąbczewski¹⁴.

Dostojni goście dość często korzystali z traktu petersburskiego, więc stacja pocztowa w Sieluniu musiała być do tego przygotowana. W październiku 1847 r. traktem tym ponownie przejeżdżał car Mikołaj I¹⁵. Natomiast w maju 1848 r. z traktu petersburskiego korzystał Wielki Książę Konstanty. Trasę tą przemierzał jeszcze w grudniu tego samego roku w towarzystwie arcyksięcia Wilhelma Austriackiego¹⁶.

Oto urzędnicy pocztowi na stacji pocztowej w Sieluniu¹⁷:

Ekspedytorzy (pocztalterzy):

Liwski Stanisław – w latach 1839–1862 ekspedytor poczt i pocztalter w Sieluniu. Za zasługi w pracy w 1857 r. otrzymał rangę sekretarza gubernialnego. Zmarł w Sieluniu 27 VIII 1862 r.

Dobrowolski Cyprian – ekspedytor poczt w Sieluniu w okresie: 1 I 1861 – 31 XII 1861 r. Wcześniej funkcję tę pełnił w Szelkowie i Ostrołęce, skąd przeszedł do Sielunia. W dniu 1 I 1862 r. objął funkcję ekspedytora poczt w Augustowie.

Budny Teofil Mikołaj – mianowany na ekspedytora poczt w Sieluniu 25 X 1862 r. Pełnił tę funkcję na stacji pocztowej w Sieluniu w okresie 1862–1868. W dniu 13 IX 1868 r. przeszedł na emeryturę.

Budny Wincenty – syn Teofila Mikołaja, po przejściu swego ojca na emeryturę objął po nim stanowisko ekspedytora poczt w Sieluniu. Pełnił je w okresie 1868–1871. Przed objęciem funkcji ekspedytora w Sieluniu pracował jako ważnik w powiatowym urzędzie pocztowym w Pułtusk.

Pisarze:

Malczewski Aleksander – w latach 1829–1831 pisarz na stacji pocztowej w Sieluniu. W wieku

— Warszawa. —

Namiestnik Królestwa oświadcza podziękowanie swoje niżej wymienionym Urzędnikom, Obywatelom i innym osobom Królestwa Polskiego, pierwszym za okazaną przez nich gorliwość i starania w urzędzeniu stosownych lokali na przyjęcie ICH CESARSKICH MOŚCI, NAJJAŚNIEJSZEGO PANA I NAJJAŚNIEJSZEJ PANI, I JEJ CESARSKIEJ WYSOKOŚCI WIELKIEJ KSIĘŻNY MARJI MIKOŁAJEWNY, w czasie ostatniej podróży w Królestwie, drugim za skwapliwość ich i gorliwość w dostarczeniu potrzebnych w tymże samym celu mebli, sprzętów, sreber, kwiatów i t. p. a mianowicie: Na trakcie Kowieńskim: w mieście Pułtusk: Pomocnikowi Naczelnika Powiatu Adamowi Eger, Burmistrzowi Piotrowi Stalmańskiemu, Naczelnikowi Urzędu Pocztowego Emiljanowi Kotońskiemu (szczególnie).—Na stacji w Sieluniu: Wójtowi Gminy Glinki Janowi Guszowskiemu; Obywatelom: dymisjonowanemu Sztabs-Kapitanowi Gwardji, Ćsiciu Balixtowi Woronieckiemu, Sędziemu Pokoju Glince, i Ekspedytorowi Poczty, Sekretarzowi Gubernjalnemu, Liwskiemu.—W mieście Ostrołęce: Naczelnikowi Powiatu Dębskiemu, i Ekspedytorowi Poczty, Sekretarzowi Gubernjalnemu Marcinowi Wojciechowskiemu. (D. u.)

Fot. 5. Podziękowanie Namiestnika Królestwa Polskiego urzędnikom i obywatelom odpowiedzialnym za przygotowanie podróży rodziny carskiej
Źródło: „Gazeta Warszawska”, 1851 r., 202.

¹⁴ DzUGP nr 18 z 1846 roku.

¹⁵ DzUGP nr 27 z 1848 roku.

¹⁶ DzUGP nr 15 z 1848 roku.

¹⁷ T. Suma, *Urzędnicy pocztowi...*, Warszawa 2005.

24 lat zmarł w Sieluniu w 1831 r.

Płoski Teodor – pisarz ekspedycyjny na stacji pocztowej w Sieluniu w 1849 r. Awansował na ekspedytora poczt. Funkcję tą pełnił w Wielgach i Radzyminie.

Lesiewicz Julian – pisarz ekspedycyjny w Sieluniu w 1858 r. (do 1 IX 1858 r.).

Pocztaltherie w XIX w. powierzano w Królestwie Polskim bardzo często oficjalistom pocztowym, a więc naczelnikom urzędów pocztowych, sekretarzom, pisarzom; a najczęściej ekspedytorom poczt. Na stacji pocztowej w Sieluniu w okresie 1829–1871 pracowało trzech etatowych pracowników poczty – 1 pisarz i 2 ekspedytorów oraz kontraktowy pocztalther, pełniący funkcję naczelnika tej stacji i faktycznego jej organizatora. Przez cały ten okres zatrudnionych było tam także po kilku pocztylionów, czyli pocztowych furmanów. Pocztalther był odpowiedzialny za dostarczanie koni i środków transportu, tj. wózków, bryczek, karet pocztowych itp. Jak podaje Mieczysław Czernik: „Do obowiązków pocztalthera należało:

- posiadanie zdrowych, mocnych i rośliwych koni do poczt zwyczajnych w liczbie przewidzianej kontraktem,

- posiadanie koni do sztafet, ekstrapoczt i kurierów,

- posiadanie furgonu krytego i odpowiedniej liczby bryczek,

- trzymanie pieczy nad liberiami pocztowymi i trąbkami pocztowymi, które dostarczała Dyrekcja Generalna Poczty i dopilnowanie by liberie te nie były używane poza służbą, lecz jedynie do obsługi poczt zwyczajnych,

- sprawienie na własny koszt liberii pocztylionów, służących do jazdy ekstrapocztowych, kurierskich i sztafetowych,

- posiadanie skórzanych uprzęży,
- posiadanie odpowiedniego zapasu furazu dla koni (co najmniej na dwa miesiące),

- przygotowanie odpłatne posiłków dla pasażerów,

- umeblowanie i utrzymywanie w odpowiednim stanie, tj. ogrzewanego i oświetlonego pokoju pasażerskiego,

- utrzymanie i przeprowadzanie drobnych remontów państwowego domu pocztowego,

- odpowiadanie za powóz i rzeczy pasażera oraz ich reperowanie, gdyby uległy niszczeniu z winy pocztyliona (...).

Ponadto pocztalther:

- był zobowiązany do bezpłatnego przewożenia inspektora generalnego poczty i naczelnika urzędu pocztowego, jeśli ci udawali się na inspekcje stacji pocztowych,

- nie mógł poddzierżawiać pocztaltherii osobie trzeciej bez zgody DGP,

- nie mógł odmówić koni podróżnemu na stacji o żadnej porze dnia.

Do tych obowiązków dochodziły jeszcze dwa: odprowadzanie części zysków do kasy urzędu pocztowego i wynagradzanie pocztylionów według ustalonych stawek¹⁸.

By należycie wypełniać te liczne obowiązki stacja pocztowa musiała być odpowiednio zorganizowana i wyposażona. Na stacji pocztowej w Sieluniu pocztalther Stanisław Liwski i jego następcy by sprostać tym obowiązkom musiał posiadać odpowiednio



Fot. 6. Ogłoszenie z 13 V 1850 r. informujące o zgłaszaniu się po odbiór należności właścicieli koni za ich dostarczenie na przejazd księżnej Olgi Mikołajewnej z małżonkiem. Źródło: DzUGP nr 21 z 1850 r.

Poniżej fot. 7. Pojazd pocztowy z I poł. XIX w. na tle budynku poczty w Królestwie Polskim (W. Polański, *Znaki i marki pocztowe w Polsce w XVIII i XIX wieku (1780–1870)*, Kraków–Genewa 1922) oraz stemple i kasowniki pocztowe używane na terenie Królestwa Polskiego w I poł. XIX w. (*Polskie znaki pocztowe*, red. A. Łaskiewicz i Z. Mikulski, t. 1, Warszawa 1960, s. 38, 44, 85).



dostosowane budynki.

W państwowym domu pocztowym, nad którym pełnił pieczę musiał mieć odpowiednio urządzonej pokój przeznaczony dla podróżnych, w którym ci mogli by odpocząć i posilić się. Jak pisze M. Czernik: „Każdy pocztalther zobowiązany był kontraktem zawartym z DGP do przygotowania w budynku pocztowym i utrzymania w czystości *izby dla podróżnych*, oświetlonej, a zimą opalanej, wyposażonej przynajmniej w dwie kanapy lub sofy, dwa stoliki, lustro, sześć krzesel

i parawan”. Na stacji pocztowej w Ostrołęce urządzono apartament dla przejeżdżającego cara, lub innych *dostojnych gości*, gdyż zgodnie z harmonogramem ich podróży z Petersburga do Warszawy korzystali tu z odpoczynku¹⁹. Obowiązkiem pocztalthera była dbałość o stajnie i wozownie oraz troska o stan koni pocztowych, o utrzymanie i konserwację wozów pocztowych (bryczek, karet, dylizansów). Ponieważ podróżny

¹⁸ M. Czernik, *Poczta...*, s. 236–237.

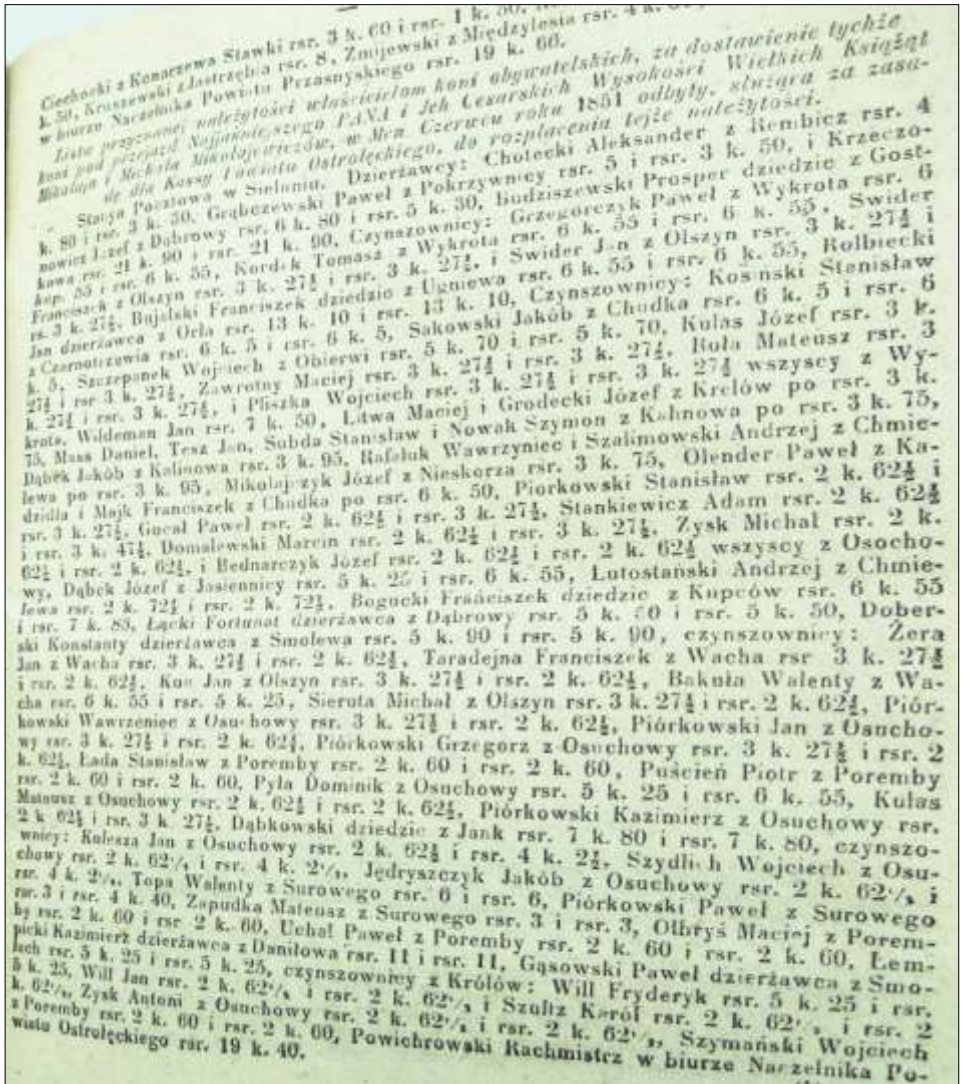
¹⁹ Tamże, s. 242.

podróżujący ekstrapocztą mógł wynająć na stacji pocztowej nie tylko konie z pocztylionem, ale również pojazd (bryczkę, karetę itp.) pocztalterzy byli więc zobowiązani do posiadania różnych pojazdów do ekstrapoczt²⁰. Na pewno takie pojazdy znajdowały się na stacji pocztowej w Sieluniu.

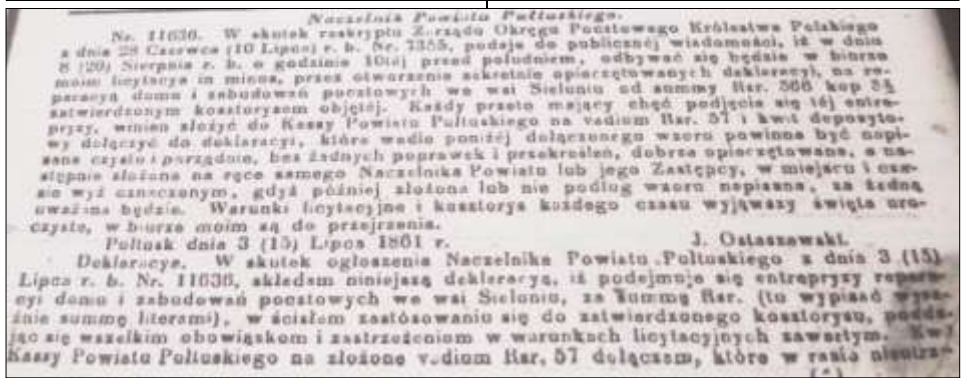
Pocztalter angażował także do pomocy zamożnych obywateli z okolicy by jak najgodniej przyjąć podróżujących *dostojnych gości*. Wiosną 1851 r. Traktem Kowieńskim podróżował ponownie car Mikołaj I z małżonką Aleksandrą Fiodorowną i księżną Marią Mikołajewną. W „Gazecie Warszawskiej” z 2 VIII 1851 r. ukazało się podziękowanie namiestnika Królestwa Polskiego urzędnikom i obywatelom odpowiedzialnym za przygotowanie podróży *dostojnym gościom*, w tym m.in. ekspedytorowi poczty z Sielunia Stanisławowi Liwskiemu, a także z Glinek Starych księciu Kalkstowi Korybut Woronieckiemu²¹.

W kilka miesięcy później trasą tą ponownie podróżował car Mikołaj I, tym razem w towarzystwie swoich synów, książąt Mikołaja i Michała. Rząd Gubernialny Płocki opublikował 19 VII 1852 r. w „Dzienniku Urzędowym Guberni Płockiej” ogłoszenie by obywatele, którzy dostarczyli konie na stacje pocztowe (w tym na stację w Sieluniu) zgłaszali się do kas powiatowych po odbiór należności za dostawienie koni²².

Funkcjonowanie poczty w Królestwie Polskim dobrze ocenił Józef Krasiński w napisanym przez siebie w 1821 r. przewodniku dla podróżujących. Pisał w nim: *Urządzenie naydogodniejsze poczt w Królestwie Polskim do takiej teraz doprowadzone jest doskonałości iż w tym względzie nic więcej żądać już nie można. Konie po większej części ukraińskie i ruskie, mierney wielkości, lecz mocne, wytrzymałe i skore bywają. Podróżujący będąc spiesznie na stacjach ekspedyowanym i również z iedney na drugą przewożonym, nie doznaie żadney zgoła zwłoki; a nawet i te ma ieszcze korzyść, że nigdy (choćaż poczty bywają podwójne) pocztylionowie nie zatrzymują się tak jak w Niemczech dla dania koniom wypoczynku, lecz iednym ciągiem zawsze z mieysca na mieysce dowożą. Dylizanse przebiegają regularnie wszystkie znaczniejsze trakty w Królestwie, sporządzone niedawno zostały na wzór Francuzkich. Są to wielkie bardzo karety, o ośmiu mocnych resorach, z dobremi portierami, sofanem wybite, mające wygodne wewnątrz siedzenia dla passażerów, których do dwunastu zmieścić może [...]. Na każdej Stacji znaiduie się księga sznurowa, numerami i pieczęcią Dyrekcyą Generalną oznaczona, której kaźden podróżujący coby w iakiemkolwiek bądź względzie czuł się bydyź obrażonym, albo iaką miał sobie wyrządzoną niesłuszność, ma prawo zażądać dla zapisania w niey swojego zażalenia, które spieszny ściągga na siebie Sąd i słuszne ukaranie*. Krasiński podaje również opłaty jakie obowiązywały podróżnych korzystających z usług poczty. *Jadąc exprespocztą własnym pojazdem płaci się za miłą od iednego konia Zł. Pol.2. Kurier*



Fot. 8. Ogłoszenie informujące o zgłaszaniu się właścicieli koni po odbiór należności za ich dostarczenie na przejazd cara Mikołaja I i jego synów. Źródło: DzUGP nr 31 z 1852 r.



Fot. 9. Ogłoszenie z 28 VI 1861 r. informujące o licytacji na remont domu i zabudowań pocztowych w Sieluniu. Źródło: DzUGP, nr 32 z 1861 r.

placi od konia iednego za miłą Zł. Pol. 3. Kaźdemu pocztylionowi płaci się za miłą groszy 24, co się nazywa „trynggeld” czyli na piwo. Osoba chcąca iechać Dylizansem nie biorąc nic z sobą płaci Zł. Pol. 1 za miłą. Gdy zaś rzeczy iey wynoszą funtów 50, na ten czas płaci Zł. Pol. 1 i gr. 15²³.

Po kilkudziesięciu latach eksploatacji dom pocztowy i inne budynki na stacji pocztowej w Sieluniu wymagały remontu. W lipcu 1861 r. w „Dzienniku Urzędowym Guberni Płockiej” opublikowano ogłoszenie o mającej się odbyć

licytacji na reperację domu i zabudowań pocztowych w Sieluniu. Remonty takie przeprowadzane były w zależności od potrzeb co kilkanaście lub kilkadziesiąt lat.

Jak wynika z relacji najstarszych mieszkańców Sielunia, konna poczta w Sieluniu (ze stacją i budynkiem pocztowym i w miejscu, tak jak na planie) funkcjonowała jeszcze w latach dwudziestych i trzydziestych XX w.²⁴.

Tadeusz Suski

²⁰ Tamże, s. 238.

²¹ „Gazeta Warszawska”, 1851, 202.

²² DzUGP nr 31 z 1852 roku.

²³ J. Krasiński, *Przewodnik dla podróżujących w Polsce i Rzeczypospolitey Krakowskiej*, Warszawa 1821, s. 91.

²⁴ Z relacji najstarszych mieszkańców Sielunia Wacława Janyszko i Henryka Kiśla.



Pobyt Marii Skłodowskiej-Curie w Szczukach (1886–1889)

prof. Kazimierz BRAUN

Maria Skłodowska przybyła z Warszawy do Szczuk 1 I 1886 r. Miała wtedy dokładnie 18 lat i dwa miesiące, była po maturze (którą uzyskała w wieku 16 lat, ze złotym medalem, w III Rządowym Gimnazjum w Warszawie); była też po rocznych wakacjach u rodziny na wsi (1883/1884, tzw. „rok swobody”) oraz rozpoczętych studiach konspiracyjnych na Uniwersytecie Latającym. Miała też już za sobą życiowe nieszczęścia, które mocno przeżyła jako dziecko (kiedy miała 9 lat zmarła jej najstarsza siostra Zosia, a 11 lat – matka Bronisława z Boguskich Skłodowska). Maria posiadała także pierwszy staż zawodowy – od dwóch lat pracowała bowiem jako korepetytorka, nauczycielka domowa, a także w biurze adwokackim w Warszawie. Maria musiała pracować począwszy od 17-ego roku życia, choć od razu po maturze pragnęła podjąć studia, podobnie jak jej starsza siostra Bronia. Jednak Uniwersytet w Warszawie nie przyjmował kobiet, więc z Bronią marzyły o studiach na paryskiej Sorbonie. Na to jednak rodzina nie miała pieniędzy. Ich ojciec, Władysław Skłodowski, wdowiec, swoje skromne nauczycielskie, dochody przeznaczal bowiem na finansowanie w Warszawie studiów medycznych jedynego syna Józefa. W tej sytuacji, siostry Skłodowskie: Bronia i Mania (bo tak nazywano w domu najmłodszą Marię Salomeę), po długich naradach, zmęczone „niewdzięcznym sposobem zarabiania na życie”, jakim było szczególnie udzielanie prywatnych korepetycji w stolicy (płatnych pół rubla za godzinę), postanowiły, że najpierw nad Sekwanę wyjadzie starsza Bronia, a Maria będzie zarabiać i posyłać jej pieniądze, aby później korzystać z pomocy siostry. Jeszcze podczas swoich rocznych pomaturalnych wakacji Mania napisała do Broni wielkoduszny list, z którego wynika, że to ona zdecydowała o wyjeździe siostry na studia nad Sekwanę. Pisała do Broni 15 I 1884 r. ze Skalbierza: *Ty jesteś stworzeniem, które najwięcej kocham na świecie, i że nikogo nigdy tak kochać nie będę, a w każdym razie Ci rękę, że o Ciebie i Twoje szczęście dbam więcej, niż o siebie.* Nie pomogło opieranie się Broni i jej przekonanie, że to Mania jest bardziej zdolna i powinna jechać pierwsza... Najpierw na Sorbonę, jesienią 1885 r., pojechała starsza siostra.

Aby jej pomóc, Mania musiała znaleźć bardziej płatne zajęcie, gdyż z pracy w stolicy niewiele mogła zaoszczędzić. Wybrała się więc samodzielnie do biura pośrednictwa pracy, złożyła ofertę i przyjęła posadę nauczycielki domowej do kilorga dzieci we wsi Szczuki, w powiecie ciechanowskim, u zamożnej



ziemiańskiej rodziny Żórawskich. Decyzja o wyjeździe na daleką wieś nie była dla Marii łatwa. Pierwszy raz rozstawała się z rodziną, nie obyło się więc bez zalu i łez. Ponadto wyjazd pozbawiał ją możliwości kontynuacji zdobywania wiedzy na Uniwersytecie Latającym (Babskim), co dla zdolnej absolwentki gimnazjum rządowego było niemałą stratą. Po latach jej córka Ewa Curie napisze: *Czemu nikt nie zorientował się w genialnych zdolnościach Marii już wówczas, gdy była młodzieńką dziewczyną, czemu jej pozwolono tyle lat stracić w bezpłodnej pracy nauczycielki domowej, zamiast ją, choćby za cenę najwyższych wysiłków, od razu wysłać na studia do Paryża.* Natomiast Maria po latach, wyjazd do Szczuk i swoje pożegnanie z ojcem na dworcu kolejowym w Warszawie, tak wspominała: *Z ciężkim sercem wchodziłam na stopnie wagonu. Miał mnie on oddalać przez kilka godzin od tych, których kochałam (...)* *Co mnie tam spotka? Takie zadawałam sobie pytanie siadając przy oknie wagonu i spoglądając na szeroko rozpostarte równiny.* Wysiadła po trzech godzinach, prawdopodobnie w Ciechanowie. Potem czekała ją jeszcze pięciogodzinna – jak określiła – podróż saniami. Zziębnięta przybyła do rodziny Żórawskich w Szczukach dopiero mroźną, noworoczną nocą.

Jako guwernantka ich dzieci miała otrzymywać pensję 500 rubli rocznie oraz utrzymanie. W kolebce nowoczesnej gospodarki Szczuki, położone nieopodal, bo dwa kilometry od Krasnego (gniazda rodowego Krasińskich) w dawnej guberni płockiej, wchodziły w skład dóbr hrabiego Ludwika Józefa Adama Krasińskiego (1833–1895).

Magnat ten był jednym z najbogatszych w Królestwie Polskim, poza Krasnem posiadał liczne majątki, m.in. Ojców wraz z zamkiem w Pieskowej Skale czy Ursynów pod Warszawą. Kształcił się w Paryżu, przyjmował liczne zaszczyty i funkcje (m.in. Kawalera Maltańskiego, współpracował też z paryskim Hotelem Lambert). Znany był także z przedsiębiorczości. W maju 1860 r. ożenił się z liczącą 40 lat Elizą z Branickich, wdową po poecie Zygmuncie Krasińskim z pobliskiej Opinogóry, który był jego dalekim krewnym. Chociaż Ludwik był młodszy od Elizy o 13 lat, to darzył ją silnym uczuciem i uznał jej czwórkę dzieci poczęte z poetą za własne. Ona też była z nim podobno szczęśliwa (po raz pierwszy w swoim życiu), nie spoczywa zresztą z pierwszym mężem poetą w Opinogórze, tylko z bardziej kochanym Ludwikiem w podziemiach kościoła w Krasnem. Jemu też zapisała w testamencie cały swój majątek, czego nigdy nie wybaczyła jej ani rodzina, ani przyjaciele trzeciego wieszca.

Ludwik hrabia Krasiński był bardzo operatywny. Prowadził działalność gospodarczą na wielką skalę, w Warszawie kupował i budował kamienice, założył fabryki asfaltu i wyrobów rogowych, współdziałał z L. Kronenbergiem przy budowie kolei żelaznej warszawsko-terespolskiej. Działał również w licznych organizacjach oraz instytucjach, np. był współzałożycielem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie (w 1875 r.), a potem jego długoletnim prezesem. Wspierał też wydanie *Encyklopedii rolniczej* (był nawet współautorem tekstów), organizację laboratoriów, akcje odczytowe. Przyczynił się także do powstania i rozkwitu Biblioteki Ordynacji Krasińskich w Warszawie. Pasją Ludwika hrabiego Krasińskiego były konie. W Krasnem założył w 1857 r. jedną z pierwszych na ziemiach polskich stadninę koni pełnej krwi angielskiej, które startowały na wyścigach nawet w Moskwie i Petersburgu. To z jego hodowli pochodzi słynny do dziś Ruler (1884–1904), nazywany „ogierem stulecia”. Hrabia Ludwik uprzedmyślał swoje dobra, zakładał w nich młyny, cegielnie, drożdźownie, krochmalnie, gorzelnie, cukrownie. Na terenie majątku Krasne żyzne gleby też zostały wcześniej zmeliorowane i gospodarka wyróżniała się wysoką kulturą rolną. Ludwik hrabia Krasiński nastawiał się na uprawę buraków cukrowych, dlatego w Krasnem postanowił wybudować cukrownię „Krasiniec”. Powstała ona na 20 lat przed przybyciem Marii, w 1866 r., na wydzielonym

gruncie z terenu folwarku Szczuki.

Wysoki poziom gospodarowania w dobrach Krasne był szeroko znany w okolicy, stąd wizyta w 1877 r. czołowego pozytywisty Bolesława Prusa, który opisał w *Kartkach z podróży* swoje wrażenia i nazwał Szczuki oraz cukrownię „Krasiniec” *jednym z powiatowych słońc, ku któremu zwracają się tęskne spojrzenia tutejszych rolników*. Pisał on dokładnie na dziewięć lat przed przybyciem młodej guwernantki Marii Skłodowskiej: *Szczuki, czy tam Krasiniec, pierwsza fabryka, jaką widziałem w życiu, oddziaływała przede wszystkim na mój wzrok, a później na powonienie. Oto są dwa kominy wyrzucające tyle dymu, jakby kto fajkę palił, a tak wysokie, że stanowią mogą niebezpieczną konkurencję dla niejednej literackiej i nieliterackiej wielkości. A oto budynki...! Ile tu pięter...! Ile okien! Tym jednak, którzy by pragnęli uniknąć rozczarowań, nie zalecam wchodzić na podwórze cukrowni. Pierwszym bowiem przedmiotem, który mnie uderzył, był stos czaszek końskich, goleni wołowych, psich żeber i tym podobnych kostnych szczątków naszej braci w Darwinie, pomieszanych ze sobą niewymownie chaotycznie. Kości te w specjalnych naczyniach spalają się na węgiel – węgiel służy następnie do oczyszczania cukru, a gdy się sam zanieczyści ulega obmyciu w kąpieli z kwasu solnego. Szczególny ten rodzaj łaźni wydaje silną woń śmietnikową, która wypełnia całą fabrykę, czepia się zwiedzających i zapewne dokładnie nasycza organizm wszystkich robotników. Otóż zdaje mi się, że każdego jeżeli nie urzędnika, to przynajmniej dyrektora cukrowni, poznalbyśmy po zapachu*.

U rodziny Żórawskich i właśnie nieopodal cukrowni „Krasiniec” stał dwór Żórawskich, wzniesiony 16 lat przed przybyciem Marii (w 1870 r.) - murowany, z drewnianym gankiem, otoczony z jednej strony parkiem przechodzącym w rozległy ogród, a z drugiej budynkami gospodarczymi. Młoda guwernantka z Warszawy otrzymała w nim duży, przyjemny pokój na piętrze z oknem na opisywaną przez Prusa fabrykę cukru. W dworku mieszkał dzierżawca folwarku w Szczukach - Juliusz Żórawski, wraz z żoną Kazimierą z Kamieńskich oraz dziećmi: Kazimierzem (na zdjęciu powyżej) (1866), Bronisławą (1868), Władysławem (1871), Juliuszem Sylwinem Marianem (1872), Anną (1876), Stanisławem (1892) i sześciomiesięczną Marychną. Trzech synów przebywało już i uczyło się w Warszawie, jeden z nich, Kazimierz, studiował na uniwersytecie. Po latach Maria wyznała w Autobiografii: *Najstarsza córka była mniej więcej w moim wieku i, aczkolwiek uczyłam ją, była raczej towarzyszką niż uczennicą. Poza tym było dwoje młodszych dzieci - syn i córka. Stosunek mój do nich był przyjacielski; po lekcjach chodziliśmy razem na spacer. Kochając wieś nie czułam się samotna, a chociaż krajobraz nie należał do szczególnie malowniczych, lubiłam go w każdej porze roku*.

Juliusz Żórawski, który dzierżawił majątek w Szczukach od 1864 r. (235 ha), był także pionierem nowoczesności. Jednocześnie dzierżawił też dobra Krasnosielc w powiecie makowskim (12 tys. ha) i zarządzał przez pewien czas podciechanowskim majątkiem

Szczurzyn (gdzie urodził się jego syn, wybitny matematyk Kazimierz Żórawski, miłość Marii Skłodowskiej). Był również udziałowcem cukrowni „Krasiniec”, a w latach 1880–1889 jej współadministratorem. W Szczukach Juliusz Żórawski upowszechniał nawozy sztuczne (po wizycie w Czechach), uprawiał nowe odmiany zbóż (w 1893 r. otrzymał za nie nagrodę w Chicago), wprowadzał pozytywistyczne ideały, m.in. współtworząc stację doświadczalną w pobliskim Chojnowie, czy zakładając pierwsze w okolicy ziemiańskie kółko rolnicze.



Maria doceniała, podobnie jak Bolesław Prus, rozwój gospodarczy ziemi, na którą przybyła. Zwiedzała okolicę, dosiadając często konia, lubiła też długie spacery w towarzystwie młodych Żórawskich. Wspominała w autobiografii: *Interesowałam się żywo gospodarstwem rolnym, w którym stosowano metody uważane w całej okolicy za wzorowe. Poznałam kolejne etapy pracy na roli, rozmieszczenie zbóż na polach. Obserwowałam rozwój roślin, a w stajniach folwarcznych każdy koń był mi znany. W listach wysyłanych ze Szczuk młoda nauczycielka chwaliła też najpierw państwa Żórawskich za ich dobroć i serdeczność. Narzekała natomiast na „straszne rozbawienie okolicy”. Po miesiącu pobytu w Szczukach Mania pisała do kuzynki Heni: *Nic tu nie robią, tylko bawią się, a nas, co mniej udziału bierzemy, w tem ogólnem pomieszczeniu zmysłów, obmawiają okropnie, prawdziwie po parafiańsku. (...) Tu był bal w Trzy Króle; znaczna ilość figur, kwalifikujących się na parawan była obecną, ja obserwowałam i bawiło mnie to bardzo; już to młodzież wcale nieciekawa, panny zaś albo gąski nic nie mówiące, albo też prowokujące w wysokim stopniu; są podobno i inne, rozumniejsze, ale dotąd moja Bronia Ż. wydaje się brylantem ze względu na inteligencję i zrozumienie życia. I dziwiła się: (...) jak się mogą tak bawić wobec takiego położenia kraju (...). Nadmieniała też w tym liście: *Mam 7 godzin zajęć dziennie. 4 z Andzią, 3 z Bronią. Jest to trochę dużo, ale trudno*. Trzy miesiące później także skarżyła się do kuzynki na poziom intelektualny okolicznych mieszkańców, pisząc, że w towarzystwie jest *niepodobna mówić co się myśli, a inteligentnej młodzieży jest mało, że można ich dać na wystawę*. Pisała: (...) *Dla wszystkich wyrazy takie, jak pozytywizm, Świętochowski, kwestia robotnicza są***

prawdziwą bete notre, naturalnie dla tych, co o takich wyrazach słyszeli, bo tych nie jest wielu. Podkreślała jednak, że: *Państwa Ż. dom jest wyjątkowo bardzo inteligentny i stanowi przedmiot uwielbienia i plotek dla okolicy. Pan Ż. człowiek starego pokroju, ale bardzo rozsądny, sympatyczny i wyrozumiały. Pani trochę trudna w pożyciu domowem, ale bardzo dobra, byle umieć do niej trafić, zdaje mi się, że mnie dosyć lubi*.

Maria prowadziła w Szczukach szeroką korespondencję: z kuzynką Henią Michałowską (po mężu Pawlewską, mieszkającą we Lwowie), też zawziętą pozytywistką; z ojcem, bratem, siostrami, serdeczną przyjaciółką z gimnazjum Kazią Przyborowską. Brakowało jej bowiem kontaktów z ludźmi o szerszych horyzontach, ciekawych spotkań, intelektualnych rozmów, tej atmosfery, którą zostawiła w domu rodzinnym. Stąd ceniła obecność pobliskiej cukrowni, odwiedzała ją, prowadziła rozmowy z dyrektorem, inżynierami, pożyczala z jej biblioteki książki i czasopisma. Cukrownia wpływała jednak negatywnie na krajobraz, o czym pisze w swojej książce córka Marii, Ewa Curie: *... w promieniu wielu kilometrów, nic - tylko buraki, buraki, buraki... Zwłaszcza w jesieni nieznosnie tu brzydko i szaro, gdy zewsząd ciągną przesiadają stopy tych buraków, poskładane na gliniastej ziemi, załadowane na wozy, które woły leniwie ciągną ku cukrowni. Cała okolica żyje pod znakiem fabryki, każdy z mieszkańców pracuje w niej lub dla niej. I nawet rzeczółka przepływająca tędy, jest jej niewolnicą: jasna dociera tutaj i przezroczysta, opuszcza zaś to miejsce mętna, pełna tustych smug i brudnożółtej piany*. Krajobraz piękniał na szczęście zimą. Maria z nostalgią wspominała po latach o wycieczkach saniami po drogach, które było trudno dojrzeć wśród zasp, ślizgawki na rzecze Węgiecie i że *rozległe płaszczyny pokryte śniegiem nie były pozbawione uroku*. Zapamiętała (...) *wspaniały dom ze śniegu, który wybudowaliśmy pewnej zimy, kiedy śniegu było bardzo dużo; mogliśmy siedzieć wewnątrz i wyglądać stamtąd na pokryte różowawo-białym puchem równiny. Chodziliśmy też ślizgać się na rzekę. Z niepokojem myślało się wtedy o pogodzie, martwiliśmy się, aby lód nie stopniał pozbawiając nas tej rozrywki*.

Maria bywała też często w kościele w Krasnem, czym dzieliła się z kuzynką Henią: *Ażebym wiedziała jak przykładowie się tu prowadzę! Chodzę do kościoła w każdą niedzielę i święto, nigdy nie zastanawiając się bólem głowy czy grypą, aby zostać w domu. Prawie nigdy nie mówię o wyższych studiach dla kobiet. Ogólnie biorąc obserwuję w moich wypowiedziach zahamowania narzucone mi przez moją sytuację. Świątynia w Krasnem była wtedy świeżo po gruntownej renowacji. Przeszła ją akurat podczas odwiedzin Bolesława Prusa, sfinansował ją w latach 1877–1883 Ludwik hrabia Krasiański. Kościół otrzymał marmurowy ołtarz, nową posadzkę, odnowioną, wyłożoną białym marmurem kryptę, nowe dębowe meble. Prus nazwał Krasne *jedną z najpiękniejszych własności ziemskich*. Pisał w *Kartkach z podróży*: *Ledwieś wjechał na to błogostawione terytorium, czujesz, żeś stanął oko w oko z kulturą wyższą, z pewnym rodzajem**

wzorowego folwarku. Pola pięknie uprawne, drogi gładkie jak stół, mostki jeżeli nie murowane, to jednak całe i bezpieczne, rowy aż pachną. Jeżeli jest plot – to już nie świeci brakiem sztachet – każdy zaś budynek drewniany czy murowany odznacza się obszernością i dobrym smakiem. Dalej Prus opisał kościół w Krasnem, którego podziemia akurat remontowane, mieszczą marmurowe sarkofagi i groby Krasieńskich, miejscową piekarnię posiadającą własny furgon ze stosownym napisem oraz nieistniejący już, zburzony przez hitlerowców podczas II wojny światowej, pałacyk Krasieńskich w parku, jego zdaniem skromny. Budowla ta, jednopiętrowa i żółtawa, leży wśród płaskiego ogrodu, w którym najmniej bystry obserwator z łatwością dostrzec może jedną ławkę w cieniu jakiegoś rozplakanego drzewa. Trawniki są tak czyste jak niektóre pejzaże z wystawy sztuk pięknych (na jednym z nich ułożono z kwiatów rysunek kotwicy, serca i krzyża, drzew dosyć. Całość technicznie spokojem, a miejscowych pisarzy prowentowych nastrojać musi ton bardzo uroczysty. Prus nie zwiedzał wnętrza pałacyku, gdzie mieszkał hrabia, z powodu niewłaściwości podobnych pragnień. Zajrzał za to do stajni, której roczne utrzymanie kosztowało około 15 000 rubli, zachwycał się końmi oraz uprzejmą służbą i ubolewał, że podobnych jest zaledwie kilka. Opisywał: Stajnia tutejsza ściągła wiele widzów i ma rozległą sławę, z tej zapewne racji, że jest bita na wszystkich torach; lecz zewnątrz i wewnątrz odznacza się zachwycającym porządkiem i czystością. Podłogi wyglądają lepiej aniżeli w niejednej restauracji. Każdy koń ma swoją zagrodę lub pokoik z napisem żłób, drabinkę i słomy co wlezie. Przy drzwiach wisi zegar i tablica, na której notuje się dyżury; wnosząc jednak z dat – sądzić by można, że kalendarz tutejszy w porównaniu ze zwykłym spóźnia się przynajmniej o miesiąc. Konie są ładne i czysto utrzymane; ponieważ jednak noszą nazwiska prawie wyłącznie angielskie i muszą rozmawiać tylko w tym języku i tylko z osobami dobrze urodzonymi, o życiu więc ich i przymiotach od nich samych żadnych nie mogłem zasięgnąć wskazówek. Pisarz chwalił w Krasnem i „bardzo przystojne bydło”, choć nie zobaczył, jak ono „mieszka”. Przyszły noblista wspominał również o bramie wjazdowej do majątku Krasne, która akurat powstawała. Od strony drogi buduje się obecnie brama wjazdowa, wielka i śliczna jak katedra gotycka lub zamek – zanotował pisarz.

Tak rozwinięte i sławne Krasne, oddalone o dwa kilometry od folwarku Szczuki, też stanowiącej część dóbr Ludwika hrabiego Krasieńskiego, zastała dziewiętnastoletnia guwernantka, przyszła dwukrotna noblistka.

Podczas codziennych, długich spacerów czy przejażdżek konnych z młodymi Żórawskimi, Maria spotykała w okolicy ubogie dzieciaki, głównie robotników z miejscowej cukrowni, ale i chłopskie - mizerne, umorusane na błotnistych drogach, za to z błyskiem inteligencji w oku. Pomimo dużego obciążenia nauczaniem dzieci Żórawskich, jako „idealistka pozytywistyczna”, postanowiła

nauczyć je mowy i historii ojczyzny. Bezpłatnie. Niektóre z nich uczęszczały bowiem do istniejącej przy cukrowni szkółki, ale nauczano je w języku rosyjskim (np. w 1888 r. szkoła fabryczna w Krasieńcu liczyła 53 dzieci stałych pracowników, inni musieli płacić). Pomysł Marii zaakceptowała Bronka Żórawska, i to nawet z entuzjazmem, mimo iż guwernantka z Warszawy, jak zwykle śmiała i niekonwencjonalna, ostrzegła ją: *Tylko zastanów się dobrze. To może grozić nawet Syberią, gdyby nas ktoś zadenuncjował...* Projekt tajnego nauczania poparł także ojciec Bronki, postępowy Juliusz Żórawski i już po pół roku pobytu w Szczukach, 3 VIII 1886 r., Mania pisała do kuzynki Heni: *Mam dwie godziny lekcji z Andzią, czytam z Broncią, na godzinę przychodzi do mnie dzieciak tutejszego robotnika, którego do szkoły przygotowuję; prócz tego Broncia i ja mamy 2 godziny dziennie lekcji z dziewczynkami wiejskimi; jest to prawie szkółka, bo mamy ich do dziesięciu. Uczą się nadzwyczaj chętnie, ale strasznie z niemi nieraz trudno. Pocięsza mnie, że stopniowo rezultaty się zwiększają z coraz*



większą prędkością. Pięć miesięcy później, w grudniu 1886 r., Maria relacjonowała kuzynce: *Mam stałe codzienne zajęcia z wiejskimi dziećmi, których liczba dochodzi już do 18; naturalnie nie przychodzi wszystkie razem, bo nie dałabym rady, ale i tak zajmują mi półtorej do dwóch godzin dziennie. W środę i w sobotę zaś siedzę z nimi jeszcze dłużej, czasem do pięciu godzin. Z dzieciaków tych mam rzeczywiście ogromną pociechę. Po latach, już jako słynna Maria Curie, nawiązuje do tego wątku w swojej autobiografii: *Ponieważ normalne obowiązki nie zabierały mi całego czasu, utworzyłam małą klasę dla wiejskich dzieci, które za rządów rosyjskich nie miały się gdzie uczyć. Pomagała mi w tym najstarsza córka gospodarzy domu. Uczyłyśmy małe dzieci i te starsze dziewczęta, które chciały przychodzić, czytania i pisania; puszczaliśmy też w obieg książki polskie,**

cenione również przez rodziców. Nawet ta niewinna praca oświatowa była niebezpieczna, ponieważ wszelka inicjatywa tego rodzaju była zakazana przez rząd i groziła więzieniem lub deportacją na Sybir.

Córka Ewa doceniała później patriotyzm i poświęcenie matki, pragnącej „być użyteczną dla ludu”. Przybliżyła nawet w swojej książce warunki nauki, jakie wiejska nauczycielka stworzyła w czasie tajnego nauczania: *Żeby dzieciom było wygodnie, ustawiła Mania pośrodku swego pokoju duży kuchenny stół i stolki. Z własnych oszczędności kupiła zeszyty, ołówki i pióra, nad którymi tak niezgrabnie od przedwczesnej pracy. Mnóstwo trzeba się nabiedzić nad tym, by główki, nieprzywykłe do żadnych umysłowych zajęć, nauczyły się skupiać uwagę na książce, na słowach nauczycielki. Lecz ileż w zamian radości, ile triumfu, gdy wreszcie te dziwne, czarne na białym tle, znaki zaczynają nabierać dla nich sensu i gdy tak bardzo z tego się cieszą i dzieci i rodzice niepiśmienni, którzy nieraz przychodzą i, cicho w kącie stanąwszy, przypatrują się i przysłuchują lekcjom... Jakież tu drzemią olbrzymie bogactwa dobrej woli, bezużyteczne i nikomu nieznanne – myśli Mania, - Ile zdolności i talentów ukrywa się może pod tymi zmierzwiionymi czuprynkami.*

Pomimo podwójnych obowiązków: kształcenia dzieci Żórawskich oraz tajnego nauczania młodych analfabetów wiejskich, Maria znajdowała jeszcze w Szczukach czas na intensywne samokształcenie. Nocami pochłaniała książki i podręczniki, wypożyczane z biblioteki Cukrowni „Krasieniec”. Starła się własnymi siłami przygotować na studia, uzupełniając wiedzę wyniosioną z warszawskiego, zrusyfikowanego gimnazjum, choć „za pomocą książek zebranych na chybił trafił”. W autobiografii wspomina, że dokonała wtedy wyboru swoich szerokości zainteresowań: *Nie byłam jeszcze zdecydowana, jaką drogę obiorę. Zajmowała mnie zarówno literatura, jak socjologia i wiedza ścisła. Powoli jednak przez te lata samotnej pracy, badając moje zdolności i upodobania, zatrzymałam się ostatecznie na matematyce i fizyce.*

Wszelkie wątpliwości z przestudiowanych lektur konsultowała korespondencyjnie z ojcem. W swoim pokoju na piętrze w Szczukach studiowała wieczorami kilka różnych tytułów jednocześnie. W cytowanym już liście do Heni z grudnia 1886 r., Maria napisała, że do swoich książek ma czas zabrać się dopiero po dziesiętnej wieczorem i aktualnie czyta: *Fizykę Daniella w przekładzie Józefa Jerzego Boguskiego, Socjologię Spencera po francusku, a po rosyjsku przerabia lekcje anatomii i fizjologii Paula Berta. Czytam kilka rzeczy, ponieważ zajmowanie się długie jednym przedmiotem nużyłoby mój bez tego wyczerpany umysł. Gdy jestem absolutnie niezdatna do produkcyjnego czytania, przerabiam algebraiczne lub trygonometryczne zadania, bo te nie dopuszczają kompromisów z uwagą i wytrzeźwiają mnie.*

Samodzielne studiowanie olbrzymich dzieł wiedzy nie było łatwe, stąd podziw musi budzić jej niezwykła pracowitość, upór, samozaparcie i siła woli. Nocami, ogrzewając ręce przy kaflowym piecu, błądziła po trudnych labiryntach przestarzałych podręczników, szukała po omacku nici przewodniej w opasłych tomach. Po latach przyznała jednak, że wprawiła się wtedy w samodzielnej pracy i nauczyła się niejednego, co później okazało się przydatne. Ale nie raz w trudnych chwilach myślała z zazdrością o swoim starszym bracie Józefie, który mógł studiować legalnie medycynę na Uniwersytecie Warszawskim, przy pomocy finansowej ojca (który wspierał też, podobnie jak ona, studiującą w Paryżu Bronię). Mania była jednak bardzo rodzinna i altruistyczna, rozumiała trudną sytuację. Kiedy Józef skończył studia, i też próbował sił na prowincji, namawiała brata, aby zaciągnął kredyt finansowy, ale pozostał w Warszawie. Pisała do niego ze Szczuk 9 III 1887 r.: (...) *Zakopiesz się w dziurze i nic z Ciebie nie będzie. Przy braku porządnej apteki, szpitala, książek nawet przy najlepszych chęciach trudno nie zardzewieć. A ja, nie dziw się, mój najdroższy, ale ogromnie bym nad tym cierpiała, bo teraz, kiedy już nie myślę o tym, żeby coś ze mnie było, to całą moją ambicję ześrodkowałam na tym, żebyście choć Wy tak się pokierowali, jak powinniście przy Waszych zdolnościach, niechże te zdolności, które niezaprzeczenie istnieją w naszej rodzinie, nie zginą i chociaż w jednym z nas wybiją się na wierzch. Im więcej cierpię nad sobą, tym więcej pragnę dla Was...*

W Szczukach Maria dawała również niejednokrotnie dowody swojej fenomenalnej pamięci. Podczas jednego ze spotkań towarzyskich u Żórawskich, któryś z gości ułożył dowcipny, trochę złośliwy wiersz, w którym przypisał łatkę każdemu z obecnych. Wiersz ten, odczytany głośno, spodobał się młodej guwernantce, więc poprosiła autora, czy może go przepisać sobie na pamiętkę. Ten zaproponował z ironią, że skoro ma tak doskonałą pamięć, niech go odtworzy sama, po jego ponownym przeczytaniu. Kiedy Maria uważnie wysłuchiwała wiersza w wykonaniu autora, poszła na piętro do swego pokoju, wróciła po pół godzinie i odczytała utwór głośno zdumionym słuchaczom. Bez jednego błędu.

W Szczukach Maria, podobnie jak wcześniej, parała się też poezją. Zachował się z tego okresu jeden wiersz-list Mani z 1888 r., który dedykowała swojej najbliższej przyjaciółce Kazi Przyborowskiej (później Grodziskiej), w dniu jej ślubu, kiedy miała wyjść za mąż za Niemca:

(...) *Żegnaj siostrzyczko. Chociaż z obcymi
Wola cię własna związała.
Nie przestań kochać tej drogiej ziemi.
Gdzieś światło dzieńne ujrzała.*

*A mowę naszą, sponiewieraną
We wrastającym ucisku
W sercu tę mowę chowaj Kochana
I przy domowym ognisku.*

*Wszakże ojczyzna w sercach jedynie
Naszych ma życie i trwanie,
Niechajże zawsze w obcej krainie
Serce Twe polskim zostanie.*



*Żegnaj, na niebie Twojej przyszłości
Niech szczęścia nie gasną zorze
Na życia bóle, trudy, radości
Na nową drogę, Szczęść Boże!*

Los chciał, że narzeczony przyjaciółki zmarł na grypę w przeddzień ślubu, zaś cudzoziemca poślubiła właśnie Maria...

Przez całe życie, którego większą część spędziła na obczyźnie, zachowała jednak swój patriotyzm i będzie postępować według wskazań swojego młodzieńczego wiersza.

W Szczukach Maria przeżyła też pierwszą miłość. Najstarszy syn państwa Żórawskich, Kazimierz, po ukończeniu IV Gimnazjum w Warszawie, studiował od 1884 r. nauki matematyczne i fizyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Przyjeżdżał do rodziny w Szczukach na ferie i wakacje. Maria i Kazimierz pokochali się niemal od pierwszego wejrzenia. Jak opisuje matkę jej córka Ewa Curie, Maria, wcześniej nieco okrągła, w Szczukach wyprzystojniała, miała śliczne włosy, ładną cerę, zgrabne nogi i kształtne ręce. Była świeża i pełna wdzięku, wesoła i dowcipna. Ponadto kochała ruch i sport: ładnie tańczyła, doskonale jeździła konno i powoziła, wiosłowała, ślizgała się na łyżwach. Zarazem była kulturalna, inteligentna, dobrze wychowana, a przy tym z ogromną wiedzą, obdarzona niespotykaną pamięcią, znająca języki obce. Dla starszego o rok Kazimierza Żórawskiego przyjęta przez jego rodziców młoda nauczycielka była zupełnie odmienna od wszystkich panien dotychczas mu znanych. Zrobiła na nim silne wrażenie. Kazimierz, też piękny i pełen wdzięku młodzieniec, świetny tancerz i zręczny łyżwiarz, był świetną partią na całą okolicę.

Jednak już pod koniec 1886 r. okazało się, że uczucie, którym zapalał z wzajemnością do Marii, ani jej walory, nie były dla jego rodziców ważne. Ojciec wpadł w szal i oświadczył, że Kazimierz nigdy nie otrzyma od niego zgody na poślubienie guwernantki bez grosza przy duszy; a matka zagroziła, że zostanie wydziedziczony. Oboje marzyli dla syna o bogatej partii. Życzliwość, którą do tej pory otaczali nauczycielkę ich dzieci, zamieniła się szybko w chłód, w mur nie do przebycia. Kazimierz nie umiał się im

przeciwstawić, choć naprawdę pragnął poślubić Marię. Prosił ją o cierpliwość, obiecywał, że znajdzie jakieś rozwiązanie. Wycofał się jednak, zdając sobie sprawę, że bez zgody rodziców nie będzie w stanie kontynuować studiów i straci status społeczny w swoim środowisku, jeśli poślubi dziewczynę „poniżej swego stanu”. Sprawilo to zakochanej guwernantce wielki uczuciowy zawód. Próbowano zniszczyć młodzieńczą miłość, bo już pod koniec 1886 r., w liście do Heni napisała, że „gorączka zwana zakochaniem” nie wchodzi w jej plany: ... *jeżeli zaś dawniej miałam inne, to poszły z dymem, pogrzebano, pochowano, przypieczętowano i zapomniano, bo, jak Ci wiadomo, mur zawsze mocniejszy od głowy, który go przebić pragnie...*

Wydaje się jednak, że Maria długo nie mogła poradzić sobie ani z uczuciem do Kazimierza Żórawskiego, ani z pozycją odrzuconej. Świadczy o tym pisany dwa lata później list do jej najserdeczniejszej, akurat szczęśliwie zaręczonej przyjaciółki, Kazi Przyborowskiej, w którym nie potrafiła już ukryć bólu. Pisała 25 X 1888 r.: *„Piszę trochę z goryczą, Kaziu! Ale bo widzisz! Ty przeżyłaś najszczęśliwszy tydzień w życiu, a ja w ciągu tych wakacji przeżyłam takie, jakich Ty nigdy nie zaznasz. Przeszłam bardzo ciężkie dni i, jeżeli mi co pamięć ich osładza, to tylko to że, bądź co bądź, wyszłam z tego wszystkiego uczciwie i z podniesioną głową (...)*

Najprościej byłoby opuścić dom w Szczukach, ale na to Mania niestety, pozwolić sobie nie mogła. Nie chciała niepokoić ojca, ani rezygnować nagle z zarobków, które pozwalały jej utrzymać się i wysyłać po 15–20 rubli miesięcznie siostrze Broni. Maria zachowała więc milczenie, postanowiła wypić ten kielich goryczy i dalej wieść swój monotony byt: kontynuować pracę nauczycielki u Żórawskich i z wiejskimi dziećmi, wertować trudne księgi naukowe, utrzymywać korespondencję z bliskimi. Jej listy z tego okresu odzwierciedlają jednak przygnębienie i nawracającą depresję. Obciążała się brakiem własnej wartości, pisała, że czuje się głupia i tak biedna, jak określili ją Żórawscy. I rzeczywiście, mimo pracy na prowincji, nie zawsze miała pieniądze nawet na znaczki...

Stąd czasami wyrwała się jej skarga, jak w liście do brata Józefa z 18 III 1887 r.: *Kochany Józeczku, na tym liście, który w tej chwili piszę do Ciebie, przykleję ostatnią markę przeze mnie posiadaną, a że nie mam literalnie ani jednego grosza, ale to ani jednego, więc zapewne do Was więcej przed świętami nie napiszę (...)*. Skarżyła się też na brak warunków do nauki: *Co mogę zrobić, jeżeli nie mam miejsca, w którym mogłabym przeprowadzać doświadczenia lub wykonywać zajęcia praktyczne?* – pytała bezsilnie znad naukowych tomów, czując z goryczą, że dławiące życie na prowincji podcina jej skrzydła. *Mój Józeczku najdroższy, żebyś Ty miał pojęcie, jak ja wzdycham, pragnę wyjechać na kilka dni... Wydostać się na parę dni z tej lodowatej, ziębiejącej atmosfery krytyki i nieustannego dozoru nad swoim językiem, wyrazem twarzy i ruchami stało się dla mnie taką potrzebą, jak kąpiel w gorącej dzień letni* – pisała do brata w wyżej cytowanym liście. Pod koniec 1888 r. Maria porównywała swoje życie na wsi do egzystencji ślimaka, zamieszkującego brudną wodę tutejszej rzeczki, ale 25 XI 1888 r. pisała już do Heni: *Na szczęście spodziewam się w krótkim czasie wyjść z letargu, bo jeżeli tylko będę mogła, to po upływie szkolnego tego roku zamieszkałam w Warszawie. (...) Liczę dni i godziny do Świąt, tak mi tęskno do moich. Zresztą jest to także potrzeba nowych wrażeń, odmiany, życia, ruchu, która mnie ogarnia chwilami z taką siłą, że mam chęć bodaj największe szaleństwo zrobić, byle tylko nie było wiecznie to samo...* Maria przygotowała jeszcze dzieci państwa Żórawskich do półrocza jesienią 1889 r. do publicznych szkół i opuściła ich dom w Szczukach pod koniec czerwca, zaraz po egzaminach.

Pożegnała pola buraków i dom już dla niej nieżywczy. Uśmiechy z obydwu stron były jednak uprzejme, może aż zanadto... Pomimo upokorzenia, jakiego doznała od rodziny Żórawskich, wydaje się, że Maria miała jeszcze nadzieję, że po powrocie ze Szczuk do Warszawy Kazimierz Żórawski ją poślubi. Nadzieja ta rozwiła się dwa lata później, kiedy wrzesień roku 1891 postanowiła spędzić w Zakopanem, spotkać się tam z nim i podjąć ostateczną decyzję. Wyjeżdżając do zakopiańskiego kurortu oznajmiła ojcu, że ma swoją małą tajemnicę odnośnie przyszłości. Rzeczywiście Kazimierz Żórawski – świeżo upieczony doktor Uniwersytetu w Lipsku - dojechał do willi w Zakopanem, ale „córka mazowieckich równin” okazała wtedy dużo dumy. Nie dała się skłonić do przyjęcia „zwykłego losu kobiety” i zerwała z nim na zawsze, słowami: *Jeśli nie potrafisz znaleźć wyjścia z tej sytuacji, to nie sądzę, żebym ja miała cię tego uczyć.*

W sumie Kazimierz Żórawski kosztował Marię ponad cztery lata bolesnych przeżyć, czym umocnił ją w przekonaniu, że należy mieć się na baczności przed angażowaniem się w relacje z ludźmi. Definitywnie postanowiła poświęcić się nauce i w następnym miesiącu - październiku 1891 r. - wyjechała na studia do Paryża.

Trwający 3,5 roku pobyt Marii Skłodowskiej był długi, bardzo trudny, ale z pewnością i ważny dla młodej, genialnej dziewczyny. Przeżyła ona w Szczukach nie tylko

nieszczęśliwą, młodzieńczą miłość – co tylko się pamięta – ale kształtowała swoją osobowość, hart ducha, miłość do przyrody oraz sportu. A swoją drogą, gdyby miłość z Kazimierzem Żórawskim okazała się spełniona, Maria nie zdołałaby tyle dokonać.... Jako nauczycielka dzieci państwa Żórawskich Maria spełniła przede wszystkim zakładane plany. Praca w Szczukach umożliwiła jej bowiem wspieranie studiów Broni na Sorbonie, dzięki czemu mogła korzystać z pomocy siostry później, kiedy sama podjęła studia w Paryżu (1891–1894). Na posyłanie Broni 15–20 rubli miesięcznie nie mogłaby sobie pozwolić w Warszawie. Pobyt na prowincji, co prawda uniemożliwił Marii korzystanie z wykładów Uniwersytetu Łatającego, z naukowych czytelni i bibliotek, ale nauczył ją samodzielnej pracy i wytrwałości. Dzięki pobliskiej Cukrowni „Krasiniec”, a także korespondencyjnej pomocy ojca, Maria mogła i w Szczukach pogłębiać swoją wiedzę, przy pomocy tomów z cukrownianej biblioteki. Wydaje się także, że to właśnie podczas pobytu w Szczukach Maria wybrała na przedmiot swoich studiów nie nauki humanistyczne i literaturę (choć jeszcze w Szczukach pisała wiersze), a wiedzę ścisłą. Jak wspomina jednak jej córka Ewa Curie, matka do końca życia kochała poezję i znała na pamięć tysiące wierszy: *polskich, francuskich, rosyjskich, niemieckich, angielskich*. W Szczukach młoda Skłodowska dała też przykład patriotyzmu oraz wdrażania pozytywistycznych ideałów - prowadziła tajne nauczanie dzieci wiejskich, co groziło nawet zsyłką na Sybir.

Warto podkreślić, że losy Marii splotły się także i później z Ludwikiem hrabią Krasieńskim z Krasnego. Po powrocie ze Szczuk do Warszawy Maria zaczęła bowiem prowadzić pierwsze swoje doświadczenia chemiczne w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, przy Krakowskim Przemieście 66. Głównym założycielem tego Muzeum był w 1875 r. Ludwik hrabia Krasieński, również jego długoletni prezes. Należy też dodać, że pobyt Marii w Szczukach zaowocował jeszcze pięć lat później w Paryżu, i to faktem najważniejszym w jej dalszym życiu. Otóż Maria Skłodowska, dzięki protekcji polskiego fizyka i dyplomaty, ucznia Roentgena, wykładowcy Uniwersytetu we Fryburgu - profesora Józefa Wierusz-Kowalskiego (1866–1927), poznała Piotra Curie. Stało się to za pośrednictwem świeżo poślubionej żony profesora, z domu Gosiewskiej, która okazała się znajomą Marii. Poznały się one w Szczukach i kiedy młode małżeństwo Wierusz-Kowalskich odbywało w 1894 r. podróż poślubną po Europie i zatrzymało się w Paryżu, doszło do spotkania z Marią, wówczas studentką Sorbony. Promotor Marii, prof. Gabriel Lippman zlecił jej wtedy przeprowadzenie badań - za 600 franków z Towarzystwa Wspierania Przemysłu Krajowego – nad magnetyzmem metali i podczas spotkania z młodą parą Maria zwierzyła się, że poszukuje większego laboratorium do przeprowadzenia tych badań. Prof. Wierusz-Kowalski obiecał, że pozna ją z „człowiekiem wielkiego formatu” – z profesorem paryskiej Szkoły Fizyki i Chemii Przemysłowej, który może jej pomóc. Okazało się, że był to Piotr Curie. I choć Piotr nie

disponował laboratorium, służył jednak Marii cenną radą, gdyż był wówczas jednym z czołowych ekspertów Francji w dziedzinie praw magnetyzmu; ponadto wynalazł kilka precyzyjnych instrumentów, które okazały się bardzo przydatne później w pracy o promieniotwórczości dla przyszłej doktorantki z Polski, w której się zakochał.

prof. Kazimierz Braun

Prof. Kazimierz Braun z USA (autor sztuki *Promieniowanie*, wystawianej w USA, Kanadzie, teatrach Warszawy i Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie), którego poznałam w US, odwiedził Szczuki i wygłosił w Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie w dniu 13 V 2006 r. odczyt o trudnych wyborach życiowych tej „wspaniałej, uczciwej i pracowitej kobiety”. Opobycie noblistki w Szczukach powiedział: *Był to bardzo ważny, bo formujący ją okres. W Szczukach młoda Maria Skłodowska kształtowała swój charakter, uczyła się hartu, pracowitości i altruizmu, dzieląc się wiedzą i poświęcając swój czas innym. Tu uczyła się też znosić samotność, która towarzyszyła jej później przez całe życie.*

Niestety, poziom wiedzy o Marii Skłodowskiej-Curie na Północnym Mazowszu jest na razie adekwatny do stanu, w jakim znajduje się dwór Żórawskich w Szczukach. Mam nadzieję, że tegoroczne Jubileusze, Państwa tutaj obecność, a także moja skromna książka, sprawią że Dwór ten znacznie podnosić się z ruin i powstanie w nim choćby skromna Izba Pamięci Ich Dwojga: z dowodami pamięci po słynnej na całym świecie uczonej Marii Skłodowskiej-Curie i o jej młodzieńczej miłości – prof. Kazimierzu Żórawskim.

*** Kazimierz Żórawski /też Żorawski/ - po ukończeniu w 1888 r. studiów matematycznych na Uniwersytecie Warszawskim, zdobył w 1891 r. tytuł doktora na Uniwersytecie w Lipsku. Później kariera jego potoczyła się jeszcze szybko. Został jednym z najbardziej wybitnych matematyków polskich, zajmował się głównie tzw. formami różniczkowymi i niezmiennikami całkowitymi, także hydrodynamiką płynów doskonałych. Był profesorem i rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, potem przeniósł się z Krakowa do Warszawy na Politechnikę, a następnie na Uniwersytet. Powołano go na członka Polskiej Akademii Umiejętności i Akademii Nauk Technicznych, przez wiele lat piastował funkcję prezesa towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Po II wojnie światowej mianowano go członkiem tytularnym Polskiej Akademii Nauk. Podobno w ostatnich latach życia wydawano go często siedzącego w zadumaniu - na ławce przed pomnikiem Marii Skłodowskiej-Curie - przy ulicy Wawelskiej w Warszawie. Został pochowany na warszawskich Powązkach.

Od Redaktora wydania: Niniejszy artykuł trafił do „Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego” za sprawą Remigiusza Dębka, który cierpliwie śledzi różne publikacje ukazujące się w internecie oraz Marii Weroniki Kmoch, która dotarła do kompletnej jego wersji.

Sławomir Rutkowski



Bracia Warnerowie

fragment książki *Pollywood. Jak stworzyliśmy Hollywood*,
Warszawa 2015

Andrzej KRAKOWSKI

Wytwórnia Warner Brothers, która nie tak dawno obchodziła nieoficjalnie stulecie istnienia, została założona przez czterech braci: Harry'ego (Hirsza), Alberta (Aarona), Sama (Szmula) i Jacka (Itzaka). Pierwszy urodził się w Krasnosielcu, koło Makowa Mazowieckiego, 90 kilometrów na północ od Warszawy. Rodzina nazywała się wtedy Wonsal. Wszystko wskazuje na to, że Albert i Sam również urodzili się w Polsce, Jack na pewno przyszedł na świat już w Kanadzie. Ich ojciec, Benjamin Wonsal, często również zwany Wonskolaserem lub Woronem, był szewcem, matka, Perła Leja, zajmowała się domem i wychowaniem 12 dzieci. Ojciec braci Warnerów, który wyemigrował z Polski rok lub dwa wcześniej niż reszta rodziny, zaraz po przyjeździe do Baltimore zmienił nazwisko z Wonsal na Warner.

W autobiografii Jack Warner tak opisuje decyzję ojca o emigracji rodziny: „W pobliskiej knajpie w Krasnosielcu ojciec wpadł na kumpla, również szewca. Nazywał się Waleski i uchodził za miejscowego głupka. Waleski zwierzył się ojcu, że ma dosyć kozaków, głodu i pustych kieszeni i chce załatwić sobie pracę na frachtowcu płynącym do Ameryki. Ojciec pomyślał, że może ten Waleski nie jest wcale taki głupi. Następnego dnia Waleski zniknął i ojciec o nim zapomniał. Po kilku miesiącach przyszedł list od niego, ktoś musiał mu go napisać, bo nadawca był analfabeta. List kończył się zdaniem: »Musisz przyjechać do Baltimore, tutaj wszyscy noszą buty. Ameryka to bogaty kraj, z ulicami płynącymi złotem«. »Jeśli ten głupek mógł znaleźć złoto, to co dopiero ja« - pomyślał ojciec. Kiedy Ben postanowił opuścić Krasnosielc, miał 26 lat. [...] Powiedział rodzinie: »Jeśli Waleski mówi prawdę o złocie, przysyłę po was«. Okazało się, że Waleski kłamał, rzeczywistość nie wyglądała tak różowo. Może to i dobrze, bo gdyby powiedział prawdę, nie byłoby dzisiaj wytwórni Warner Brothers i musielibyście zadowolić się gorszymi filmami”. Jack Warner nie grzeszył skromnością.

Gdy dzieci i żona dołączyli do Bena w 1889 roku, czekało na nich nowe życie i nowe nazwisko. Nie była to łatwa egzystencja, rodzina klepała biedę, a przychodzące na świat kolejne dzieci tylko pogarszały sytuację finansową. Butów do naprawy nie przybywało tak szybko, jak gąb do wyżywienia. Nawet przy pomocy najstarszego syna, Harry'ego, który przyczynił się do zawodu szewca jeszcze jako dziecko, nie udawało się nakarmić rodziny do syta.

Pewnego dnia ojciec braci Warnerów dostał



Bracia Warner. Foto. Glasshouseimages RM/DIOMEDIA

list z Bluefield w stanie Wirginia. Stary znajomy z Polski chętnie się majętkiem, który zdobył, sprzedając towary robotnikom budującym kolej koło Lynchburga. Ben długo się nie zastanawiał. Najstarszemu Harry'emu i żonie zostawił warsztat szewski, a sam ruszył na podbój Wirginii. Z początku szło mu bardzo dobrze, ściągnął nawet z Polski dwóch szwagrow do pomocy. Najstarszy brat żony, Chaim Eichelbaum, sprawdził się jako ciężko pracujący, sumienny pomocnik. Jego młodszy brat, Barrel [Beczka], przezwany tak z powodu tuszy, okazał się - jak dowcipnie opisuje go Jack Warner - magikiem, mistrzem w znikaniu z pieniędzmi szwagra. Gdy zniknął po raz ostatni, ukradł mu nie tylko tygodniowy utarg, ale również prawy but. Zakładał pewnie, że z bosą stopą Ben go nie dogoni.

Powszechnie znana jest zabawna wymiana zdań między Jackiem Warnerem a Albertem Einsteinem, która miała miejsce wiele lat później. Trudno jest ją przetłumaczyć na polski, gdyż opiera się na grze słów, niemniej spróbuję. Gdy Einstein złożył wizytę w studiu Warnerów w Hollywood, jeden z oprowadzających go pracowników przyprowadził uczzonego do Jacka:

- Szefie, chciałbym panu przedstawić profesora Einsteina. Jak pan zapewne wie, profesor jest wielkim uczonym, słynnym na całym świecie z odkrycia teorii względności.

Po angielsku teoria względności brzmi *theory of relativity*, a samo słowo *relativity* ma jeszcze kilka innych znaczeń. Jack z wrodzonym sobie humorem odparował:

- Miło pana poznać, profesorze. Ja też sformułowałem ważną teorię, tyle że nazwałem ją teorią pokrewieństw [*relatives*].

- Naprawdę? - zainteresował się uczony.

- Tak - odpowiedział Jack. - Krewnych lepiej nie zatrudniać.

Co pan chciał tą teorią udowodnić? - Einstein wyglądał na zagubionego.

Zapomnijmy o tej rozmowie, profesorze. - Warner szybko się wycofał.

Po zniknięciu szwagra Ben rzucił wszystko i wrócił do Baltimore. Niedługo potem, gdzieś na szlaku, spotkał handlowca, który zaproponował mu spółkę, tym razem na północy, w Kanadzie. Ben zdecydował się spróbować szczęścia w nowym miejscu. Kanada była wciąż dzikim krajem, handlowało tam zdecydowanie mniej ludzi niż w Stanach. Ben Warner upatrywał więc swoją szansę w mniejszej konkurencji. Kupił konia, którego nazwał Bobem, i dwa wozy: jeden towarowy, a drugi mieszkalny, dla rodziny. Podróżowali po bezdrożach Kanady, skupując od traperów skóry, które potem wysyłali na sprzedaż do partnera w Montrealu. Tak wałęsali się dwa lata. W tym czasie przyszedł na świat Jack - w London, stanie Ontario, a rok później David

– w Hamilton. Niestety, Warnerowie stracili również dwoje dzieci: córkę Fannie i syna Henry'ego, którzy nie przeżyli surowych kanadyjskich zim. Gdy Ben uznał, że zgromadził wystarczająco dużo skór, by otworzyć sklep z futrami, zabrał rodzinę i powędrował do Montrealu. W mieście, które znał tylko z listów partnera, pojawił się w magazynie po odbiór swojego towaru. Pośrednika nie zastał, ponoć był w podróży. Jego pomocnik zaprowadził Bena do magazynu, w którym stały sterty wielkich tekturowych pudeł. Ben podniósł jedno z nich i nabral złego przecucia, wydawało mu się zbyt lekkie. Gdy je otworzył, okazało się, że było wypełnione pociętymi gazetami. Jak i reszta paczek. Postanowił jednak nie zawiadamiać policji. Typowe zachowanie wśród ortodoksyjnych Żydów, mających swój własny system sprawiedliwości i sądownictwa. Pierwszą i jedyną instancją był są rabinacki. Zwracanie się do policji i sądów stanowych lub federalnych uznawane jest do dzisiaj wśród chasydów za zdradę.

Wyciągnął porzewiałe stare kopyto oraz młotek i wrócił do zelowania butów. Ponieważ szewc zarabia tam, gdzie jest więcej nóg, a Kanada była wielkim i niemalże pustym krajem, po dwóch latach Benjamin z rodziną znaleźli się z powrotem w Baltimore. Tu urodziły się kolejne dzieci: córka i najmłodszy syn.

W 1896 roku, za namową najstarszego syna Harry'ego, który przeprowadził się wcześniej do Ohio i otworzył tam mały zakład szewski, rodzina przeniosła się do Youngstown. Patriarcha rodu, Benjamin, z początku pracował dla Harry'ego, ale gdy tylko dostał pożyczkę z banku, uniezależnił się i otworzył sklep spożywczy w samym sercu miasta.

Z pożyczką wiąże się ciekawa historia, otóż zaraz po przeprowadzce do Youngstown Ben zorientował się, że nie będzie mu łatwo. Szewców w tym mieście pracowało już sporo i każdy z nich miał własną, wierną klientelę. Na reklamę pieniędzy nie miał, za to miał pomysł. Otworzył zakład i wywiesił olbrzymi napis: „Jedyny w mieście! Usługi na poczekaniu!”. Znalazł w jakiejś graciarni dwa stare, wypchane fotele i przeniósł je do zakładu. W lecie stały na zewnątrz, na zimę wnosił je do środka. Gdy reperował buty, klient mógł wietrzyć sobie nogi i przy okazji przeczytać gazetę. Jednym z pierwszych, do których dotarła reklama, był sceptycznie nastawiony pracownik lokalnego banku o nazwisku Henry Garlik. Może zaintrygowało go, że szyld napisano poprawną angielszczyzną, a mężczyzna za ladą władał tym językiem bardzo słabo? W każdym razie pierwsze pytanie, które zadał, brzmiało:

- Czy prawda jest to, co pan tu napisał?

Ben spojrzał na niego z uśmiechem.

- dopóki pan nie zdejmie butów, nie dowie się pan – powiedział mieszanką angielskiego z jidysz.

Garlik usiadł na fotelu i zabrał się do czytania gazety. Nie skończył drugiej strony, gdy buty były gotowe. Tak mu to zaimponowało, że sam zaproponował Samowi pierwszą pożyczkę na rozbudowę zakładu. The First National Bank of Youngstown, którego prezesem zostanie Garlik, stanie się w przyszłości najsilniejszym sprzymierzeńcem

młodych Warnerów, gdy już będą potentatami przemysłu filmowego. Trzydzieści pięć lat później Mike Curtiz – urodzony w Budapeszcie jako Mano Kertesz Kaminer – reżyserował Arkę Noego. W trakcie olbrzymiej i logistycznie skomplikowanej sceny, podczas której zwierzęta opuszczają arkę, jakiś obcy starszy mężczyzna zaczął nagle wspinać się na postępujący pokład. Curtiz, który poza stworzeniem tak fenomenalnych filmów, jak Casablanca, Yankee Doodle Dandy, Four Daughters (Cztery Córki) czy też Captain Blood (Kapitan Blood), przeszedł do historii z powodu zabawnie łamanej angielszczyzny, zaczął wrzeszczeć:

- Ten facet! On wchodzi, a nie wychodzi!!! Wyrzucicie go natychmiast, nim ja sam siebie zwiariuję!!!

Asystent Curtiza, Joe Marks, złapał go za rękaw:

- Mike, to Henry Garlik z Youngstown. Wielka szacha I stary przyjaciel rodziny.

Curtiz zmienił ton błyskawicznie, jak światło na skrzyżowaniu:

- Złapcie tego faceta! Znaczący, zaprosicie tego dzentelmena i dajcie mu krzesło, żebyśmy obaj mogli usiąść.

Pomimo skromnych możliwości Benjamin robił wszystko, by dzieci zachowały starą wiarę i tradycję. Ściągnął nawet z Bostonu emerytowanego rabinę, by ten nauczył chłopców hebrajskiego i przygotował ich do bar micwy. Harry dość szybko opanował język praociów, Jack – nigdy. Najwyraźniej nie był tym zainteresowany. Gdy rabin zaczął używać długiej igły i dźgał go w udo za każdą pomyłkę, chłopak zaprotestował. Zagroził rabinowi, że wyrwie mu brodę, jeśli ten go jeszcze raz ukłuje. Rabin nie posłuchał, a młody Warner dotrzymał obietnicy. Na tym skończyła się edukacja Jacka.

Z wszystkich dzieci Warnerów najwięcej lat w szkole spędził Al, prawie zrobił maturę. Jako pierwszy poszedł do szkoły średniej, ale bardziej interesował go sport niż nauka. Gdy kolejny brat, David, zapisał się do tego samego liceum, dyrektor szkoły zorientował się, że już zna to nazwisko. David odczytał to jako dobry omen i postanowił powołać się na starszego brata. Z dumą oświadczył, że idzie śladami „wielkiego Alberta Warnera”.

- Ach, wielki Albert, tak, tak pamiętam – odpowiedział dyrektor i z poważną miną sięgnął po świadectwo Ala. – Rzeczywiście: S, BS i NP.

- Zawsze wiedzieliśmy, że Albert wiele osiągnie. – David ucieszył się, ale na krótko.

- Wiele? – zdziwił się dyrektor szkoły. – Słaby, Bardzo Słaby i Nie Promowany do następnej klasy.

Na szczęście mierne stopnie w liceum nie powstrzymały Ala od zdobycia wielkiej fortuny. Nim się jednak jej dorobił, został sprzedawcą mydła. Jego życie gwałtownie zmieniło kierunek, gdy w 1903 roku trzeci brat, Sam, kupił pierwszy kinetoskop. Ale nie wybiegajmy naprzód.

John Edgar Hoover, długoletni szef FBI, opisał kiedyś Youngstown jako jedno z najbardziej niebezpiecznych miast w Stanach. Nazwał je „obozem treningowym sycylijskiej mafii”. Stamtąd dobrze już wyszkoleni włoscy gangsterzy przenosili się do większych aglomeracji. Właśnie wśród młodych

aspirantów do omerty wyrastali Jack i jego bracia. Gdy rabin z Bostonu odmówił uczenia Jacka, ojciec postawił niepokornego syna za kontuarem. Chłopak ledwie wystawał zza lady, gdy musiał już negocjować z włoskimi bandytami, którzy zawsze chcieli więcej za mniej, a targowanie się uznawali za punkt honoru. Gdy sprzedawca nie opuszczał ceny, z rękawa wysuwał się nóż. Jack szybko przystosował się do otoczenia. Wiedząc, że pięścią nie wygra z ostrzem noża, wyskalował jedną z wag tak, by dwa funty cielęciny pokazywał na skali jako dwa i pół. Na tej wadze odważał towary gangsterom. Gdy zdarzało się, że był za daleko, by użyć „specjalnej” wagi bez zwrócenia uwagi, używał dobrej, ale do ważonego produktu dyskretnie wsuwał palec i w ten sposób również wychodził na swoje. Niedługo Jack pozazdrościł gangsterskim czeladnikom i wstąpił do lokalnego gangu. Liderem był kilkunastoletni Irlandczyk, Toughy [Twardy] McElvey. Po kilku bójkach na pięści Toughy wyjechał, a Jackowi przeszła ochota do działania w gangu. Śmiał się później z tych eskapad, twierdząc, że był to świetny trening dla przyszłych agentów w Hollywood. Może coś w tym jest ...

Warnerowie żyli skromnie i często zmieniali miejsce zamieszkania. Głównie dlatego, że nikt nie chciał rodziny z tak dużą liczbą dzieci. Często kłamali, zaniżając „pogłowie”, ale właściciele lokali umieli rachować. Gdy sklep zaczął nieźle prosperować, rodzina przeniosła się do większego mieszkania i nie musiała już ukrywać potomstwa. Za pierwsze nadwyżki finansowe Ben – jak przystało na dobrego mieszczaucha – kupił pianino. Miał to być prezent dla najstarszego syna. Okazało się jednak, że z wielu talentów Harry'ego muzykalność była najslabiej rozwinięta. Jack miał świetny głos, a wirtuozem gry okazała się Rose.

Pewnego dnia pracownica sklepu, Rae Samuels, która wieczorami dorabiała jako aktorka wodewilowa, przypadkowo usłyszała śpiewającego Jacka. Poradziła chłopakowi, by wziął kilka lekcji u znanego nauczyciela emisji głosu Signore Sangoriego, który w przeszłości ponoć śpiewał w chórze nowojorskiej opery The Metropolitan. Zachwycony jego tenorem Signore Sangori wziął od młodego Warnera wszystkie oszczędności, w wysokości 50 dolarów, i zmarł przed udzieleniem pierwszej lekcji. O zwrocie pieniędzy, oczywiście, nie mogło być mowy, a jak na owe czasy była to suma niebagatelna. Rae skomentowała niespodziewane zejście Signore Sangoriego w dość filozoficzny sposób. Powiedziała chłopcu: „Najwyraźniej nie było ci pisane”. Jack nie zrezygnował ze śpiewania, zaczął od występowania na odpuściach. Jednak ani na tym dobrze nie zarobił, ani daleko nie zaszedł. Rae zrzuciła winę za brak powodzenia na jego nazwisko. Więc zmienił je na Leon Zuardo. Dlaczego Zuardo? Bo Caruso było już zajęte, a ważne, by brzmiało z włoska. Podziałało. Po miesiącu śpiewał już w lokalnym teatrze za 18 dolarów tygodniowo, dodając muzyczny komentarz do seansów z „magicznymi lampami”, które w Filadelfii produkował znany nam Siegmund Lubin. Sława Leona Zuardo zaczęła szybko rosnać. Lokalny impresario, Gus Sun, zaproponował mu tournée ze swoim

cyrkiem. Tam - twierdził Warner - po raz pierwszy i ostatni w życiu uderzył... kobietę. Może niezupełnie tak. Grubą deską dzielił szympansicę, która mu przeszkadzała w próbach, i potem żałował tego do końca życia. A mógł jej przecież kupić bukiet pięknych róż i grzecznie przeprosić...

Podróże w tym czasie były długie, powolne i męczące. Jack powoli zaczynał mieć dość wałęsania się z cyrkiem i częstego spania pod gołym niebem. W trakcie jednej z wizyt w domu rodziców, który dzieci pieszczotliwie nazwały „hotelem Warner”, zwierzył się ze swoich frustracji Samowi. Z Samem był najbliższą i ufali mu całkowicie.

Jeszcze jedno tournée nic ci nie da, zaliczyłeś ich kilka, usłyszał w odpowiedzi. - A za rok lub dwa stracisz głos, bo zaczniesz przechodzić mutację. To co mi radzisz? - spytał Jack. Zejdź ze sceny.

I chłopak na moment zaniemówił.

Chcesz, żebym zostawił show-biznes?

Nie, zejdź przed scenę, najbliższą jak możesz kasy biletowej, bo tam są pieniądze, Jack nie dał się długo nakłaniać.

Sam wiedział, co mówił. We wczesnych latach był naganiaczem, czyli zachęcał ludzi do gier hazardowych. Oczko, kości, w pewnym momencie zbudował nawet składaną ruletkę. Ustawił ją na ulicy i czekał na chętnych. Żeby jednak nie wylądować w poprawczaku, ludziom, którzy płacili po pięć centów, wypłacał wygraną w kubańskich cygarach. W ten sposób zawsze mógł powiedzieć, że sprzedaje papierosy, a karty i ruletka to przykrywką w celach reklamowych. Kilku skorumpowanych policjantów szybko zaczęło ściągać z niego haracz, zarówno w gorzałce, jak i cygarach. Zmienił więc zawód - został tarczą do rzucania jajkami w wędrownym lunaparku. Gdy ceny jajek poszły w górę, jego pracodawca wymienił je na piłki do bejsbola, które nie tylko były twardsze, lecz także nadawały się do wielokrotnego użytku. Mocno posiniaczony Sam znalazł sobie następne zajęcie - pomocnika zaklinacza węży. Właściciel gadów miał dużo ciekawych pomysłów. Zapasy Sama z pytonem przynosiły większy zarobek niż proste pozowanie do fotografii. Sam, który z natury nie ufał ludziom, a jeszcze mniej zwierzętom, wpadł na pomysł, jak relaksować się przed każdym pojedynkiem. Jego metoda miała jednak efekty uboczne - po wypiciu połowy butelki samogonu Sam zaczynał widzieć więcej niż jednego pytona. Gdy zrezygnował z posady, i on, i wąż odetchnęły z ulgą. Wrócił więc do Youngstown i „hotelu Warner”.

W domu zastał Harry'ego, który miał dość zelowania butów i przeszedł do sklepu ojca na stanowisko zaopatrzeniowca. Harry miał nosa do interesów, a gdy w grę zaczynały wchodzić pieniądze, reszta przestawała się liczyć. Z czasem instynkt ten, czasem problematyczny, przeobraził się w talent. Harry okazał się finansowym geniuszem. Na razie właśnie wrócił z Pittsburgha z transportem 100 zarżniętych wieprzów, które zakupił po wyjątkowo niskiej cenie. Gdy Ben zobaczył tę ilość trefnej wieprzowiny, złapał się za głowę. Nie było tyle miejsca w chłodni, a świnie były w takim wieku - jak opisuje je Jack w autobiografii - „że chyba już mogłyby głosować”. Obniżka cen, atrakcyjne receptury,

obietnice dostaw do domu nic nie pomogły. Tego tygodnia sklep stracił sporo pieniędzy. Ojciec poprosił Harry'ego, żeby zmienił miejsce pracy. Harry postanowił zostać zawodowym kolarzem. Nawet wygrał kilka wyścigów, ale medalami w sklepie nie mógł płacić.

W tym samym czasie drugi syn, Albert, również złapał kolarskiego bakcyła - a był to okres niesłychanej popularności tej dziedziny sportu. Namówił więc Harry'ego i Sama, by wspólnie otworzyli najpierw sklep rowerowy, a później dodali do niego salon z kręglami. Niestety, kręgielnia okazała się niewypałem, a tylko ze sprzedaży rowerów cała trójka nie mogła wyżyć. Harry, jako najstarszy, znowu musiał szukać pracy. Tym razem został hurtowym sprzedawcą mięsa w lokalnej rzeźni. Nauczony doświadczeniem wieprzowiny już nie dotykał.

Sama jednak pociągał świat przygody, w szczególności wędrownych jarmarków. Jednym z częstych klientów w ich sklepie rowerowym był młody chłopak spoza miasta. Nazywał się Dave Bowman i miał głowę pełną pomysłów. Wymyślił trik, którym zainteresował Sama. Zbudowali dwudziestometrową ruchomą platformę, na którą prowadziła ostro pochylona drabina. Przed drabiną stał sporej wielkości głęboki pojemnik z wodą. Dave wdrapywał się z rowerem na wieżę, zjeżdżał po drabinie i w ostatnim momencie nurkował do wody. Sam łapał rower, po czym chodził z czapką i zbierał pieniądze. Szło im nawet nieźle, lecz zdarzył się tragiczny wypadek. Pewnego pięknego dnia w miejskim parku w Youngstown, w trakcie występu reklamowanego jako *Dare Devil Dash*, czyli „Wyścig z Diabłem”, diabeł przestał przestrzegać zasad gry. W połowie zjazdu po drabinie puściły śruby w przednim kole roweru i biedny Dave spadł głową w dół na twardą ziemię. Po jego śmierci chłopcom przeszła ochota do zajmowania się rowerami. Albert został domokrądcą specjalizującym się w sprzedaży mydła, a Sam dostał pracę na kolei jako pomocnik maszynisty. Jego zadaniem było szufłowanie węgla do pieca w lokomotywie. Niewykluczone, że był jednym z tych, co rzucali węglem w wychodek Shubertów.

Sam nie mógł wyzbyć się marzeń o show-biznesie. Na początku roku 1900 wszedł w spółkę z jednym z sąsiadów i razem przejęli Old Grand Opera House w Youngstown. Zaczęli w nim wystawiać tanie sztuki teatralne, dodając dla rozrywki występy wodewilowe. Teatr zbankrutował po pierwszym sezonie. Sam nie dał się wygrać.

Jak mówi stare przysłowie, człowiek robi plany, a Pan Bóg z nich się śmieje. W czasie tygodniowego przestoju w pracy Sam postanowił odwiedzić kolegę o nazwisku George Olenhauser. Miał on niewielki zakład naprawczy koła rynku. Tak się zdarzyło, że właśnie naprawiał edisonowski kinetoskop. Zafascynowany nową maszyną Sam zaczął przesiadywać w warsztacie. W końcu nauczył się obsługiwać i konserwować urządzenie. Ponieważ było spore zapotrzebowanie na kinooperatorów, nie miał problemu ze znalezieniem pracy. Zaczął pracować dla przedsiębiorstwa Hale's Tours w Chicago.

Z nazwy można by wnioskować, że firma

organizowała wycieczki turystyczne. Były to jednak eskapady wirtualne, zupełna nowość w tamtych czasach. Otóż w parku White City, który był siedzibą olbrzymiego wesołego miasteczka, Hale's Tours miała swój namiot. Ustawiono w nim dekorację przedstawiającą wnętrze przedziału kolejowego z dużym oknem. Okno było ekranem, na który rzucano obraz z projektora. Sam - dziś ten zawód wymaga zupełnie innych, powiedziałbym nawet dużo mniejszych umiejętności - był nie tylko kinooperatorem, lecz wręcz alchemikiem. Prąd elektryczny i żarówki co prawda już istniały, ale były potwornie drogie i niepraktyczne przy atrakcjach często zmieniających miejsce postoju. Film oglądany w kinetoskopie nie potrzebował dużo światła. Najczęściej wystarczała dobra świeca i małe lusterko. Ale nawet już wtedy źródło oświetlenia było umieszczone na zewnątrz maszyny. Jak pamiętamy z lekcji fizyki, im dalej od ekranu, tym większe rozproszenie światła w przestrzeni, a do wyświetlania filmu konieczna była nieproporcjonalnie silniejsza iluminacja. Co więcej, nawet gdyby Hale's Tours było w stanie załatwić podciągnięcie do namiotu kabla przesyłającego prąd, nie było jeszcze tak silnych żarówek, które by umożliwiły wystarczająco jasną projekcję. Światło, które Sam za każdym razem na nowo wytwarzał, brało się z podgrzewania grudek skamieniałego wapna palnikiem acetylenowym. Dopiero, gdy rozżarzone do białości wapno, umieszczone przed skupiającym kryształowym lustrem, emitowało oślepiający strumień światła, obraz na ekranie nabierał zadowalającej jakości. Sam musiał robić wszystko naraz: kręcić korbą projektora i w tym samym czasie podgrzewać wapno. Grupa widzów siedziała na ławkach w przedziale, a za oknem przesuwały się im widoki. Dla zwiększenia efektu ruchu kilku pracowników rytmicznie huštało dekoracją. Cały repertuar składał się z jednego filmu pokazującego park narodowy w Yosemite w Kalifornii.

Gdy Sam dowiedział się, że jego pracodawca zamierza otworzyć podobną atrakcję w Youngstown, załatwił sobie przeniesienie. Co prawda na jakiś czas wrócił znowu do „hotelu Warner”, ale przez to cała rodzina miała możliwość poznania nowego wynalazku. Nie przypuszczam, by domyślali się, że ów wynalazek stanie się załazkiem ich olbrzymiej fortuny.

Namiot Hale's Tours w Youngstown znajdował się w parku Idora, który zimą zamieniał się w lodowisko. Z biegiem czasu obok parku powstała cała dzielnica żyjąca z jego działalności - sklepy, bary, pensjonaty. Ponieważ artyści cyrkowi byli powszechnie uznawani za degeneratów bez stałego miejsca zamieszkania, turyści unikali tej okolicy. Ale nie Sam Warner. Zafascynowany akrobatami, kłownami i groteskowo zdeformowanymi karłami przesiadywał w jednym z pensjonatów i po jakimś czasie zaprzyjaźnił się z jego właścicielką. Tak naprawdę to nie właścicielka była magnesem, który go tam przyciągnął, ale jej syn Joe. Tylko on w całym Youngstown posiadał własny, najnowszy model projektora. Sam bardzo chciał poznać chłopaka. Nagabywana o syna kobieta w pewnym momencie zaczęła unikać odpowiedzi. Okazało

się, że Joe od jakiegoś czasu jest w domu, ale się ukrywa. W końcu gospodyni zwróciła się do Sama:

- Joe ma problemy. Nic nie zarobił w objazdach. Musimy znaleźć jakiegoś wariata, który chciałby kupić to idiotyczne urządzenie.

Sam, jak dobry pokerzysta, udął brak zainteresowania.

- A ile chcecie? Bo może znam kogoś.

- Koło tysiąca - padła odpowiedź. - W zestawie jest maszyna, jeden film, przystawka do robienia światła i reszta tego tałaństwa.

Właścicielka pensjonatu nie ukrywała niechęci do skomplikowanego sprzętu.

- Rozejrzę się - obiecał Sam i wyszedł.

W domu natychmiast zwołał naradę rodzinną. Zamiarem kupna projektora wywołał mały kryzys rodzinny. Problemem była oczywiście cena. Siostry nie pracowały, więc nie miały pieniędzy. Al przebywał poza miastem. Choć matka była sceptycznie nastawiona do całego przedsięwzięcia, ojciec miał niezachwianą wiarę w synów i zaoferował wszystkie oszczędności. Gdy bracia i Ben złożyli cały majątek, uzbierało się w sumie 825 dolarów. Ojciec dołożył swój pamiętkowy złoty zegarek, który raz już zastawił za 25 dolarów. Wciąż brakowało im 150. Jakoś nikomu nie wpadło do głowy, by negocjować z właścicielem obniżenie ceny lub próbować umówić się na rozłożenie kwoty na raty. W końcu ojciec podjął decyzję.

- Skoro mamy tylko tyle, resztę będziemy musieli wziąć od Boba.

Bracia nie bardzo wiedzieli, kogo ojciec ma na myśli.

Jakiego Boba?

Starego Boba, naszego konia.

Wszyscy nagle poczuli się potwornie winni, jakby sprzedawali członka rodziny. Widząc smutne twarze chłopców, Ben szybko dodał:

- Zastawimy go w lombardzie u Strattona.

Jack musiał przygotować szkapę do przeprowadzki. Nie wiadomo na pewno, kto był rzeczywistym właścicielem zwierzęcia. Z autobiografii Jacka Warnera wynika, że koń należał do ojca. W innych źródłach bohaterem, który poświęcił swojego wierzchowca dla brata, jest Jack. Z wrodzoną sobie skromnością nigdy tego nie sprostował. Gdy Al wrócił do domu i dowiedział się, co zaszło, roześmiał się.

- Królestwo za konia! Zupełnie jak w *Ryszardzie III!* Widział komizm tej sytuacji. Tyle że w przeciwieństwie do Szekspirowskiego tragicznego bohatera konia mieli. A gdzie królestwo? Na wszystko przyjdzie czas. Bob wrócił do domu już po miesiącu. Wyglądał nawet lepiej, niż gdy go opuścił. John Stratton, właściciel lombardu, dbał o zastaw. Szkapę była dobrze karmiona, dopieszczana przez zjadanych wyrzutami sumienia, często odwiedzających ją braci Warnerów i, co najważniejsze, nie musiały pracować. Kto zastąpił Boba przy wozie z dostawami? Podejrzewam, że wszyscy Warnerowie musieli się sporo nabiegać przez ten miesiąc.

Tuż po kupieniu projektora Sam pożyczył stary czarny namiot. Rozpiął go, jak niegdyś Lubin w Filadelfii, na podwórku za domem. W środku zbudował ruchomą platformę, naśladowując pawilon w Chicago. Zardzewiałą

karoserię wagonu i resory do huśtania dekoracją kupił w składzie złomu. Gdy to wszystko zmontował, okazało się, że projektor nie działa. Wraz z George'em Olenhauserem rozebrali go na części i gruntownie wyremontowali. Od tego momentu chodził jak nowy. Miłą niespodzianką okazał się film, który Sam dostał jako dodatek do aparatury. Był to przebój *Edwina S. Portera The Great Train Robbery (Wielki napad na pociąg)*. Po tygodniu namiot na podwórku stał się sensacją. Tłumy z sąsiedztwa zapełniały ulicę, a dodatkowej atrakcji dostarczali zaprzyjaźnieni artyści z cyrku i inni dziwacy z parku Idora, którym Sam zaoferował wolny występ. Żonglerzy, cyrkowi akrobaci i komiccy w ramach rewanzu prezentowali swoje sztuczki przed namiotem. Nawet pyton, z którym Sam uprawiał niegdyś zapasy, przyjechał, by zobaczyć ruchome obrazki. Gdy w końcu pojawiła się policja, domowy karnawał przeniósł się gdzie indziej.

Warnerowie dowiedzieli się, że na położonym kilka mil od nich osiedlu Niles ma stanąć wesołe miasteczko. Szybko wynajęli pusty sklep na głównej ulicy. Gdy lunapark otworzył wrota, byli gotowi. Al sprzedawał bilety, Jack śpiewał przy akompaniamencie Rose, a Sam obsługiwał projektor. Ich dochód z pierwszego tygodnia wyniósł 300 dolarów. Niebagatelna suma jak na tamte czasy. Sam był wniebowzięty. Po obliczeniu utargu wykrzyknął:

- Mój Boże, tyle to nawet papież nie zarabia na miesiąc!

Cóż, jeszcze jeden dowód na to, że był niedokształcony, a z drugiej strony dochody głowy Kościoła zawsze były dobrze strzeżoną tajemnicą.

Warnerowie zachodzili w głowę, jak Joe - poprzedni właściciel kinetoskopu - mógł tak nie docenić maszyny, żeby ją sprzedać. W Niles dowiedzieli się rzeczywistych powodów. Okazały się nimi dwa niebezpieczne nałogi - alkohol i karty.

Nie wszystko szło tak gładko, jak powinno. Chłopcy byli jednak zaradni i wiedzieli, jak stawić czoło trudnościom. Pierwszym problemem była wytrzymałość filmu. Perforacje łatwo wyrabiały się na kruchej folii lub wręcz rwały film. Jack szybko nauczył się je naprawiać. Z acetonu, bananowej oliwy i paru innych składników zrobił klej, którego używał do nalepiania nowej perforacji na starą. Zgrubienie taśmy wymagało używania większej siły do kręcenia korbą, co z kolei powodowało szybsze zużycie wewnętrznych trybów projektora i w efekcie kolejne zerwanie się perforacji, nie mówiąc już o częstszych naprawach samej maszyny. Projektor nie miał, jak dzisiejsze modele, dolnej szpuli do odbierania i zwijania kopii. Pod maszyną stała stara beczka po mące i film, jak wąż, luzem się w niej zbierał. Przed następnym seansem trzeba było taśmę z powrotem nakręcić na górną szpulę, co również przyczyniało się do jej zużycia. Konieczne naprawy musiały odbywać się szybko i na miejscu, by nie powodować niepotrzebnych przestojów. Dla zwiększenia jasności obrazu na ekranie wiecznie eksperymentujący Sam do podgrzewania wapna zaczął używać domieszkę eteru. Wszystkie te chemikalia, otwarty płomień palnika, klej i łatwopalna kopia były

naturalnym zaproszeniem dla pożaru. Chłopcy pilnie przestrzegali, by nikt w pobliżu nie palił.

Niebezpieczeństwo przyszło z zupełnie nieoczekiwanej strony. Ogień zaprószył nie kto inny, jak miejski inspektor bezpieczeństwa, który wszedł do pomieszczenia z zapalonym cygarem w rękę. W powietrze wyleciały okno, drzwi i inspektor, który nie przeżył własnej nieszalancji. Częściowo zniszczony został projektor, ale Sam z Olenhauserem szybko go odrestaurowali. Cudem ocalała jedyna kopia filmu, jaką mieli. O kontynuowaniu pokazów w Niles oczywiście nie było już mowy. Jeśli nie padliby ofiarami następnej eksplozji, na pewno wykończyliby ich strażacy, i to z błogosławieństwem burmistrza. Dzisiaj o Niles wspomina się najczęściej jako o miejscu narodzin prezydenta McKinleya oraz wytwórni Warner Brothers.

Wszystko, co dobre, pewnego dnia musi się skończyć. Problemem Warnerów było to, że mieli tylko jedną kopię jednego filmu. Po obejrzeniu *The Great Train Robbery* ludzie nie mieli już po co wracać. Warnerowie musieli zapakować projektor i przenieść się do następnego miasteczka. Steubenville, Girard, Warren w stanie Ohio, Sharon, Meadville i w końcu New Castle w Pensylwanii. Zużyta kopia już ledwie się trzymała. Wraz z kurczeniem się obszaru działania zmniejszały się również zarobki. Rose i Jack wrócili do „hotelu Warner”.

W 1905 roku Sam i Al namówili Harry'ego, by sprzedał sklep rowerowy i na stałe przyłączył się do ich spółki. Za pozyskane w ten sposób pieniądze bracia kupili budynek w New Castle, w stanie Pensylwania, i otworzyli kino. Nazwali je dumnie The Cascade Movie Palace. Dom z zewnątrz wyglądał imponująco - bizantyjskie łuki i greckie kolumny. W środku: brud, smród i ubóstwo. Samowi specjalnie to nie przeszkadzało. Po co inwestować we wnętrze, skoro widzowie i tak będą siedzieli w ciemności? Inwestycja udała się i z dochodów z pierwszego kina szybko otworzyli drugie - The Bijou [Klejnot]. Być może trochę przedwcześnie. Niedofinansowani musieli pożyczać krzesła od sąsiadującego z nimi zakładu pogrzebowego.

Właściciel owego zakładu przywitał ich nawet uprzejmie. Nie zdziwił się prośbą, często pożyczal krzesła na wesela i prywatne bankiety. Intrygowało go jednak bardzo, dlaczego Sam chciał tylko 99 krzesel i za żadne skarby ani jednego więcej. Argument, że każde dodatkowe krzesło to większy dochód, z jakiego powodu nie trafiał do łodego człowieka. W końcu grabarz poznał sekret tej dziwnej liczby. Otóż według miejskich przepisów od kin z więcej niż 100 siedzeniami wymagano dodatkowych wyjść awaryjnych, azbestowych kurtyń, gaśnic przeciwpożarowych i odpowiedniej liczby kranów z wodą. Musiały mieć nawet oddzielną budkę projekcyjną na balkonie. Wymagałoby to całkowitej przebudowy lokalu, a na to Warnerów nie było stać. Gdyby mieli pieniądze, nie pożyczaliby przecież od niego krzesel! Właściciel zakładu zapalał natychmiastową sympatią do sprytnych chłopców i nie robił im trudności. Obawy miał jednak Sam:

- A co się stanie, jeśli będziesz miał pogrzeb i to tobie zabraknie krzesel?

Właściciel podrapał się po głowie.

-Wiesz, co ci powiem? Jeśli będziesz pokazywał dobry film i dasz mi darmowy bilet lub dwa, zrobię tak, że pogrzeb poczeka. Umowa stoi?

Wszyscy byli zadowoleni. Sukces szybko zamienił się jednak w następny kłopot. Ludzie przychodzili na seans i nie wychodzili. Chcieli oglądać ten sam film po parę razy. Al ich wyganiał, ale za jego plecami wracali drugimi drzwiami. Gdy Sam pomagał Ałowi, nie było komu przekręcić filmu z beczki na szpulę i następny seans się opóźniał.

Któregoś dnia Sam pojawił się w „hotelu Warner”:

Jack, potrzebujemy cię w New Castle. – I co mam tam robić?

Będziesz wyganiał ludzi z kina po seansie. Jack popatrzył na brata.

Czym? Kijem od bejsbola?

Nie, będziesz śpiewał, a Rose ci będzie akompaniowała. Szkopuł w tym, że Jack właśnie zaczął przechodzić mutację i głos mu się załamywał w najmniej oczekiwanych momentach. Sam o tym wiedział i najwyraźniej na to liczył. Rose i Jack przenieśli się na jakiś czas do Pensylwanii. Nic tak szybko nie opróżniało sali, jak śpiew Jacka. Sensacja Youngstown, Leon Zuardo, stał się znowu Jackiem Warnerem. Tyle że przybyło mu „L” jako inicjał drugiego imienia. Od tej pory do końca życia będzie się podpisywał Jack L. Warner.

Niedługo bracia doszli do wniosku, że siła nie leży w posiadaniu kin, lecz w dystrybucji filmów. Sprzedali więc obydwie sale i wiosną 1907 roku przenieśli się do Pittsburgha. Tam założyli przedsiębiorstwo The Duquesne Amusement Supply Company. Harry wysłał Sama do Nowego Jorku, by znalazł dla nich kilka filmów do rozpowszechniania. Na Manhattanie Sam spotkał Marcusa Loewa, już wtedy magnata kinowego. Od niego nauczył się, że recepta na sukces polega na tym, by stać się właścicielem produktu. Zamiast wynająć, Sam kupił trzy kufry filmów i wysłał je do Pittsburgha.

Minęło półtora roku. Firma prosperowała na tyle dobrze, że zaczęło im brakować rąk do pracy. Ponieważ Jack właśnie skończył 17 lat, rodzina wyekspediowała go do pomocy. Harry i Al założyli już rodziny. Dla nich Jack zawsze pozostanie beniaminkiem. Braci różniło pochodzenie: starsi do końca życia pozostali emigrantami, ale urodzony już w Kanadzie Jack stał się stuprocentowym Jankesem. Niemniej w tym momencie starsi bracia wciąż otaczali go opieką. Zgodnie uznali, że jest za młody, by zostać kinooperatorem, więc dali mu tytuł inspektora jakości. Do jego obowiązków należało naprawianie taśmy filmowej, co umiał świetnie robić.

Z czasem firma zgromadziła ponad 200 tytułów, które trzeba było sprawdzić, oczyścić i odrestaurować, potem zapakować, zaadresować i wysłać do następnego kina w innym mieście. Pociągi chodziły nieregularnie, a kiniarze zapominali odesłać kopie w umówionym terminie. To wywoływało zamieszanie w kinach, które na te kopie czekały; gdy ich właściciele już wywiesili plakaty nadchodzących atrakcji, musieli coś

pokazać. Harry, jako szef przedsiębiorstwa, był piorunochronem ściągającym gniew kiniarzy, ale chłopcem do bicia został Jack. A on bardzo nie lubił, gdy ktoś na niego krzyczał, nawet jeśli był to brat i nawet jeśli od czasu do czasu należała mu się reprimenda. Ponieważ, jak wszyscy w jego rodzinie, był bystrym obserwatorem, wymyślił sposób na unikanie nieprzyjemnych sytuacji. Zauważył, że tytuł każdego filmu ma standardową długość około 10 metrów. Wziął nożyczki i skrócił każdą kopię o połowę tytułu. Zwinął odciętą część w rolkę, posegregował alfabetycznie i schował do magazynu. Gdy właściciel kina w ich dystrykcie zapowiadał, powiedzmy, *My Old Kentucky Home (Mój stary dom w Kentucki)*, a kopia jeszcze nie wróciła z poprzedniego miejsca, Jack brał pierwszy lepszy film, zazwyczaj taki, który już został wycofany z obiegu, doklejał potrzebny tytuł i wysyłał do nowego miejsca. Najczęściej widzowie nie byli świadomi, że oglądają nie ten film, który chcieli, a jeśli nawet zauważali i podnosili krzyk, Jack udawał głupiego i tłumaczył się, że kiniarz w innym mieście musiał coś pomylić. W ten sposób przestał być „bity”. Kończyło się naganą, że nie sprawdził dobrze kopii, a to już było do zniesienia.

W tym okresie przydarzyła mu się zabawna historia, którą później dokładnie opisze w autobiografii. Któregoś dnia znajomy Ala i Harry'ego przyniósł do magazynu trzy pudła owinięte drutem. Powiedział Jackowi, że bracia pozwolili mu je zostawić u niego na przechowanie. Były to kopie negatywów trzech francuskich filmów. Przez dwa dni Jack przysglądał się pudłom. Korciło go, żeby do nich zajrzeć, ale się nie odważył. Trzeciego dnia ciekawość wzięła górę. Delikatnie odkręcił drut obcząka-mi, wziął jedną z rolek i wsadził do projektora. Zgodnie z tym, co powiedział właściciel, na ekranie ukazał się obraz z odwróconymi kolorami. Wszystko, co powinno być białe, było czarne i vice versa. Kilka dni później Jack przypadkowo natknął się przed budynkiem na popularnego murzyńskiego boksera, znanego pod przydomkiem Kid Cotton. Kid mądrze lokował premie za wygrane walki i stał się właścicielem kilku biznesów. Jednym z nich był nickelodeon w murzyńskiej części miasta. Gdy zobaczył Jacka, zapytał go, czy przypadkiem nie ma jakiegoś nowego, ciekawego filmu. Chłopak przypomniał sobie o leżących w magazynie negatywach.

- Mam, i to fantastyczny. Pierwszy film tylko z murzyńskimi aktorami!

Bokser był dość sceptyczny.

- Tak? To pokaz.

Poszli do magazynu i Jack wyświetlił mu kawałek negatywu z francuskim komikiem Tweedle-dee-Dumem. Tweedle był mimem znanym z kredowobiałej twarzy. Na negatywie biała twarz była oczywiście czarna jak atrament. Kid nabrał szacunku do Jacka. Przewiózł kopie do swojego nickelodeonu, wywiesił wielki napis: „Pierwsze Murzyńskie Gwiazdy”, i przez następne trzy tygodnie zbijał kasę. Być może nawet coś podejrzewał, ale nigdy nie dał tego po sobie poznać. Widownia szalała z zachwytu. Zadowolony Cotton płacił Jackowi 25 dolarów za każdy dzień wynajmu i zgarniał resztę. Po trzech tygodniach film wrócił do magazynu i do odrutowanego pudła.

Właściciel negatywu nigdy nie dowiedział się, że został wykorzystany. Wiele lat później, gdy murzyńscy przywódcy zaczęli narzekać na dyskryminację w przemyśle filmowym, Jack będzie się chwalił, że był prekursorem łamania barier rasowych.

The Duquesne Amusement Supply Company okazała się na tyle lukratywna, że bracia postanowili otworzyć jeszcze jedną firmę dystrybucyjną. Tym razem w Norfolk, w Wirginii. Nazwali ją The Duquesne Film Exchange, chyba tylko po to, by jej nie pomylić z poprzednią.

Harry i Al zostali w Pittsburghu. Sam i Jack przenieśli się do Norfolk. Zaczęli działalność od wydawania gazetki zatytułowanej - jakże oryginalnie - „The Duquesne Film Noise”, czyli „Filmowe Odgłosy z Duquesne”. Z pieniędzmi na początku było ciężko, ale żeby stworzyć pozór bogactwa, pierwszy numer gazetki zawierał duże fotografie braci w ozdobnych ramkach z dostojnymi tytułami: S.L Warner - Wydawca i J.J. Warner - Zastępca Wydawcy. Na zdjęciach panowie ubrani byli w podobne, ciemne garnitury, sztywne kołnierzyki i mieli identyczne kieszonkowe zegarki z łańcuszkiem. Być może z ich niedokształcenia wynikało to, że nie zauważali oczywistych błędów na pierwszej stronie. Inicjały Jacka to nie J.J., tylko J.L, a ich nowa firma nazywała się nie The Duquesne File, jak napisano, lecz Film Exchange. W każdym razie doskonale wiedzieli, jak brylować w towarzystwie i tworzyć pozory sukcesu, zważywszy, że mieli tylko jeden ciemny garnitur i jeden zegarek. Dobrze, że byli mniej więcej tego samego wzrostu.

Los zrządził, że otwarcie wypożyczalni zbiegło się w czasie z niespotykanym do tej pory wzrostem zainteresowania dziesiątą muzą. W bardzo krótkim czasie w każdej miejscinie każdy pusty sklep zamieniał się w kino. W ciągu kilku miesięcy na terenie całych Stanów powstały ich tysiące. Bracia korzystali z tej dobrej koniunktury, jak umieli i szybko pomnażali pieniądze. Razem z pieniędzmi przyszedł apetyt na najnowszą modę, najdroższe cygara, najlepsze samochody. Gdy Warnerom wydawało się, że raj się dla nich otworzył i nic nie będzie w stanie ich zatrzymać, drzemiąca hydra podniosła łeb. Nazywała się Thomas Alva Edison (i jego trust). O tym już wspominałem, więcej za moment.

Muszę się uczciwie przyznać, że gdy piszę o Jacku Warnerze, czynię to z dużym sentymentem, jako że miałem szansę go poznać. Był niesłychanie barwną postacią. Wyglądał jak francuski arystokrata, w każdym razie tak się ubierał, natomiast używał języka ulicy. Spotkaliśmy się, można by powiedzieć, przez kuchnię. W ten zresztą sposób poznałem kilku innych tuzów świata rozrywki w Hollywood.

Gdy w lipcu 1968 roku przyleciałem do Stanów, w Hollywood było już trochę artystycznej Polonii. Był na krótko Roman Polański, na dłużej Krzysztof Komeda, Wojtek Frykowski, Jerzy Abratowski, Henryk Grynberg, Leszek Szymański, Marek Hłasko. Trochę później pojawił się muzyk Bernard Kafka, potem Teresa Watras, wpadł na moment Grotowski, Kosiński, Mroźek, Stanisław Wohl. Od lat mieszkali tam Bronisław Kaper, Henryk

Wars, Józef Lejtes, George Milton, Leonidas Dudarew-Ossetyński i bardzo zdolny inżynier akustyk Jan Chęciński.

Duszą towarzystwa, zwłaszcza tego młodszego, był Marek Nizich-Niziński. Niespełniony pisarz, utalentowany fotograf i metaloplastyk, wiecznie bez pracy i zbyt często pijany. A gdy pił, wpadał w depresję i przejawiał tendencje samobójcze. Ratować go od alkoholizmu przyjechała matka, pani Ewa Krzyżanowska, niegdyś barmanka w zakopiańskim „Jędrusiu”. Tak jak Marek nie mógł znaleźć pracy, tak jego matka w oszałamiającym niemalże tempie stała się gospodynią gwiadz. Nie przesadzę, twierdząc, że gwiazdy konkurowały ze sobą, jak ją zdobyć. W tym właśnie okresie Ewa kończyła pracę u Jacka Warnera, gdyż miała przejść do Franka Sinatry. Od Sinatry pół roku później przeniosła się do Liberace'a. A może Liberace był pierwszy, a Sinatra drugi? Nie pamiętam. Obaj mieszkali w Palm Springs, na pustyni, dwie godziny od Miasta Aniołów. Czyli dwie godziny samochodem lub trzy godziny pociągiem od syna, o którego bała się bezustannie. Zbyt daleko od prawdziwego powodu podróży, by mogła spokojnie pracować. Skorzystała więc z pierwszej nadarzającej się oferty, która przeniosłaby ją z powrotem do Los Angeles, i po Sinatrze zatrudniła się u Barbry Streisand. Po dwóch latach przeszła do Zsa Zsy Gabor, by w końcu wylądować u Freda Astaira. Nie jestem przekonany, czy nie pominąłem kogoś w tym cyklu. Gdzieś tam, na moment, przemknął Hugh Hefner. Przez Ewę i moją młodszą siostrę, Elżbietę, która przez parę lat tworzyła parę z Markiem, miałem możliwość poznać tych ludzi. Jak już wspomniałem, od kuchni. Może kiedyś napiszę o tym inną książkę, ale teraz chciałbym wrócić do Jacka Warnera. Ewa miała duży problem: praktycznie nie władała angielskim. Z roku na rok robiła co prawda postępy, ale w roku 1968 był to język wciąż dla niej obcy. Dla mnie zresztą też.

Pewnego wieczoru, po pracy, gdy zmęczony szykowałem się już do łóżka, zadzwoniła Ewa. Była mocno zdenerwowana, nie mogła znaleźć syna. Później okazało się, że z drugim Markiem, Markiem Hłasko, byli u Komedy i tak głośno śpiewali - niezłe pijani - że nie słyszeli dzwoniącego telefonu. Gdy jej powiedziałem, że moja siostra Elżbieta jest z nimi, trochę się uspokoiła i poprosiła, żebym przyjechał do niej do Warnerów w Beverly Hills. Oświadczyła mi, że u Jacka był jakiś Rusek i zostało dużo jedzenia. Pan Warner następnego dnia wyjeżdżał, więc nie będzie komu tego zjeść, a nie ma powodu, żeby prowiant się zepsuł. Gdy wkroczyłem do kuchni Jacka Warnera, zastałem tam Ewę z kieliszkiem czerwonego wina i jej pracodawcę, z którym prowadziła przyjacielską pogaduchę. Warner był ubrany w bonżurkę, białą jedwabną koszulę, miał brązowo-czerwoną apaszkę firmy Hermes. Usiłowali się dogadać, ale ciężko im szło. Nagle usłyszałem znajomy zwrot:

- Psiakrew, cholera!

Zdumiało mnie, że padł on z ust Warnera. Wtedy dowiedziałem się o jego polskich korzeniach, o Krasnosielcu - który on wymawiał Kraznoszylc - o jego rodzicach. Co parę zdań wpadało jakieś polskie słowo: „policjant”, „wyrzutek” i, o dziwo,

„szmalcownik”, tyle że w innym kontekście. Używał tego zwrotu w dziewiętnastowiecznym znaczeniu, niezabarwionym jeszcze balastem Holokaustu. Gdy już zbierałem się do wyjścia - wstawałem do pracy przed piątą - Ewa sprowadziła rozmowę na owego Ruska. Okazał się nim znakomity reżyser Lewis Milestone, urodzony jako Lew Milstein w Kiszyniowie, zdobywca Oscarów za *All Quiet on the Western Front* [Na Zachodzie bez zmian] i *Front Page* [Strona tytułowa]. To on i jego żona, Lee, byli gośćmi Jacka. Warner, zamiast używać imienia lub nazwiska, nazywał Milestone'a „ten Rusek”, ale gdy rozmowa skręciła ku pani Milestone, najwyraźniej nie mogąc sobie przypomnieć jej imienia, Jack zaczął mówić o niej „ten Rusalka”. Oczywiście wywołało to wybuch śmiechu z mojej strony. Jack obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem, wstał, odstawił kieliszek i wyszedł bez słowa. Nie tyle zrobiło mi się głupio, ile ogarnął mnie strach. Zaczęłem Ewę przeproszać. Bałem się, że przez mój spontaniczny wybuch może stracić pracę. Ewa mnie uspokoiła. Powiedziała, że tydzień wcześniej dała dwumiesięczne wymówienie. Gdy wychodziłem, przed garażem, oparty o mój samochód, stał Jack Warner i palił grube cygare. Bąknąłem swoim słabym angielskim, że bardzo go przeproszam za moje zachowanie. Nawet mu palnąłem komplement, że jego polski jest dużo lepszy niż mój angielski. Przyjął to i kiwnął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Zapakowałem torbę z jedzeniem do kufra samochodu. Włączyłem silnik, lecz nie mogłem odjechać, gdyż dalej stał przede mną, blokując drogę. Obszedł mojego austina America i postukał w okno:

- Myślisz, że gdzie pojedziesz, głupi Polaku? - spytał po angielsku.

„Głupi Polak” było powiedziane ciepło i dobrodusznie.

- Czy myślisz, że cię stąd wypuszczę, nim się nie dowiem, co było nie tak z „ten Rusalka”?

Na Boże Narodzenie dostałem od niego apaszkę, którą nosił tej nocy. Potraktowałem to jako dobry omen. Był pierwszym właścicielem wielkiego studia, jakiego w życiu poznałem.

Następnym razem spotkaliśmy się rok później na przyjęciu po pokazie polskiego filmu w Akademii Filmowej. Promotorem był Bronisław Kaper, wybitny kompozytor, zdobywca Oscara za muzykę do filmu *Uli*. Bronek był jednym z członków zarządu, czyli gubernatorów Akademii, i gorącym propagatorem polskiej kultury w tym, jakże oddalonym wówczas, zakątku świata. Sponsorował przyjęcie preuroczy człowiek o nazwisku Zygmunt Taube. Zyga pochodził z Polski i był zamożnym handlowcem. Tryskał humorem. Obok stał Józef Lejtes, najwybitniejszy polski reżyser okresu międzywojennego. Już nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, gdy nadszedł Jack Warner. Podszedł prosto do mnie i miło się przywitał. Podziękowałem mu za apaszkę. Zapytał o Ewę. Wyobrażam sobie, że z perspektywy ludzi stojących obok wyglądało to tak, jakby Warnera i mnie łączyła zażyła przyjaźń. Oczywiście była to nieprawda. Po wymianie uprzejmości przedstawiłem Jackowi resztę towarzystwa. Kapera i Lejtesa nie musiałem, znał ich dobrze. Zyga uściśnął mu dłoń i przedstawił mu swoją żonę, Lolę. I w tym

momencie stało się coś dziwnego. Jack powtórzył jej imię:

- Lola? Lola!!! - Objął zdumioną panią Taube ramieniem i cmoknął głośno w policzek. Zamurowało ją.

Atlantic City? - usiłował jej przypomnieć. Lola spojrzała na męża.

Czy myślimy kiedyś byli w Atlantic City?

Zyga, jak przystało na prawdziwego dżentelmena i dyplomatę, odpowiedział:

- Nie wykluczam tudzież nie potwierdzam. Zauważywszy następną znajomą twarz, Warner szybko wymiksował się z towarzystwa. Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem słuchu, państwo Taube spojrzeli na siebie i niemalże chórem powiedzieli:

- Czy ty wiesz, o co mu chodziło?

Ponieważ wszyscy byli święcie przekonani, że jestem z Warnerem zaprzyjaźniony, otrzymałem zadanie wywiedzenia się o szczegóły. Powędrowałem więc do Jacka. Poczekalem, aż skończy rozmawiać z kolejną osobą, i potwornie speszony przestępowałem z nogi na nogę. Warner poklepał mnie po ramieniu.

- No i co u ciebie słyhać, głupi Polaku?

Gdy tylko usłyszałem ten zwrot, wiedziałem, że jest w dobrym nastroju. Zapytałem go o Lolę z Atlantic City. Jack roześmiał się:

- Ach, wtedy zostałem po raz pierwszy producentem! Otóż pięćdziesiąt parę lat wcześniej wyświetlał *Dante's Inferno* [Piekło Dantego] w tymże mieście. Któregoś dnia, gdy spacerowali z bratem po promenadzie wzdłuż brzegu morza, podeszły do nich dwie dziewczyny. Wyglądało na to, że z obu stron była dobra chemia i dobra wola, lecz najpierw wypadało się poznać. Z jakiegoś powodu Sam uznał, że ujawnienie ich zawodu zniszczyłoby jakąkolwiek szansę na bliższą znajomość. Gdy padło pytanie, co chłopcy robią, zaczął się jękać. Jack, zawsze błyskotliwy, kątem oka zauważył w oddali namiot cyrkowy. Żeby uratować brata z kłopotliwej sytuacji, palnął, że pracują w cyrku. Gdy jedna z dziewczyn, właśnie Lola, chciała się dowiedzieć czegoś więcej, Jack - dalej brnąc - oświadczył jej, że są kłownami. Spotkanie skończyło się obietnicą randki za dwa dni. Sam nie wierzył, że przyjdą. Ku ich zdumieniu dziewczyny pojawiły się w umówionym miejscu. Lola aż podskakiwała z radości.

- Poszliśmy wczoraj na wasze występy. Byliście fantastyczni!

Uszczypnęła Jacka w policzek.

- A co, już myślałeś, że z tym czerwonym kartoflem na nosie i biało pomalowaną twarzą to cię nie poznam?

Jack rzucił ukradkowe spojrzenie Samowi.

- A po czym mnie poznałaś?

- No, jak to po czym? Po oczach. - Lola szczebiotała jak najęta. - Jak tylko na mnie spojrzaleś, natychmiast wiedziałam, że to ty.

Jack był skłonny dalej w to brnąć, ale Sam mu nie pozwolił. Wyprowadził Lolę z błędu i przyznał się do kłamstwa. Gdy Lola dowiedziała się, że żaden z braci od lat nie był w cyrku, a zajmują się wyświetlaniem filmów w lokalnym kinie, wybuchnęła jeszcze większą radością. Zarzuciła Jackowi ręce na szyję i wykrzyknęła:

- A tak się bałam, co rodzice powiedzą. Tymczasem ty jesteś producentem filmowym!!!

Gdy Jack skończył opowieść, przypomniałem mu, że gdy ta przygoda miała miejsce, Lola Taube chyba dopiero się urodziła w Polsce. Jack uśmiechnął się szelmowsko:

- Wiem. Ale nie mogłem sobie odmówić takiej okazji. Wyobraź teraz sobie, głupi Polaku, jak ona się będzie musiała tłumaczyć przed mężem. Taki był Jack Warner. A do jego dowcipów jeszcze wrócę.

Skoro już wspominałem o *Dante's Inferno* - ten tytuł nic nie mówił szerszej publiczności. Przeciętny Amerykanin nie miał zielonego pojęcia, kto to był Dante Alighieri, i podejrzewam, że do dziś nic się nie zmieniło pod tym względem. O piekle Amerykanie słyszeli każdej niedzieli na kazaniu, więc po co wydawać pieniądze na kino? Sam kupił kopię filmu, gdyż była ręcznie kolorowana, co należało do rzadkości. *Inferno* [Pieńko], jak wiemy, to część *Boskiej Komedi*, napisanej wierszem. Z tego powodu film miał wyjątkowo dużo napisów, co dla przeciętnego człowieka w Ameryce - zarówno wtedy, jak i teraz - stwarzało przeszkodę nie do pokonania. Wielu było analfabetami, z czytaniem w kinie nie radzili sobie również emigranci, gdyż napisy były tylko po angielsku. Jack i Sam wymyślili jednak sposób na przyciągnięcie widzów. Usunęli większość napisów, wynajęli aktora o nazwisku Bush, dodali mu tytuł „profesora” i posadzili za ekranem z książką. Profesor Bush walił drewnianym tłuczkiem do kartofli w kawałki metalowych płyt, kręcił korbą wiatraka i donośnym głosem recytował poemat. Widownia, słysząc odgłosy huraganu, burzy z grzmotami i czytany komentarz, oszalała z zachwytu. Pokazy w Hartford stały się sensacją, a bilety trzeba było zamawiać z wyprzedzeniem. Profesor Bush okazał się jednak wykonawcą o słabej odporności psychicznej i codzienna wirtualna podróż do dantejskiego pieńka zaczęła na nim wywierać nieprzewidziane skutki. Substancją gaszącą diabelski żar okazał się alkohol. I to w coraz większych ilościach. Jack z niepokojem obserwował powolną degrengoladę „profesora”. We wspomnianym już Atlantic City Bush przeczytał do: „*The death He died that I might live the more*” [„Umarł, bym ja mógł żyć dłużej”] i zgodnie ze starym rosyjskim toastem *praszczaj um, zavra wstrietmsla* [„żegnaj rozumie, spotkam się jutro”] stracił przytomność. Jack sam dokończył spektakl i wyrzucił „profesora”. Nie jest to zabawna anegdota, ale obrazuje pierwsze momenty zainteresowania Warnerów dźwiękiem i kolorem w kinie. Zajmie im jeszcze 20 lat, zanim dojdą w tym do perfekcji.

Dziesięć lat później, w roku 1917, Jack przeżył jeszcze jedną przygodę z dźwiękiem. Z dźwiękiem... i związkami zawodowymi. Już w San Francisco, mając wciąż w pamięci sukces *The Birth of a Nation*, wziął do dystrybucji film *The Crisis* [Kryzys]. Podobnie jak dzieło Griffitha była to epopeja o wojnie secesyjnej, oparta na książce amerykańskiego pisarza Winstona Churchilla - nie, to nie jest pomyłka, późniejszy brytyjski premier Winston Churchill, będąc w tym czasie członkiem angielskiego parlamentu, pracował nad ulepszeniem czołgów - i wyprodukowana przez znanego nam już Williama Seliga. Tego samego, który w Hollywood wynajął swoje studio Mayerowi. Cena za film była

zaskakująco przystępna. Dopiero po zawarciu umowy Jack dowiedział się dlaczego. Otóż przy jego projekcji konieczna była obecność 55-osobowej orkiestry. Ale było za późno, żeby się wycofać.

Tradycyjnie muzycy byli najlepiej zorganizowaną grupą zawodową i mieli najsilniejsze związki, które funkcjonowały jak agencja. Pracodawcy zwracali się do szefa oddziału związku i ten dostarczał ludzi według wewnętrznego rozdzielnika. Tak też stało się w tym wypadku. W czasie próby doszło do zabawnego incydentu. Gdy armia na ekranie ruszyła do boju i rozpoczęła się strzelanina z muszketów, orkiestra zaczęła grać muzykę do lirycznego wątku miłosnego. Jack popędził na balkon i wrzasnął na dyrygenta, że to nie ten fragment. Dyrygent przeprosił i zagrał następny, ale znowu nie ten, co trzeba. Jack miał dosyć.

- Patrz na ekran, a nie na nuty! - krzyknął.

- To mi nic nie da - odpowiedział spokojnie dyrygent. - Nie widzę ekranu.

- To, do jasnej cholery, załóż okulary!!! - Jack zaczął wychodzić z siebie.

- To też niewiele pomoże. Jestem niewidomy.

Warner niemalże spalił się ze wstydu i natychmiast poleciał do szefa muzyków.

- Czyś ty zwariował? Jak mogłeś mi przysłać ślepego dyrygenta, by akompaniował do filmu? Związkowiec go uspokoił.

- Po pierwsze, teraz jest jego kolej z rozdzielnika, a my nie dyskryminujemy z powodu kalectwa. A po drugie, on jest niesłychanie zdolny, i gdy raz pozna film, będzie grał idealnie, zobaczysz.

I rzeczywiście. Krytycy uznali film za hit, dyrygent był rzeczywiście fantastyczny, a to, że był niewidomy i nie widząc ekranu, dyrygował w perfekcyjnej synchronizacji z akcją na ekranie, stało się dodatkową atrakcją dla widzów.

Jak się nad tym dobrze zastanowimy, film tak naprawdę nigdy nie był niemy. Już w pierwszych nickelodeonach widzom przygrywał pianista, a w większych miastach i droższych kinach - nawet całe orkiestry. Znanie są wypadki, jak choćby Warnerów i „profesora” Busha, że właściciele kin wynajmowali „specjalistów od efektów dźwiękowych”, którzy spoza ekranu pukali do drzwi, strzelali z kapiszonów lub, gdy wymagała tego akcja na ekranie, w odpowiednim momencie przelewali wodę z bali do bali. Robili to tak dobrze, że zdarzały się wypadki, iż widzowie, słysząc odgłos cichnących kroków, rzucali się w pościg za rabusiami. Dekadę wcześniej Louis B. Mayer posunął się o krok dalej w swoim kinie w Haverhill. Posadził przed sceną pracownika z megafonem w rękę, aby czytał wszystkie dialogi - męskie, damskie i dziecięce, bez różnicy. Oczywiście były to bardzo prymitywne metody, ograniczone liczbą „specjalistów”, instrumentów i rekwizytów, niemające nic wspólnego z późniejszą techniką dźwięku. Niezłe to działało w kameralnych scenach z dwójką lub trójką aktorów. Gdy jednak nagle na ekranie ukazywały się tłumy, słowa zamierały, a pianista walił jak oszalały w klawisze, bo to było jedyne rozwiązanie.

W rzeczywistości próby wprowadzenia dźwięku do filmu zaczęły się dużo wcześniej, bo już w 1903 roku, gdy Bert Whitman

wynalazł kamerofon do nagrywania dźwięków, ale trudno je było później odtworzyć w wielkiej sali. Gdy Zukor i Marcus Loew byli współnikami, wymyślili prostszą metodę i nazwali ją *Huma-nova*. Spisywali z ekranu rozmowy, często używając do tego ludzi głuchoniemych, którzy umieli czytać z ruchu ust. Gdy już mieli wszystko na papierze, sadzali za sceną tylu aktorów, ile było postaci na ekranie, by wygłaszali dialogi jak najbardziej zsynchronizowane z filmem. Była to nie tylko prymitywna, lecz także kosztowna metoda, gdyż musieli zatrudniać ludzi w każdym kinie z osobna, a kin mieli setki. Szybko machnęli na to ręką i zdecydowali, że dźwięk w filmie nie ma przyszłości. Carl Laemmle ściągnął z Niemiec system zwany „synchronoskop”, którego D.W. Griffith użył w 1921 roku do nagrania kilku dialogów w filmie *Dream Street* (*Wymarzona ulica*). Ale system okazał się zbyt skomplikowany. Edison też czegoś próbował, nazwał to nawet kinetofonem i jak to miał w zwyczaju, opatentował, ale był to wynalazek niedoskonały, który rejestrował głównie trzaski.

Wróćmy do braci Warnerów i Edisona. Pozwólcie, że zamiast przedstawiać to własnymi słowami, użyję cytatu. Jack Warner tak oto opisuje początki drugiej dekady XX wieku w autobiografii zatytułowanej *Moje pierwsze sto lat w Hollywood*, napisanej wspólnie z Deanem Janningsem: „Ledwie zdążyliśmy osiągnąć czołową pozycję wśród młodych biznesmenów w Norfolk, wybuchła wojna. Nie brały w niej udziału żadne armie i nie ginęli na polu walki. Mimo że bezkrawa i cicha, pochłonęła jednak dużo ofiar. Wypowiedzieli ją producenci. Strategia była prosta - zorganizować, zmonopolizować przemysł tak, by zmusić kiniarzy do płacenia. A jeśli nie zechcieli - następowały groźby. Thomas Alva Edison, który od jakiegoś już czasu eksploatował główny szyb, zorientował się, że inni podkopują mu kopalnię z drugiej strony. Namówił więc grube ryby raczkującego przemysłu, by zjednoczyły się i wraz z nim stworzyły coś, co stało się znane jako Trust. Vitagraph, Essanay, Selig, Lubin, Biograph, Kalem i dwie francuskie firmy, Pathé i Méliès, połączyły kapitały i talenty. Przedsiębiorstwo nazwali The Motion Picture Patents Company. Hasło do wojny brzmiało butnie i bezczelnie: »Żaden producent nie ma prawa produkować bez licencji. Żaden dystrybutor bez licencji nie ma prawa sprzedawać filmów. Wszystkie kina, zanim wypuszczą film na ekran, muszą wykupić licencję i płacić jednego dolara tygodniowo od każdego projektora w ich posiadaniu«. Morderstwo? Nie ulega wątpliwości. Do wykonania wyroku producenci stworzyli osobne przedsiębiorstwo, The General Film Company, które zaczęło wykupywać sieci kin. Było to działanie okrutne i łatwe do przeprowadzenia. Gdy odważniejsi właściciele kin stawiali opór - a było ich w sumie wielu - The General Film Company blokowało im dopływ filmów i spokojnie czekało na efekty. Warner Brothers pęta owinęła się wokół arterii. Zaciskała się tak długo, aż krew przestała płynąć”.

Pewnego dnia jakiś obcy mężczyzna butnie wkroczył do biura Harry'ego w Pittsburghu, oświadczył, że jest przedstawicielem The

General Film i przyjechał kupić ich przedsiębiorstwo. Harry zaśmiał się.

Musiła zająć jakąś pomyłką. Nasza firma nie jest na sprzedaż.

Mylisz się - odpowiedział mężczyzna. - Od dzisiaj nie dostaniesz od nas ani jednego filmu.

Harry szybko skapitulował. W trakcie negocjacji warunków sprzedaży zaproponował, że pozostanie w Pittsburghu i będzie dla nich pracował. Człowiek z The General Film uznał to za dobry pomysł i zaproponował, by spotkali się ponownie w Nowym Jorku. Zgodnie z umową Harry i Al zjawili się w głównej siedzibie Trustu. Ku ich zdumieniu prezes J.J. Kennedy potraktował ich jak chłopców na posyłki. Gdy przypomnieli mu o obietnicy jego pracownika, Kennedy wzruszył ramionami.

- Twoje stanowisko zostało już dawno obsadzone.

Al, bardziej porywczy niż starszy brat, był gotów rzucić się na niego. Harry w ostatniej chwili złapał go za rękaw.

- Dobrze, panie Kennedy - powiedziała dobitnie Al Warner. - Wobec tego my was wykończymy!

Kennedy uśmiechnął się sarkastycznie:

- Osobiście życzę ci dużo szczęścia - odpowiedział, wyjmując pudełko z cygarami. - Z punktu widzenia biznesmena chciałbym jednak, żeby was zląg trafił jak najprędzej.

Zapalił, zaciągnął się, ale gościom cygar już nie zaoferował.

Nathan Gordon, jak wiemy, zarobił 12 milionów dolarów, sprzedając swoje kina The First National; bracia Warnerowie dostali marne 52 tysiące dolarów od The General Film. Ale uszli z życiem i poprzysięgli zemstę.

Spotkali się w Nowym Jorku, by uzgodnić strategię na przyszłość. Harry, do którego obowiązków należał nadzór nad pieniędzmi rodzeństwa, postanowił, że przyszedł czas na produkcję własnych filmów. Nie był zresztą jedyny. Carl Laemmle, Sam Goldwyn, Mark Dintenfuss, Lewis Selznick i kilkunastu innych, w tym momencie już oficjalnie nazywanych „niezależnymi”, postanowiło ignorować ultimatum Trustu i kontynuować produkcję.

Warnerowie zdecydowali, że łatwiej im będzie prowadzić działalność gdzieś na uboczu. Wynajęli do tego celu starą, nieczynną hutę w St. Louis. Sam i Jack w końcu rzeczywiście po raz pierwszy w życiu zostali producentami. Ale Missouri nie miało ani tradycji, ani zaplecza dla produkcji filmowej, dlatego dwa pierwsze filmy im nie wyszły. Byli na tyle samokrytyczni, że to przyznali. Zdawali sobie sprawę, jak daleko im do talentu Griffitha i Portera. Harry wpadł na kolejny pomysł. Podobnie jak Mayer Amschel Rothschild, który półtora wieku wcześniej wysłał swoich pięciu synów do pięciu stolic Europy i w ten sposób stworzył bankierską dynastię, wyekspediował Sama i Jacka do Kalifornii. Pierwszego do Los Angeles, drugiego do San Francisco. Tam bracia otworzyli biura i po cichu próbowali rozpowszechniać filmy. Samowi szło lepiej, Jackowi słabiej. Nie dlatego, że miał gorsze filmy, mniej talentu lub że działał na trudniejszym terenie - notabene San Francisco zamieszkiwało wtedy więcej ludzi niż Los Angeles - ale głównie ze względu na swój wiek i niedojrzałość. Chłopak liczył 20 lat, hormony szalały i nie mógł zapanować nad skłonnościami do hazardu. Parę razy zdarzyło

mu się przegrać więcej, niż utargował. Aby ująć z życiem, musiał się dobrze starać, żeby zdobyć pieniądze na spłacenie długów. Najwyraźniej mu się to jednak udało i, co ciekawsze, spotkał w tym burzliwym okresie wielu ludzi, z którymi później będzie pracował w Hollywood. Mervyn LeRoy, Hal Wallis, Sid Grauman, Louis Lurie czy też Joe Blumenfeld - wszyscy pożyczali Jackowi pieniądze na karty. W przyszłości Warner zarobi miliony, robiąc z nimi filmy.

Gdy w grę wchodził honor, Jack miał niewzruszone zasady. Zależało mu, by wszyscy wiedzieli, że jego słowo jest gwarancją. Nie miał szacunku dla ludzi, którzy nie dotrzymywali obietnic. Ani wtedy, ani potem. Do końca życia nie wybaczył Goldwynowi, że nie wywiązał się z długu karcianego. Już w okresie świetności w Hollywood pewnej nocy grał z nim w remika. Pozostałymi uczestnikami rozdania byli David Selznick, pochodzący z Alzacji reżyser William Wyler, producent Charles Feldman i urodzony w Samarze aktor Gregory Ratoff. Nie wiem, kto wygrał tego wieczoru, ale z wszystkich opowiadań jasno wynika, że najwięcej pieniędzy stracił Goldwyn. Ponieważ graczy było wielu, siedzieli przy dwóch stołach, a punktację zapisywano na różnych kartkach. Po skończonej grze, gdy Feldman podliczał wyniki, Sam poprosił Ratoffa o papierosa i zapalki. Wywołało to zdziwienie Jacka, gdyż przez wszystkie lata ich znajomości nigdy nie widział Goldwyna palącego. Sam zapalił zapalkę i tak długo ją trzymał w powietrzu, aż płomienie zaczęły niemalże parzyć go w palce. W ostatnim momencie, zamiast zdmuchnąć, wrzucił ją do dużej popielniczki, w której leżały notowania. W ciągu sekundy wyniki zamieniły się w popiół. Co prawda Sam bardzo przeproszał, że zrobił to niechcący, ale nikt mu jakoś nie uwierzył. A na pewno nie Jack Warner, który parę dekad później opisał to w książce. Zamknął tę opowieść następującymi słowami: „Ostatni raz w życiu grałem wtedy w remika”. Znowu wybiegam w przyszłość.

W czasie owego barwnego, rozrywkowego okresu Jack dostał dziwny telegram z Nowego Jorku od Harry'ego, który prosił go o pomoc w odnalezieniu angielskiego reżysera Gilberta P. Hamiltona. Okazało się, że Harry, bez porozumienia z braćmi, dał Hamiltonowi 20 tysięcy dolarów na realizację filmu opartego na poemacie znanej poetki Elli Wheeler Wilcox, *Inherited Passions* [Odziedziczone pasje]. Reżyser przyjął pieniądze i zniknął. Ponoć przeniósł się z ekipą na Zachodnie Wybrzeże. Musimy pamiętać, że Los Angeles od Nowego Jorku w linii prostej dzieli cztery tysiące kilometrów. Podróż pociągiem trwała pięć dni. Telefonów jeszcze mało kto używał, zwłaszcza poza dużymi miastami. Wschód kraju był już względnie dobrze zagospodarowany, w centrum rozciągało się pustkowie, a wybrzeże Pacyfiku wciąż miało charakter Dzikiego Zachodu. Gdy ktoś bardzo chciał zniknąć, nie było to takie trudne. Jedynym śladem, który Harry posiadał, był telegram od Hamiltona, że produkcja się opóźnia i potrzebują dodatkowych pięciu tysięcy, wysłany z południowej Kalifornii. Harry, który znalazł się między młotem a kowadłem, przekazał fundusze, ale jednocześnie poprosił Jacka o interwencję. Jack pojechał do Santa

Paula, miasteczka malowniczo położonego między wzgórzami na północ od Los Angeles, dokąd zostały wysłane pieniądze. Trochę czasu mu to zajęło, ale w końcu, jak dobry detektyw - a może bardziej pies policyjny - odnalazł ślad i wytopił reżysera. Powód opóźnienia produkcji okazał się banalny. Hamilton wdał się w romans z gwiazdą swojego filmu i nie zależało mu, by idylla szybko się skończyła. Żyli na koszt Warnerów, w luksusie, podróżując dwoma identycznymi luksusowymi samochodami, również kupionymi za pieniądze braci. Przyjazd Jacka oczywiście zmienił wszystko. Hamilton twierdził, że pierwszych pięć aktów filmu poszło już do laboratorium w Los Angeles i pozostała mu jeszcze do nakręcenia tylko scena finałowa, ale do tego potrzebował... i tu zaczynała się długa litania wymagań. Jack zostawił reżysera w Santa Paula, pojechał do laboratorium, odebrał materiały i zmontował film bez końcowej sceny. Zamiast tego dokleił napisy z wyjaśnieniem i wysłał obraz do dystrybutorów.

Brak możliwości telekomunikacyjnych sprawił, że teraz zaskoczona została druga strona. Możemy sobie tylko wyobrazić zdziwienie Hamiltona, który po telegraficznym zawiadomieniu Harry'ego w Nowym Jorku, że właśnie zabiera się za ostatnią scenę, dostał zaskakującą odpowiedź. Warner pisał: „To niekonieczne, gdyż film od paru dni jest już na ekranach”. *Inherited Passions* okazał się kląpą finansową, ale nie ze względu na złą jakość. Wszedł do kin w tym samym tygodniu, w którym Stany Zjednoczone przystąpiły do I wojny światowej. Większość młodych mężczyzn szykowała się na front i nie miała czasu myśleć o rozrywce.

Samowi i Jackowi też udzielił się duch patriotyzmu i razem zgłosili się do wojska. Z początku wyglądało na to, że jak inni będą skrobać ziemniaki w przyfrontowej jednostce, ale gdy dowództwo dowiedziało się, że są filmowcami, zostali szybko odkomenderowani do oddziału, który zajmował się robieniem filmów armii. Bracia ucieszyli się, jednak ich zapal szybko minął, pierwszy film miał nawet chwytliwy tytuł - *Open Your Eyes* [Otwórz oczy]. Niestety, nie miał nic wspólnego z wzrokiem na pewno nie był komedią. Był to instruktażowy film dla żołnierzy wyruszających na front do Francji, informujący, czego muszą się wystrzegać, by nie zapać rzeżączki lub syfilisu od pięknych Francuzek. Zdjęcia kręcono w Bronxie. Warnerowie mieli na tyle wiary we własne umiejętności, że zaproponowali Mini-sterstwu Wojny, iż sami zapłacą za produkcję, ale w zamian za to mają wszystkie prawa do dystrybucji po zakończeniu wojny. Film, który zawierał dużo grafiki, okazał się całkowitym niewypałem. Nikt go nie chciał oglądać ani nawet wyświetlać. Ostatecznie wojsko zniszczyło wszystkie kopie. Po wojnie bracia próbowali odzyskać pieniądze, które włożyli w produkcję, ale im się to nie udało.

Warnerowie znaleźli w końcu sposób, jak wzbogacić się na wojnie, i to całkiem niezłe. Już po kapitulacji i podpisaniu traktatu wersalskiego Sam i Jack znaleźli książkę zatytułowaną *Four Years in Germany* [Moje cztery lata w Niemczech].

Autorem był James W. Gerard, były

amerykański ambasador na dworze kajzera Wilhelma II. Była to w pewnym sensie książka pacyfistyczna. Ambasador opisywał swoje zabiegi, mające na celu zapobieżenie wybuchowi I wojny światowej, a w każdym razie utrzymanie Stanów Zjednoczonych od niej na dystans. Jak wiemy z historii, nie udało mu się ani jedno, ani drugie. Bracia mieli środki na zakup praw autorskich, ale zabrakło im funduszy na produkcję. Harry przyszedł im z pomocą, wciągając do spółki Marka M. Dintenfassa, o którym wcześniej wspominałem. Dintenfass był bardzo niskiego wzrostu i bracia przezywali go „Kałamarz”, ponieważ brzmienie jego nazwiska kojarzyło im się z niemieckim słowem *tintenfass* [kałamarz]. Przezwiśko przyłgnęło do niego. Kałamarz bardzo chwalił się głową do interesów, ale gdy przyszło do wpłaty kapitału, z obiecanych 50 tysięcy dolarów wyłożył tylko 28 tysięcy. Resztę musieli zapłacić sami, częściowo z pożyczki w banku. Pomógł im, jak zawsze, nieoceniony Henry Garlick z Ohio oraz znany nam z rozdziału o Goldwynie dr Giannini z Bank of Italy w San Francisco.

Bracia wynajęli dużą farmę w New Jersey, należąca do znanego dziennikarza z syndykatu Hearsta, Arthura Brisbane'a. Architektonicznie okolica przypominała Prusy, więc tam postawili dekoracje. *My Four Years in Germany* jest filmem godnym uwagi przede wszystkim dlatego, że po raz pierwszy twórcy włączyli materiały dokumentalne do narracji filmu fabularnego. Zdjęcia z frontu I wojny światowej, zwłaszcza te pokazujące bestialstwo niemieckiej armii, połączone z inscenizacją dały chwytający za serce efekt. Film okazał się olbrzymim sukcesem kasowym. Wpływy przekroczyły półtora miliona dolarów. Po spłaceniu kosztów produkcji, eksploatacji i zapłaceniu podatków bracia zarobili 130 tysięcy dolarów. Częścią tej sumy było 70 tysięcy, które Jack odebrał od Louisa B. Mayera za wykorzystywanie 12 należących do nich kopii. Przypomnijmy słowa, jakimi rozszoszczony Mayer pożegnał windykatora:

- A teraz wynoś się stąd, jakkolwiek się nazywasz, i jeśli cię w życiu więcej nie zobaczę, nie będę tego żałował.

Jakie było zaskoczenie Jacka, gdy rok później wpadli na siebie w restauracji w Los Angeles. Jak pisze, był całkowicie przekonany, że dojdzie do bójki. Tymczasem Louis wyciągnął dłoń i powiedział:

- Słyszałem, że to ty jesteś Jack Warner – i przedstawił mu się. Warner zaważał się, ale nie był w stanie odmówić sobie satysfakcji.

- Nie musisz się przedstawiać, już raz się spotkaliśmy, i to nie tak dawno.

Mayer nawet nie mrugnął.

- Chyba się mylisz, w życiu nie widziałem cię na oczy. Jack miał wybór: przypomnieć mu okoliczności spotkania lub podjąć grę. Nie był pewien, czy Mayer rzeczywiście cierpi i zanik pamięci, czy też w właściwy dla siebie sposób promuje wypalenie fajki pokoju. Wybrał drugie rozwiązanie.

- Masz rację - powiedział z uśmiechem. - Musiał to być ktoś inny, podobny do ciebie.

Od tego momentu zaczęła się ich przyjaźń, która przetrwała do końca życia.

Jeśli sukcesy wyzwoliły w Jacku urwisowską zylkę, to przyjaźń z Sidem Graumanem, właścicielem najbardziej prestiżowych kin

Kalifornii, podniosła ją do rangi sztuki. To, co razem wyczyniali nazwalibyśmy dziś happeningiem. Panowie zaczęli konkurować w żartach, często śmiesznych tylko dla nich samych. Typowy był dowcip, który w dwójkę zrobili Samowi Goldwynowi. Tak się zdarzyło, że obaj, Warner i Goldwyn, zamieszkali w tym samym hotelu. Hotel nazywał się Alexandria i zatrzymywało się w nim wielu ówczesnych celebrytów. Pochodzący z tych samych stron panowie dobrze się znali i lubili. Podczas wspólnej kolacji Goldwyn wygadał się Warnerowi i Graumanowi, że następnego dnia rano spodziewa się trzech bankierów z Nowego Jorku, którzy przyjeżdżają specjalnie do Los Angeles, by udzielić mu olbrzymiego, jak na owe czasy, kredytu na produkcję filmów. Przewornie Goldwyn dość wcześnie zakończył wieczór, tłumacząc, że musi raz jeszcze przejrzeć tekst umowy. Zarządził, by poranne spotkanie rozpoczęło się od wystawnego śniadania w jego apartamencie. Następnego dnia wstał, mył się, ogolił, ubrał w garnitur i czekał na umówionych finansistów. Nie pokazali się. Po paru godzinach, sfrustrowany, dał za wygraną i sam zjadł zimny już posiłek. Dopiero po kilkunastu latach dowiedział się, że owszem, bankierzy pojawili się o umówionej godzinie pod jego drzwiami, ale nigdy nie przekroczyli progu pokoju. Na drzwiach wisiał bowiem oficjalnie wyglądający dokument o następującej treści: „Uwaga! Nie wchodzić! Choroba zakaźna! Pacjent odbywa kwarantannę!!!”. Kartkę, jako dowcip, powiesili Sid z Jackiem tuż przed przybyciem gości, gdy tylko kelnerzy zastawili stół. Kiedy po latach Goldwyn dowiedział się, kto krył się za tym kawałem, nie był szczęśliwy. Jednak czas zrobił swoje i przyjaźń jakoś przetrwała.

Innym razem obiektem żartów stał się Charlie Chaplin. Jack zadzwonił do niego późną nocą z pokoju Graumana i z paniką w głosie oświadczył, że znalazł w sypialni Sida zamordowaną kobietę, a on sam zniknął. Zaspany komik pojawił się w hotelu. I rzeczywiście, w łóżku Graumana leżało ciało. Ślady krwi nie pozostawiały wątpliwości co do scenariusza wydarzeń. Jack z Chaplinem zaczęli zastanawiać się, czy wezwać policję, czy może próbować ukryć zbrodnię. Chaplin był zwolennikiem zatarcia śladów. Wtedy do pokoju wszedł Sid. Właśnie wrócił z jakiegoś przyjęcia i, jak gdyby nigdy nic, zaczął zdejmować smoking. Chaplin zaniemówił. Niemożliwe, żeby Grauman nie zauważył trupa we własnym łóżku, niemniej zachowywał się, jakby nic się nie stało. Gdy Chaplin wskazał na zwłoki, Sid od niechcenia wzruszył ramionami z całkowitym spokojem:

- To moja przyjaciółka, znudziła mi się i musiałem się jej pozbyć.

Gdy Chaplin zaczął histeryzować, Jack z Graumanem odwrócili nieboszczkę. Trup okazał się dobrze ucharakteryzowaną kukłą, krew - keczupem. Sid poklepał komika po ramieniu:

- Dzięki, Charlie, teraz już wiem, do kogo zadzwonić, gdy kogoś zabiję.

Tego ich przyjaźń nie wytrzymała i skończyła się na zawsze.

Dochody z filmów tylko wzmogły apetyty Sama i Jacka. Młodszy bracia bardzo chcieli pokazać starszemu rodzeństwu w Nowym Jorku, że również mają smykałkę do interesów.

Próbowali więc finansować rzeczy, o których zazwyczaj nie mieli pojęcia, w związku z czym nie wiedzieli też, gdzie znikają ich ciężko zarobione pieniądze. Między innymi zainwestowali sporo gotówki w poszukiwania ropy naftowej. Namówił ich do tego legendarny bejsbolista Babe Ruth. Bracia szukali złóż, sportowiec - naiwnych współników. Na ropie i na prowizji Babe zarobił sporo, chłopcy - nic. Uczciwie trzeba przyznać, że nawet byli blisko sukcesu. Niecały kilometr od ich wieży wiertniczej, na wzgórzach Signal Hills, ktoś inny rzeczywiście odkrył ropę. I to tyle, że wystarczyło jej na ponad 70 lat. Może dobrze, że Warnerom się nie udało, bo kto wie, jak potoczyłyby się losy ich studia.

Nauczeni doświadczeniem bracia poszli po rozum do głowy i postanowili skupić się na tym, co już potrafią. Czyli na robieniu filmów. Może jeszcze nie najlepszej jakości, może jeszcze nie tej klasy co Goldwyna, niemniej byli szybkimi i bystrymi uczniami.

Jednym z pierwszych był film zatytułowany, o ironio, *Speed* [Szybki]. Bohaterem historii był młody fajtlapa rozwijający na rowerze telegramy z Western Union. Jack dowiedział się, że w „stajni talentów” u Macka Sennetta jest dobrze zapowiadający się komik, specjalizujący się w akrobacjach na rowerze. Nazywał się Al St. John. Jack tak długo chodził za St. Johnem, aż go zwerbował. Aktor, po przeczytaniu scenariusza, polecił mu reżysera Mela Browna. Jak twierdził, „nikt tak dobrze nie czuje sztuki kolarstwa jak on”. Jack, który miał mało doświadczenia w zatrudnianiu reżyserów, przystał na propozycję. Jednak produkcja z jakiegoś powodu od początku kulała. Pod koniec pierwszego tygodnia zdjęć, gdy na planie nic się nie działo, Jack postanowił porozmawiać z reżyserem. Kiedy wszedł do biura, Brown tarzał się po podłodze, jęczał i dosłownie wyrwał sobie włosy z głowy.

- Co ci jest? - zapytał przerażony Jack.

- Nic. Usiłuję wymyślić następną scenę - odpowiedział spokojnie reżyser. - Tarzanie się po podłodze i wyrwanie włosów powoduje u mnie wzrost przyływu krwi do mózgu i wtedy robię się bardziej twórczy.

Warner zaczął podejrzewać, że może mieć problem.

- Nie mów mi, że jest to pierwszy film, który reżyserujesz. Brown oburzył się i zorganizował dla niego specjalny pokaz swojego poprzedniego dzieła, też komedii. Zaproszona widownia siedziała - jak to trafnie opisał Jack - „jak Żydzi na arabskim pikniku”. Po tym pokazie Jack usunął reżysera i sam skończył film. Gwiazda, urażona bezceremonialnym wyrzuceniem przyjaciela, zaczęła sprawiać trudności. St. John - jak wspomina Bob Thomas w książce *Clown Prince of Hollywood* - nagle zachorował na „nieuleczalną chorobę prześladowczą słynnych aktorów. Symptomami były: puchnięcie głowy do takiego stopnia, że żaden kapelusz w mieście na nią nie wchodził; bóle palców, które mogło uśmierzyć tylko rozdawanie autografów; niekontrolowany impuls żądania dodatkowych pieniędzy; wybuchy paroksyzmów złości połączone z szantażem, gdy studio nie pozwalało na zwolnienie go z kontraktu, oraz niespodziewane pogorszenie wzroku,

spowodowane czytaniem każdego słowa o sobie samym we wszystkich dostępnych gazetach i pismach”. Krótko mówiąc, ten film się nie udał. Ani żaden następny.

Po pokazie komedii *Speed* przebywający w Nowym Jorku Harry otrzymał następujący list od Ala Lichtmana, szefa dystrybucji w Paramount: „Proponuję, żebyś poradził swojemu bratu, Jackowi, aby niezwłocznie skoncentrował się na tym, by w jego przyszłych filmach widzowie mieli więcej powodów do śmiechu. Od takiego aktora jak Al St. John widowia oczekuje co najmniej tyle humoru, co w filmach Sennetta i Arbuckle’a”. Po następnych próbach Jack dostał telegram: „Twój drugi i trzeci film są poniżej naszych standardów!”. Harry nie podzielał zdania Lichtmana. Był święcie przekonany, że Paramount, podobnie jak inni dystrybutorzy, The First National i CBC, nie są w stosunku do nich uczciwi i nieustannie zaniżają raporty finansowe. Zebrał więc braci przy jednym stole oświadczył, że jak długo ograniczą się tylko do produkowania filmów, tak długo będą skazani na zależność od pośredników. Uważał, że wszyscy są z natury złodziejami, a uczciwy człowiek to taki, który nie ma co ukraść. Aby więc nikt nie mógł zabrać się do ich pieniędzy, powinni stać się panami własnego losu, rozszerzyć działalność o dystrybucję oraz kupić sieć kin. Fundusze na ten cel mogą pożyczyć od dr. Gianniniego i jego banku w San Francisco.

Bracia zaniechali dowcipów i zabrali się do roboty. Postanowili nakręcić parę filmów przyrodniczych. Pierwsza seria nosiła tytuł *The Tiger's Claw* [Pazur tygrysa]. Pod względem artystycznym nie była niczym wyjątkowym. Projekt ten przyniósł im jednak dużo szczęścia, jako że sfinansował go młody bankier nazwiska Motley Flint.

Motley Flint, Irlandczyk z pochodzenia, był arcyciekawą postacią i myślę, że warto poświęcić mu parę słów. Był - można powiedzieć - produktem swoich czasów. Tak jak Warnerowie pochodził z dość licznej, blisko trzymającej się rodziny. Motley i jego brat, Frank, urodzili się w Bostonie, ale dorastali już w San Francisco. Ich rodzina przeniosła się na Zachodnie Wybrzeże w idealnym czasie, by zdążyć skorzystać z dobrej koniunktury. Spekulacje ziemią zrobili z obu braci multimilionerów w bardzo młodym wieku.

Frank, z wykształcenia prawnik, zasiadał nawet przez jakiś czas fotelu senatora. Miał dziwny cel w życiu - poświęcił wszystko na zbudowanie sobie pomnika w formie miasta, które nosiłby jego nazwisko. Pod tym względem był niewątpliwie prekursorem Donalda Trumpa. Miasto nazwał Flintridge, ale miał do niego tyle szczęścia, co Warnerowie do ropy naftowej, Motley natomiast został bankierem i połączył bakcyła show-biznesu. Imponowały mu gwiazdy filmowe, czerwone dywany i wy-stawne przyjęcia. Obaj bracia lawirowali na krawędzi filantropii przestępstwa, często nie zdając sobie sprawy, czy, jak i kiedy przekraczają granice. Byli zarówno wielkoduszni, jak i skorumpowani. Motley w roku 1920 uratował Warnerów od bankructwa, ale potrafił też łamać bariery. Był pierwszym, który wbrew naciskowi establishmentu zaczął otwarcie popierać

Żydów i finansować przemysł filmowy. Rok lub dwa później jego śladami pójdzie dr Giannini. Parę lat potem Motley oszuka 40 tysięcy (to nie błąd) inwestorów na ponad 150 milionów dolarów. Większość ludzi, którzy powierzyli mu wszystkie oszczędności, straciło je bezpowrotnie, i to na długo przed wielkim kryzysem. W sądzie w tej sprawie reprezentował go brat Frank. Musieli mieć świetne koneksje, bo wszystkie zarzuty przeciwko Motleyowi - w tym o oszustwo, fałszerstwo dokumentów, kradzież, przywłaszczenie cudzego mienia, znowę i przestępstwa związane z handlem papierami wartościowymi - zostały odrzucone. W San Quentin - jednym z najsurowszych więzień w Stanach - wylądowali za to prokuratorzy, którzy wnieśli sprawę. Prasa bezlitośnie pastwiła się nad braćmi Flintami i skorumpowanym wymiarem sprawiedliwości. Motley na jakiś czas przeniósł się na południe Francji. W 1931 wrócił do Los Angeles, by zeznawać jako świadek w innej sprawie. Tym razem syn Lewisa Selznicka, David - zięć Mayera i późniejszy producent *Przeminęło z wiatrem* - pozwał bank za wycofanie się z kontraktu. I doszło do tragedii. W trakcie zeznań Flinta zdesperowany inwestor Frank Keaton, który stracił wszystkie oszczędności w oszukańczym funduszu Motleya znanym jako *Million Dollar Pool* [Milionowy Fundusz Inwestycyjny] - zastrzelił go w obecności sędziego i ławników. Po kilku dniach inna kula dosięgnęła Franka, ale nie za przekręty finansowe, lecz z powodu cudzołóstwa. Zazdrosny mąż jednej z jego kochanek na szczęście tylko go zranił. Z marzeń Motleya o Flintridge zostało zrównane z ziemią. Dzisiaj w tym miejscu biegnie autostrada.

W trakcie kręcenia drugiej serii ze zwierzętami - zatytułowanej nomen omen: *Dangerous Adventures* [Niebezpieczne przygody] - zdarzyła się seria tragicznych wypadków. Tygrys bengalski poranił trenera, lwica uciekła z klatki i zaczęła terroryzować sąsiedztwo (policja musiała ją zastrzelić), a asystenta producenta zabił i pożarł lampart. Jack w końcu poddał się i zaprosił do współpracy specjalistę od pracy ze zwierzętami, Harry'ego Rapf'a. Gdy w trakcie wstępnych rozmów Harry zapytał Warnerów, skąd się wzięło ich nagle zainteresowanie zoologią, Jack odpowiedział zgodnie z prawdą: „Filmy przyrodnicze wymagają niskiego budżetu i przynoszą wysoki dochód, a poza tym zwierzęta nie czytają recenzji i nie żądają ekstra zapłaty za nadgodziny”.

Rapf sprawdził się jako producent i z biegiem czasu awansował na szefa produkcji w studiu Warnerów. Ostatecznie, za zgodą Jacka, dał się podkupić Mayerowi do MGM. Na miejsce Rapf'a przyszedł legendarny reżyser Ernst Lubitsch. W jego zdolnych rękach studio szybko popadło w dług. Nim Warnerowie się zorientowali, byli winni bankowi 990 tysięcy dolarów. Motley Flint nie mógł pomóc, ukrywał się gdzieś w Europie. Uratować ich mógł tylko... pies!

Gdy Rapf dowiedział się o problemach finansowych byłych pracodawców, z którymi do końca życia łączyła go głęboka przyjaźń, podsunął im pomysł na film o psie. Nie byle jakim psie. Jego znajomy właśnie wrócił

z Europy i opowiadał barwne historie o kundlu Rin Tin Tinie. Pewien amerykański porucznik znalazł go na polu bitwy we Francji podczas I wojny światowej. Jack do pomysłu odniósł się sceptycznie, ale „Rinty” kupił go talentem i skromnością. Jak wspomina w swojej książce: „Nie prosił o podwyżkę, nie żądał więcej zbliżeń, nie zależało mu na tym, by jego garderoba miała klimatyzację i nie pytał, w jakim wieku jest jego agent prasowy, a za dodatkowy wysiłek dostawał podwójnego hamburgera i był szczęśliwy”. Pierwszy film z Rin Tin Tinem pobił wszelkie rekordy kasowe. Do następnego zaangażowali młodego scenarzystę o nazwisku Darryl Francis Zanuck, który w przyszłości przejdzie do historii jako szef wytwórni 20th Century Fox. Zanuck okazał się bardzo uzdolnionym scenarzystą i każdy następny odcinek sagi jego autorstwa bił rekordy powodzenia. Powstało ich ostatecznie 19.

O popularności Rin Tin Tina najlepiej świadczy anegdota opowiadana przez Jacka Warnera:

„Pamiętam, jak w roku 1926 byłem w Wiedniu gościem Austriackiego Stowarzyszenia Filmowców. Na przyjęciu zostałem posadzony na honorowym miejscu, obok jakiejś księżnej w podeszłym wieku. Myślałem, że jestem dość ważny, dopóki nie odwróciła się do mnie i nie zapytała:

- A co pan robi, *monsieur*?

Odpowiedziałem, że nazywam się Jack Warner i robię filmy. Nie zareagowała.

- Filmy - powtórzyłem z naciskiem. - John Barrymore i inni, chyba wie pani, o kim mówię.

- Nigdy o nich nie słyszałam - odpowiedziała.

- To może słyszała pani o Ernście Lubitschu, wielkim niemieckim reżyserze? Pracuje dla mnie.

Nazwisko nic jej nie mówiło.

Trochę zdesperowany zapytałem po chwili:

- A może widziała pani Rin Tin Tina?

- Ach! - wykrzyknęła radośnie. - Ring Ting Ting! Oczywiście, że wiem kto to.

Od tego momentu - skromnie dodaje Jack - moje nazwisko coś znaczyło w Wiedniu”.

Mimo początkowych porażek finansowych ściągnięcie do studia Ernsta Lubitscha, urodzonego co prawda już w Berlinie, ale z rodziców pochodzących spod rosyjskiego zaboru, okazało się bardzo udanym posunięciem Warnerów. Zrobili razem sporo ciekawych filmów. Urodzony w Grodnie ojciec Ernsta, Symcha, szczylił się, że był kiedyś krawcem rosyjskiej armii. Nie wiadomo, gdzie mieszkał, zanim przyjechał do Berlina. Ponieważ znany ukaz carski zabraniający Żydom osiedlania się w wielkich miastach i tworzący dla nich specjalny okręg (tzw. strefa osiedlenia) na terenach dzisiejszej Litwy, Białorusi, Ukrainy i Polski, możemy założyć, że rodzina ze strony ojca prawdopodobnie pochodziła z tych okolic.

Mimo nacisku ze strony rodziny Ernsta nigdy nie interesowało krawiectwo. Za karę, że odszedł od zawodu, musiał przez wiele lat prowadzić ojcu księgowość. Ernsta pasjonowała reżyseria. Po rocznej praktyce u Maxa Reinhardta, w trakcie której zajmował się głównie aktorstwem, przeszedł do berlińskiej filii wytwórni Bioscope i tam

zadebiutował jako samodzielny reżyser. To on pierwszy zaangażował urodzoną w Lipnie Apolonię Chałupiec, która jako Pola Negri stała się jedną z największych gwiazd hollywoodzkiego kina niemego. Pierwszy wspólny film nakręcili w Berlinie, nosił tytuł *Die Augen der Mumie Ma (Oczy mumii Ma)*. Ich następny wspólny projekt, *Carmen*, stał się już sensacją na skalę europejską. W 1919 roku Lubitsch wyreżyserował siedem filmów. Dwa z nich - pierwszy znowu z Polą Negri oraz Emilem Janningsem - *Madame du Barry*, i *Die Austernprinzessin (Ostrygowa księżniczka)* - otworzą mu drogę do Hollywood. Jego nowatorski styl narracji i zaskakujące rozwiązania wizualne będą wysoko oceniane nawet w Stanach. W zdobyciu popularności pomogło mu niewątpliwie piractwo Lubina. Jego pomysły powszechnie kopiowane przez innych reżyserów, staną się słynne w przemyśle jako tak zwany dotyk Lubitscha.

Ernst rozpoczął karierę w Hollywood w 1923 roku, od *Rosy* Mary Pickford w roli głównej. Film, zrealizowany w wytwórni United Artists, stał się przebojem. Jack szybko zwerbował Lubitscha do Warner Brothers. Ernst zrobił dla nich pięć niezwykle udanych filmów, ogromnie podnosząc rangę studia. Długo jednak nie zabawił u braci Warnerów. Gdy miałem możliwość zapytać Jacka o współpracę z Lubitschem, odpowiedział mi, że Ernst był niewątpliwie wielkim europejskim reżyserem. Nie znaczy to, że wiedział, jak się robi filmy w Ameryce: „Zaraz po klapsie pędził na kawę, wracał, ustawiał ujęcie i... znowu leciał na kawę, tym razem, żeby się skupić”. Wykorzystując zdolności do błaznowania i imitowania obcych akcentów, Jack urządził przedstawienie, pokazując, jak Lubitsch reżyserował: „Powiedział aktorom, co im miał powiedzieć, i znowu chciał kawy, ale tym razem z tortem z Linzu, bo kawa była gorzka. On zapomniał, że nie jest w Berlinie, a studio to nie Wiener Cafe. W Ameryce czas to pieniądz!”.

W swojej książce Bob Thomas tak oto opisuje rozejście się Warnera z Lubitschem: „Jack nie był przyzwyczajony do zatrudniania reżyserów, którzy pracowali bez pośpiechu. Szpiedzy z planu donieśli mu, że Lubitsch często robi przerwę po południu i zaprasza załogę na kawę i ciastka. Jack polecił na plan i dał Lubitschowi publiczny wykład na temat strat, jakie przez jego zachcianki ponosi produkcja. Niewysoki Ernst tylko się uśmiechnął: - Skończyłeś? To zostań z nami i napij się kawy, Jack. - W tym momencie Warner zdecydował, że prestiż nie jest wart takiej ceny”.

Po przejściu do MGM Lubitsch wyreżyserował dla Mayera *Ninoczkę* z Gretą Garbo i Melvynem Douglasem. W roku 1942 ponownie wrócił do United Artists i tam zrealizował wojenną komedię *To Be or Not to Be [Być albo nie być]* z Jackiem Bennym i Carole Lombard - dziś zaliczaną do klasyki gatunku, której akcja dzieje się w Warszawie. Ale nie wybiegajmy zbyt daleko do przodu.

Mimo że pod koniec 1924 roku studio braci Warnerów było niewątpliwie jedną z najsilniejszych niezależnych wytwórni w Hollywood, wciąż było im daleko do pozycji tzw. Wielkiej Trójki, czyli MGM, Paramount i The First National. To miało się niebawem

zmienić.

W 1925 roku w Los Angeles działały dwie duże stacje radiowe. Konkurenci Warnerów zaczęli zamieszczać w nich reklamy swoich filmów. Sam i Jack próbowali kupić najpierw jedną z nich, potem obydwie, ale im się to nie udało. Gdy już byli skłonni pogodzić się z myślą, że nigdy nie zostaną właścicielami radiostacji, poznali młodego majora korpusu łączności, Nathana Levinsona. Levinson był z wykształcenia inżynierem dźwięku i wybitnym fachowcem od fal radiowych. Na tyle cenionym, że został odkomenderowany przez armię do Białego Domu, by pracował dla prezydenta Theodore'a Roosevelta. Młody człowiek miał wszystko, czego Warnerowie potrzebowali: talent, wiedzę i koneksje. Już 3 marca bracia stali się właścicielami trzeciej stacji radiowej - KFWB, którą Levinson wybudował specjalnie dla nich na terenie studia. Dwie ostatnie litery w nazwie stacji znaczą oczywiście Warner Brothers. Na uroczystym otwarciu Leon Zuardo *vel* Jack Warner odśpiewał parę piosenek. Jak wspomina w pamiętnikach: „Były chłopięcy sopran brzmiał tego dnia bardziej jak baryton z zabarwieniem wódki niż tenor o odcieniu whisky”. Trzeba mu przyznać, że ładnie to sformułował.

Parę tygodni po oficjalnym otwarciu stacji Levinson, który właśnie wrócił z Nowego Jorku, wpadł do biura Sama. Był bardzo podekscytowany:

- Wiem, że będzie ci trudno uwierzyć, ale byłem świadkiem cudu!

- Nie mów, że spotkałeś bankiera o wrażliwym sercu - roześmiał się Sam.

Nie, coś lepszego. Film, który mówi!

Gdzie?

- U Bella w laboratorium. Zbieraj się, muszę wam to pokazać.

Tego samego wieczoru wsiedli w pociąg do Nowego Jorku, Sam, który z natury był sceptykiem, oszalał na widok serii próbek dźwięku zsynchronizowanego z obrazem. Tak jak parę dekad wcześniej zwołał naradę rodzinną, by naradzić się nad kupnem nowego wynalazku. Harry nie chciał o tym słyszeć - stali na progu bankructwa. Stary Bob od ponad 10 lat pał się a soczystych polach raj, więc nie było nawet konia pod zastaw. Sam nie dał jednak za wygraną i w laboratorium Bella zaaranżował spotkanie z kilkoma zaprzyjaźnionymi bankierami, słusznie założył, że Harry nie odmówi sobie przyjemności przybycia na zebranie dotyczące pieniędzy, tym bardziej że nie wiedział, co mieści się pod podanym adresem. Gdy najstarszy brat zorientował się, że padł ofiarą podstępny, dyplomatycznie nie dał nic po sobie poznać i pozostał na projekcji.

Po skończonym pokazie pokijał głową z aprobatą:

- To dobra zabawka! Wyobraź sobie tych wszystkich kinarzy, których nie stać na orkiestry.

Jego brat nie potrafił ukryć entuzjazmu.

- Nie mówiąc o aktorach, którzy wreszcie będą mogli mówić własnym głosem!

I tu Harry wymamrotał słowa, które przeszły do historii sztuki filmowej:

- Kto, do cholery, chce słuchać gadających aktorów? - Dla niego od paplania było radio. - Muzyka! To jest największy plus tego

wynalazku.

Czasy były trudne. Podczas gdy kilku wizjonerów usiłowało poszerzać horyzonty, inni, przeważnie mniejsi producenci, rzucali im kłody pod nogi. Dla nich wprowadzenie dźwięku było groźne ze względu na potencjalne ograniczenie rynku zbytu, a zwłaszcza eksportu, z którego czerpali główne dochody. Niemy film wymagał przetłumaczenia zaledwie kilku plansz z dialogami i mógł być zrozumiany na całym świecie. Ponieważ był to bardzo tani i nieskomplikowany proces, filmy tłumaczono na wiele języków - od chińskiego po hiszpański, gaelicki, hebrajski, jawański czy też łotewski. W tym kontekście dźwięk tylko ograniczał możliwości i komplikował sprawę, jako że dialog wymagałby dubbingu, o którym jeszcze nikomu w tym momencie się nie śniło, lub napisów. Wszyscy więc obawiali się nowego wynalazku. Oglądanie filmu i jednocześnie czytanie tłumaczonych dialogów wydawało się przeciętnym Amerykanom zadaniem niewykonalnym. To pokutuje zresztą w amerykańskim społeczeństwie do dziś.

Drugą potężną grupą, która przeciwstawiała się rozwojowi dźwięku, byli niezależni kinarze. W Stanach funkcjonowało wtedy ponad 20 tysięcy kin. Około połowy znajdowało się w rękach grupy magnatów, takich jak: Loew, Gordon, Lasky i Zukor, reszta zaś należała do właścicieli, których stać było tylko na parę sal. Byli również tacy, którym brakowało funduszy na krzesła w lokalach, które już posiadali. Ci najbardziej obawiali się kosztów związanych z kupnem sprzętu i instalacją nowej technologii.

Największym problemem dla braci okazał się dostęp do technologii. Laboratorium Bella było własnością olbrzymiego konglomeratu Western Electric, który słynął z tego, że nie zatrudniał Żydów. Sam Warner, znając nieprzyjazne nastawienie zarządu firmy, wykorzystał ówczesną etykietę, która zabraniała trzech pytań: jaką religię wyznajesz, ile zarabiasz i na kogo głosowałeś w ostatnich wyborach. Poprosił swoją żonę, Linę, aby na wystawny obiad, który wydał dla szefów Western Electric, założyła naszyjnik w kształcie dużego inkrustowanego krzyża. Z wszystkich braci tylko on mógł przeprowadzić taką akcję, jako że jedyny ożenił się z katoliczką. Lina tak oczarowała zarząd Western Electric, że 25 czerwca 1925 Harry, jako prezes wytwórni The Warner Brothers, podpisał kontrakt przekazujący im wyłączne prawa do systemu Vitaphone. Jednak John Otterson, szef sekcji odpowiedzialnej za film i nowy system dźwiękowy w Bell Labs, za nic nie chciał oddać Warnerom nowego wynalazku. Nie mogąc otwarcie przeciwstawić się przełożonym, tak długo analizował umowę, aż znalazł haczyk. Zławsza, że umowy były dwie. Pierwsza, z czerwca, tworzyła ramy dla przyszłej spółki i była dosyć ogólna. Zgodnie z założeniami Western Electric miał dostarczyć system, a bracia Warnerowie talent i ekspertyzę artystyczną. Razem mieli zrobić kilka krótkich filmów w celach dogłębnego przetestowania i wyeksponowania systemu. Druga umowa, z grudnia tego samego roku, w zasadzie przedłużała pierwszą i nie wносиła nic nowego. Otterson uważał, że Warnerowie są dla nich zbyt małymi płótkami i nie liczą się na rynku.

Eksperymentami chciał zainteresować kogoś z wielkiej trójki, a najchętniej The First National. Nie mamy dowodów, że był to przejaw ukrytego antysemityzmu. Jednak zastanawia pewien fakt - The First National jako jedyna wytwórnia z wielkiej trójki nie była w żydowskich rękach. W każdym razie Otterson tak długo opóźniał działania, że sprawa o mało nie wylądowała w sądzie. Żeby temu zapobiec, jego bezpośredni szef, prezes The Bell System, które było częścią Western Electric, zaprosił Harry'ego Warnera na rozmowę. Spotkanie to opisuje zięć Warnera, Milton Sperlberg:

„Harry wkroczył do biura i walnął prosto z mostu:

- Panie Gray, to będzie bardzo krótkie spotkanie. Zwrócę wam prawa do patentów, wycofam wszystkie sprawy z sądów. Zrobię to natychmiast i na nasz koszt, ale musisz dla mnie zrobić jedną rzecz. Podaj mi nazwisko chociaż jednego Żyda, który jest na waszej liście plac.

Gray wyglądał, jakby zobaczył śmierć:

- Co ty sobie myślisz? Czy chcesz powiedzieć, że nasza firma programowo propaguje antysemityzm?

Na twarzy Harry'ego pojawił się przelotny uśmiech:

- Nie, tym bardziej podaj mi nazwisko jednego Żyda pracującego w twoim przedsiębiorstwie.

Gray nic nie powiedział. Harry pokiwał głową:

- Twoja firma ma zasadę, żeby nie zatrudniać Żydów. Moja firma ma zasadę, żeby z ludźmi takimi jak ty nie mieć nic do czynienia.

Odwrócił się i wyszedł”.

Z dostępnych przekazów wynika, że prezes Gray był tak zakłopotany przebiegiem rozmowy, że natychmiast wezwał swoich prawników i kazał im przynieść kontrakt do podpisania.

Otterson, wcale nie zamierzał się poddać, próbował nawet przejąć całkowitą kontrolę nad działalnością nowej spółki. Dopiero interwencja szefa wydziału inwestycji w Goldman Sachs i członka zarządu firmy Warnerów, Waddilla Catchingsa, u prezesa zarządu konglomeratu Western Electric, Edgara S. Bloo-ma, doprowadziła do podpisania ostatecznej umowy w formie, która odpowiadała braciom. Na jej mocy Warnerowie otrzymali wyłączne prawa do systemu Vitaphone.

Sam pozostał na jakiś czas w Nowym Jorku, by nadzorować powstawanie krótkometrażówek. Jack ruszył w Kalifornii z produkcją *Don Juana* z Johnem Barrymore. Nie był to ich pierwszy wspólny film.

Dwa lata wcześniej, w 1924 roku, Sam wpadł na pomysł, by zaangażować Barrymore'a do biograficznego filmu *Beau Brummell*, który właśnie planowali. John Barrymore, najmłodszy z rodziny wielkich aktorów, święcił triumfy na Broadwayu w *Hamlecie*. Jak opisuje to Jack w autobiografii, bracia postanowili złożyć mu wizytę za kulisami. Gdy zapukali do drzwi garderoby, Barrymore powitał ich spojrzeniem, które mogło zabić. Zapytał, czy widzieli sztukę? Gdy odpowiedzieli, że właśnie dlatego przyszli, zwyzywał ich od szczeniaków, po czym oświadczył, że w takim razie już go oglądali tego dnia przez dwie

godziny i to wystarczy. Po czym zatrzasnął im drzwi przed nosem. Sam potraktował to jako dowcip i tak długo pukał do drzwi, aż Barrymore zgodził się zagrać w ich filmie. Trzeba przyznać, że mu się opłacało. Kontrakt, który wynegocjował z Warnerami, był niezwykle korzystny: 76 250 dolarów za film, dodatkowe 10 procent za każdy tydzień zdjęć ponad pierwszymi siedem, prawo zatwierdzenia scenariusza, pierwszy i największy napis w tytułach filmu, chyba że zgodzi się go dzielić z towarzyszącą gwiazdą, pokrycie wszystkich kosztów podróży, hoteli i posiłków dla niego oraz całej jego świty, limuzyna z szoferem i reklama, „która musi dorastać do poziomu jego pozycji, reputacji i prestiżu”. Sam podpisał kontrakt, za co Al i Harry o mało go nie zamordowali. Ale chłopcom potrzebna była gwiazda, więc gwiazdę kupili. Nie wiedzieli jeszcze, że w skład świty wchodzi kamerdyner i tresowana małpa o imieniu Klementyna. Na ich szczęście *Beau Brummell* okazał się dużym sukcesem. A zwycięzców, jak wiemy, się nie sędzi.

Przy *Don Juanie* nie obyło się bez dramatów. Gdy tylko Barrymore zorientował się, że film może mieć historyczne znaczenie, zażądał, by główną rolę kobiecą zagrała jego kochanka, Dolores Costello. Jack nie chciał o tym słyszeć, gdyż już wcześniej podpisał kontrakt z Mary Astor. Gwiazdor, jak to w zwyczaju gwiazdorów, postawił ultimatum - „Dolores albo nie gram”. Jack mu zaproponował, żeby jeszcze raz przeczytał kontrakt, który podpisał z ich wytwórnią, bo najwyraźniej zapomniał, jakie ma prawa. Według umowy mógł akceptować gwiazdy, ale ich nie wybierał. Aktor odczekał jakiś czas, po czym grzecznie odstąpił od swoich żądań. Wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze do skończenia filmu, gdy Barrymore ni stąd, ni zowąd znowu zaprotestował. Tym razem nie spodobało mu się, że producent powierzył jedną z ról siostrze jego kochanki. Uznał to za osobisty afront. Skoro siostrze, to dlaczego nie samej Dolores? Jack zapewnił go, że nie jest to akt zemsty za poprzednią niesubordynację, lecz po prostu reżyser uważa Helenę Costello za lepszą aktorkę, bardziej pasującą do tej niedużej w końcu roli.

Zdjęcia skończyły się na początku roku 1926. Pomimo szybko postępującego u niego alkoholizmu Barrymore okazał się fantastycznym aktorem. Teraz przyszła kolej na Sama w Nowym Jorku. Jak to bywa na początku, nie miał zgromadzonej wiedzy, na której mógłby się oprzeć. Uczył się na błędach i... znowu na błędach. Studio w Brooklynie, które Sam kazał przystosować do nagrań dźwiękowych, okazało się niewystarczające. W każdym ujęciu słychać było dźwięk wirówki, kaszel i kichanie, płacze małego dziecka, trzeszczenie krzesel i podłogi oraz trudny do zidentyfikowania głęboki, dudniący odgłos. Jak Sherlock Holmes Sam z dźwiękowcami krok za krokiem, mozolnie śledzili źródło każdego zakłócenia. Dźwięk wirówki okazał się pochodzić z kamery, zbudowano więc dla niej dźwiękoszczelną kabinę. Wyeliminowało to jeden problem, lecz stworzyło drugi - operatorzy nie mieli w środku czym oddychać. Nie było innego wyjścia, jak skrócić ujęcia. Dodatkowe kotary, którymi wyłożono ściany studia, i ciężkie koce,

powieszono jak płachty suszących się skór w garbarni, wyeliminowały dźwięki z zewnątrz. Pozostał tylko odgłos dudnienia. Pochodził z tunelu metra pod budynkiem. Ponieważ nie mogli zatrzymać pociągów, jedyną alternatywą okazało się znalezienie nowego studia. Sam dobrze to sobie obmyślił i wynajął cały budynek, w którym mieściła się manhattańska opera. Za dodatkową opłatą na okres pracy nad filmem muzycy opery pojechali w objazd. Nagrania dźwięku w pustym pomieszczeniu wypadły pomyślnie, więc można było przystąpić do następnego etapu. Do skomponowania muzyki i opracowania podkładu dźwiękowego bracia wynajęli Davida Mendozę, Williama Axta i Edwarda Bowesa.

Panowie, odpowiedzialni za bijącą rekordy popularności audycję radiową *Amateur Hour* [Godzina amatorów], zabrali się dziarsko do pracy. Kompozycja została zaakceptowana, lecz wymagała udziału aż 107 instrumentów. Pierwsze nagrania wypadły fatalnie. Muzykę ledwie było słyhać, dominował dźwięk podobny do odgłosów smażenia boczku na patelni. Szef dźwiękowców, Frank Murphy, i Sam zachodzili w głowę, skąd się to bierze. Różne testy i eksperymenty potwierdzały jedynie, że dźwięk nie pochodził od instrumentów ani od sprzętu filmowego. W końcu Murphy, doszedł do sedna problemu - to syczały lukowe lampy oświetlające salę. Nie były potrzebne do rejestracji, ale konieczne, by orkiestra i dyrygent mogli czytać nuty w trakcie nagrań. Sam był bliski załamania. Rozpatrywali przez chwilę wariant nagrywania przy świecach, ale potrzebowaliby ich strasznie dużo. Poza tym okazało się, że płomień świecy w suchym pomieszczeniu również wydaje trzaski. Kiedy Sam się poddał, Frank Murphy znalazł wyjście. Kosztowało to sporo pieniędzy i zajęło kilka tygodni. Wymienił całe oświetlenie budynku opery na światło żarzące. W ten sposób stworzył przy okazji system, który funkcjonuje do dziś. Gdy wydawało się, że w końcu wszystkie przeszkody zostały pokonane, u Jacka w Los Angeles którejś nocy zadzwonił telefon. Na drugim końcu linii był Sam. Brzmiał desperacko:

- Wyobraź sobie, że wszystko szło gładko, a tu nagle dziś mieliśmy jakieś wybuchy. Były tak silne, że igła rejestrująca spadała z płyt.

Jack natychmiast oprzytomniał.

- Jakie wybuchy?

- Eksplozje! - Sam niemalże płakał. - Tutejsi idioci uznali, że potrzebują jeszcze jednej linii metra i cały dzień wysadzają tunel w skałę pod nami.

- Ile im to jeszcze zajmie?

- Nie wiem, dopiero co zaczęli - lamentował Sam. - Co mam robić?

- Pracuj w nocy! - zaproponował Jack. Po długiej pauzie odezwał się głos Sama: - Dzięki, Jack. Nie pomyślałem o tym.

Światowa premiera *Don Juana* odbyła się 6 września 1926 w The Warner Theater na Broadwayu. Wieczór składał się z uprzednio nagranych powitalnego wystąpienia Producentów i Dystrybutorów, Willa Haysa, ośmiu krótkich filmów wyprodukowanych przez Sama oraz *Don Juana*.

Następnego dnia gazeta filmowa „Variety” wydała specjalny dodatek, w którym właściciel

pisma, Sime Silverman, rozplywał się z zachwytu nad *Don Juanem* i przepowiadał, że system dźwiękowy, którego testowania był świadkiem, zrewolucjonizuje przemysł rozrywkowy. Nie pomylił się.

Jacka nie było na pokazie, gdyż z Sidem Graumanem przygotowywali kalifornijską premierę. Nagrodą za jego osiągnięcie był list, którym chwalił się wszystkim dookoła:

Drogi Jacku,

nigdy nie marzyliśmy, że dożyjemy takiego przedstawienia i więcej, że będziemy rodzicami tak wspaniałych synów. Mamy nadzieję, że dane nam będzie żyć sędziwego wieku, by być naocznymi świadkami waszych dalszych sukcesów. Gdy czterech tak wspaniałych chłopców jak wy trzyma się razem na dobre i złe, nie ulega wątpliwości, że będziecie w stanie zrealizować wszystkie marzenia. Do pełni szczęścia, nasz najdroższy, brakowało nam jedynie Twojej obecności na premierze. Z miłością

Matka i Ojciec

Wśród zaproszonych gości byli wszyscy notable filmu i teatru. Na sali znaleźli się Lewis Selznick, Adolph Zukor, Nick Schencl William Fox i wielu innych. Gdy ochłonęli, większość z nich odrzuciła dźwięk jako tymczasową fascynację. Może nie mogli przyznać się sami przed sobą, że nie oni wystrzelili pierwszą salwę nowej rewolucji. Bo inaczej tego, co zaczęło się dziać później, nie można wytłumaczyć.

Tej jednej nocy wielu ludzi straciło pracę, a wielu innych zaczęło robić fortuny. Dużo gwiazd ekranu tak szybko zgasło, jak przedtem rozbłyśły. Nagle okazało się, że sam wygląd nie wystarcza, zaczęła się liczyć jakoś głosu **idykcja**. Pierwszymi ofiarami padli oczywiście aktorzy z Europy, których niemiecki, polski, czeski, węgierski, rosyjski, francuski, hiszpański i włoski akcent powodował, że dialogi przez nich wygłaszane stały się zupełnie niezrozumiałe dla amerykańskiej widowni. Dotychczas używane plansze z napisami nie miały przeciętnej akcentu. Zaczęła się seria samobójstw i bankructw. Sam Warner, jak później opowiadał, po pierwszej euforii spowodowanej sukcesem zaczął się czuć jak na jednym długim pogrzebie. Jack był bardziej pragmatyczny. Uważał, że nie ma rewolucji bez ofiar i że Darwin miał rację - tylko najsilniejszy przetrwa.

A silniejsi zaczęli już deptać im po piętach. William Fox, którego wytwórnia specjalizowała się - i to z dużym powodzeniem - w kronikach filmowych, nie widział początkowo przyszłości dla dźwięku w swojej dziedzinie. Łatwo było wysłać na miejsce akcji operatora z podręczną kamerą, a miał ich wtedy setki rozsiadanych po różnych zakątkach świata. Nie dało się jednak wyekspediować całych ekip ze sprzętem sporych rozmiarów, który był nieporęczny i łatwo się psuł. Telegram do najbliższego pracownika z poleceniem utrwalenia zdarzenia na taśmie dochodził szybko. Gdyby Fox miał kompletować sprzęt i ludzi do nagrania dźwiękowego, zajęłoby to tyle czasu, że **news** straciłby mocno na aktualności. Z pomocą przyszedł mu Theodore Case, udoskonalając system nagrywania dźwięku wcześniej

opracowany przez Lee de Foresta i Józefa Tykocińskiego-Tykocinera. Z natury nieufny Fox nie od razu uwierzył w możliwości wynalazku Case'a. Przerwał pokaz w jego laboratorium, podejrzewając, że sprytny wynalazca jest po prostu bruchomówcą. Kazał mu powtórzyć prezentację u siebie w domu, na Long Island, gdzie nikt go nie mógł oszukać. System Case'a okazał się bardziej zaawansowany, gdyż - w przeciwieństwie do systemu Warnerów, który nagrywał głos na osobną płytę z szelaku - nagrywał dźwięk bezpośrednio na negatyw filmu w tym samym czasie, gdy kamera rejestrowała obraz. Mikrofon zamieniał fale akustyczne w vibracje elektryczne, które maszyna wynaleziona przez Case'a rejestrowała jako impulsy światła i zapisywała bezpośrednio w kamerze na wąskiej ścieżce obok obrazu. Teraz operator mógł robić dwie rzeczy naraz - nagrywać jednocześnie obraz i dźwięk. Przekonany, że tego właśnie jego kroniki potrzebują, Fox kupił patent od Case'a i nazwał ich system Movietone.

W lutym 1927 roku Fox zaprosił do studia na Manhattanie 50 reporterów z najważniejszych gazet i czasopism, by zaprezentować im kolejny przełom - tym razem dotyczący szybkości obróbki - w metodzie nagrywania dźwięku. Najpierw kazał im śpiewać chórem *Oh, Susanna*, po czym poprosił, by każdy z uczestników przedstawił się do kamery i powiedział, jakie pismo reprezentuje. Gdy to nakręcił, zabrał wszystkich na wystawny obiad. Kiedy po posiłku wrócili do sali projekcyjnej, czekało na nich nowe wydanie kroniki, w którym mogli się obejrzyć i usłyszeć. Tak jak na to liczył, następnego dnia wszystkie gazety trąbiły o nowym wynalazku.

W kwietniu 1927 roku, pod naciskiem tzw. Wielkiej Piątki (First National, Paramount, MGM, Universal i Producers Distributing Corporation), Western Electric arbitralnie zmienił warunki wyłączności licencji na dźwięk, której wcześniej udzielił Warner Brothers, i rozszerzył ją na inne wytwórnie, stawiając tym samym studio Warnerów na skraju bankructwa. Bracia musieli spisać na straty cały kapitał, który w dobrej wierze włożyli w ulepszenie systemu.

Historycy filmu nie uznali *Don Juana* za pierwszy film dźwiękowy, gdyż nie miał dialogów. Wcześniej nagrana była tylko muzyka i efekty dźwiękowe. Zaczął się więc wyścig, kto wyprodukuje pierwsze prawdziwe dialogi, w których dźwięk nagrany zostanie symultanicznie z obrazem. Czy będzie to Foxi Warnerowie? Czy może Adolph Zukor i Paramount? Wszyscy mieli już dostęp do tej samej technologii. Wygra ten, którego film pierwszy ukaże się na ekranie.

Warnerowie już wcześniej czuli pismo nosem i skoncentrowali uwagę na sztuce *The Jazz Singer* (*Śpiewak jazzbandu*). W dużym stopniu historia przypominała im ich własne losy i rodzinne problemy dotyczące zachowania tradycji i wiary. Sztuka, napisana przez Samsona Raphaelsona, była muzycznym melodramatem o synu kantora, który porzucił tradycję i wiarę rodziców dla kariery na Broadwayu. Gdy wrócił do domu na Jom Kipur (Dzień Pojednania), ojciec spoczywał na łożu śmierci i śpiewak musiał wybrać między występem na scenie a odśpiewaniem

w synagodze kadiszu, tradycyjnej modlitwy za zmarłych. Sztuka miała duże powodzenie. Rola Jackie Rabinowitza grał popularny aktor komediowy George Jessel. W Nowym Jorku Harry tak długo rozmawiał z Raphaelsonem, aż wynegocjował dobrą cenę za całkowite prawa do sztuki - 50 tysięcy dolarów. Na następne 30 tysięcy podpisał umowę z Jesselem. W Los Angeles Jack wynajął Alana Croslanda, który sprawdził się uprzednio jako reżyser *Don Juana*, i razem zatrudnili Alfreda A. Cohna, by zaadaptował sztukę na ekran. Gdy scenariusz był gotowy i w hali zostały postawione dekoracje, nastąpił pierwszy kryzys. Jessel pokłócił się z Jackiem i zrezygnował z roli.

O co poszło? Jak zazwyczaj o pieniądze. Jessel był przekonany, że musi tylko powtórzyć swoją rolę ze sceny przed kamerą. Gdy dowiedział się, że w scenariuszu jest więcej dialogów i kilka dodatkowych piosenek, zażądał podwyżki. Jack zgodził się bez wahania i poprosił aktora o niezwłoczny przyjazd do Hollywood, gdyż wszystko już czeka. Jessel odmówił. Oświadczył, że nie wsiądzie do pociągu, dopóki nie będzie miał kontraktu w rękę. Najwyraźniej słowo honoru Jacka Warnera nic dla niego nie znaczyło i chciał gwarancji Harry'ego. Niechcący trafił w czuły punkt - dał tym samym do zrozumienia Jackowi, że w wytwórni nie jest szefem, lecz podwładnym brata. W tej sytuacji Warner względnie kulturalnie poradził mu, żeby poszedł do diabła, i przerwał wszelkie dalsze negocjacje. W końcu nie pierwszy i nie ostatni raz aktor, który stworzył postać na scenie, nie powtórzył jej w filmie. Jak choćby potem mój przyjaciel i ulubiony aktor Ben Gazzara w wylansowanej przez siebie na Broadwayu roli w *Cat on a Hot Tin Roof* (*Kotka na gorącym blaszanym dachu*) na ekranie zostanie zastąpiony przez Paula Newmana. Julie Andrews z kolei po sukcesach scenicznych w *My Fair Lady* zastąpi w filmie Audrey Hepburn. Zapytany na premierze *Śpiewaka jazzbandu* o powód rezygnacji Jessel, przeczy, że poszło o pieniądze. Będzie twierdził, że nie podobały mu się zmiany w scenariuszu, a zwłaszcza w zakończeniu filmu. W sztuce główny bohater wybiera tradycję, w filmie - karierę. Jak było naprawdę? Najlepiej chyba ujął to ich wspólny kolega, znakomity komik George Burns: „Georgie chciał być opłacony w gotówce, a Jack pewnie jej nie miał”.

Po rezygnacji Jessela Jack zaprosił na zdjęcia próbne przystojnego aktora o nazwisku „Buster” Collier, Jr. Zdjęcia wypadły dobrze, ale jego śpiew pozostawił wiele do życzenia. Trzecim kandydatem był Eddie Cantor, który szczęśliwie w tym momencie występował w teatrze w Los Angeles. Jack pojawił się w jego garderobie, ale nic nie wskórał. Cantora z Jesselem łączy więzy długoletniej przyjaźni - kiedyś nawet występowali jako tercet - i z czystej lojalności uważał, że rola należy do przyjaciela.

Gdy Jack już chciał się poddać, nagle przypomniał sobie o Alu Jolsonie. Al, który urodził się w Sieradzu, był synem kantora i przeszedł w życiu podobną drogę jak bohater sztuki, Jackie Rabinowitz. W przeciwieństwie do Jessela i Cantora jego głos był bardziej melodyjny i nieco płacziwy. Jack wyrzucił sobie, że wcześniej nie wpadł na ten pomysł.

Zaoszczędził sobie i rodzinie dużo nerwów. Jolson występował wtedy w musicalu *Big Boy*, wyprodukowanym przez braci Shubertów, i przebywał w Denver. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jeden z pracowników Warner Brothers, Morrie Safier, był również w tamtych okolicach. W trakcie długiej rozmowy telefonicznej Jack szczególnie poinstruował Morriego, jak ma zachować podczas rozmowy. Morrie wykonał polecenie dokładnie tak jak szef sobie tego życzył. Stosując „metodę Jacka Warner energicznie wkroczył do garderoby Jolsona, wręczył mu swoją wizytówkę i bez żadnych wstępów zapytał, kiedy może zacząć i ile chce za rolę. Jego ton nie był bynajmniej pytaniem. Godzinę później Jack miał odpowiedź. Morrie bał się przekazać ją szefowi:

- Jolson chce sie... sie... siedemdziesiąt pięć tysięcy i ani c... ce... centa mniej.

Jakąjąc się, przekazał dalsze żądania:

- Jedna trzecia w gotówce teraz, reszta po sześć tysięcy dwieście pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, aż go splacisz.

Jack nawet się nie zastanawiał, a Jolson nie musiał składać żadnych podpisów. Aktor, który stał się legendarnie bogaty, opowiadał potem, że Jack zapłacił mu akcjami wytwórni Warner Brothers, a akcje firmy po *Don Juanie* podskoczyły o ponad 300 procent. Słyszając tę wersję, Jack Warner zawsze się oburzał i zaprzeczał. Podejrzewał, że Jolson nieźle spekulował i potrzebując ukryć trochę dochodów, wymyślił tę bezgotówkową transakcję.

Jack Warner twierdził, że *Śpiewak jazzbandu* przez czysty przypadek stał się pierwszym filmem z dialogami. Sam, który był obecny przy nagraniu piosenki, ponoć usłyszał podekscytowanego Jolsona, wykrzykującego: *You ain't heard nothin' yet, folks. Listen to this.* [To wszystko nic, moi drodzy. Posłuchajcie tego], czego nie było w tekście sztuki. Twierdził, że entuzjazm w głosie aktora podbił go. Podobno Jolson często używał tego zwrotu spontanicznie podczas przedstawień w teatrze, gdy zwracał się bezpośrednio do publiczności. Jack niezwłocznie nakazał Cohnowi włączyć powiedzenie do scenariusza i dopisać monolog, w którym Jackie zwraca się do swojej matki tymi słowami: „Podobało ci się, mamó? To się ciesze. Ciebie najbardziej ze wszystkich chce zadowolić”.

Monolog miał około 250 słów i zawierał sporo obietnic. Jackie zapowiadał matce, że po jego sukcesie na scenie poprawi się ich standard życia. Wtedy przeprowadzą się do Bronxu, gdzie jest dużo zielonej trawy. Cóż, czasy się zmieniły i dzisiaj kochający żydowski syn nigdy by matce tego nie zaproponował, chyba że chciałby się jej pozbyć.

Po monologu Jolson dokończył piosenkę, którą przerwał. Nosiła tytuł *Blue Skies* [Niebieskie niebo] i była kompozycją innego emigranta, Irvinga Berlina, urodzonego jako Israel Beylin koło Mogilewa na Białorusi.

Wielu biografów i historyków cytowało i cytuje *You ain't heard nothin' yet* jako spontanicznie wypowiedziane zdanie, które pokonało barierę dźwięku. Najzabawniejsze, że w autobiografii Jack Warner autorytatywnie stwierdza, że to zdanie nigdy nie weszło do filmu. Mylił się, zdanie jest w filmie, jak również dopisany przez Cohna monolog.

A może Warnerowi chodziło o to, że te parę słów, które przeszły do historii, nie były wcale spontaniczne, jak twierdzą historycy, lecz zostały napisane przez ich scenarzystę na jego bezpośrednie zlecenie. Przy pierwszym założeniu byłby to rzeczywiście przypadek, który kształtował historię, przy drugim natomiast dowód na to, że historię tworzył Jack i jego bracia. A skromny, jak już wspominałem, Jack Warner nigdy nie był.

Premiera *Śpiewaka jazzbandu* została zaplanowana na 6 października 1927, w tym samym teatrze Warnerów na Manhatanie, w którym rok wcześniej święcił triumfy *Don Juan*. Data ta stała się dniem wielkiego sukcesu braci i równie wielkiej tragedii. Sam Warner, który tak bardzo walczył o dźwięk w kinie, niestety nie dożył swojego największego osiągnięcia. Zmarł w przeddzień sukcesu. Ponieważ według tradycji żydowskiej zmarłych grzebie się w ciągu 24 godzin, nikt z rodziny nie mógł uczestniczyć w premierze.

Według Jacka Warnera Sam umarł na zaniechane zapalenie zatok. Obaj bardzo ciężko pracowali nad produkcją *Śpiewaka jazzbandu* i nie mieli czasu na bieganie po lekarzach. Były czasy, gdy tak łatwo dziś dostępne i skuteczne antybiotyki jeszcze nie istniały. W Europie szalała w tym czasie grypa, pustosząc kraj za krajem. Jack twierdził, że jeszcze we wrześniu Sam narzekał na częste bóle głowy i krwotoki z nosa. Pod koniec miesiąca nie mógł już chodzić prosto. Zwykłe zapalenie zatok przekształciło się w ostre zapalenie opon mózgowych z przerzutem na płuca. Gdy stan Sama nagle się pogorszył, trzej pozostali bracia byli w Nowym Jorku. Harry i Al wezwali dwóch najlepszych lekarzy i z nimi wyruszyli do Los Angeles. Kiedy dotarli do szpitala, Sam już nie żył. Miał 39 lat. Pozostawił żonę Linę i roczną córkę Litę.

Śmierć Sama ujawniła niechęć, którą reszta rodziny darzyła Linę. W rezultacie bracia zostawiają ją bez grosza, a Harry sądowo odbierze jej prawa do Lity, którą zaadoptuje jako własne dziecko. Nie myślę, by wchodziły tu w grę sprawy dwóch różnych religii, jako że zgodnie z prawem hałachicznym córka Sama i tak, po matce, nie była żydówką. Podejrzewam, że chodziło tu o to, aby część fortuny, która należała do Sama, pozostała w rękach Warnerów. Miną 32 lata, zanim Lina ponownie zobaczy swoje dziecko. Zmuszona okolicznościami wróci do aktorstwa, wyjdzie za mąż pięć razy, dwukrotnie będzie usiłowała popełnić samobójstwo. Po raz ostatni zagra w filmie w roku 1943, po czym przeniesie się do Pensylwanii i zajmie hodowlą psów. Będzie miała tę satysfakcję, że przeżyje wszystkich braci Warnerów.

Jak zawsze w takich wypadkach, a zwłaszcza w Hollywood, tragedia stała się pożywką dla bujnej wyobraźni, a nic tak nie zwiększa nakładów gazet jak dobra plotka. Zaczęły się więc spekulacje, że to bracia - razem, osobno, w różnych konfiguracjach - zamordowali Sama. Tajemniczą poliszynela były starania Adolpha Zukora o pozyskanie Sama do Paramount w okresie najgorętszych rodzinnych kłótni o dźwięk między Samem a Harrym. Szef konkurencyjnej wytwórni liczył na przeniesienie w ten sposób do jego firmy praw do licencji Vitaphone'u. Plotki zyskiwały na sile, a pomagały w tym różne doniesienia, na

przykład, że Sam przestał pokazywać się na rodzinnych przyjęciach. Jednym z tych, którzy podsycaли ogień, był znany aktor William Demarest, rzekomo blisko związany z Warnerami.

Z dostępnych dokumentów wynika, że Sam rzeczywiście zgodził się na propozycję Zukora. Nic z tego nie wyszło, gdyż po niespodziewanej śmierci we wrześniu 1926 swego największego gwiazdora, Rudolfa Valentino, Paramount znalazł się na progu bankructwa. Nie jest też wykluczone, że to Sam zwodził Zukora, gdyż obietnice angażu były mu na rękę w negocjacjach z własnym bratem.

Częste niesnaski między braćmi stworzyły w wytwórni atmosferę niepewności, pojawiły się pogłoski o nieuniknionym rozpadzie firmy. W konsekwencji masowo uciekały ze studia talenty. Największym echem odbiło się przejście pierwszego szefa produkcji, Rapfa, do MGM, a niedługo potem odejść jego następcy, Lubitscha.

Nie czekając na wyniki kasowe *Śpiewaka jazzbandu*, Jad w tym momencie jedyny już szef produkcji studia - zaczął następny film z Alem Jolsonem. Aktor podwoił stawkę, Jack nie protestował. Tym razem rzeczywiście płacił w akcjach Warner Brothers. Jolson również nie protestował. Skoro już rok wcześniej opowiadał, że Warnerowie płacili mu udziałami w wytwórni, teraz nie mógł robić z siebie kłamacz. *The Singh Fool* (*Śpiewający błazen*) okazał się jeszcze większym przebojem niż *Śpiewak jazzbandu*. W ciągu roku zarobił ponad 5 milionów dolarów. Widzowie płakali, słuchając umalowanego na czarno Jolsona, śpiewającego *Sonny Boy* umierającemu synowi. Płakali i płacili. Warnerowie sprzedali ponad trzy miliony broszur z nutami do piosenek. Od tego momentu filmy dźwiękowe stały się powszechne.

Dziewiętnastego maja 1929 odbyła się prezentacja pierwszych Oscarów nadanych przez świeżo utworzoną Akademię Filmową. Wtedy nie nazywały się jeszcze Oscarami. Sławne imię pojawiło się dopiero pięć lat później i do dziś trwają spory, kto nadał. Bette Davis twierdzi, że to ona, gdyż tył rzeźby przypominał tylek jej męża, dyrygenta, któremu na drugie było Oscar.

Dziennikarze są raczej skłonni przypisywać autorstwo sekretarce Akademii, Margaret Herrick, mającej wujka Oscara. Louis B. Mayer również twierdzi, że maczał w tym palce. Ponoć jego sekretarka - poprzednio pracująca dla Goldwyna - Norweżka Eleanor Lilleberg, gdy zobaczyła nagrodę, stwierdziła, że rycerz wygląda do złudzenia jak jej król Oskar II. Gdy po paru dniach spytała Mayera, co ma zrobić z tym „Oskarem”, który wyłdował u niej na biurku, Louis rzekomo kazał jej go wrzucić do szafy pancernej.

Podczas pierwszej uroczystości oscarowej *Śpiewak jazzbandu* został wyłączony z konkurencji. Zarząd Akademii uznał, że byłoby to nie fair w stosunku do filmów niemych. Dostał natomiast specjalnego Oscara za nowatorstwo techniczne, czyli wprowadzenie dźwięku. Pierwszym aktorem nagrodzonym statuetką był Emil Jannings i to nie za jeden, a za dwa filmy: *The Last Command* (*Ostatni rozkaz*) i *The Way of All Flesh* (*Niepotrzebny człowiek*). Pierwszy

z nich wyreżyserował Josef von Sternberg, drugi Victor Flemming - późniejszy reżyser *Przemięło z wiatrem*. Obydwa wyprodukował Adolph Zukor i jego wytwórnia Paramount. Za najlepszy obraz uznano *Wings (Skrzydła)*, reżyserowany przez Williama Wellmana z tej samej wytwórni.

Specjaliści oszacowali, że w 1929 firma Warner Brothers była warta ponad 230 milionów dolarów, a jej dochód tego roku wyniósł 14,5 mln dolarów.

Niezależnie od powodzenia i sukcesów kasowych filmów wyprodukowanych przez siebie w Warner Brothers Jack wciąż podlegał najstarszemu bratu. Harry był prezesem firmy, on tylko jego zastępcą.

Powszechnie znana jest opowieść Ann Sheridan, wówczas czołowej gwiazdy studia, która pewnego popołudnia oprowadzała po wytwórni jakiegoś młodego aktora. Na jezdni między warsztatami a halą zdjęciową zobaczyli zgiętego w pół, jakby szukającego czegoś na rozgrzanym asfalcie mężczyznę. Gdy znalazł, czego szukał, podniósł to i szybko włożył do ust.

Młody gwiazdor nie mógł pohamować ciekawości:

Co to za człowiek i co on tu robi?

Robi tak zawsze - odpowiedziała Ann. - Szuka gwoździ. Nazywa się Harry Warner i tak się składa, że jest prezesem tej wytwórni. Jako dziecko był szewcem.

Gdy któregoś dnia Jack zwrócił mu uwagę, że takie zachowanie nie przystoi prezesowi wytwórni, Harry zmytygował się i zmienił nieco. Od tej pory zamiast zgięty w pół, zaczął chodzić z laską z magnesem, ale podniesione w ten sposób gwoździe dalej trzymał w zębach.

- Już nie jest tak jak kiedyś - powiedział z nostalgią w głosie. - Ale pomyśl, Jack, ile przebitych opon ci zaoszczędził.

Pod koniec każdego dnia Harry odsyłał odzyskane gwoździe do wydziału budowy dekoracji.

Jack sam przyznaje, że geniuszem od pieniędzy w rodzinie był Harry i bez jego pomocy nie byłby w stanie osiągnąć takiego sukcesu. W zależności od samopoczucia albo stawał Harry'ego na piedestale i mówił o nim w superlatywach, albo opisywał go w najgorszych barwach. Kiedyś w wywiadzie dla prasy oświadczył, że w sprawach finansowych Harry jest „tak nieustraszony jak bzycający komar w gorącej noc”. W wielu wypadkach przemawiała przez niego nieukrywana zazdrość.

W swojej książce Jack opisuje, jak w 1924 roku Harry poprosił nowojorskich bankierów o pożyczkę dla ich przedsiębiorstwa w wysokości 25 milionów dolarów. Nie tylko dostał odmowę, ale musiał również wysłuchać pouczającego wykładu. Lekko poirytowany odpowiadał bankierom, że wobec tego ich nie potrzebuje.

- Nie jesteśmy wam winni ani grosza i zawsze spłacaliśmy pożyczki o czasie. Pojadę do miast, w których mamy kina, i zwrócę się do tamtejszych banków.

Szef grupy pokiwał tylko głową.

- Stracisz jedynie dużo czasu i pieniędzy, których wam w tej chwili brakuje. Wszyscy bankierzy myślą podobnie i znają się wzajemnie. Odpowiedź na twoją prośbę będzie

wszędzie taka sama, dokądkolwiek pójdziesz.

Sytuacja była tak napięta, że słychać było latające pod sufitem muchy. Ni stąd, ni zowąd Harry wybuchnął śmiechem. Gdy się uspokoił, popatrzył na poważne twarze finansistów.

- Wiecie co? Nie jest wykluczone, że macie rację, ale pozwólcie, że opowiem wam historijkę.

Nie czekając na pozwolenie, ciągnął dalej:

Spotkało się dwóch przyjaciół. Jeden z nich był donżuanem, drugi nieśmiały, nigdy nie mógł poderwać dziewczyny. W końcu nieśmiały nie wytrzymał i go zapytał:

Jak ty to robisz, Bill, że te wszystkie śliczne kobiety idą z tobą do łóżka?

Jego przyjaciel popatrzył na niego.

- To wcale nie jest trudne. Podchodzę do każdej, która wydaje mi się atrakcyjna, i pytam, czy by się z mną nie przespała.

Nieśmiały oniemiał.

- I nie dostajesz za to po pysku?

- Często dostaję - odparł uśmiechnięty Bill. - Ale co sobie podupczę, to moje.

Bankierzy ryknęli śmiechem, a Harry dostał 25 milionów.

Gdy Waddill Catchings dowiedział się, że Harry'emu, mimo wstępnej odmowy, udało się wydusić jednak pieniądze z jego kolegów, tak mu to zaimponowało, że dodał jeszcze 50 milionów dolarów od Goldman, Sachs & Company. Część - jako pożyczkę, część jako inwestycję w ich firmę. Uzbrojeni w gotówkę bracia ruszyli na podbój świata. Jako pierwszą kupili The First National. Nikt się tego nie spodziewał, ludzie z branży byli w szoku. Po raz pierwszy mniejsza wytwórnia pożarła większą.

Był to chyba jedyny wypadek w historii przemysłu, gdy ta sama osoba była szefem dwóch wielkich wytwórni jednocześnie.

Gdy zaraz po zawarciu transakcji Jack Warner zjawił się z kurtuazyjną wizytą w The First National, natknął się na interesującą scenę. Dwóch umundurowanych strażników eskortowało młodego reżysera, Mervyna LeRoya, poza teren studia. Parę kroków za nimi podążał dotychczasowy szef wytwórni. Warnera łączyła z LeRoyem przyjaźń datująca się od ich młodzieńczych dni w San Francisco. Jack zatrzymał procesję.

Co się stało? - zapytał byłego prezesa.

Gówniarz był opryskliwy, więc go wyrzucam. Jack podrapał się w głowę.

- Niedobrze. Mam wrażenie, mój drogi, że przeoczyłeś dwie ważne rzeczy: po pierwsze, że Mervyn jest bardzo dobrym fachowcem, a po drugie, że od kiedy kupiliśmy studio, nie ty, ale ja tu teraz rządzą.

Następnie poradził szefowi, żeby już nie wracał do biura, i kazał strażnikom wyprowadzić go za bramę. Przy okazji zwolnił jeszcze 100 innych pracowników wytwórni. Z LeRoyem natomiast pracowali przez następne prawie 30 lat i wspólnie dorobili się majątku. Nawet nie tyle na filmach, ile na koniach. Z dużym powodzeniem inwestowali pieniądze w stadniny, fermy rozplodowe i tory wyścigowe. Jack traktował to pewnie jak hobby, bo pomnażać pieniędzy już naprawdę nie musiał.

Ponieważ decyzja o kupnie The First National została podjęta przez Harry'ego i Ala w Nowym Jorku, a ich przede wszystkim interesowały kina i zaplecze dystrybucyjne,

nikt tak naprawdę nie wiedział, w jakim stanie jest sama wytwórnia. Jack dość szybko zorientował się, że ma kłopot. Nowe studio, usytuowane w dzielnicy Burbank, czyli około 15 kilometrów na północ od ich bazy w Hollywood, i na dodatek oddzielone pasmem gór, nie było wyposażone w sprzęt dźwiękowy. W studiu w Hollywood produkcja zaplanowana była na co najmniej rok naprzód, szpilki nie można było wcisnąć. Jack, jak niegdyś przy realizacji *Don Juana*, znalazł rozwiązanie. Wszystkie sceny niewymagające dźwięku synchronicznego w The First National były kręcone w ciągu dnia. Te, przy których niezbędny był dźwięk, kręcono nocą, by uniknąć zakłóceń. Obydwa studia połączono specjalną linią telefoniczną. Z biegiem czasu studio w Burbank, które było dużo większe, stało się główną bazą przedsiębiorstwa. Do oficjalnego połączenia wytwórni będą musieli poczekać dwa lata, gdyż taki był warunek zgody udzielonej na transakcję przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Jako firma dystrybucyjna The First National będzie działała pod swoim szyldem jeszcze 10 lat.

Na terenie wytwórni, z daleka od głównych biur w Nowym Jorku, Jack zmienił się w despotę. Przyjmował i wyrzucał ludzi z pracy, kierując się częściej impulsem niż rozumem. Pierwszymi, których się pozbył, byli Douglas Fairbanks, Jr. - główna gwiazda Warner Brothers - i... Rin Tin Tin. W liście do adwokatów Lee Duncana, właściciela i tresera sławnego psa, pisał, że ich klient został zwolniony, ponieważ „nie jest w stanie wykonać nowego planu programowego studia. Wytwórnia podjęła decyzję produkowania tylko filmów mówionych, a psy, jak wiemy, nie mówią”. Jack po prostu uznał, że czas świetności obydwu, aktora i psa, minął, stali się nierentowni, a przez to zbędni. Jack nie tylko zwalniał, pozyskał również dla wytwórni takie przyszłe sławy, jak: Bette Davis, George Arliss, Edward G. Robinson, James Cagney, Paul Muni. Produkcję trzymał żelazną ręką, ale w sprawach wyboru scenariuszy dawał dużo swobody reżyserom i aktorom. Uważał, że artyści wiedzą najlepiej, jaki temat im odpowiada, a twórcy zaangażowani uczuciowo w to, co robią, pracują lepiej. Może z wyjątkiem projektu o Beethovenie. Marzeniem Paula Muni było zagrać słynnego kompozytora. Gdy już dostał Oscara za rolę Louisa Pasteura i rok później nominację za Emila Zolę, Muni - urodzony we Lwowie - powrócił do planów zagrania tracącego słuch Beethovena.

- Nikt nie będzie chciał oglądać filmu o ślepym kompozytorze - usłyszał w odpowiedzi.

Jack uparł się i nigdy nie dał się przekonać do pomysłu Muniego, pomimo ponawianych próśb. Najwyraźniej pamiętał, że coś było nie tak z tym niemieckim klezmerem...

Gdy Jack rzucił produkcją, Harry zajął się muzyką, wykupując mniejsze firmy wydawnicze. W myśl starego powiedzenia Mayera, że nie ma nic złego w nepotyzmie, jak długo pozostaje w rodzinie, Harry mianował swojego jedynego syna, Lewisa, szefem Warner Brothers Music. Niestety, zdolny i pracowity Lewis nie przeżył zakażenia dżięseł, którego nabawił się w trakcie wakacji na Kubie, i umarł w 1931 roku, mając niewiele

ponad 20 lat.

Do zadań Ala należało planowanie. To on wprowadził system wieloletnich i wyłącznych kontraktów z aktorami, skutecznie konkurując w ten sposób z Mayerem; to on, tak naprawdę, doprowadził do przejścia The First National i odkupienia sieci kin od braci Skourasów. Stale rozbudowywał potęgę Warner Brothers. Jego osiągnięcia budzą tym większy podziw, że w pewnym momencie bracia stracili swoją podporę finansową - Motleya Flinta. Dla Jacka zamordowanie Flinta było wyjątkowo bolesną stratą. Motley, poza tym że był jego osobistym bankierem, często służył jako negocjator między braćmi. A konflikty były na porządku dziennym - na tle finansowym, kłótnie o plany rozwojowe i miłości Jacka, które Harry ostro potępiał i uważał za niebezpieczne dla renomy firmy.

Sukces rodzi sukces i w ciągu roku wszystkie studia zaczęły produkować filmy dźwiękowe. Jack w międzyczasie szukał czegoś nowego, by znokautować konkurencję. Tym czymś stał się kolor. W 1929 roku Warner Brothers wypuścił na ekrany pierwszy film dźwiękowy w pełnym kolorze - *On with the Show!*

Jackowi jednak sukcesy jego filmów wciąż nie wystarczały do szczęścia. Cały czas pełnił rolę numeru dwa w rodzinnym przedsiębiorstwie. Dużo później poradził sobie z tym problemem w bardzo brzydki sposób. W maju 1956 roku syndykat finansowy pod wodzą bostońskiego bankiera urodzonego na terenach zachodniej Ukrainy, Serge'a

Semenki, zaproponował wykupienie udziałów od wszystkich braci. Po trwających ponad rok negocjacjach rodzeństwo się zgodziło. Niedługo potem dowiedzieli się z prasy, że Semenenko został podstawiony przez Jacka. Była to kropla, która przepełniła czarę goryczy. Harry na wieść o podstępnie najmłodszego brata dostał ataku serca. Następnego dnia, już w szpitalu, doszedł do tego wylew krwi do mózgu. Czyn Jacka trwale podzielił rodzinę. Gdy Harry zmarł, Jackowi zabroniono wzięcia udziału w pogrzebie. Tym razem posłuchał.

Przez następną dekadę Jack niepodzielnie panował nad studium, dopóki - by polepszyć finanse wytwórni - nie sprzedał większości udziałów firmie Seven Arts Productions. Szef Seven Arts Eliot Hyman potraktował starzejącego się Jacka podobnie jak ten swoich braci, czyli bez jego wiedzy sprzedał całą firmę kolejnemu nabywcy. Nowi szefowie, Kinney National Company - tu uwaga, właściciele sieci parkingów samochodowych - nie mieli czasu ani cierpliwości do Jacka i po trzech latach zmusili go do przejścia na emeryturę. Cóż, jak mówi powiedzenie, fortuna kołem się toczy.

Wiele można pisać o sukcesach, intrygach i porażkach studia braci Warnerów, o licznych wyprodukowanych przez nich filmach, o liczbie zdobytych Oscarów i gwiazdach, które zawdzięczają im sławę. Można poważnie się na stwierdzenie, że bez rodziny Warnerów filmy byłyby o wiele dłużej nieme i czarno-białe.

Firma braci, znana jako Time Warner Co., jest dzisiaj jednym z największych konglomeratów medialnych na świecie.

Andrzej Krakowski

Od Redaktora wydania:

Bajki pokazują w nierównym odbiciu meandry życia ludzkiego i jego naturę, samo życie jednak wyprzedza o lata świetlne sposób jego opisu piórem czy nawet taśmą filmową. Czasem bywa niezmiernie proste i oczywiste, czasem wszystko jest zagmatwane tak, że białe jest czarnym, a czarne... nie wiadomo, czym.

Książka Andrzeja Krakowskiego *Pollywood* ... rzuca wiele światła na zmitologizowane życie gwiazd ludzkiego świata i to w nim najcenniejsze. Pokazuje też czarno na białym, jak wielki udział w tworzeniu mitologii dzisiejszego świata, jaką jest kino, mieli ludzie stąd tj. z terenów obecnej Polski lub z kręgu kultury dawnej, wielonarodowej Rzeczypospolitej.

Pan Andrzej widzi po pierwsze człowieka, jego zdolności, determinację, szczęście, a potem dopiero nację i narodowość.

W świecie wojujących nacjonalizmów jest to cenne i godne naśladowania podejście humanisty, a nawet chrześcijanina jednocześnie, nie chyba że jestem w „mylnym błędzie”...?

Ślawomir Rutkowski

Jeszcze słów kilka o twórcach Warner Brothers

Wyprodukowali „Casablankę” i „Rio Bravo”, wprowadzili do kina dźwięk i dostali za to Oscara. A pochodzili z Krasnosielca pod Ostrołęką... W tym roku mija 90 lat od premiery ich pierwszego udźwiękowionego filmu.

Krasnosielec to wieś w powiecie makowskim, ok. 1,3 tys. mieszkańców. Ma w herbie biegnącego jelenia, chwali się zabytkami: kościołem św. Jana Kantego z XVIII w., przydrożną kapliczką, równie wiekową. Oraz jedną z niewielu zachowanych w tym rejonie synagog. Na jej ścianie jest czarna tablica upamiętniająca masakrę, do jakiej doszło tu we wrześniu 1939 r. Niemcy zebrali wtedy w świątyni kilkudziesięciu miejscowych Żydów i zabili wszystkich strzałami z karabinu maszynowego. - Płyta to inicjatywa Davida Shachara, Żyda urodzonego w Krasnosielcu. Był dzieckiem, gdy wybuchła wojna, jemu udało się uciec przez zagładę. Na początku lat 90. wrócił w rodzinne strony, chciał upamiętnić zamordowanych w synagodze, w tym swego ojca. Poznałem go właśnie przy tej okazji. To właśnie on opowiedział mi, że założyciele Warner Bros pochodzą z Krasnosielca - opowiada „Wyborczej” Mariusz Bondarczuk, dziennikarz i regionalista. - Napisałem o tym artykuł w lokalnej prasie, braciom Warner poświęciłem także jeden z rozdziałów mojej książki „Piątego dnia”. Wieść się rozniosła, pojawiały się publikacje, prace magisterskie, do tej pory przyjeżdżają do Krasnosielca pasjonaci kina poszukujący śladów Warnerów.



Wtedy, na początku lat 90., David Shachar kontaktował się z rodziną Warnerów. Liczył na ich sentyment do miejsca, w którym przyszedł na świat ich przodek, może na wsparcie inicjatywy z tablicą. Warnerowie do tablicy się nie odnieśli, ale sprezentowali mu książkę „Hollywood by the name” Cass Warner, wnuczki najstarszego z braci, Harry'ego, opowiadającą o historii filmowej rodziny. Jej elektroniczną wersję przesłał nam Mariusz Bondarczuk.

Rodzina pamięć Warnerów sięga roku 1857. Wtedy na świat przyszedł Benjamin, protoplasta rodu. Cass Warner pisze, że jej

przodek był wysokim, silnym mężczyzną z pięknym wąsem, oglądały się za nim wszystkie dziewczyny we wsi. Niestety, był bardzo biedny i nie miał nic poza złotym zegarkiem. Ten zegarek jest tu niezwykle ważny, warto go zapamiętać - bez złotego zegarka Benjamin z Krasnosielca nie byłoby ani „Casablanki”, ani „Buntownika bez powodu”, ani „Matriksa”.

Benjamin został szwecem i ożenił się z dziewczyną imieniem Pnina. Parze urodziły się dzieci: Cecylia, Anna i Hirsch. Niedługo po tym jak na świat przyszedł chłopiec, ojciec rodziny postanowił, że pojedzie do Ameryki.

W Krasnosielcu życie było koszmarem. Ziemię te były pod zaborem rosyjskim, Żydzi padali ofiarą represji, mężczyźni wywożono na roboty, kobiety gwałcono, dzieci nie mogły się uczyć, nie miały opieki lekarskiej (dlatego pierwsza córka szewca umiera jako dziecko).

W rodzinie Warnerów do dziś żywa jest pamięć tajnych lekcji w synagodze w Krasnosielcu. Ktoś zawsze stał na czatach; kiedy pojawiali się Kozacy, dzieci uciekały na polski cmentarz. Po latach Hirsch - czyli Harry Warner - opowiadał wnuczce, że właśnie dlatego chciał, by jego wytwórnia robiła filmy nie tylko dla rozrywki, ale także po to, by można było się z nich czegoś nauczyć.

Złoto na ulicach Benjamin miał we wsi znajomego o nazwisku - jak pisze Cass - Waleski, którego wnuczka Harry'ego bez sentymentu nazywa „wioskowym głupkiem”. Udało mu się uciec z Krasnosielca, przedrzeć przez granicę niemiecką i dotrzeć aż do Baltimore. „Przyjeżdżaj - Waleski pisał potem w liście do Benjamin - tu złoto leży na ulicach”. W 1883 r. Pnina przyszyła mężowi do spodni tajną kieszonkę, włożyła tam złoty zegarek. I obiecała wyglądać wieści. - Jeśli to złoto na ulicach jest prawdą, przyślę po was, zanim się obejrzyśz - obiecywał 26-letni Benjamin.

I wyjechał. Nim wpuszczono go do Nowego Jorku, urzędnik emigracyjny zapytał o nazwisko. Benjamin powiedział, ale urzędnik nie zrozumiał. - To w ogóle nie brzmi po angielsku - stwierdził. - Może wpiszę cię jako Verner? Waner? Varner? Ostatecznie zapisał - Warner.

Czarny ptak W rodzinnych przekazach nie zachowało się prawdziwe nazwisko Benjamin. On sam go nie zdradzał, jego prawnuczka przypuszcza, że chciał zamknąć w ten sposób bolesny rozdział w życiu. „Wiemy tylko, że w języku używanym w Krasnosielcu oznaczało ono czarnego ptaka” - pisze Cass. I dalej: „Brzmiało prawdopodobnie Vareneski. Albo Varna”. - Choć naszym zdaniem było to po prostu Wrona - komentuje Bondarczuk. - Wprawdzie nie zachował się akt urodzenia Benjamin, ale natknąłem się na dokumenty stanu cywilnego z pfn. Mazowska, w których nazwisko takie występuje. Jakiś czas temu pojawiła się także teoria, że Benjamin nie nazywał się Wrona, a Wonsal - bo właśnie to nazwisko pojawia się na listach pasażerów transatlantyków, którymi emigranci docierali do brzegów USA. Tylko że było ono w naszych stronach rzadkością, mnie udało się namierzyć tylko jednego Wonsala - wśród pułtuskich Żydów.

Podsumowując, nie można wykluczyć, że rodzina Warnerów, wyjeżdżając z Krasnosielca, a może już później, „zalaćwiła” sobie w jakiś sposób dokumenty na nazwisko Wonsal. Trudno więc powiedzieć, jak naprawdę nazywał się Benjamin. Możemy już tylko zastanawiać się, czy Wrona Bros zamiast Warner Bros brzmiałoby równie dobrze... Polska? Na którym to kontynencie? Benjamin był pomysłowy, pracowity i oszczędny. Rzecz jasna, na ulicach Baltimore nie znalazł złota, raczej błoto, ale szybko założył swój własny zakład szewski. Oferował naprawę butów od ręki, na miejscu. A że ówczesni mieszkańcy miasta mieli zazwyczaj tylko jedną parę -

szewc z Krasnosielca już po kilku miesiącach mógł wysłać pieniądze na bilety dla żony i dzieci. Kiedy ci zeszli z pokładu statku, o mało nie zadusił ich w uścisku - Pnina, Anny, Hirscha.

Syn trząśł się z zimna, okazało się, że jest owinięty szalem matki, ale pod spodem nie ma koszuli. - Przy zejściu ze statku kazali ją oddać w obawie przed wszawicą. Nie mieliśmy innej - wyjaśniała Pnina.

Hirsch, założyciel filmowego giganta, miał potem ze śmiechem opowiadać, że przyplął do Stanów półnagi, bez koszuli na karku.

I tu pojawia się pewna nieścisłość. Otóż - Warner Bros stworzyli synowie Benjamin, bracia Hirsch, Aaron, Szmul i Itzhak. Czyli, kiedy zmienili już imiona na amerykańskie - Harry, Albert, Sam i Jack. Cass Warner podaje, że w Krasnosielcu urodził się tylko Hirsch. Inne źródła z kolei - że na świat przyszli tu także Aaron i Szmul. Itzhak miał urodzić się w Kanadzie albo Londynie. I trudno powiedzieć, jak bardzo związani czuli się ze starym krajem. Cass podkreśla, że mieli wiele wspomnień, choć w większości przykrych. Z drugiej strony podobno Harry, pytany o Polskę, nie był w stanie wskazać, na którym leży ona kontynencie... Fakty pozostają jednak faktami - rodzina Wronów/Wonsali/Warnerów pochodzi z okolic Ostrołki.

Benjamin, Pnina (która zmieniła imię na Pearl) i gromadka dzieci - bo Warnerowie w sumie dochowali się aż dwunastki - przenosili się z miejsca na miejsce. Po Baltimore mieszkali trochę w Kanadzie, potem w stanie Ohio i w Pensylwanii. Jeszcze w Ohio czwórka najstarszych braci wynajęła teatr w Youngstown. Wystawiali tam przedstawienia i wodewile, po roku jednak splajtowali. Szybko zainteresowali się świeżutkim wynalazkiem - kinematografem. I postanowili, że właśnie z nim zwiążą swoją przyszłość. I tu wracamy do tematu zegarka. W 1893 r. Warnerowie zastawili cały rodzinny majątek: konia, który miał na imię Bob i złoty zegarek ojca. Kupili projektor. Wyruszyli w trasę, organizowali seanse jedyne film, jaki był w ich posiadaniu - „Napad na ekspres”. Trochę zarobili, wynajęli opuszczony sklep niedaleko domu i urządzili w nim kino o nazwie Bijou. Czyli Kino Klejnot. Na początku musieli pożyczać krzesła z zakładu pogrzebowego, po roku mieli już drugie kino i zastanawiali się, czy nie zająć się na poważnie dystrybucją filmów. Niestety, firma Thomasa Edisona zaczęła domagać się opłat licencyjnych za korzystanie z kinematografu (Edison twierdził, że to on go wymyślił, choć zapewne bracia Lumiere mieli w tym temacie nieco inne zdanie). Warnerowie więc opuścili wschodnie wybrzeże i przenieśli się do Kalifornii. Podjęli także decyzję - zamiast dystrybucji stawiamy na produkcję. Pierwszy film - „Four years in Germany” - nakręcili w 1918 r. Odnieśli sukces, mogli sobie pozwolić na zakup studia. W ten sposób w 1923 r. powstała wytwórnia Warner Brothers Pictures Incorporated. Harry dowodził spółką, Albert odpowiadał za dystrybucję, Sam za produkcję, a Jack - za wszystko, co działo się w wytwórni na co dzień.

A potem już sukces goił sukces. Warner Bros produkowali filmy z uwielbianym przez publiczność psem Rin Tin Tinem, także obrazy

Ersta Lubitscha. Przełomem był jednak rok 1925. Sam zainteresował się nowym wynalazkiem - Vitaphonem, dzięki któremu można było nagrywać, a potem emitować filmy dźwiękowe. Harry nie chciał się zgodzić. Miał nawet powiedzieć: „Kto, u licha, będzie chciał słuchać, jak aktorzy mówią?”.

W końcu jednak uległ. W 1926 r. studio wyprodukowało „Don Juana”, pierwszy film z elementami dźwięku - słycać w nim muzykę, dźwięk zamykanych drzwi czy tłuczonego szkła. A w 1927 r. - „Śpiewaka jazzbandu”, pierwszy w pełni udźwiękowiony pełnometrażowy film, z piosenkami i muzyką... Publiczność oszalała na punkcie dźwięku w kinie, obraz zarobił ponad 3 mln dolarów, firma zdobyła Oscara za rewolucję w przemyśle filmowym. Niestety, Sam zmarł dzień przed premierą „Śpiewaka”.

Warner Bros tymczasem wyrósł na giganta. Produkował filmy wybitne pod względem artystycznym, które jednocześnie często poruszały tematy ważne społecznie. I w dodatku były kasowe! „Jezebel”, „Sokół maltański”, „Arszenik i stare koronki”, „Narodziny gwiazdy”, „Buntownik bez powodu”, „M jak morderstwo”, „Olbrzym”...

Harry znany był z wielkiego serca, szczodrości, zaangażowania w akcje charytatywne. Zupełnie inaczej niż Jack, który uwielbiał luksus, przyjęcia (podobno to jego nonszalancką osobowością obdarzono innego wielkiego bohatera wytwórni - królika Bugsa). Bracia coraz gorzej się dogadywali. W latach 50. Jack zrobił coś bardzo brzydkiego. Namówił braci do sprzedaży udziałów w firmie, a potem wykupił je po cichu, przez założoną potajemnie własną firmę.

Spowodowało to rozłam w rodzinie. Oraz to, że Warnerowie zniknęli z własnej firmy, bo kiedy w 1969 r. Jack odszedł z wytwórni (inkasując za udziały 25 mln dolarów), wytwórni już nie łączyło z rodziną spod Ostrołki. Przejęli ją obcy ludzie, choć można powiedzieć, że dbali o nią, jak o własną. Bo dziś Time Warner jest jednym z największych na świecie koncernów medialnych. Możecie im podziękować za „Wejście smoka”, „Mechaniczną pomarańczę”, „Władcę pierścieni” i „Harry'ego Pottera”, „Matrix” i wiele tysięcy innych świetnych filmów, które weszły do legendy światowego kina.

A Krasnosielc? We wsi Warnerowie nie mają swej tablicy czy pomnika (nie wiadomo nawet, gdzie konkretnie mieszkali). Ale gmina Krasnosielc, przy współfinansowaniu Unii Europejskiej, prowadzi projekt nawiązujący do słynnych krajan: warsztaty filmowe dla młodzieży zatytułowane „Bracia W.”. I festiwal filmów „Małe Kino Wielkich Braci”. - Jakiś czas temu Krasnosielc odwiedził także Gregory Orr, wnuk Jacka. Kręcił film o dziadku - wspomina Bondarczuk. - We wsi także nakręcił kilka ujęć, zapewne potem wykorzystał je w tym wspomnieniowym obrazie.

Tekst zamieszczony przez Milenę Orłowską na stronie internetowej plockiego wydania „Gazety Wyborczej” w dniu 21 IV 2016 r. cały tekst: <http://plock.wyborcza.pl/plock/udostepnila>: Maria Weronika Knoch foto. z internetu



Z Hollywood do Krasnosielca czyli Krasnosielec w Hollywood?

Zofia **BECZAK-RADOMSKA**

Bartosz RADOMSKI

tłumaczenie: **Dorota BONISŁAWSKA**

To wprost zadziwiająca historia, gdzie i jak można natknąć się na nazwę naszej miejscowości! W miejscu światowego biznesu filmowego, oddalonego tysiące kilometrów od naszego Kraju, nagle czytasz: „KRASNOSIELC, POLAND, 1857”.

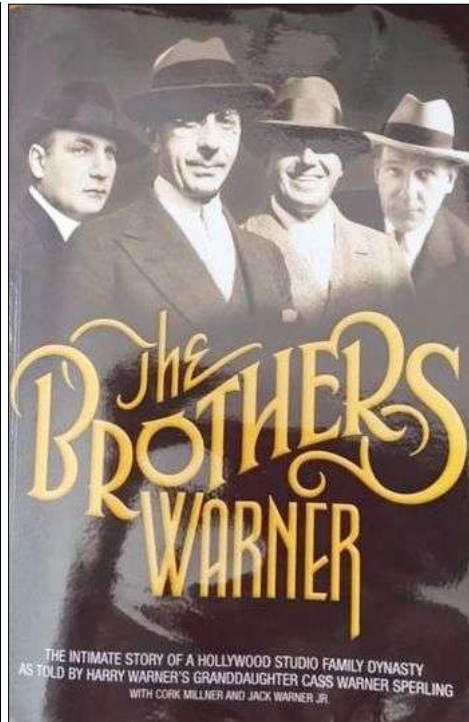
Jesteś zdumiony, zaskoczony i myślisz gorączkowo, co to ma znaczyć?!!! Podróżowałaś prawie dwie doby z rodzinnego Mazowsza do zachodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych, jesteś zmęczony, a tu czytasz wyraźnie: Krasnosielec!!! Czy to sen, czy jawa?

Z tego zadumania wyrwała Cię zona i uświadomiła, że „THE BROTHERS WARNER” (2008) to autentyczna książka o dziejach rodziny Warnerów, jaką wydała prawnuczka Benjamin Warnera, szewca z naszego sąsiedztwa, który żył z rodziną w Krasnosielcu w dziewiętnastym wieku.

Podjęmiesz natychmiast decyzję: ja muszę to mieć i dostarczyć do moich bliskich, aby podzielić się taką wyjątkową zdobyczą.

Taka była Twoja reakcja, Synu, kiedy na koniec zwiedzania STUDIO WARNER BROS, wielohektarowego miasteczka filmowego w Hollywood, wybierałeś różne gadżety jako pamiątki z tej wyprawy w sierpniu 2016 r. Wprawdzie podczas całego urlopu zobaczyłeś jeszcze wiele innych, nie mniej ciekawych miejsc, np. parki narodowe, ale to właśnie tym odkryciem zostałeś zaszokowany.

Kiedy wróciłeś do kraju, najszybciej jak to możliwe dojechałeś do rodziny w tym kochanym Krasnosielcu, aby przekazać wrażenia nie tylko krajoznawczo-turystyczne, ale i emocje związane z nabyciem książki. Podczas relacji i prezentowania zdjęć z urlopu dostąpiłeś „ośnienia”, mianowicie zaproponowałeś przetłumaczenie angielskiego tekstu i jego rozpowszechnienie wśród krasnosielczan. A ja pomyślałam, że to wspaniały pomysł, ale trzeba by to zrobić na większą skalę. W tym celu znalazłam osobę, która podjęła się tłumaczenia wątku dotyczącego życia Beniamina Wrony (polska pisownia), ojca założycieli firmy Warner Bros z okresu jego zamieszkiwania w Krasnosielcu oraz okoliczności jego emigracji do Ameryki. Przesympatyczna pani Dorota Bonisławska okazała się zafascynowana taką rolą i już przy pierwszym spotkaniu razem odkrywałyśmy swoje pomysły na rozpropagowanie informacji o rodzinie Warnerów w szerszym środowisku. Takim sposobem trafiłam z książką i pomysłami do Urzędu Gminy, a tam spotkałam się ze zrozumieniem tematu. Tak zaczęła się praca zmierzająca do realizacji



różnych wątków, m.in. drukowania fragmentów książki w naszym „Krasnosielckim Zeszyt Historycznym” oraz wielu innych.

Zofia Beczak-Radomska

Zdjęcia dzięki uprzejmości Marleny i Bartosza Radomskich – patrz fot. na s. 98.

Fragmenty książki „The Warner Brothers” – rozdział Amerykański Sen

„Mój pradziadek, Benjamin Warner, w 1883 r., uciekając z małej wioski Krasnosielec, obecnie w Polsce, dawniej carskiej Rosji, przywiózł do Ameryki swój cenny zegarek. Opuścił wieś, która była domem jego przodków przez ponad 300 lat, z jednego powodu: aby on i jego rodzina przetrwali.

Krasnosielec, Polska, 1857 rok

Benjamin wychowywał się w złowrogim świecie, gdzie końskie kopyta zwiastowały złą wiadomość: „Nadciągają Kozacy!”. Ten okrzyk

przeszywał jak sztylet cały Shtetl - żydowską część Krasnosielca. Wieś była częścią osady, jedną z dwudziestu pięciu prowincji Rosji, które były ustanowione w 1772 r. Żydzi musieli mieć specjalne pozwolenie aby mieszkać poza tą osadą. Car Aleksander raz na jakiś czas puszczał Kozaków aby przeprowadzić rzeź na „tej niechcianej” rasie.

Silni, młodzi mężczyźni byli wywożeni do obozów pracy, aby stamtąd już nigdy nie wrócić.

A Benjamin właśnie w takim świecie miał się narodzić 10 VII 1857 r. Benjamin wyrósł na wysokiego, dobrze zbudowanego młodego mężczyznę, który jako nastolatek miał już krzaczaste wąsy. Gdy szedł ulicami Krasnosielca, dziewczęta z utęsknieniem patrzyły w jego stronę. Pomimo tego, że był przystojny, nic innego nie miał do zaferowania. Rzadko kiedy z jego kieszeni można było usłyszeć dźwięk złotówki lub dwóch, które zarabiał pracując jako szewc. Jedyne co miał, co miało jakąś wartość, to zegarek, który dostał od swego ojca. Był to przedmiot przekazywany z pokolenia na pokolenie. Tak jak jego ojciec, i ojciec jego ojca, Benjamin nie był wykształcony, ponieważ chodzenie do szkoły było zabronione przez Rosjan. Potajemnie uczył się u wiejskiego Rabbiego.

Musielśmy się chować, aby się uczyć - tak powiedział mój dziadek Harry. Może dlatego, to oszukiwanie i wręcz skradanie wiedzy spowodowało, że tak się starałem, aby tworzyć moje filmy na takim poziomie, na jakim są. Poprzez moje filmy nie chciałem tylko bawić, ja miałem potrzebę nauczać.

Wiele lat później, tak Warner opowiadał o tych rodzinach getta w Krasnosielcu:

Jak spiskowcy w zbrodni, zganiłi swoje dzieci do największej stodoły, i tam Rabbi przekazywał im wiedzę o religii i rasie. Zawsze stał tam ktoś na czatach, aby podnieść alarm, gdy nadchodził wróg. Dzieci, które były już wyszkolone do perfekcji w sztuce ucieczki, uciekały wtedy wykopany tunelem, który prowadził pod Katolicki Cmentarz. A ponieważ to miejsce tradycja nazywała „Małą Święconą Wyspą”, która była strzeżona prawem, aby tam nie wchodzić, Żydowskie dzieci kuliły się w tych ich jaskiniach pod pomnikami, i były tam bezpieczne.

Gdy Benjamin miał dziewiętnaście lat, poznał młodszą od siebie o pół roku Pearl Leah Eichelbaum. Pearl była piękną kobietą. Ben and Pearl pobrali się w 1876 r., a w niecały rok urodziło się ich pierwsze dziecko Cecillia, a za-

raz po niej przysłała na świat kolejna córka Anna. W 1881 r. urodził się pierwszy syn i nadano mu imię Hirsch.

Benjamin zaczął martwić się o swoją powiększającą się rodzinę. Obawiał się, że pewnego dnia, jego córki będą ofiarami kozackich gwałcicieli, więc zaczął przyglądać się granicy z Niemcami, która była w pobliżu. Miała ona stać się drogą ucieczki. Zastanawiał się, czy za tą granicą, życie jego rodziny będzie lepsze. Znał tylko jedną osobę, która uciekła do Niemiec. Był to młody mężczyzna o imieniu Waleski, który był znany jako wiejski głupek.

Wybiorę się do Niemiec, a później postaram się dotrzeć do Hamburga. Tak powiedział Benjaminowi podekscytowany, ale mało inteligentny młodzieniec przed wyprawą. *Powędruję tam skąd odpływają statki, jak... jak wielkie latające ptaki i odpłynę do Ameryki!*

Ameryka. W wyobraźni Benjamin Ameryka była tylko mglistą fantazją, ziemią owianą tajemnicą.

Pewnego dnia, gdy pracował w swym malutkim zakładzie szewskim, ku jego zdziwieniu otrzymał list z miejsca o nazwie Baltimore. Szybko się domyślił, że jest to miasto w Ameryce. List ten, był zniszczony i wygnieciony od swojej podróży, prawie nieczytelny.

Przyjedź do Baltimore... bogactwo.... zarobisz dwa dolary na dzień... ulice złotem płyną. Benjamin spojrział na kopertę. Z tyłu koperty widniał adres. Złożył list i włożył go do kieszeni swego brudnego, skórzanego fartucha. To było coś, co musiał przemyśleć. Przecież Waleski na końcu listu napisał: *Wszyscy w Ameryce noszą buty!* Benjamin przecież był szewcem. „Złoto na ulicach...” To brzmiało jak gaworzenie głupka. Ale jeśli Waleski znalazł bogactwo w Ameryce, to dlaczego jemu miałyby się nie udać? Benjamin pracował ciężiej, oszczędzając każdą złotówkę.

Pod koniec roku 1881, kilka miesięcy po narodzinach Hirsch, ich pierwsze dziecko Cecillia zmarła z powodu infekcji. Miała zaledwie cztery lata. Pomimo tego, że wiele dzieci w tamtych czasach umierało, Benjamin chciał aby jego dzieci mogły mieć szansę na lepsze życie. Chciał aby miały własne dzieci i mieszkaly gdzieś indziej, z dala od tego miejsca śmierci i terroru.

W 1883 r., gdy Benjamin skończył 26 lat, pożegnał się z Pearl i dziećmi. Trzymając jej twarz w dłoniach powiedział: *Jeśli Waleski ma rację i Ameryka jest ziemią obiecaną, ściągnę Was.*

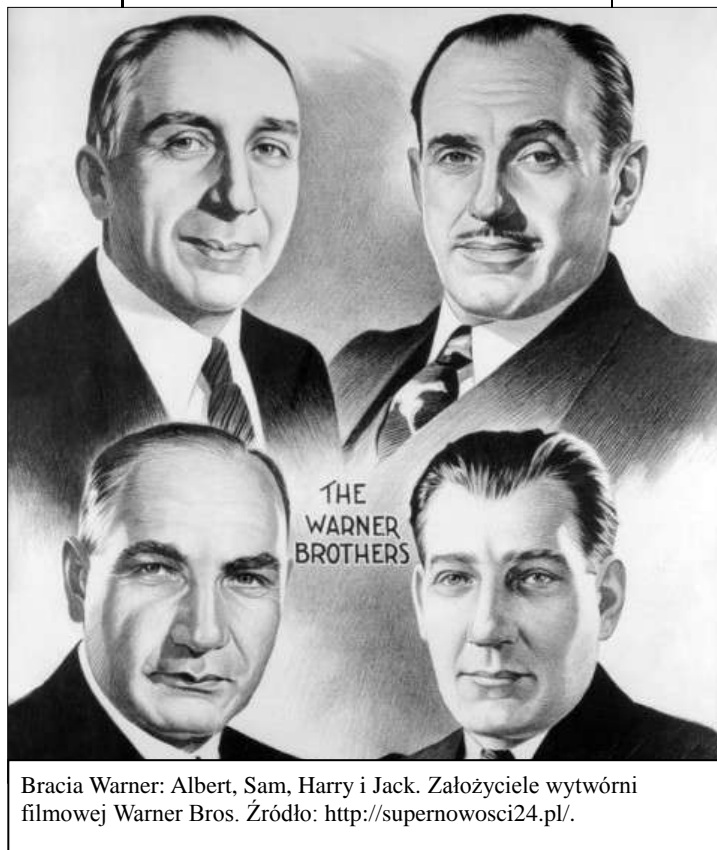
Zanim wyjechał, Pearl uszyła mu tajemną kieszonkę w pasie spodni i włożyła tam jego zegarek.

Castle Garden, Nowy Jork, 1883

Na tej „ziemi niczyjej” tymczasowo przetrzymywano imigrantów, zanim mogli udać się do Nowego Jorku i reszty kraju (Ellis

Island powstało dopiero 10 lat po przybyciu Benjamin). W tym właśnie miejscu imigranci byli sprawdzani przez lekarzy i czekali, co przyniesie im los. Suchy kaszel mógł oznaczać gruźlicę, zmiany na twarzy chorobę zakaźną. Tyle wystarczyło, aby wysłać tę osobę z powrotem do domu.

„Nazwisko?” - zapytał Benjamin ostatni urzędnik. Nie rozumiejąc angielskiego, stał oniemiały przed drewnianym stołem. Urzędnik zapytał ponownie, tym razem mieszając trochę polskiego i rosyjskiego. Benjamin powiedział



Bracia Warner: Albert, Sam, Harry i Jack. Założyciele wytwórni filmowej Warner Bros. Źródło: <http://supernowosci24.pl/>.

swoje nazwisko. Urzędnik zaczął się zastanawiać, jak przetłumaczyć to, co usłyszał na język angielski, tak jak robił to setki razy wcześniej z innymi imigrantami. Czy to było Varnolovsek? Varnerkovski?

W końcu napisał „Warner”.

Benjamin nigdy nikomu nie powiedział swego prawdziwego nazwiska. Bez wątpienia chciał zapomnieć i pozostawić za sobą tamtą część życia. Może to nazwisko to Varnereski? Bardziej prawdopodobne było by Varna, co oznaczało czarny ptak w języku, jakim się posługiwano w tamtych czasach w Krasnosielcu. Czasami zastanawiam się jak „Varna Bross” wyglądałoby na ekranie.

Ben Warner dotarł do Baltimore i okazało się, że Waleskiego nie było pod adresem zapisanym na kopercie. Niosąc swoją skózaną torbę z ubraniami i starym kocem, Ben rozpoczął poszukiwanie tego szalonego człowieka, który kazał mu przyjechać do Ameryki.

Chodził zakłopotany w nieskończoność przez zgiełk wrogiego nowego świata, z którym przyszło mu się zmierzyć. Była zima, a ulice Baltimore pokryte były szerniałą bieżnią sady. Trudno nazwać było te ulice złotymi, tak jak nazywał je w liście Waleski.

Chodził od sklepu do sklepu, pokazując kartkę z napisem WALESKI każdemu, kogo napotkał. Gdy w końcu go znalazł dziesięć dni

później, Waleski pracował w zimnej piwnicy, wycinając podeszwy z kawałków grubej skóry. W świetle świecy ukazała mu się wysoka postać i zaczął się trząść, nie z zimna, lecz ze strachu. Ben krzyknął: *Oszukałeś mnie!* Drobnego kolega uciekł w cień piwnicy, lecz Ben złapał go za rękę i przyciągnawszy do siebie uściskał. *Dobrze, że mnie oszukałeś. Gdybyś powiedział mi prawdę, nie byłoby mnie tutaj.*

Ben, bardziej zdeterminowany niż jego wiejski przyjaciel, otworzył swój własny zakład na ulicy Pratt and Light w Baltimore.

Z otworem w ścianie z szewską ławką i krzesłami dla klienta. Nazwał to miejsce „The Baltimore Shoe Repair Shop”. W oknie umieścił kartkę z napisem: „Naprawiamy buty od ręki”.

Większość klientów miało tylko jedną parę butów. Dlatego cierpliwie czekali na krzesła, przebiegając stopami, podczas gdy „wielkolud” z byłej Rosji przybijał nowe podeszwy. Ben szybko zaczął zarabiać trzy dolary na dzień. To o wiele więcej niż zarabiał w Krasnosielcu. Te czarne jak sadza ulice, które przywitały Bena, szybko zmieniły swój odcień na złoty. W niecały rok był w stanie ściągnąć do siebie Pearl i dwoje dzieci.

Zima 1883 r.

Gdy wielkie drzwi budynku odprawy celnej otworzyły się, Pearl, Anna i Hirsch wyłonili się na światło dzienne. Biegli do Bena, a ich pakunki huśtały się u ich boku. Po tym, jak prawie ich zgniótł z radości, zauważył że Hirsch bardzo urosł. Dopiero wtedy spostrzegł, że zamiast koszuli ma na sobie szal żony i trzęsie się z zimna. *Co to jest?* - zapytał. - *Przybyłeś do swego nowego kraju pół nagi?* Hirsch wyjaśnił, że koszulę zabrał mężczyzna, ponieważ były w niej wszy. Musieli ją spalić. Ben zaśmiał się i klapiąc syna w ramię powiedział: *Mój syn przyjechał do Ameryki bez koszuli.*

Mój dziadek uwielbiał opowiadać tę historię. *Przybyłem do Ameryki bez koszuli na plecach.* I śmiał się tym swoim delikatnym głosem, a w jego oczach była żywa radość. *Jako siedmiolatek uśmiechnąłem się do mego ojca ze współczuciem, tak jakbym rozumiał całą tę sytuację, bo wtedy nie wiedziałem dlaczego on uważał, że to śmieszne.*

Jedną z pierwszych spraw, które załatwił Ben, było zamerykanizowanie imienia syna. Zmienił je na Henry. Następnie zmienił imię Anna na Annie. Zdecydował także, że językiem hebrajskim będą posługiwać się tylko i wyłącznie podczas świąt żydowskich. W pozostałe dni rodzina będzie uczyła się mówić trudnym językiem, jakim wydawał mu się język angielski. Jednym z celów Bena było stać się naturalizowanym obywatelem. Kolejnym marzeniem było powiększyć rodzinę. I tak w roku 1884 urodził się Albert, którego nazywano Abe. W latach 1884 - 1891 przybyło jeszcze następne czworo z dwunastu dzieci: Henry, Sam, Rose i Fannie.

Henry, który urodził się bardzo słaby, zmarł mając zaledwie 4 latka.

Niedługo po śmierci Henriego mój pradziadek Ben zrobił rodzinne zdjęcie. To tak, jakby uznać, iż już od tego momentu będzie utrwał rodzinę na taśmach. Na zdjęciu Ben w czarnym garniturze, z zegarkiem zawieszonym na łańcuszku na kamizelce, siedzi na środku. Zaś Pearl w swoim obcisłym gorsecie w kwiecistym kapeluszu opiera rękę na jego ramieniu. Annie, najstarsza, wtedy trzynastoletnia córka, stoi obok mamy w sukience w paski. Dwunastomiesięczna Rose trzyma za nogę swego tatę, który na kolanach trzyma małą Fannie. Trzej chłopcy, Harry, Abe i Sam stoją razem po prawej stronie ojca, każdy z nich w ciemnym długim do kolan garniturze. Wszyscy, z wyjątkiem Harriego i Sama, wpatrują się w kamerę. Wydaje się, że Sam myśli o swojej siostrze lub o jakimś odległym marzeniu, podczas gdy Harry uważnie wpatruje się w ojca.

Co mogło dzieć się po zrobieniu tego zdjęcia? Czy się śmiali? Czy może udali się na jakiś poczęstunek? Czy ubrania chłopców były wypożyczone na tę okazję? Prawdopodobnie, kiedy kamera utrwała już ich zdjęcie, zrobili to, co robili wtedy wszyscy imigranci: po prostu poszli do pracy.

Pomimo tego, że dla Bena praca była rzeczą tak naturalną, jak religia czy wiara, znudziło mu się ciągle wykrajanie skóry i reperowanie zniszczonych butów. Wprawdzie jego warsztat szewski dawał skromny, ale stały dochód, to jednak nie był to sukces, o jakim marzył. *To jest kraj szans, muszę więc znaleźć nową pracę* - powiedział do Pearl. Od przyjaciela Polaka usłyszał, że w Bluefield w stanie Virginia budowana jest linia kolejowa. Ta wiadomość podsunęła mu pomysł: *Przecież ta praca jest dobrze płatna*. Mając więcej pieniędzy mogliby pozwolić sobie na zakup jedzenia, naczyń, garnków oraz innych, tak bardzo potrzebnych przedmiotów. Ben kupił wóz i konia, którego nazwał Bob. Pewnego dnia zapakował najpotrzebniejsze rzeczy i wyruszył w podróż, pozostawiając zakład na głowie dziesięcioletniego Harriego.

Gdy okazało się, że praca jako domokrążca przynosi nieoczekiwane zyski, ściągnął do siebie dwóch braci Pearl, Hymana i Berrilla, którzy właśnie przybyli z Krasnosielca. Całej trójce szło bardzo dobrze, do momentu, kiedy Berrill nie przywłaszczył sobie całego tygodniowego utargu.

Ben podczas swych podróży poznał człowieka, który powiedział mu, iż można nieźle zarobić na handlu wymiennym z kanadyjskimi traperami. Mężczyzna zaproponował, że mógłby być jego wspólnikiem i otworzyć sklep w Montrealu, gdzie zamieniałyby futra na gotówkę. *Obaj zbijemy na tym fortunę* - dodał zachwycony. Ben wrócił do Baltimore, aby poinformować swoją żonę, że przeprowadzają się do Kanady.

Następnego dnia cała rodzina Warnerów zapakowała cały swój dobytek na wóz i ruszyła na północ. Przez następne dwa lata żyli jak koczownicy. Podróżowali od jednego miejsca do drugiego i wymieniali towary na skóry. Ben od czasu do czasu wysyłał futra do Montrealu pewien, że w tym mieście rośnie jego bogactwo. Pewnego dnia załadował wszystkie



„(...) mój pradziadek Ben zrobił rodzinne zdjęcie. Na zdjęciu, Ben w czarnym garniturze, z zegarkiem zawieszonym na łańcuszku na kamizelce, siedzi na środku. Zaś Pearl w swoim obcisłym gorsecie w kwiecistym kapeluszu opiera rękę na jego ramieniu. Annie, najstarsza wtedy trzynastoletnia córka, stoi obok mamy w sukience w paski. Dwunastomiesięczna Rose trzyma za nogę swego tatę, który na kolanach trzyma małą Fannie. Trzej chłopcy, Harry, Abe i Sam stoją razem po prawej stronie ojca”. Fot. z książki *The Warner Brothers*.

futra na wóz, zaprzęgnął konia i sam wyruszył do Montrealu, aby zawieźć ostatnie futra. Gdy przybył pod adres miejsca, gdzie gromadzili futra i skóry, okazało się że „wspólnika” tam nie ma. Otworzył pudła, które tam zastał i zrobiło mu się słabo. Okazało się, że w pudłach są jedynie ścinki papierów.

W drodze powrotnej do Baltimore Ben mocno ścisnął skórzane lejce w dłoniach. Czuł wielki ciężar na sercu. Nie tylko zawiódł swoją rodzinę, ale też podczas podróży stracił swoją najmłodszą córkę. Tę, którą tak czule trzymał na kolanach na pierwszej rodzinnej fotografii. Dziewczynka nie przeżyła srożej kanadyjskiej zimy. Dla Bena dzieci były zabezpieczeniem na przyszłość, dla Pearl wielką radością. Jednak żadne z dzieci nie przyniosło Pearl większej radości, niż urodzony w Ontario w 1892 r. Jacob, który przyszedł na świat, gdy jeszcze handlowali futrami.

Najmłodszy syn nie lubił swojego imienia Jacob, więc jako nastolatek zmienił imię na Jack. Dodał też drugie imię Leonard bo uważał, że to brzmi „elegancko”. Przyznał się, że takie imię miał aktor z objazdowego kina,

które występowało w Baltimore. Według niego Jack L. Warner brzmiało bardziej teatralnie”.

tłumaczenie: Dorota Bonisławska

Zgodę na udostępnienie do tłumaczenia i publikacji książki *The Brothers Warner*, na prośbę Doroty Bonisławskiej, udzieliła jej autorka, prawniczka Harrego Warnera - Cass Warner Spering.



Wonsalowie z Krasnosielca. Warner Bros.... znad Orzyca

Anna ZIÓLKOWSKA

„Warner Bros. jest jednym z największych na świecie producentów i dystrybutorów produkcji filmowych i telewizyjnych. Obecnie jest spółką-córką konglomeratu Time Warner. Główną siedzibę ma w Burbank w Kalifornii.

Wytwórnia została założona przez braci Warner: Alberta, Sama i Harry'ego, żydowskich imigrantów urodzonych w Krasnosielcu w powiecie makowskim na Mazowszu jako: Aaron, Szmul i Hirsz Wonsal oraz Jacka, urodzonego już w Kanadzie jako Itzhak Wonsal. Bracia zastawiając rodzinny majątek: konia o imieniu Bob oraz sprzedając zegarek ojca, zyskali kapitał, który przeznaczili na zakup projektora. Dwadzieścia lat później, 4 kwietnia 1923 r., założyli wytwórnię filmową, która obecnie jest jedną z największych na świecie. Od lat rywalizuje z inną wytwórnią filmową – The Walt Disney Company.

Warner Bros. jest producentem lub dystrybutorem ponad sześciu i pół tysiąca filmów fabularnych (m.in. Casablanca, Przygody Robin Hooda, Sokół maltański, Buntownik bez powodu, Maverick, Brudny Harry, Batman, Zabójcza broń, Matrix czy ekranizacji Harry'ego Pottera) oraz czternastu tysięcy tytułów

Verzeichniss

der Personen, welche der Auswanderung nach *Amerika* in *Liverpool*
durch *Unterzeichneten* begleitet sind, und mit dem *Pass* *Chester*
unter *engl.* *Pass* nach *Brimsby* *bestimmt* werden.
Abgang des Schiffes am *16 Januar* *1888*

Zusammen	Vorname	Geburtsort		Alter	Männlich Weiblich	In Dienst resp. in der Firma	Männlich Weiblich	Staat oder Beruf	Staat der Auswanderung (wie auf List zu empfinden)	Zahl der Personen			Zahl der Kinder unter 16 Jahren			
		1.	2.							3.	4.	5.	6.	7.	8.	9.
<i>Wonsal</i>	<i>Benjamin</i>	<i>1</i>	<i>30</i>	<i>Brimsby, Russland</i>	<i>1</i>			<i>Gelehrter</i>	<i>Polen</i>	<i>1</i>	<i>1</i>					
<i>Rimowski</i>	<i>Hirsh</i>	<i>1</i>	<i>32</i>							<i>1</i>	<i>1</i>					
<i>Kungolowa</i>	<i>Chaim</i>	<i>1</i>	<i>30</i>							<i>1</i>	<i>1</i>					
		<i>3</i>								<i>3</i>	<i>3</i>					

61

Fot. 1. Dokument datowany na 16 I 1888 r., sporządzony w Hamburgu podczas zaokrętowania pasażerów na statek Chester. W pierwszej linijce Wonsal Benjamin lat 30, podobnie jak pozostali pasażerowie z miejscowości Krasnosielca.

Page 7 - CB

NAME	AGE		SEX	OCCUPATION	The country of which they are citizens	Intended destination or location	DATE OF DEPARTURE	Location of embarkment or ship	Number of pieces of baggage	Treatment as to health, or infectious diseases
	Years	Months								
<i>354. Schmul Hiker</i>	<i>18</i>		<i>m</i>	<i>pedlar</i>	<i>Russia</i>	<i>Maryland</i>		<i>Harvard</i>		
<i>5. Chiona Fiebmann</i>	<i>18</i>		<i>f</i>	<i>wife</i>	<i>✓</i>					
<i>6. Beaba Hamon</i>	<i>18</i>		<i>✓</i>		<i>✓</i>					
<i>7. Anon Pampinsky</i>	<i>30</i>		<i>m</i>	<i>farmer</i>	<i>✓</i>					
<i>8. Pere Urnsal</i>	<i>37</i>		<i>✓</i>	<i>pedlar</i>	<i>✓</i>					
<i>9. Rifke</i>	<i>10</i>		<i>f</i>	<i>child</i>	<i>✓</i>					
<i>360. Moses</i>	<i>9</i>		<i>m</i>	<i>✓</i>	<i>✓</i>					
<i>1. Abraham</i>	<i>6</i>		<i>✓</i>	<i>✓</i>	<i>✓</i>					
<i>2. Schmul</i>	<i>3</i>		<i>✓</i>	<i>✓</i>	<i>✓</i>					
<i>3. Reisel</i>	<i>10</i>		<i>✓</i>	<i>✓</i>	<i>✓</i>					
<i>4. Sarah Schapira</i>	<i>14</i>		<i>f</i>	<i>wife</i>	<i>✓</i>					
<i>5. Sine</i>	<i>14</i>		<i>✓</i>	<i>child</i>	<i>✓</i>					
<i>6. Chaim</i>	<i>11</i>		<i>✓</i>	<i>✓</i>	<i>✓</i>					

Fot. 2. Dokument sporządzony w październiku 1889 r. w Baltimore podczas spisywania danych pasażerów, którzy przyплыли statkiem Hermann. Według wielu źródeł w 5 linijce wymieniona jest żona Benjamina Wonsala – Pearl /Perla/. Nazwisko zostało zapisane Urnsal. W kolejnych linijkach wymieniono pięcioro jej dzieci. Jako wiek Perły podano 37 lat, a wiemy, że żona Benjamina miała wówczas 32 lata, jednak nieścisłości przy tego typu spisach są bardzo częste, głównie na brak znajomości języka angielskiego przez emigrantów.

animowanych (w tym półtora tysiąca kreskówek np. Królik Bugs, Xiaolin – pojedynek mistrzów, Batman przyszłości, przedostatnia produkcja Johnny Test i ostatnia Kudłaty i Scooby Doo na tropie).

Z wytwórnią związane były i są największe gwiazdy przemysłu filmowego od Clinta Eastwooda, przez Mela Gibsona, do Stanleya Kubricka.”

Tyle, jeżeli chodzi o informacje z Wikipedii. Niestety mało osób z Krasnosielca i okolic wie, że Ci bracia kiedyś mieszkali na tym terenie. W samym miasteczku nie ma żadnej informacji na ten temat. Być może dlatego, że nie wiele osób kojarzy nazwisko Wonsal ze sławnym Warner. Kiedy w styczniu roku 1888 Benjamin Wonsal wsiadał na statek parowy w Hamburgu, żeby przez Liverpool dotrzeć do Baltimore, problemy z porozumiewaniem się w obcym ję-

zyku oraz fonetyczna pisownia przekształciła nazwisko Wonsal na Warner. Rok później w październiku Perla Eichelbaum wraz z dziećmi wyruszyła w podróż, aby dołączyć do męża. Cała rodzina „Urnsal”, jak zapisano na kartach pokładowych, zesłała ze statku jako Warner. Pere Urnsal – Perla Eichelbaum, Rifke zmieniono imię na Anna; Moses, którego rodzina

nazywała Hirsch, otrzymał imię Harry Morris; Abraham stał się Albertem, a Szmul Levy – Samuelem Louisem. Najmłodsze dziecko Reisel, które w czasie podróży miało 10 m-cy, przyjęło imię Rose. Nazwisko „Urnal” to też efekt fonetycznych zawirowań. W XIX w. takich przypadków zniekształcania nazwisk było bardzo dużo. Nawet w początkach XX w. zjawisko to było nadal dość popularne.

Nazwisko Wonsal pojawia się w XIX-wiecznych dokumentach guberni łomżyńskiej, w której skład wchodził Krasnosielec. Istnieje również przekaz, który głosi, iż jeden z przodków Benjamin Wonsala nosił nazwisko Wonskolaser. Aby uprościć brzmienie tego trudnego wyrazu zmieniono nazwisko na Wonsal. Być może szczegółowe informacje na temat zawirowań z nazwiskiem znajdują się w książce biograficznej o Braci Warner, która jest aktualnie tłumaczona przez jedną z mieszkanki Krasnosielca. Liczę na to, jak i na inne informacje dotyczące tej rodziny. Mam nadzieję, że uda się rozślawić Krasnosielca w świecie. W końcu tacy Bracia Warner nie wzięli się znikąd.....

Wszystkie manifesty portowe pochodzą ze strony ancestry.com oraz <http://douginsclairarchives.com/benjaminwarnerefamily.htm>.

Anna Ziółkowska
Scany dokumentów portowych udostępnił
i objaśnił Robert Pawłowski
/Krasnosielec/

DISTRICT OF BALTIMORE—PORT OF BALTIMORE.

Master of the British Steam-ship to solemnly, sincerely, and truly swear
that the following List or Manifest, submitted by me, and now delivered by me to the Collector of the Customs of the Collection District of New York, is a full and perfect List
of all the Passengers taken on board of the said vessel at from which Port
said vessel has now arrived; and that on said List is truly designated the age, the sex, and the occupation of each of said passengers, the part of the vessel occupied by each during
the passage, the country to which each belongs, and also the country of which it is intended by each to become an inhabitant; and that said List or Manifest truly sets forth the
number of said Passengers who have died on said voyage, and the names and ages of those who died.

To help me find

List or Manifest of ALL THE PASSENGERS taken on board the British Steamship wanted
in Master, from time

No.	NAME	Age	Sex	OCCUPATION	The Country to which they actually belong	The State or Town to which the Passage is desired	Part of the Vessel occupied by each Passenger during the Voyage	Part of the Vessel occupied by each Passenger during the Voyage
43	A. Augustsson	18	M	Iron Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
44	Arnold Bergqvist	21	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
45	August Hoff	17	M	Stenmaker	Sweden	Baltimore	Stowage	
46	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
47	August Bergqvist	25	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
48	August Bergqvist	18	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
49	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
50	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
51	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
52	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
53	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
54	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
55	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
56	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
57	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
58	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
59	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
60	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
61	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
62	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
63	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
64	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
65	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
66	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
67	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
68	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
69	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	
70	August Bergqvist	22	M	Labr	Sweden	Baltimore	Stowage	

*70 passengers
67 on board
\$33.50*

*1/16 - 0 - 5
7 5 - 0 - 5*

*Sweden 3-2
Russia 5-0
Denmark 1-1
Norway 1-1
Belgium 4-0
France 1-0
Austria 1-2
Prussia 2-0
Total 2-0*

Fot. 3. Dokument datowany na 3 II 1888 r., sporządzony podczas spisywania pasażerów przybyłych do Baltimore w USA na statku Polynesian. W 11 linii od góry widnieje Wonsal Benjamin, a w kolejnych dwaj współtowarzysze podróży. Przesiadka ze statku Chester na Polynesian nastąpiła prawdopodobnie w Liverpoolu. Jako zawód Benjamin podano szewc (5 kolumna).



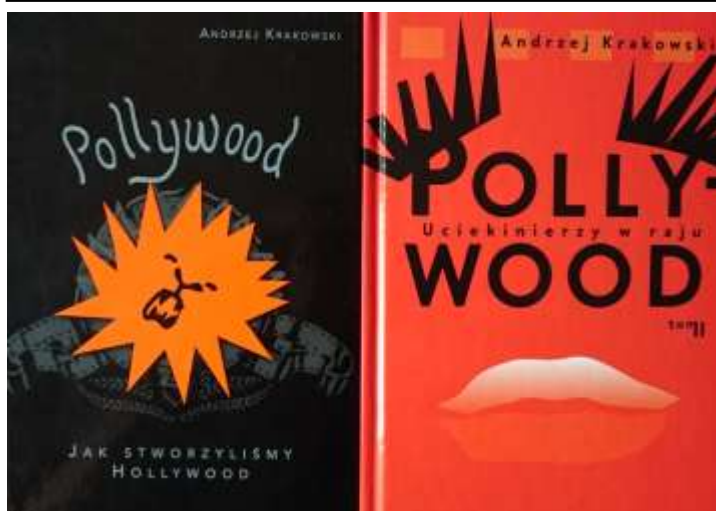
Powyżej: Pierwsze logo Warner Bros. z 1923 r. Na tarczy umieszczono zdjęcie fasady wytwórni oraz literki WB w dolnej części. Nad tarczą widać napis "A WARNER BROTHERS", pod nią napis "PRODUCTION". Logo to ukazywało się przed niemyimi filmami wytwórni. Poniżej: współczesne logo Warner Bros. W 2001 r., wskutek zmian własnościowych, wymieniono adnotację pod spodem tarczy, na "An AOL Time Warner Company". Obecnie napis brzmi "A Time Warner Company".



Fot. 4. Grobowiec rodzinny Warnerów na cmentarzu Home of Peace w Los Angeles. Miejsce spoczynku Benjamin i Perły Warnerów. Źródło: findagrave.com.



Fotografie do artykułu *Z Hollywood do Krasnosielca...* ze s. 94 - /powyżej i po prawej/ wykonano przed wejściem do Studia Warner Bros w Kalifornii. Fotografia z kanapą to część planu filmowego serialu „Friends” w tejże wytwórni – a na kanapie gościnnie Bartosz i Marlena Radomscy.



Książki A. Krakowskiego, Wydawnictwo Blue Bird. W pierwszej z nich Autor napisał o braciach Warner – patrz artykuł na s. 77.

Dworek w Szczukach, w którym mieszkała młoda Maria Skłodowska, stan z 2006 r. – patrz artykuł na s. 72.



Dzwonnica w Jednorozcu, widok współczesny. Fot. M.W. Kmoch – patrz artykuł na s. 40.

Fot. 4. do artykułu *Stacja pocztowa w Sieluniu...* – czytaj na s. 66r. Plan sytuacyjny pod zabudowę domu pocztowego w Sieluniu - 1829 r. Źródło: APP, KWiRG, sygn. nr 542.



Do artykułu „Z Raków ... na Ziemi Odzyskane” na stronie 53. Szczytno: budynek Przedszkola Miejskiego Nr 9 „Kubusia Puchatka” – mieszczącego się w budynku dawnej szkoły rolniczej oraz widok na ratusz z ul. Odrodzenia dawnej Stalina, Źródło Google Maps 2012 r.

**Krasnosielcki
Zeszyt
Historyczny**



bezpłatny dodatek specjalny
do społecznego miesięcznika
„Wieści znad Orzyca”, TPZK

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej, 06-212 Krasnosielc, ul. Rynek 40a,
Nr konta TPZK: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu
Redaktor wydania: Sławomir Rutkowski kom. 796 030 115 rutkowski.plus@gmail.com
Współpraca redakcyjna: Maria Weronika Knoch i Anna Ziółkowska. Korekta: Maria Weronika Knoch
Redaktor wydania zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji publikowanych tekstów, a także opatrywania ich własnymi
tytułami. Poglądy wyrażane w artykułach są poglądami ich autorów, a nie wydawcy. Wydawca może wykorzystywać powtórnie
lub udostępniać materiały wcześniej opublikowane przez TPZK.

Nakład: 1 000 egz. Druk: Drukarnia J.J. Maciejewscy, Przasnysz ul. Gdańska 1